



EWA CIELESZ

# ZAKRYTE LUSTRA

WIANKI I WIANO



EWA CIELESZ

ZAKRYTE LUSTRA  
WIANKI I WIANO

TOM 2





**T**o takie irytujące, gdy nie można zacząć mówić, gdy zaciska się gardło. Tymczasem on patrzył na nią, jakby chciał wydrzeć z jej głowy wszystkie skotłowane myśli, wygładzić je na kolanie, przeczytać. Nie uśmiechała się, lecz układała usta w taki sposób, by uchodzące z nich słowa nie raniły. Mimo to wiedziała, że zada mu ból. A on wciąż doszukiwał się nadziei w najśłabszym drgnieniu kącików ust, w najdrobniejszej iskierce oczu.

– Nie powinienes tu przyjeżdżać – szepnęła wreszcie. Jej gorący oddech sfrunął mu na policzki, musnął jak czuła dłoń, jak pocałunek. Pragnął, by tak było.

Antonina jednak spoglądała zimno, z naganą. Połyskujące w blasku świecy rdzawe sprężynki włosów podskakiwały niespokojnie, gdy potrząsała głową. – Nie powinienes nawet teraz, pod osłoną nocy.

– Musiałem cię zobaczyć – chwycił jej dłonie i przylgnął do nich wargami. – Tęskniłem... Nikt nie wie, że tu jestem. Jedyne twoja ciotka, a ona nie sprzeciwiała się.

– Ona nigdy nie sprzeciwi się tobie, Edwardzie – podkreśliła z naciskiem Antonina. – Zbyt długo pracowała nad skojarzeniem nas. Ale ty powinienes być rozsądny. Zdajesz sobie sprawę z ryzyka.

– Moja kochana...

– Zgubisz mnie! – przerwała ostro i wyrwała dłonie z jego uścisku. Były chłodne.

Jej serce zabiło szybciej, ale dłonie były chłodne jak wtedy, gdy po raz ostatni dotykała nimi rozpalonej twarzy Tomasza. Doktora Tomasza... Nagle znalazła się na tamtej polanie osłoniętej krzakami tarniny od drogi. I od wroga... Otrząsnęła się.

– Zgubisz mnie, a może jeszcze ciotkę, za to, że dała mi schronienie!

– Nie obawiaj się, jestem ostrożny – uspokajał Edward. – Pilnowałem, żeby nikt mnie nie zauważył, a konia ukryłem w stajni.

– Nie wiem, po co to robisz – obruszyła się. – Już ci mówiłam, nie chcę... Nie mogę za ciebie wyjść ... Przynajmniej jeszcze nie teraz – dorzuciła po dłuższej chwili.

– Nie teraz! – kurczowo uczeplił się tych słów. – Ale gdy to wszystko się przewali, gdy skończą się nagonki, tak!

– Skończą się nagonki – westchnęła i pokiwała głową z politowaniem. – Zdaje mi się, że wciąż jesteś naiwnym chłopcem.

Wstała z obitej liliowym aksamitem sofy i zajęła się nalewaniem herbaty do cieniutkich filiżanek. Im więcej było nerwowej gwałtowności w jej ruchach, napięcia i zaczepności w spojrzeniu, tym większe pragnienie i czułość budziła w Edwardzie.

– Nie jestem naiwny – zaprotestował. – Rozumiem, że się boisz. Ale ten strach odbiera ci wolność, a niewola jest zła tak samo jak śmierć.

– Śmierć, śmierć – zaśmiała się gorzko.

Otwarte, nieruchome oczy Tomasza prześwidrowały mglisty obraz, który po nim pozostał. Bolesne wspomnienie. Zła, okrutna śmierć. Gdyby zechciała zabrać i ją...

– Nie bałabym się, gdyby tylko o śmierć chodziło – rzekła powoli, z zadumą. I zaraz jej twarz zapłonęła, a pierś zaczęła unosić się i opadać

w przyspieszonym oddechu. – Ale nie zniosę bólu i upokorzeń, gdy mnie dopadną. Gdy zechcą zrywać ze mnie odzież, hańbić moją kobiecość, chłostać, przeganiać przez szpaler uzbrojonych w kije żołnierzy... Nie zniosę zsyłki gdzieś na bezkresną Syberię, nieludzko ciężkiej pracy ani głodu. Nie chcę, żeby mi wyciskali rozżarzone żelazem szubienicę na czole, kiedy nie uda mi się uciec! – rzuciła na koniec, a w jej oczach pojawiły się dwie nieproszone łzy. Zamrugła szybko. Edward chłonął ją wzrokiem, pragnął Antoniny właśnie takiej, zagubionej i bezradnej, bo w tej chwili przypominała jego ukochaną córeczkę, lgnącą do niego. Potrzebującą go. Rozczulił się.

– Będę cię chronił, kochanie – szepnął.

Odmówiła zdecydowanym, szybkim ruchem głowy, wierzchem dłoni otarła spływającą łzę, po czym zerknęła na niego z ukosa, jakby sprawdzała, na ile zauważył jej chwilową słabość.

– Nie mogę cię narażać – odezwała się tonem, któremu próbowała nadać pewne i mocne brzmienie. Ale nie mówiła prawdy. Nie chciała Edwarda, tęskniła za tamtym... – A o mnie nie musisz się martwić. – Siliła się, by nadać słowom lekki ton. – Postaram się o wolność wewnętrzną. Tutaj, w sercu. Muszę tylko...

– Antonino – wszedł jej łagodnie w słowo. – Uwierz mi, niczego nie musisz. Niepotrzebnie się obawiasz. Niewielu tutaj wie o tobie, a już na pewno nie znają cię ci otępiali miejscowi strażnicy.

– Co ty wiesz o strażnikach? – parsknęła z ironią. – Zresztą... – Machnęła ręką. – Co tam oni... Co wiesz o carskiej żandarmerii? Do Przylipia ani na szczęście tutaj, do Sępina, niewiele dociera. A ja dość długo byłam w Warszawie, myślałam, że tam w tłumie bezpieczniej, ale tak nie jest. Car kazał budować cytadelę i zapowiedział, że przy najmniejszym proteście każe miasto zbombardować. Tak powiedział: „Zburzę Warszawę

i z pewnością nie ja ją odbuduję”. Wszyscy teraz patrzą, jak rośnie ten gmach, cegła po cegle. Płaci za to Warszawa, czyli my, Polacy – zaznaczyła drwiąco. – Carskie władze mszczą się za nasz bunt. Wyłapują powstańców, skazują na śmierć, na więzienie, zsyłają, odbierają majątki! – krzyczała, coraz bardziej wzburzona.

– Dobrze o tym wiem, Antonino, ale proszę, zaufaj mi. Zrobię wszystko, żebyś była przy mnie bezpieczna.

– Uciekłam z Warszawy – ciągnęła, jakby nie dotarły do niej jego słowa. – Ale oni są jak wężące psy, Edwardzie, więc teraz boję się, żeby się za mną nie przywlekli. Boję się o ciotkę, żeby jej przeze mnie nie skrzywdzili. Mój Boże, nigdzie teraz nie zaznam spokoju. Tutaj też... Doktor wie. – Umykała wzrokiem i ledwo panowała nad drżeniem głosu. Bardzo się starała, żeby nie dostrzegł jej lęku i bezsilności.

– Doktor? Moja kochana, on jest lojalny. Dużo wie, a dotąd nigdy nikogo nie wydał.

– Nie przeczę, może masz rację – przyznała. – Ale bywają wypadki... Zresztą w Przylipiu też mnie znają.

– Znają i lubią. Nikt ci tam krzywdy nie robi.

– Danicki!

– Danicki jest moim przyjacielem.

– Cóż z tego? Jest również plotkarzem, wystarczy, że się upije! – wybuchła.

– Danicki cię nie zdradzi – oświadczył.

Milczenie przyjaciela na temat rosyjskiego dezertera, którego Edward ukrywał w swoim domu, i zamieszania Zygmunta w zabójstwo redaktora Zawiorsty utwierdzało go w tym przekonaniu. – Poza tym byłaś przecież pielęgniarką, nie żołnierzem.

– Pielęgniarka na froncie to żołnierz, Edwardzie – zauważyła cierpko. – Nie próbuj mnie uspokajać. Dobrze wiem, że mam czego się bać.

– Nawet przy mnie? – Nie potrafił ukryć rozczarowania na widok ściągniętych w uporze ust. Najchętniej całowałby je teraz, lecz nie odważył się. Były zacięte i niedostępne.

Zacisnął mocno szczęki i ponownie ujął jej dłonie. Tym razem trzymał silnie za nadgarstki, jakby nigdy już nie zamierzał ich puścić.

– Spójrz na mnie – zażądał. – Spójrz mi w oczy i odpowiedz: czy twoje zachowanie świadczyć ma o tym, że odbierasz mi nadzieję? – W jego pytaniu zabrzmiały nieudolnie ukrywane strach i rozpacz. Miał złe przeczucia.

Zmieszała się i znów uciekła wzrokiem.

– Ech, Edwardzie... Myślisz tylko o sobie, więc teraz pytasz byle pytać – odparła wykrętnie. Och, dlaczego nie ma odwagi, by przyznać się do tamtej miłości, do rozdzierającego bólu, do tęsknoty... – Jeśli sam tego nie wiesz, pogódź się, że z moich ust nie na wszystko usłyszysz odpowiedź.

Patrzył na nią długo, badawczo, podejrzliwie.

– Nie kochasz mnie – powiedział w końcu. Zwolnił uścisk i puścił szczupłe nadgarstki na których pozostały białe odciski jego palców. Przyglądał się, jak rozciera te ślady, jak nadal goni gdzieś wzrokiem.

Bolało go, że zwleka z odpowiedzią, że nie zaprzecza.

Drzwi tymczasem stanęły otworem, a w nich ukazała się Karolina Godziewiczowa. Ubrana była w strój wizytowy, w którym wydała się Edwardowi dorodną gruszką. Jej rozłożyste biodra balansowały pod szeroką spódnicą, kołysały się i zwodziły. Twarz jednak pozostała spięta, przejęta ni to oburzeniem, ni troską. Przetoczywszy się przez próg, z impetem opadła na krzesło. Jęknęło pod ciężarem.

– No i co, panie Edwardzie? – Z trudem łapała oddech. Przejście kilku kroków stanowiło dla niej nie lada wysiłek. Oddychała ciężko i raz po raz zanosila się kaszlem. – Czy Antonina zwierzyła się już ze swojego pomysłu? Jak mi Bóg miły, ta dziewczyna do grobu mnie wpędzi – wysapała i wbiła w siostrzenicę zagniewane spojrzenie. – Przyznałaś się? – dociekała.

Edward zamarł, a Antonina przebiegła pustym wzrokiem po ich twarzach, jakby stali się niewidzialni. Jakby nie siedzieli naprzeciw, nie przyglądali się jej w pełnym napięcia oczekiwaniu.

– Nic jeszcze nie powiedziałam – odparła w końcu znużonym głosem.

– A powinnaś – zganiła ją ciotka. – Pan Edward musi o tym wiedzieć. Należy mu się po tym wszystkim... – odchrząknęła, bo dalsze słowa utknęły jej w gardle. Z ukosa zerknęła na gościa.

– Po jakim wszystkim? – Nastroszyła się Antonina. – Nic między nami nie było!

– Już ty mi nie opowiadaj – rzuciła kpiąco ciotka. – Nie po to... – przerwała, zwiniętymi w pięści dłońmi przywarła do piersi i dobrą chwilę oddychała jak ryba wyrzucona na brzeg. – Nie po to przymykałyśmy oko z panią Stalicką na wasze samotne spacerunki, na gruchanie w bawialni, żebyś teraz udawała niewinność.

– Och! – zachnęła się Antonina. – Gruchanie w bawialni! Rozmawialiśmy za ledwie.

– Nie przerywaj, swoje wiem. A panu Edwardowi należy się wyjaśnienie... O, Jezusku święty – zamachała rękami w kierunku siostrzenicy. – Daj no, szklankę wody, kochana. Doktor zabronił się denerwować, a tu takie coś... Panie – zwróciła się z kolei do Edwarda. Jej głos natychmiast się zmienił. Łamał się teraz płaczliwie za każdym



wypowiadany słowem. – Niechże pan coś zrobi! Toż ona za granicę chce uciekać! Do Francji! Do Paryża!

Edward pobladł. Nerwowym ruchem sięgnął do kieszeni, wydobył fajkę, której wprawdzie nie zapalił, lecz na niej skoncentrował uwagę. Obracał w palcach i nie odrywał od niej wzroku. Wydawałoby się, że ten sfatygowany, miejscami poczerniały przedmiot stał się ważniejszy od Antoniny. I od jakiejś tam Francji. I od wszystkiego, co tutaj się dzieje.

– Panie Edwardzie – upomniała go z niesmakiem Godziewiczowa. – Słyszałeś pan, co mówiłam? Do Paryża!

– Cóż – westchnął i podniósł się z ociąganiem. – To wybór panny Antoniny. Nie mnie decydować o jej losie... – Ujął dłoń zaskoczony Godziewiczowej i złożył na niej pełen szacunku pocałunek. – Pójdę już, zrobiło się późno.

Antoninę zaledwie musnął wzrokiem. Nie miał sił na walkę z bólem i rozpaczą, gdyby przyszło mu dotknąć jej dłoni, po raz ostatni poczuć jej zapach, jej chłód.

– Dobrej nocy, Antonino – rzekł tylko i ruszył do drzwi.

– Edwardzie! – zawołała za nim.

Zatrzymał się i odwrócił rozjaśnioną nadzieją twarz.

– Nie przyjeżdżaj tu więcej – powiedziała szybko. – A gdyby co... Udaj, że mnie nie znasz.

Wchłonęła go noc i marcowa odwilż. Wszystko wokół ciekło, chlupało i bryzgało rozmokłym śniegiem. Czuł na policzkach, na włosach, na ubraniu umieranie tego rozmiękłego i wilgotnego zimowego żywiołu. Umierał on wraz z jego nadzieją.

Powoli oddalał się od drewnianego dworku. Uwierały go rozczarowanie, beznadzieja, żal, wreszcie pierścionek po babce Walerii

wciśnięty do kieszonki kamizelki. Przyjechał tu z konkretnym zamiarem. I wszystko przepadło.

Po jakimś czasie zorientował się, że zapomniał swojego konia. Wrócił. Sam, bez pomocy stajennego, wyprowadził klacz i gdy poczuł pod sobą gładkość siodła, pogalopował ledwie majaczącą w ciemności drogą.

Utrata Antoniny odebrała mu spokojne noce. Natrętne myśli i wspomnienia układały się w żalobny stos, podsycany żarem cierpienia i złości. Nie potrafił go ugasić. Może jedynie łzami, ale te, karczone przez męską dumę, nie miały śmiałości płynąć.

Rozalia przyglądała się wszystkiemu z boku. Dostrzegając strapienie syna, lecz pochwyciwszy raz i drugi jego niechętnie spojrzenie, nie podejmowała rozmowy. Uznała, że trzeba dać mu czas. Trzeba czekać, aż będzie gotów. Aż sam do niej przyjdzie.

Tymczasem on znów chodził na mogiłkę Elizy i jej, nie matce, skarżył się bezgłośnie.

Słyszała te skargi przemykająca między wyniosłymi jesionami i wiązami ni to żywa, ni umarła cmentarna wiedźma. Starzy mieszkający w tej okolicy wciąż mieli w pamięci jej niezwykłą urodę i bystrość umysłu, gdy kręciła się po plebanii jako córka księżej gospodyni. Jagna jej było. Ojca nikt nie znał. Szeptano tylko sekretnie, że Jagusine oczy kropka w kropkę do tych księżowskich podobne. Po śmierci matki młodej dziewczynie nie wypadało na plebanii pozostać. Toteż błąkała się po okolicy, zabiedzona, głodna i w zaniedbanym odzieniu. Ci, co ją spotkali, odwracali z niechęcią oczy, a niektórzy zaczepiali ją zuchwale i znieważali. Aż pewnego dnia zauważył ją Maciej, karczmarz i wdowiec. Żał mu się zrobiło dziewczyny i rad byłby ją na karczmarkę przyuczyć. Wymyta, odkarmiona, ubrana w czystą sukienkę i krochmalony fartuszek,

przyciągała każde męskie spojrzenie. Zakochał się w niej i sam Maciej, a że wdzięczna Jagna była mu przychylna, szybko wyprawiono wesele. Żyli szczęśliwie, a gdy mąż zestarzał się i podupadł na zdrowiu, Jagna pielęgnowała go z oddaniem i miłością aż do końca. Kiedy znów została sama, życie ziemskie utraciło dla niej sens.

Lubiła za to umarłych i dobrze czuła się w miejscu ich wiecznego spoczynku, między grobami. Rozczulał ją też Edward pochylający się niemal każdego dnia nad mogiłą żony. Może przez to Eliza stała się ulubienicą cmentarnej wiedźmy.

**P**rzepelniona troską, zniechęcona i zmęczona bezsennością Rozalia obróciła się na drugi bok. Dawno wstał świt, tymczasem ona od wielu godzin bezskutecznie próbowała zasnąć. Na domiar złego dotarł do niej daleki, głucho dudniący dźwięk kościelnych dzwonów. Wciskał się przez uchylone okno, wdzierał się aż pod pierzynę, którą usiłowała osłonić uszy. Chwilę później wysunęła głowę, bo każde uderzenie kończyło się jakąś radosną srebrzystością, która nieoczekiwanie dodała jej otuchy. Sprawiała, że poczuła w sercu dziwną lekkość. Uniosła się na łokciu i zapatrzyła w fałdy firany, spośród których, jak z gęstej zasłony mgieł, powoli otrząsało się słońce.

Minął pierwszy tydzień kwietnia. A te dzwony to na rezurekcję, na świętowanie triumfu Zmartwychwstania. Czy to nie symbol, nie pociecha dla uciśnionego narodu? Nic dziwnego, że celebrowanie świąt nie było w smak zaborcom, którzy nabożeństwa kościelne i słowa kapłana objęli surową cenzurą. Niedawno też ksiądz po domach i dworach zaufanego zakrystiana z wiadomością wysłał, żeby kobiety nie wkładały czarnych sukien, które wróg mógłby uznać za prowokację, za symbol żałoby narodowej.

Rozalia zwięzła oczy, wysunęła się z pościeli i boso podeszła do szafy. Wydobyła ciężką suknię, w której odprowadzała na cmentarz najpierw

matkę, a później synową. Niedoczekanie, żeby ktoś ośmielał się nakazywać jej, co ma nosić. Zaraz zleci Marynie, niech odświeży i oczyści zakurzony czarny aksamit.

Prześwielone słońcem witraże rzucały kolorowe smugi na kościelne posadzki, przybrudzone ściany i poważne oblicza świętych. Ale i na te suknie żałobne, na pełne dumy, odważne oczy kobiet, na zawzięte twarze mężczyzn.

Od klęski powstania listopadowego minęło półtora roku. Rozzuchwaleni zwycięstwem zaborcy bez litości karali Polaków za ten zryw, a złowieszcze słowa cara wciąż krążyły po chatach, dworach i karczmach, wypluwane przez zaciśnięte zęby: „Nie wiem, czy będzie jeszcze kiedy jaka Polska, ale tego jestem pewien, że nie będzie już Polaków”. Tak powiedział car, a ludzie zaciskali pięści, uśmiechali się wzgardliwie i pielęgnowali wewnętrzny bunt. Czuli, że to jeszcze nie koniec, że podniosą się jeszcze. Będzie i Polska, i Polacy.

*Przed Twe ołtarze zanosim błaganie...*

*Naszą ojczyznę racz nam wrócić, Panie*

– z przejęciem grzmiał tłum.

A ksiądz cierpliwie czekał, aż ludzie skończą. Dopiero wtedy zaintonował stosowną na to święto pieśń:

*Wesoły nam dziś dzień nastał...*

Przylipie ożywiło się gwarem i radością wspólnego spotkania. Kuzynka Eulalia przyjechała już w Wielki Piątek i odkąd przekroczyła próg domu, nie odstępowała zabieganej Rozalii.

– Wybacz mi, moja kochana, ale tak spragniona jestem kogoś bliskiego – mówiła przy lukrowaniu w kuchni świątecznych mazurków. – Niby jest Malwina, ale wiesz, jaka ona. Dumna i milcząca. Każde słowo trzeba u niej kupić – szczebiotała, zerkając przez ramię Rozalii, gdy ta doglądała mięs i ciast. – Czasem aż skręca mnie w środku z tej samotności. Nie mogę znieść pustych miejsc po Witusiu i moim ukochanym Henryku – ubolewała podczas przeglądania krochmalonych obrusów czy przy wyborze win w mrocznej piwnicy.

– No, a jakże Witold? Nic o nim nie wiadomo? – zainteresowała się Rozalia.

– Nic nie wiem. Niektórzy mówią, że pewnie z kraju wyjechał. Mówią też, że słusznie zrobił, bo lepiej jechać nawet za niemiecką granicę, niż pod rządy cara wrócić. Zwłaszcza ten, kto brał udział w powstaniu, nie powinien ryzykować.

– Z tego, co słyszałam, Niemcy, Austria i Rosja mają zakaz przyjmowania polskich uchodźców – zauważyła Rozalia i obejrzała pod światło srebrne sztuce, czy nie mają smug.

– No więc nie wiem. Może do Paryża? Bo, powiem ci, Rozalio... – Eulalia podniosła do góry pusty półmisek i zdmuchnęła z niego ledwie widoczny paproszek. – Powiem ci, że w zesłanie Witusia nie wierzę. Mój syn zawsze był sprytny, nie dałby się złapać i gdzieś na katorgi wywieźć. O, to nie on, zapewniam cię! – Mówiła z mocą, jakby chciała o tym przekonać bardziej siebie niż Rozalię. – Zresztą napisaliby przecież...

– A z tego tam, Paryża, czy gdzie on teraz jest, nie może napisać? – zapytała ostrożnie Rozalia i przestawiła wazon z tulipanami na drugi koniec stołu, gdzie według niej prezentował się lepiej.

– Jakże? Z emigracji? – wytrzeszczyła oczy Eulalia i bezwiednie przeniosła wazon z powrotem. – Wituś listów nie pisze, bo wie, że one

przez wiele rąk i wiele oczu przechodzą. Nawet ponarzekać w nich nie może. A skoro prawdę musi zataić, to o czymże on, biedny, ma pisać? – dodała na usprawiedliwienie, zauważywszy pełne zwątpienia spojrzenie Rozalii. – Ach, kochana – rozpląkała się znienacka. – Jakże chciałabym pojechać do niego! Wolałabym dzielić jego los na wygnaniu, niż czekać tu w niepewności – szlochała żałośnie.

Rozalia rzuciła serwetkę, którą właśnie składała, i przygarnęła do siebie kuzynkę. Poczowała jak kołnierzyk domowej sukienki nasiąka łzami Eulalii.

– Za dwa dni urodziny Witusia, a ja nawet go nie uściskam – skarżyła się urywanym głosem. – Mogę jedynie fotografię ucałować, otworzyć szafę i wtulić twarz w jego ubrania – łkała boleśnie. I po tych łzach, po tym roztrzęsieniu Rozalia poznała, że ta udręczona matka w żadną emigrację nie wierzy. Rozumiała ten ból i jeszcze mocniej przytuliła Eulalię do serca.

– No, cicho już, cicho – mruzczała. – On wróci. Tylko patrzeć jak wróci... Nie płacz...

– Nie mówiłam ci jeszcze. – Eulalia i otarła łzy i pociągnęła nosem. – A może pisałam? – zastanowiła się. – O Borisie. Pisałam?

– Nic o Borisie nie pisałaś. – Rozalia przyjrzała się jej z zaciekawieniem.

– Już u mnie nie mieszka – oświadczyła trochę ze smutkiem, a trochę ze złością Eulalia. – Sama musiałam nauczyć się wszystkiego i zająć kamienicami.

– Do swoich pojechał? – zapytała z przejęciem Rozalia, ignorując nowe obowiązki kuzynki.

– Do jakich swoich? – Wzruszyła ramionami Eulalia. – Wyobraź sobie, zainteresował się nim szef tajnej policji, który śledził rosyjskich dezertersów. Ale Boris poznał kogoś wysoko postawionego. Tak dobrze kłamał, że tamten posadził go na urzędowym stanowisku i zatuszował ciemną

przeszłość. Tak to u nich jest. Jednego dnia jest się nikim, a następnego ważnym urzędnikiem. Zależy, z kim się gorzałkę pije...

– Mój Boże, spodziewałam się, że ożeni się z Malwiną, zabierze ją do Rosji.

– Malwinę do Rosji? A po co? – Eulalia rozłożyła ramiona i uniosła brwi w szczerym zdziwieniu.

– Kochali się przecież. – Rozalia aż przysiadła na krześle. – Czekałam ich ślubu...

– Ślubu? Kiedy ona wcale się do niego nie garnęła. A bywało nawet, że patrzyła na niego jak kot na psa, więc ona została u mnie, a Boris poszedł w swoją stronę. Wiesz, Rozalko, on ją pewnie kochał, a ona owszem, może wcześniej lubiła go, ale odkąd on z ruską elitą zaczął przestawać, nie chciała go widzieć. On bez serca nie był, kiedy wyprowadzał się, to za nią płakał. Zawsze taki twardy, a wtedy płakał. Mnie się wydaje, że gdyby ona pozwoliła, ożeniłby się z nią...

– Wierzyć mi się nie chce – pokręciła głową Rozalia. – Zdawało mi się...

– No, więc tylko ci się zdawało, kochana – przyznała skwapliwie Eulalia. – Możesz mi wierzyć albo nie, ale na mój gust, to Malwina do takich rzeczy się nie nadaje. Małżeństwo? Chroń ją przed tym, Boże. I każdego mężczyznę, który będzie chciał zakochać się w tej dziewczynie. Ona w jakimś innym świecie żyje. W swoim świecie.

– No, jeśli tak... Może jest z tym szczęśliwa – skwitowała Rozalia i z westchnieniem podniosła się z krzesła.

– Szczęśliwa? – powtórzyła Eulalia z namysłem. – Bo ja wiem... Bez tych łąk, lasów, jezior? Powiem ci tak od serca, Rozalio. Mnie się wydaje, że ona nigdy nie będzie szczęśliwa w Warszawie.



Po rezurekcji, na której nie zabrakło nawet Zosi wtulonej w Wandę i ziewającej szeroko, zaproszeni goście zajęli na dziedzińcu Przylipia. Poldek i Anatol ledwie nadążali wypręgać konie, tyle ustawiło się bryczek. Cała pokojowa służba wyległa przed dom witać gości. Aniela, Kazia i Wiesia uwijały się w kuchni, żeby na czas podać ciepłe potrawy. Łatwiej było, gdy pracowała z nimi Wanda, ale ta po wyjeździe Malwiny została opiekunką Zosi.

Edward witał Alfreda Konickiego z Bobrowej, ciotkę Felicję, wuja Gustawa i cioteczne rodzeństwo. Klepał po ramieniu Danickiego, całował dłoń jego żony i tulił ich dzieci. Wciąż jednak zerkał na drogę, gdzie spodziewał się ujrzeć powóz Godziewiczowej. Czekał z niecierpliwością i z rosnącą obawą, bo Antoniny nie widział dziś w kościele. Lęk, że mogła wyjechać bez pożegnania, ścisnął mu gardło.

Goście zajmowali już miejsca przy stole, gdy Edward wreszcie dostrzegł przez okno konie z Sępina. Bez zastanowienia wybiegł na ganek i z trudem powściągnął zamiar, by wyprzedzić Wacława i zamiast niego usłużyć przyjezdnym. Jakiegoż doznał rozczarowania, gdy z bryczki wysiadła jedynie pani Karolina.

Podszedł, niemal podbiegł, i nie przywitawszy się nawet, zapytał gorączkowo:

– Wyjechała?

Godziewiczowa obrzuciła go wzrokiem pełnym nagany.

– A bodajbyś pan przepadł – warknęła. – Jest. I oczy wypłakuje.

Dopiero teraz chwycił obie dłonie zaskoczonej kobiety i obsypując je pocałunkami, zawołał:

– Jest? Przyjechała? Gdzie ona?

– Zgaś pan te ślepie, bo mi suknię zajmiesz – skarciła jego radość. – Tutaj nie przyjechała. – Pociągnęła go ku sobie i dodała ciszej: – Przecież

boi się carskiej policji.

– A Paryż? Porzuciła pomysł? – zapytał z nadzieją.

– Jakbyś pan Antoniny nie znał – uśmiechnęła się krzywo. – Ona sama z siebie porzuciłaby pomysł! Coś tam nie poszło jak trzeba. Ktoś miał po nią być i się nie zjawił, choć ona już na walizkach siedziała.

– Nie pojechała!

– Toż mówię...

– Czy nadal nie chce mnie widzieć?

– Jedź pan do niej i sam zapytaj – obruszyła się. – Ona ze mną o tym ani myśli rozmawiać.

Edward skinął tylko na Wacława, żeby zaprowadził gościa do salonu, po czym zawołał na Poldka:

– Osiodłaj Nimfę! Prędko!

Pędził na złamanie karku, wzniecając tumany kurzu. Tak bardzo pragnął pocieszyć, utulić ukochaną, którą wyobrażał sobie przerażoną, wbitą w najciemniejszy kąt pokoju, zalaną łzami. Dlatego widok Antoniny sypiącej kurom ziarno i wesoło zagadującej do ptactwa wprowadził go w osłupienie. Tym bardziej że jego wybranka nie różniła się strojem od służącej. Rude loki ukryła pod krochmalonym czepkiem, a szczupłą kibić przewięzała białym obszytym koronką fartuszkiem.

Edward zsiadł z konia, rzucił stajennemu wodze i trzymając się rozwleczonego wzdłuż zabudowań cienia, skradał się ku domowi. Chciał, by ktoś ze służby uprzedził pannę Antoninę o jego wizycie. Nie zamierzał wprowadzić jej w zakłopotanie, bo z pewnością nie życzyłaby sobie, żeby zastał ją w takim stroju i w takim otoczeniu.

Stąpał ostrożnie, ale dostrzegła go od razu. Uśmiechnęła się zaczepnie i nie odwróciwszy nawet głowy, rzuciła z przekąsem:

– Proszę delikatniej stawiać kroki i nie płoszyć mi kur!

Zatrzymał się zaskoczony.

– Doprawdy... Trudno za tobą nadażyć – rzucił z niesmakiem. – Cóż to za nowy pomysł, Antonino?

– Och... Nie podobam ci się w tej roli? – zapytała kpiąco. – Rozumiem, że wolałbyś pisać płomienne listy do ukochanej ukrywającej się na emigracji. Byłoby to bardziej romantyczne i mniej żenujące, prawda? Zatem wiadomość, że nie ma już panny Antoniny zapewne przyniesie ci ulgę, Edwardzie. Odtąd możesz wołać do mnie: Maniu, Broniu, Stefciu, czy jak tam chcesz.

Wysypała resztę ziarna z lnianego woreczka i wytrzepała go pieczołowicie. Biały pył uniósł się z wiatrem, zakręcił w powietrzu, po czym opadł na wytworny frak Edwarda.

– Najmocniej przepraszam! – zawołała z udanym przerażeniem. – Ale sam sobie jesteś winien, czyż taki pan nie powinien bawić się teraz przy świątecznym stole, zamiast towarzyszyć byle dziewczce przy karmieniu drobiu?

Edward dobrze już znał Antoninę, dlatego z tego potoku słów pełnych uszczypliwości bez trudu wyłowił ton, który usiłowała ukryć. Żal, lęk, a nade wszystko rozczarowanie przeciwnościami losu sączyły się z jej ust w przebraniu gorzkiej ironii. Wybrzmiały mu w głowie bolesną bezsilnością. Świetnie rozumiał, że zmiana statusu przykryta krochmalonym czepkiem i fartuszkami miały służyć za schronienie przed carską policją. Kochał Antoninę, więc to naiwne poświęcenie poruszyło w nim wrażliwe struny. Współczucie i rozczenie odezwały się jednak z taką samą mocą, jak irytacja. Edward potrafił znieść wiele, lecz z całego serca nienawidził kierowanych ku niemu kpin.

Nienaganne maniery, które wszczepiła mu matka, w jednej chwili ustąpiły miejsca wzburzeniu, a zwarte szczęki i zwężone oczy nie wróżyły

niczego dobrego.

Przez twarz Antoniny przemknął cień. Chętnie wycofałaby się z drwin, na które Edward przecież nie zasłużył, ale było już za późno.

– Z byle dziewczką, powiadasz? – wycedził. – Cóż, wcale nie uważam, że strój, jaki włożyłaś, miałby cokolwiek w tobie zmienić, i nigdy nie nazwałbym cię w ten sposób. Skoro jednak sama się za byle dziewczkę uważasz, pozwól, że tak właśnie cię potraktuję.

Chwytał ją wpół, przerzucił sobie przez ramię jak snopek słomy i nie zważając na rozwierzgane i wściekłe protesty, niósł ją do dworku przez cały dziedziniec, ganek i sień. Nie uwolnił jej nawet natknąwszy się na pokojówkę, która zatrzymała się w holu i wielce strapiona starała się omijać wzrokiem wypięte pośladki panienki.

– Suknię dla panny Antoniny, szybko! – rzucił w przelocie.

– Wizytową? – wyjąkała i na wszelki wypadek dygnęła grzecznie.

– Nie chcę żadnej sukni! – krzyknęła rozjuszona Antonina. Głos miała stłumiony, gdyż jej twarz znajdowała się pomiędzy łopatkami Edwarda.

– Wizytową – potwierdził Edward. – Przynieś najładniejszą.

– Z jedwabnej satyny? – dociekała pokojówka. – Z bufiastymi rękawami? Tę w różyczki?

– Nie w różyczki! – gwałtownie zaprotestowała zainteresowana i uderzyła pięścią w plecy Edwarda, aż zadudniło. – Postaw mnie wreszcie na podłodze! Puść mnie, słyszysz? Sama sobie wybiorę suknię!

– To nie wiem... – Przystępowała z nogi na nogę służąca. – Co mam robić?

– Idź sobie! – krzyknęła Antonina.

– Możesz odejść – zezwolił łaskawie Edward. – A ciebie puszcę – zwrócił się do Antoniny, gdy służąca skwapliwie czmychnęła – jeśli obiecasz, że pojedziesz ze mną do Przylipia.

– To szantaż – warknęła.

– Wszystko mi jedno, nazywaj to, jak chcesz. – Nie ustępował.

– Dobrze, pojedę – obiecała niechętnie. – Tylko puść.

– I wyjdiesz za mnie? Przyrzekłaś to jakiś czas temu. Czyżbyś o tym zapomniała?

– Pamiętam, Edwardzie. Ale... Wtedy było inaczej, puść.

Zmiana w tonie jej głosu skłoniła go do zachowania powagi. Przestało być zabawnie, więc posłusznie postawił ją na podłodze.

– Mam prawo przypuszczać, że nie dotrzymujesz danego słowa. Damy tak nie postępują. Czy coś się wydarzyło? – zapytał.

– Nie... – odparła niepewnie, a przed jej oczami znów pojawił się obraz młodego doktora. Leżał w kałuży krwi i szukał wzrokiem jej oczu. „Ruda – szepnął słabo, gdy zrozpaczona pochylała się nad nim. – Zostaw, ze mnie nic już nie będzie...” – Potem skrzywił się w żalonym grymasie, z którego odgadła uśmiech, i dodał: „Ale gdybym przeżył, ożeniłbym się z tobą. Zostań z tym, że cię kocham, Ruda...”

Chwyciła go za rękę, ale zabrał ją gwałtownie i rzucił przez zaciśnięte zęby: „Uciekaj. Ze mną i tak koniec. Weź moją apteczkę, zaopiekuj się...”

– Wyjdiesz za mnie? – wyrwał ją z zadumy Edward.

Nie odpowiedziała, rzuciła mu tylko zgnębione spojrzenie.

– Jedźmy zatem – rzekł ze smutkiem i ruszył do wyjścia.

Jakże to tak, pod obcym nazwiskiem? – oburzył się proboszcz i prześwidrował wzrokiem Edwarda, który z lekkim zakłopotaniem przyczesał włosy dłonią. Czas i zmartwienia przerzedziły je nieco, pogłębiły zakola i przyprószyły siwizną.

– Tak trzeba – rzekł cicho. – Antonina była pielęgniarką w powstaniu. Takich ścigają, więc nie powinno być tu po niej żadnego śladu. Nikt obcy nie może wiedzieć, kto jest moją narzeczoną. Ksiądz to przecież rozumie...

– Rozumiem, rozumiem, synu – westchnął. – Takie to czasy nastały, że i Bóg niekiedy oczy odwraca... Ale czyś pewien, że swoim można zaufać? Nikt nie zdradzi?

– Swoim ufam – powiedział z przekonaniem Edward.

– No, dobrze... To jak ją zapisać?

– Weronika – odparł szybko, bo od dawna był do tej rozmowy przygotowany.

– Weronika – powtórzył ksiądz. – A jakie nazwisko? Po ojcu?

– Nazwisko niech będzie Lisicka.

– Lisicka?

– No... – Uśmiechnął się Edward, a jego brązowe oczy utonęły w drobniutkiej siateczce zmarszczek. – Ruda taka, to niech ksiądz pisze „Lisicka”.

Ksiądz umoczył pióro w atramencie i dyktując sobie głośno sylaby, zapisał w opasłej księdze:

– We-ro-ni-ka Li-sic-ka... Ale jak to może być? – skrzywił się znowu. – Co z zapowiedziami, skoro takiej panny nikt nie zna, bo wcale jej nie ma? A jeśli ona z jakiegoś powodu za mąż nie może iść i to zatai?

– Biorę to na swoje sumienie – rzekł twardo Edward. – A mnie ksiądz chyba może zaufać?

– Cóż... Ciebie znam od urodzenia, zawsze uczciwy byłeś... Na pewno świadom jesteś, że i ja się narażam. Tylko dlatego, że ci ufam, robię to dla ciebie, synu, bom chrzczył cię przed tym ołtarzem. Twój ojciec, kiedy jeszcze żył, zawsze wierny był kościołowi, podtrzymywał monstrancję w Boże Ciało. No, i twoja matka nigdy na ofiarę grosza nie szczydziła... – zawiesił wyczekująco głos i wysunął koniuszek języka.

– Ile trzeba? – zaśmiał się Edward i sięgnął do kieszeni kamizelki po sfatygowany pugilares.

– Ot, widzisz, ławki kulawe. Czas nowe strugać, a stolarz drogo bierze.

– Mojszyk nie bierze drogo – zaprotestował Edward. – Wystarczy dać mu kawałek chleba z cebulą, a będzie pracował cały dzień, żeby choć parę groszy zarobić.

– Mojszyk to Żyd! – oburzył się ksiądz. – A Żyd robi szybko i niedbale.

– To ile trzeba? – uśmiechnął się Edward.

– Co łaska, synu. – Ksiądz skromnie spuścił wzrok, strzepnął pyłek z rękawa sutanny i wciągnął ze świstem powietrze.

Edward wyjął kilka banknotów i położył na białym obrusie.

– Baderski, dobry stolarz? – zapytał.

– Dobry – potwierdził ksiądz i krytycznie oszacował wzrokiem niewielki plik. – Nawet bardzo dobry...

– Wystarczy dla niego?

– Mówię przecież, że Baderski to bardzo dobry stolarz – podkreślił.

Edward dołożył trzy banknoty i znów zapytał:

– Taki dobry?

Ksiądz uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Taki dobry. Ale wiesz? Rad jestem, żeś mi o nim przypomniał. Bo jemu, grzesznikowi, to za pokutę zadam ławki strugać – oświadczył z zadowoleniem i schował banknoty do kieszeni. – A ty nic się nie martw. Kobiety pięknie kościółek wyszykują i będzie ślub w samo Boże Narodzenie.

– Nie. Niech będzie w styczniu. W trzecią niedzielę.

Ksiądz zastanowił się chwilę, zanim wyraził aprobatę.

– Niech i tak będzie. A teraz, jak będziesz do domu wracał, zajedź do Danickich, do pani Heleny, bo ona *Veni creator* śpiewa najładniej w całej parafii.

– Nie trzeba – odparł Edward. – Ślub będzie cichy i skromny. Najskromniejszy w całej okolicy...

Pani Karolina, jako jedyna opiekunka Antoniny, od chwili oświadczyń, które siostrzenica przyjęła wreszcie pod koniec maja, nie mogła zaznać spokoju. Była tak podniecona, jakby sama wybierała się za mąż. Niechętnie zgodziła się na ciche zaręczyny, a wiadomość o równie cichym ślubie przyplącała niemal apopleksją.

Zrozumiała jednak, jakie niebezpieczeństwo grozi ukochanej siostrzenicy, dlatego skromne wesele postanowiła jej wynagrodzić bogatą wyprawą. Na ten cel sprzedała Alfredowi Konickiemu łąki sąsiadujące z Bobrową, pomniejszając tym samym posag Antoniny, gdyż Sępin zamierzała w przyszłości przekazać w jej ręce.



Letnie, zimowe, domowe, wizytowe i balowe suknie, szale, okrycia i wachlarze, część biżuterii ze szkatułki ciotki, satynowe pantofelki, ciepłe botki, płótna i perkale, pończoszki i zdobiona haftami bielizna, naczynia, przybory na toaletę, prześcieradła, poszwy, poszeweczki, obrusy, serwety i serweteczki nic a nic nie obchodziły przyszłej panny młodej. Jedyne czarna suknia wzbudziła jej żywe zainteresowanie.

– Dlaczego taka, ciociu? – zapytała niby od niechcienia, przykładając do siebie czarny atłas. Najchętniej włożyłaby ją do ślubu i skryta w czerni fałd i koronek opłakiwała śmierć Tomasza.

– To na wypadek żałoby. Młoda mężatka powinna być przygotowana na każdą okoliczność – odparła pani Karolina, zabrała, niemal wyrwała z jej rąk suknię, ułożyła ją na samym dnie kufra, po czym dyskretnie splunęła przez lewe ramię.

Antonina traktowała zamążpójście jako zwyczaj i tradycję. Według niej ani to obowiązek, ani przywilej, ot rytuał. Lubiła i szanowała Edwarda, lecz małżeństwa z nim nie uważała za jakiś szczególny uśmiech losu. Okres narzeczeństwa i przysługujące młodym przywileje denerwowały ją. Po zaręczynach etykieta pozwalała Edwardowi bywać u niej codziennie, on zaś wykorzystywał tę możliwość i, wystrojony odświętnie, przesiadywał w jej towarzystwie, na ile przyzwoitość pozwalała. Jeśli rozmawiali, czas upływał szybko, bo rozmowy z Edwardem były zajmujące, ale gdy prosił ją o grę na fortepianie i, ku jej irytacji, czuł się w obowiązku przewracać nuty, Antonina zgrzytała zębami ze złości. Wzięła się więc na sposób i proponowała przechadzki, wtedy jednak narzeczony korzystał z prawa prowadzenia ją pod rękę, czego nie cierpiała. Każdego dnia obdarowywał ją czekoladkami, od których tyła Godziewiczowa. Zauważył to, przyniósł kolczyki, a następnego dnia broszkę. Wtedy Antonina nie wytrzymała.

– Dziękuję za te błyskotki, Edwardzie, lecz bacz, by twoje podarunki nie stały się kosztowniejsze od mojego posagu.

Zrozumiał aluzję i odtąd obsypywał ją kwiatami, które wybierał konsekwentnie coraz czerwieńsze, im bliższa była data ślubu.

W pierwszych dniach Godziewiczowa służyła im za przyzwoitkę, ale szybko machnęła na to ręką. Nie miała czasu na przesiadywanie z młodymi, znała ich zresztą, nie raz bywali sami, więc zostawiała tylko otwarte drzwi i szła do swoich obowiązków.

O ile oni podchodzili do wszystkiego spokojnie i z dystansem, a ze względu na Antoninę starali się zachować ślub w sekrecie, o tyle Rozalia i pani Karolina szybko zapomniały o ograniczeniach i z zapalem zabrały się za przygotowania do wesela.

Tydzień przed ślubem okazał się czasem wielkich zmian. Aniełę, Kazię i Wiesię oddelegowano do kuchni w Sępinie. Również Rozalia przeniosła się tam, by wesprzeć bliską histerii Godziewiczową. A ponieważ Edward i tak przesiadywał u narzeczonej, w Przylipiu pozostała jedynie służba, Zygmunt i dzieci. Może nie był to rozsądny wybór, ale pieczę nad dworem Rozalia powierzyła Joannie i Kajetanowi, natomiast kuchnię, podręczną spiżarnią i karmieniem całego stadka miała się zająć przejęta i przerażona Wanda. Zosia trafiła pod opiekę Józki, która nie bardzo radziła sobie z energiczną dziewczynką, dlatego z ulgą i wdzięcznością wrzucała ją w ramiona zawsze chętnego do zabaw z siostrą Stasia.

W tym samym czasie sępińska kuchnia puchła od smaków i zapachów. Ale też od naburmuszonych kucharek, z których każda miała swoje przyzwyczajenia. Anieła nie pozwalała sobie w kaszę dmuchać, a Walercia, tutejsza kucharka, dąsała się o byle co. Żadna nie była skora do słuchania

pouczeń i krytyki tej drugiej, chociaż obie, Bóg im świadkiem, chciały naprawdę dobrze. Przynajmniej na początku...

– Co robisz z tym garnkiem, kochana? – pytała przymilnie Aniela na widok wielkiego sagana w rękach Walerci.

– A bacz, czy rosół ci czasem nie kipi – dawała wymijającą odpowiedź Waleria. – Trzeba dołożyć fajerek, bo ogień za wielki.

– Już ty się o mój rosół nie martw – kwitowała Aniela. – A do pieczeni weź mniejszy garnek, bo w takim dużym trzeba dolewać zanadto wody i mięso ze smaku się wygotuje.

– Patrzcie państwo – gderała pod nosem Walercia. – Mnie poucza, a sama nie wie, żeby w wąskim garnku rosół gotować, bo z takiego szerokiego cały wyparuje.

Aniela jednak wszystko doskonale słyszała.

– W całym Sępinie dobrego garnka do rosółu nie ma – odcinała się ze złością.

Niestety, te niesnaski dotykały również pomocnice, którym od sprzecznych poleceń aż kręciło się w głowach. Kręciło się też i burczało w pustych brzuchach, bo Walercia zacięła się i nie zamierzała wydawać dziewczkom jadła po próżnicy.

Kazia, nieprzyzwyczajona do takiego skąpstwa, pomrukiwała złowieszczo po kątach, Wiesia natomiast popłakiwała pogryzając skórki chleba. Jedyne Jania i Bronia, miejscowe pomocnice, radziły sobie, podbierając coś ukradkiem ze spiżarni.

Aż raz, gdy w kuchni pojawiła się Godziewiczowa, by ocenić, jak postępują prace, Kazia, niewiele myśląc, wlaźła na krzesło, wzięła się pod boki i kołysząc się w prawo i w lewo zaśpiewała piosenkę, której dawno temu uczyła ją matka:

*Nasa gospodyni mało chleba daje  
Izie do komory, gozinę go kraje.  
Ukraje, ukraje jak dębowy listek  
I jesce się pyta, cy ja zjem go wsystek.*

Pani Karolinie nie trzeba było niczego tłumaczyć. Oburzona, odprowadziła na stronę Walerię i zbeształa ją za złe traktowanie dziewcząt.

– Wstyd przynosisz – sapała rozsierdzona. – W tym domu nigdy nikt drugiemu chleba nie żałował. A jeżeli jeszcze raz o tym usłyszę, wyrzucę na bruk!

Tuż przed weselem trudno było znaleźć wolne miejsce w kuchni, w spiżarni i w komorach z tego zatrzęsienia mięs, warzyw, sosów, ciast i chlebów rozmaitych. Ale kiedy Aniela nałożyła każdej z pomocnic słuszną porcję, żeby wreszcie porządnie się najadły, Walercia skoczyła jak lwica.

– Zacierki im daj! – warknęła, zasłaniając sobą stół. – Nikt tu mięsa nie będzie darmo jadł.

– Odejdź – rzekła spokojnie Aniela. – Napracowały się przez te wszystkie dni, zasłużyły na kawałek mięsa.

– Kluski niech jedzą, w sam raz dla kuchennych dziewczek – upierała się Walercia.

– A wiesz, co Pismo mówi? – rzuciła w gniewie Aniela: – „Godzien jest robotnik zapłaty swojej”. Poskarżę naszemu księdzu, to z ambony spadniesz! – dodała rozeźlona i siłą odsunęła Walerię. – Jeszcze żebyś choć swojego broniła – burczała.

Najadły się dziewczęta do syta. Waleria patrzyła na nie z ukosa i mamrotała coś pod nosem, liczyła... Kazia, która swojego czasu

w Przylipiu wino i inne smakołyki dla Zygmunta podkradała, znała się na takim liczeniu.

– Psez tę sarownisę kazdy kęs mi w gardle staje – narzekała.

W ostatnią noc przed weselem Kazia zakradła się pod kuchenne drzwi, a widząc w szparze słabą smugę światła, otworzyła je znienacka. Łojówka natychmiast zgasła od przeciągu i tylko srebrzysty księżyc przez otwarte okno ukazywał, co się tam działo. Pod oknem stał woźnica z wiklinowym koszem, a zaaferowana Walercia przekładała do tego kosza rozmaite smakołyki.

– Ratunku! Złozieje! Złozieje! – zakrzyknęła Kazia, ile sił w płucach, aż cały Sępin zerwał się na równe nogi.

Woźnica, zamiast wziąć nogi za pas, tylko gębę otworzył. A i przestraszona Walercia niezdolna była do ucieczki. Tym razem pani Karolina nie darowała jej winy. Kazi zaś zaproponowała posadę najważniejszej kucharki w Sępinie.

– Eee... – krygowała się Kazia. – Mnie tam najlepiej w Sylipiu...

I w Przylipiu została.

Przeddzień ślubu, na który zaproszono jedynie najbliższych, pani Karolina zajrzała do sypialni siostrzenicy. Była czerwona z przejęcia, a na czoło wystąpiły jej kropelki potu.

– Antonino – zaczęła wzruszona. Wytarła chusteczką czoło i przysiadła na brzeżku krzesła. – Nigdy nie pomyślałam, że w takim dniu nie będzie już na tym świecie mojej siostry – chlipnęła. – Ani szwagra... I że ich jedyną córkę ja będę miała zaszczyt poprowadzić do ołtarza... – Przerwała, otarła płynącą po policzku łzę, potem przyłożyła dłoń do piersi i zaczęła ciężko dyszeć. – Jezusku – jęknęła. – Ile mnie to zdrowia kosztuje.

Odпочęła chwilę i przemawiała dalej:

– Dlatego radę, którą powinna dać ci matka, usłyszysz z moich ust: zapamiętaj na zawsze, żebyś nie pozwoliła żadnemu mężczyźnie pozostawać z tobą sam na sam ani chwili – mówiła z przejęciem. – Żadnemu, nawet lekarzowi, księdzu, krewnemu, Danickiemu czy innemu przyjacielowi Edwarda. Nikomu. Nieważne, czy będzie on stary, czy młody. Z żadnym mężczyzną, nie możesz być sam na sam. Nawet z tym bezrozumnym Zygmuntem. Czy rozumiesz?

Antonina najpierw spojrzała z niedowierzaniem, potem parsknęła śmiechem.

– To śmieszne, ciociu.

– Co jest śmieszne? – oburzyła się Godziewiczowa. Ciężko dysząc, podniosła się z krzesła i wlepiła w Antoninę pełne wyrzutu spojrzenie. – Co widzisz w tym śmiesznego? Moja babka przestrzegała tak moją matkę. Z kolei moja matka twoją świętej pamięci mamusię i mnie. A ja przestrzegam ciebie, więc co jest takie śmieszne?

– Byłam na wojnie, ciociu – powiedziała Antonina. – Każdego dnia byłam sam na sam z jakimś mężczyzną. Zdarzali się mężczyźni ranni w takich miejscach, że trzeba było obnażyć całe ich ciało, więc – z całym szacunkiem – to, co ciocia opowiada, jest dla mnie śmieszne.

– Boże, zmiłuj się – przeżegnała się Godziewiczowa. – Gdybym wiedziała, że ty na takie bezeceństwa patrzeć będziesz, nigdy nie puściłabym cię na żadną wojnę – wymamrotała i drobiąc, pospiesznie opuściła pokój siostrzenicy.

Ślub był w samo południe.

Śnieg padał tak obficie, tak cicho i tak miękko, że stąpanie po nim wydało się Edwardowi profanacją. Ciężkie płatki lgnęły do welonu Antoniny, zmieniały się w krople, zdobiły go na podobieństwo

połyskliwych pereł. Edward wypatrzył pod delikatnym tiulem profil ukochanej i różowy płatek jej ucha. Z czułością obserwował, jak w nerwowym oddechu rozchylają się jej usta, rozszerzają nozdrza, unoszą się i opadają rzęsy. Nad karkiem Maryna wpięła w zwinięty węzeł włosów drobne białe różyczki. I nagle jeden nieposłuszny kwiatek wysunięty do połowy... Nie sposób o nim nie myśleć. Edward chciałby go dotknąć, poprawić, ale chyba nie wypada, poza tym Antonina stoi zbyt daleko.

A oto już przed nimi zmęczona twarz księdza. Lekko przymglone i wypłowiałe oczy. I słowa, które trzeba za nim powtarzać. One gładko wysuwają się z ust, obiegają mury kościoła, wracają echem i trafiają wprost do serc.

– Ja, Edward, biorę ciebie, An... Weroniko, za żonę i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący, w Trójcy jedyny i wszyscy święci.

Śnieg padał obficie i grubą warstwą ułożył się na ścieżce. Zgrabny bucik Antoniny ugrzązł w zaspie, wypełnił się lodowatą wilgocią. Ciężkie płatki spadały na welon, niemal czuła tę zimną strużkę, jak zamienia się w krople i płynie na kark. Edward stoi zbyt blisko, denerwuje ją ta bliskość i to, że może poczuć na policzku jego oddech. Zresztą wystarczy jeden niewielki krok, by nadepnął na jej suknię.

Antonina podziwia go za spokój.

Brązowe oczy ledwo musnęły jej ukrytą pod welonem twarz, szybko otaksowały suknię, starannie ułożoną fryzurę i zapatrzyły się gdzieś w dal. O czym myśli? O kim? O Elizie?

Jak patrzyłby Tomasz? Może jego palce przesuwająby powolutku powietrze, dążyłyby do jej dłoni? Może przełykałby nerwowo ślinę przed

złożeniem przysięgi? Może uśmiechnąłby się i szepnął: „Kocham cię, Ruda...”.

Ksiądz ma brodawkę na brodzie i worki pod zmęczonymi oczami. Uwagę Antoniny przykuwa krzywy ząb, widoczny za każdym razem, gdy otwiera usta.

– Ja, Weronika, biorę cię, Edwardzie, za męża i ślubuję ci miłość, wierność, posłuszeństwo i uczciwość małżeńską oraz, że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie...

To nie ja, Edwardzie. Nie ja ci to wszystko ślubuję. I nie ja będę twoją żoną, tylko wymyślona przez cię Weronika Lisicka...



Drżąca plama słońca rozlała się po powiekach i policzku Antoniny. Ledwie zauważalny grymas nie umknął uwadze Edwarda, który obudził się jakiś czas temu i teraz z czułym uśmiechem obserwował śpiącą żonę. Ostrożnie odgarnął palcem rdzawe kosmyki włosów i wsunął jej w ucho wilgotny, ruchliwy język. W pierwszej chwili naprężyła się pod tym doznaniem jak kotka, a jej wargi rozchyliły się w rozbawieniu. Za chwilę jednak półotwarte zielone oczy pociemniały z gniewu.

Wycofał się z tych pieszczot bez złości. Przez półtora roku przyzwyczał się, że Antonina potrzebuje czasu i odpowiedniego nastroju. A on potrzebuje jej przyzwolenia.

Mimo niedzieli zza uchylonego okna od dawna dobiegały odgłosy wstającego dnia. Porykiwanie krów wyprowadzanych na pastwisko, brzęczenie wiader, w których pienilo się mleko z porannego udoju, nawoływanie drobiu, kogucie manifestacje z wysokości drabiny opartej o kurnik, kurze sprzeczki i kacze debaty, które brzmiały czasem jak skarga, a czasem jak urągliwy śmiech. W ten podwórkowy gwar wdarł się nagle krzyk Zosi i tylko dlatego młodzi państwo Stalicy zerwali się z łóżka i podbiegli do okna.

Był wprawdzie środek lipca i od kilku dni panował upał, ale nawet ten fakt nie powinien tłumaczyć Zosi, która w samych tylko majteczkach

z długimi ozdobnymi nogawkami uciekała przed zrozpaczoną jej zachowaniem Wandą. Dziewczynka krzyczała przy tym i oganiała się od opiekunki usiłującej włożyć jej jasną, haftowaną sukienkę.

Edward zmarszczył czoło i zaczął ubierać się pospiesznie, mrużąc coś gniewnie pod nosem. Antonina zaśmiewała się do łez.

– Paradna jest Zosia, Edwardzie! Ile w niej zadziorności i niespożytej energii!

– Pięknie, te objawy buntu nazywać energią – obruszył się. – Tymczasem ja doprawdy nie wiem, co z niej wyrośnie.

– Kobieta! – śmiała się Antonina. – Prawdziwa kobieta, Edwardzie. Takich nam trzeba na dzisiejsze czasy.

– Takich nam trzeba? – podszedł blisko i zsunął ramiączko jej nocnej koszulki. – A mnie takich jak ty potrzeba, kochanie – otoczył ją ramieniem i przylgnął ustami do jej karku.

Odsunęła się i spojrzała na niego zimno.

Westchnął.

– Pójdę ujarzmić tę małą czarownicę. – Ostatnich słów nie wymówił w złości, lecz czule, jak zawsze gdy chodziło o jego niespełna sześcioletnią córeczkę.

– Idź już, idź – Antonina popchnęła go lekko w stronę drzwi, sama zaś umknęła za parawan, odświeżyła się w rześkiej wodzie i zadzwoniła po Józję, żeby ta pomogła jej przy włożeniu niedzielnej sukni i okiełznaniu rudych loków.

Tylko świąteczne śniadania bywały tak wykwintne. W tygodniu jadano skromniej, nikt nie miał czasu na celebrowanie posiłków, poza tym Rozalia nie widziała powodu do zbytniego rozpieszczania domowników w tak trudnych i niepewnych czasach. W niedzielę sprawy miały się inaczej, bo

do dworku zaglądali goście. Ot, choćby Godziewiczowa. Odkąd dopięła swego i doprowadziła do ołtarza Antoninę, lubiła osobiście sprawdzić, jak układa się młodym. A ponieważ należała teraz do rodziny, bez skrupowania przedłużała wizyty do wieczora.

Również Danicki, jeśli tylko rozdrażniło go zrzęczenie żony, sadzał przed sobą na koniu dziesięcioletniego syna, Jędrka, i zostawiwszy Helenę z córkami, kłusował łąkami na przełaj, do Przylipia. Tutaj miał nadzieję rozegrać partyjkę szachów z Edwardem lub pogawędzić z nim przy zimnym piwie w altanie.

Jedynie Felicja unikała Stalickich. Do złożenia wizyty musiały ją skłonić ważne rodzinne uroczystości albo wyjątkowo dobry nastrój, ten zaś nie zdarzał się prawie nigdy.

Tego dnia dopisali wszyscy. Rozalia omiotła wzrokiem stół. Dyskretnie dała znać Alojzemu, by półmisek z warzywami ustawił bliżej Godziewiczowej, a pasztety usunął z zasięgu jej wzroku. Pani Karolina musiała się pilnować i przestrzegać diety zalecanej przez doktora, a niestety brakowało jej silnej woli. Zygmunt błędził wokół stołu, zabierał gościom kieliszki i burczał na Alojzego, który usiłował mu w tym przeszkodzić. Wacław w tym czasie nalewał z porcelanowego dzbanka kakao dzieciom. Szmer głosów nad stołem zlewał się w jedno brzmienie i na podobieństwo brzęczących pszczół krążył wokół głowy Rozalii. Starła się wyłapywać ważne informacje, które przynieśli z sobą goście, dopóki nie zakłócił ich pełen pretensji głosik Zosi:

- Ja chcę więcej kakao! Poproszę pełną filiżankę.
- Zosiu – upomniała ją Wanda. – Nie utrzymasz w rączce pełnej filiżanki. Kiedy wypijesz swoją porcję, poprosimy o repetę, dobrze?
- Staś ma pełną – upierała się dziewczynka. – Jędretek też.
- Chłopcy są starsi od ciebie i silniejsi – przekonywała Wanda.

Zosia wydeła usteczka i wbiła wzrok w siedzącego naprzeciw brata. Staś miał prawie czternaście lat i bezsprzecznie stanowił dla niej największy autorytet.

– Jesteś za mała na pełną filiżankę – zawyrokował z wyższością.

Zosia zamruwała powiekami, pod którymi wzbierały już łzy. Otarła oczy piąstką i mimo że dwie pionowe kreseczki przecięły jej czoło, podniosła filiżankę i zaczęła sączyć kakao. Nie spuszczała przy tym zwężonych oczu z Waclawa, który stojąc nieopodal z dzbankiem, chrząkał i dreptał niespokojnie.

Mała czarownica – myślał, gdyż pod pociemniałym spojrzeniem dziewczynki czuł się coraz mniej pewnie.

Rozalia w pierwszej chwili zamierzała pouczyć wnuczkę o niestosowności zachowania. Zosia nie jest maleńkim dzieckiem i powinna zrozumieć, że to dorośli decydują. Nie tylko o ilości napoju w filiżance. Dorośli decydują o wszystkim. Zerknęła na Edwarda i synową. Byli rodzicami, oni więc powinni ukarać Zosię. Tymczasem Edward siedział z nijaką miną, na twarzy Antoniny natomiast wykwitło niezrozumiałe dla Rozalii zadowolenie.

Ach, gdyby ona była jak Eliza... Zwróciłabym jej uwagę, a ona podziękowałaby mi jeszcze z wdzięcznością za dzielenie się doświadczeniem – pomyślała z narastającą irytacją, bo kilkakrotnie przekonała się, że z charakterkiem Antoniny lepiej nie zadzierać.

– A gdzie podział się Zygmunt? – wdarł się w jej myśli głos Gustawa.

– Zygmunt? – powtórzyła zaskoczona nagłym pytaniem i rozejrzała się. – Był tu przed chwilą...

– Z pewnością gdzieś psoci – nadeła się Felicja. – Doprawdy, nie rozumiem bezinteresownej troski mojej siostry. Po co go tu trzymasz?

– Pani Rozalia jest szlachetna. Nie wyrzuci chorego człowieka na bruk – zauważył Danicki.

– Porozmawiamy o szlachetności, kiedy ten bezrozumny człowiek podpali Przylipie. Albo kogoś zastrzeli, nie daj, Boże.

Edward podniósł na ciotkę czujne oczy. Zastrzeli? Ile ona wie o wypadku z Zawiorstą?

– A pani synowie? Kijów? – Antoni zmienił zgrabnie temat i podsunął jej półmisek z wędliną.

– Są wakacje – zauważyła sucho.

– To pewnie gdzieś psocą – zakpił.

Felicja już się napuszyła, na szczęście do rozmowy włączył się Gustaw.

– O, panie! Od miesiąca wracają na wakacje do Borowic i coś wrócić nie mogą. Myślałby kto, że tacy byli niezadowoleni z Kijowa. A teraz rozstać się z miastem nie chcą.

– Niezadowoleni? – zainteresował się Danicki.

– Ano, Mateusz chciał przecież uczyć się w Wilnie. A znów Marek wolał w Warszawie. Ale przecież car kazał te uczelnie pozamykać, więc pojechali do Kijowa.

– Z tego, co wiem, tam jest większość polskich studentów. I profesorowie też nasi.

– Niby tak, ale coś serca do tego uniwersytetu nie mają. Może dlatego, że na rozkaz cara powstał, nie wiem...

– No tak. Do samego cara też nikt serca nie ma – przyznał Danicki.

– Paskiewicz ma – wtrącił złośliwie Edward. – Z wzajemnością.

– Tak, tak – zaśmiał się gorzko Antoni. – Car chciał nas za powstanie ukarać, to Paskiewiczem ukarał.

– Ja tego nie rozumiem – jęknął Staś, uważnie przysłuchujący się rozmowie. – Kto to Paskiewicz?

– A co tu rozumieć, synu – westchnął Edward. – Polityka. A Paskiewicz to taki... feldmarszałek, rosyjski dowódca. Car tytułował go księciem warszawskim, dał mu nad nami władzę.

– To Polak? – zapytał Staś.

– Gdzież tam Polak! Rosjanin. Bardzo u cara zasłużony, bo pomógł stłumić nasze powstanie.

– Car nie tylko tym nas ukarał, synku – wtrąciła Antonina.

Staś zmarszczył czoło i zacisnął pięści. Bardzo bolało go słowo „synku” w ustach macochy. Była dla niego miła i nie miał powodu jej nie lubić, ale odkąd panna Joanna podpowiedziała, że tylko jedna kobieta miała prawo tak zwracać się do niego, czuł, jakby zdradzał nieżyjącą mamę.

– A czym jeszcze, proszę pani?

„Proszę pani”. Znów podkreślił tę obcość. Ku jej przykrości i rozpaczycy Edwarda, słowo „mama” nie przeszło mu przez gardło.

– Na lekcjach nie mówiono ci o tym, kochanie? – Słowa zabrzmiały miękko, lecz Antonina w tym samym momencie przeszła surowym wzrokiem Joannę siedzącą po lewej stronie Stasia. Nikt nie irytował jej w Przylipiu tak bardzo jak ta, z jednej strony niemrawa i odurzona zachwytem nad sobą kobieta, z drugiej zaś przebiegła, przepełniona wrogością do nowej żony Edwarda i zazdrosna o przychylność Stasia hipokrytka. Antonina uważała ją za głupią gęś, zupełnie nieprzygotowaną do opiekowania się dziećmi i przebywania w ich towarzystwie.

Joanna wyrwana z zadumy poczerwieniała, bo nagle wszystkie oczy spoczęły właśnie na niej, a ona nie miała pojęcia, kto i czego od niej chce.

– Tak? – zapytała półprzytomnie. – Słucham?

– Ha, ha! – zaśmiała się serdecznie, nie bez satysfakcji, Felicja. – Nic dziwnego, że chłopak nic nie wie, skoro nauczycielka głowę w chmurach trzyma. Nie lepiej to sprowadzić z Francji guwernantkę? Wnieście trochę świeżości do tego domu, nauczy dobrego francuskiego akcentu, a waszej księżniczce pokaże, jak być próżną i jak bryluje się w towarzystwie.

– Proszę nie kpić, ciociu – skrzywił się Edward.

– Ależ nie kpię! – oburzyła się szczerze. – Iluż to paniczów wysłano do Paryża, żeby wzorowali się na francuskich obyczajach i tamtejszej modzie?

– Swoich synów ciocia nie wysłała. A i Małgosia nie miała francuskiej guwernantki – zauważył kwaśno Edward.

– Nasza guwernantka miała rozum na swoim miejscu – Felicja zacięła usta i dziobnęła widelcem różowy plaster szynki. – Skoro nie chcecie z Paryża, to chociaż w Warszawie poszukajcie bardziej kształconej – dodała z pełnymi ustami. Przechyliła się w stronę Antoniny, po czym przeniosła ironiczny wzrok na Edwarda. – Mniemam, że spadek po babce wystarczający na te sprawy?

Edward z półuśmiechem na ustach upił łyk wina, Antonina natomiast zignorowała jej uwagę.

– Paskiewicz był zdobywcą Warszawy, kochanie – łagodnie odezwała się do Stasia. – Car rządzi teraz jego rękami. A ponieważ niezależne Królestwo wcale mu się nie podobało, zastąpił konstytucję innym dokumentem.

– Jakim? – zaciekawiał się Staś.

– Statutem Organicznym – wtrącił Danicki.

– Och, statutem – zachnęła się Antonina i obrzuciła go krytycznym wzrokiem. – Staś ma zaledwie czternaście lat, nie rozumie, co to statut.

– A rozumie, co to konstytucja? – odgryzł się Danicki.

– Pewnie, że tak – wypiął dumnie pierś Staś. – Kto by nie wiedział! Konstytucja to taka... Taki, no... takie coś... Ja wiem, tylko nie umiem tego powiedzieć, wypadło mi z głowy.

– Taka ustawa, synu. Ułożenie przepisów w jakimś porządku – podpowiedział Edward.

– Ja chcę jeszcze kakao! – wtrąciła się nieoczekiwanie Zosia.

– A fe, Zosiu – nie wytrzymała Rozalia, spojrzała z wyrzutem na Edwarda i pokręciła z niesmakiem głową. – Nie można mówić: ja chcę. Mówi się: poproszę.

– Po-pro-szę, po-pro-szę, po-pro-szę! – wystukała rytm pustą filiżanką, po czym pomachała nią do Waława, który dreptał w miejscu jak koń przed startem na wyścigach. Powstrzymywało go zdegustowane spojrzenie starszej pani Stalickiej, gdy tymczasem Zosia bezwzględnie żądała: – Chcę kakao!

– Boże – jęknęła Rozalia i zawiesiła pełen potępienia wzrok na Wandzie. – Czy ty jej nie uczysz dobrych manier?

– Uczę, proszę pani – odparła pąsowa ze zmieszania Wanda, która poczuła się zbesztana. – Naprawdę uczę...

– Malwina może była dumną dziwaczką, ale konsekwentną, nigdy nie pozwoliłaby na takie zachowanie – zauważyła Rozalia i natychmiast ugryzła się w język. Nie zamierzała dzielić się tą myślą, zwłaszcza w obecności Danickiego, który na sam dźwięk imienia zastrzygł uszami. Choć, jak zauważyła, i Edward tęsknie się uśmiechnął.

– Czy ten statut jest gorszy od konstytucji? – dopytywał Staś, bo temat wydał mu się znacznie ważniejszy niż maniery siostry, w których nie widział nic zdroźnego.

– Gorszy – przyznała Antonina, obserwując jak Waław korzysta z okazji i szczerze nalewa kakao do filiżanki Zosi. – Nie mamy już żadnej



odrębności od cesarstwa. Zlikwidowali nasze pieniądze, armię i sejm.

– Armię? – zawołał oburzony Staś. – Jak to? Ja chciałem być żołnierzem!

– Żołnierzem – burknęła Rozalia. – Tak ci spieszno. Obyś nie trafił do carskiej armii, bo wszyscy nasi żołnierze tam teraz służą.

– Nic już nie ma polskiego – westchnął Gustaw. – Szkół polskich nie ma, chłopcze, a to na razie powinno cię najbardziej martwić.

– No, i urzędy – wtrąciła Godziewiczowa. – Polskiego urzędnika nigdzie już nie uświadczysz. Wszędzie Rosjanie.

– I to jest właśnie ta kara, o której wspomniałam, Stasiu – wyjaśniła Antonina.

– A jeszcze te wysokie kontrybucje! – wyraziła swoje oburzenie Felicja.

– Podatki, synu – odpowiedział Edward, widząc zdezorientowaną twarzyczkę Stasia.

– Trzeba przecież utrzymać stutysięczną armię, co na naszych ziemiach kwateruje – ironizował Danicki.

– I wybudować cytadelę, a dla postrachu wystawić z niej lufy armat i skierować na miasto – dorzuciła Antonina.

– Było źle przed powstaniem, ale teraz naprawdę straszne czasy nastały. Straszne czasy... – Odezwała się grobowym głosem Rozalia. – Niby ustanowili jakieś statuty, a i tak rządzą baty i karabiny. Boże, chroń Polskę i nas, Polaków...

Joanna siedziała w milczeniu. Trochę przysłuchiwała się toczącej dyskusji, a trochę myślała o tym, jak bardzo nienawidzi młodej pani Stalickiej. Bo nikt w całym Przylipiu nie okazywał jej tak jawnego obrzydzenia i niechęci jak ta ruda, zarozumiała jędrza! W cichości ducha

marzyła o silnym mężczyźnie na swojej drodze. Mogłaby wyjść za niego, zyskać w mężu wsparcie i uwolnić się od przymusu zarabiania pieniędzy. Z mężatką każdy musiałby się liczyć, nawet ta ruda Stalicka. Może też udałoby się jej zamieścić w prasie jakiś wiersz, bo po wprowadzeniu cenzury na polskie dzieła, to było niemal niemożliwe. Chociaż kto wie? Może pod nazwiskiem pana Zygmunta jakaś gazeta przyjęłaby? Joanna poczerwieniała na samą myśl. Boże mój, nie zrobiła tego jeszcze, ale wiersze czekają już przygotowane...

Ech, nic tak nie upokarza kobiety jak samotna wędrówka przez życie.

Tylko w cieniu altany można było schronić się przed upałem. Edward leniwie obserwował kropelki rosy toczące się po szkle pękatego dzbanka, wypełnionego zimną lemoniadą. Miały własne ścieżki, ale w końcu i tak łączyły się w jedną, spływały w dół i wsiąkały w lniany obrus.

Po przeciwnej stronie stołu, wtulona w wiklinę fotela drzemiała Godziewiczowa. Budził ją co kilka minut własny świszczący oddech, wytrzeszczała zmęczone oczy i zapalczywie kiwała głową, udając, że bierze udział w przyciszonej rozmowie Rozalii z synową. Antoni Danicki w zamyśleniu powoli pił piwo i raz po raz ocierał pianę, która niczym śnieżna zaspą osiadała mu na wąsach.

Zaraz po obiedzie Felicja kazała zaprzęgać konie. Wraz z mężem i Małgorzatą, której dzisiejsze milczenie nie różniło się od poprzednich, odjechali do Borowic. Może dlatego opadło napięcie i atmosfera rozluźniła się nieco.

Parna, a przez to senna i ociężała niedziela powoli zapadała za horyzont. Od jeziora niepostrzeżenie napłynęły sine chmury, stłoczyły się nad nieruchomą lipą, przekwitłymi bzami i dachami zabudowań. Z dala dał się słyszeć złowieszczy pomruk burzy. Psy stały się niespokojne, opuściły

ogony, chyłkiem wsunęły się do altany, gdzie znalazły schronienie u stóp Rozalii. Tuż za nimi przybiegł Staś. Usiadł zdyszany na ławie i oparł głowę o ramię ojca.

– Co, burzy się zląkłeś? – roześmiał się Edward i zwichrzył czuprynę syna.

– Trochę – przyznał Staś, sięgnął po szklanke z lemoniadą i wypił łąpczywie.

Wiatr targnął dzikim winem oplatającym altanę, opadł na ścieżkę i wzbił w górę piasek.

– Jędrek nie przyszedł z tobą? – zainteresował się Antoni.

– Jędrek gonił mnie, ale nie dał rady – odparł chełpliwie Staś.

– No cóż, wygrałeś wyścig – przyznał Edward. – Weź jednak pod uwagę, że on młodszy, poza tym to nasz gość, więc powinienes okazać mu więcej uprzejmości.

Wzmógł się wiatr, a niebo zdawało się ciemnieć z każdą mijającą sekundą. Antoni stanął przed altaną i długą chwilę patrzył w kierunku, z którego powinien nadejść Jędrek. Staś natomiast nawet się nie ruszył, tylko uporczywie grzebał butem w wyschniętej trawie.

– No to gdzie ten Jędrek? – zapytał Edward, spoglądając na syna podejrzliwie.

– On zaraz przyjdzie, tatusiu – oznajmił wymijająco Staś i odwrócił twarz, na której malował się zagadkowy wyraz. – Prowadzi Zosię, a ona wolno chodzi, bo ma za krótkie nogi.

– Jak to, prowadzi Zosię? – włączyła się oburzona Rozalia. – Co to ma znaczyć? Gdzie w takim razie podziewa się Wanda?

Staś wzruszył z lekceważeniem ramionami, po czym spojrział pytająco na ojca, który karcącym wzrokiem dał mu do zrozumienia, że nie tak powinien odnosić się do babci.

– Wandzie dałam wolne popołudnie – wyjaśniła szybko Antonina. – Jest niedziela, poszła do wsi odwiedzić matkę.

– Dałaś jej wolne? – powtórzyła chłodno Rozalia. – Dlaczego nic o tym nie wiem?

Synowa nie odpowiedziała, uniosła tylko dumnie podbródek. Kąciki jej ust powędrowały nieznacznie w górę, w wymownym, prowokacyjnym uśmiechu, a wyzywające oczy długo wytrzymały spojrzenie świekry.

Rozalia zacięła usta.

Atmosfera zgęstniała i już nie jedna, a dwie burze wisiały na włosku.

– Pójdę ich poszukać, co? – Danicki sięgnął po kufel, wychylił ostatni łyk piwa, wierzchem dłoni otarł wąsy i nerwowo spojrzał w nabrzmiewające niebo. – Pewnie są niedaleko, co, Stasiu? Gdzieś ty ich zostawił?

– Ja zapytałbym raczej, dlaczego ich zostawiłeś – skarcił syna Edward. – Jako starszy brat powinienesz zaopiekować się Zosią.

Podniósł się i skinął na przyjaciela.

– Zaczekaj, Antoni, pójdę z tobą.

– Co do Stasia, to nie w porządku, Edwardzie – odezwała się Godziewiczowa. Jej stanowczy ton zatrzymał go w pół kroku, ale też przykuł uwagę chłopca. – On jest tylko chłopcem, sam jeszcze wymaga uwagi dorosłych... – przerwała natychmiast, pochwycawszy triumfalny błysk w oczach Stasia i pełen dezaprobaty wzrok Rozalii i Antoniny, które tym razem stanęły w jednym szeregu – No tak, tak... – zreflektowała się i chrząknęła zakłopotana. – Nie czas o tym rozmawiać. Chyba powinniście znaleźć dzieci, zanim rozpęta się burza.

Jak na zamówienie między spiętrzonym kłębowiskiem chmur wykwitła błyskawica. Tuż za nią wśliznęła się wichura, skosmaciła czupryny drzew

i opadła na trawę, przyczajona przed nowym porywem. Ołowiana ciemność zakradła się niepostrzeżenie i rozgościła w parnym powietrzu.

Rozalia poderwała się z miejsca.

– Wracajmy do domu, nic dobrego z tego nie będzie. Zapowiada się nawałnica – ostrzegła.

– Masz rację, moja droga – zawtórowała jej Karolina i omiotła niebo pełnym grozy spojrzeniem. – Chodźmy...

Antonina podniosła się niechętnie. Lubiła ten burzowy dreszczyk, dlatego wolałaby zostać, zmierzyć się z żywiołem, na własnej skórze poczuć jego oddech. Ale nie tylko. Zatrzymywało ją coś jeszcze.

Staś kręcił się niespokojnie, zwlekał z opuszczeniem altany, uporczywie szukał jej spojrzenia, a gdy spotkały się ich oczy, podszedł do niej i poufale chwycił za rękę, co nie zdarzało mu się nigdy wcześniej. Antoninę oblała fala czułości. Miała ochotę przytulić Stasia i ucałować go po matczynemu w opalone czoło. Nie zrobiła tego, tylko pochyliła się z ciekawością ku chłopcu. Coś najwyraźniej chodziło mu po głowie, i wyglądało na to, że chłopak ma jej coś do powiedzenia.

– No? – uśmiechnęła się zachęcająco. – Co się stało? Mów.

Rozalia obejrzała się w tym właśnie momencie. Zauważyła, że Staś opowiada coś Antoninie z przejęciem. Słowa musiały wyrzeć na tamtej ogromne wrażenie, gdyż w jednej chwili zbladła, jej oczy pociemniały, a czoło przecięła pionowa kreska.

– Mówisz prawdę? – zapytała ostro, a gdy Staś potwierdził skinieniem głowy, pchnęła chłopca w stronę Rozalii. – Wracaj z babcią do domu!

Sama zaś narzuciła na ramiona lekki szal i nie tłumacząc się nikomu, wybiegła w mrok.

**A**to szykuje się ulewa! – biadoliła Wiesia z nosem przy szybie. – Rano jednej chmurki nie było, a teraz aż czarno. Za chwilę lunie jak z cebra.

– Nareszcie. To na tę burzę tak mnie w kościach rwało – westchnęła Aniela.

Joanna, która przysłała do kuchni po kubek wody, podążyła za wzrokiem Wiesi.

– I mnie na tę pogodę dopadła migrena – oznajmiła boleściwym tonem i jakby na potwierdzenie tych słów dotknęła czubkami palców czoła i osunęła się na ławę omdlewająco. Ruchy miała tak teatralne, że Kazia mająca przelać śmietanę do masielnicy, aż zastygła z glinianym dzbanem w rękach i stała tak, nie mogąc oderwać od nauczycielki wzroku.

– Weź goździki do żucia – poradziła Aniela, a nawet osobiście otworzyła szufladkę z przyprawami, wybrała dwa i podała Joannie.

Ta włożyła je do ust, rozgryzła i zaczęła powoli żuć. Na szczęście nigdzie się nie spieszyła. Była niedziela, więc Staś kręcił się przy ojcu. Zresztą podczas wakacji, na które została tu z własnego wyboru, miała zaledwie doglądać Stasia, pozostawiając mu dużo swobody. Tak zażyczyła sobie młoda Stalicka.

Joanna lubiła przesiadywać w kuchni. Koił ją swojski klimat, smakowite zapachy, a nade wszystko obcowanie z tymi kobietami i przysłuchiwanie się ich rozmowom o wszystkim i o niczym.

Kazia właśnie przestała gapić się na Joannę, przelała śmietanę i odstawiła pusty dzban na pogrążony w półmroku stół.

– Ty, Wieśka, ossuń się od okna, bo cię piorun sceli – poradziła i szybko zabrała się za zapalanie łojówek, żeby Aniela nie burczała, że w kuchni ciemno.

– Nic mnie nie strzeli – obruszyła się Wiesia. – Nie ma jeszcze żadnych piorunów. O, patrzcie, pani Rozalia się przestraszyła, ucieka z altany.

Kazia, a nawet Aniela podeszły bliżej okna i teraz wszystkie trzy z zaciekawieniem obserwowały Marynę biegnącą przez dziedziniec z wełnianą chustą, by okryć ramiona pani Rozalii. Staś minął je i pobiegł przodem, pani Karolina zaś, sapiąc, powoli toczyła się za nimi.

– Goziewisowa ledwie izie – zauważyła ni to ze współczuciem, ni z satysfakcją Kazia. – A jej kapelus wygląda jak zdechły kogut.

– Masz ci los! – złożyła ręce Aniela. – Elegantka się znalazła! Zamiast się gapić, zabierz się do roboty.

Kazia bez słowa usiadła na zydelku i wzięła się za ubijanie masła. Joanna przymknęła oczy i wsłuchując się w monotonny stukot kołatuszki, rozmyślała, kogo by tu sprytnie do ołtarza zaciągnąć.

– Kazia, uwijaj się. Kolację trzeba szykować – wyrwał ją z zadumy surowy głos Anieli.

– Ano trzeba – potwierdziła Wiesia. – Józia już dawno mówiła, że pan Zygmunt w korytarzu pod jadalnią ścieżkę wydeptał. Taki głodny.

Na dźwięk tego imienia Joanna zmarszczyła czoło. W ubiegłym tygodniu wybrała się wreszcie do miasteczka i wysłała swoje najnowsze wiersze. Podpisała je, jak dawniej, nazwiskiem Zygmunta Stalickiego. Tyle

że teraz on nic o tym nie wiedział. Po powrocie uprosiła Wacława, który odbierał pocztę, żeby wszelką korespondencję adresowaną do Zygmunta do niej przynosił. Zgodził się, ale nie za darmo. Zanim jednak zdążył wyjaśnić, że chodzi mu o wyczyszczenie srebrnych lichtarzy, wymierzyła mu siarczysty policzek. Wacław się obraził. Kto wie, czy teraz nie będzie musiała sama zacząć się na kuriera. Żeby tylko list nie wpadł w niepowołane ręce! A już na pewno nie w ręce Zygmunta, bo jak zdoła mu odebrać honorarium?

Swoją drogą, może właśnie za niego powinna się wydać, przyjmując nazwisko, a tym samym zatuszować oszustwo. Miałaby się z pyszną Antonina, gdyby i Joanna nazywała się Stalicka!

– Nis mnie pan Zygmunt nie obchozi – dotarł do Joanny głos Kazi, która podniosła się z zydlu i ścisnęła palcami płócienny woreczek z twarogiem, żeby sprawdzić, czy wystarczająco odsączony.

Niebo rozświetliła błyskawica, ale odgłosy burzy były jeszcze daleko. Wieśka na wszelki wypadek przeżegnała się bojaźliwie, mamrocząc coś pod nosem. Zaraz po tym uśmiechnęła się przewrotnie.

– Patrzcie no, jaka ta Kazia niedobra! Jaka niestała w uczuciach. A nie tak dawno sama Zygmunтови wino z piwnicy nosiła. Najlepsze wino naszej pani! – droczyła się.

– Psestań! – Tupnęła nogą Kazia i ukryła zarumienioną twarz w fartuszk.

– I czego jej dokuczasz? – warknęła Aniela. – Było, minęło. Po co do tego wracać? Nie widzisz, że się wstydzi?

– Widzę – wydeła usta Wiesia. – I dobrze, niech się wstydzi. Drugi raz tego nie robi.

– Nie zrobię – załkała Kazia. – Nigdy już tak nie zrobię!

– Pewnie! Bo już nie masz komu tego wina nosić – drwiła Wiesia.



– Wieśka, uspokój się, mówię – upomniała ją Aniela. – Przynieś chleb z komory i sprawdź, czy wczorajsze masło nie zjełczało.

– Przecież cały dzień leżało w wodzie.

– Leżało, nie leżało, ale parno dzisiaj. I pewnie wody nie zmieniałaś.

– Jakże nie? Świeżutką, prosto ze studni brałam.

– To i dobrze. Ale i tak sprawdź. Pani Rozalia spłonęłaby ze wstydu przed Godziewiczową, gdyby masło było nieświeże.

Kazia zdążyła już osuszyć łyzy. Milcząca, bo wciąż jeszcze nadąsana, zajęła się świeżo ubitym masłem. Miało trafić na stół następnego dnia, więc nakładała je do specjalnych foremek z drewna bukszpanowego wyrzeźbionych w ozdobne kształty.

– A Goziewisowa sały zień w Sylipiu siezi, jakby domu swojego nie miała – odezwała się znienacka.

– Pilnuj swojego nosa – zbeształa ją Aniela. – Podłóż lepiej drewna pod kuchnię, bo woda nie zdąży zagotować się na czas.

Kazia znów zamilkła nachmurzona i przez chwilę słychać było jedynie skwierczenie łożówek. Rozświetlane raz po raz niebo i przytłumione pomruki przypominały, że burza nie rozmyśliła się, krąży gdzieś w pobliżu i tylko patrzeć, jak pokaże całą swoją moc.

Ten krótkotrwały spokój zakłóciła nieoczekiwanie Wanda. Wbiegła zarumieniona, radosna, z roziskrzonymi oczami.

– Jak dobrze, że zdążyłaś przed burzą – ucieszyła się Wiesia.

– O, tak! Chociaż musiałam bieć całą drogę – roześmiała się Wanda. – Ale wcale się nie zmęczyłam! Jestem taka szczęśliwa, że nawet nie zauważyłam, kiedy znalazłam się w Przylipiu! – zaszczębiotała, porwała stojącą nieopodal Kazię i tanecznym krokiem zakręciła się z nią po kuchni.

– Tak? – zainteresowała się Aniela. – A cóż takiego ci się przydarzyło? – Głos miała ponury, więc i Wandzie natychmiast zrzędła

mina.

– Nic takiego – bąknęła. – Tylko... Tylko Wojtek, ten od Proćków... – Opuściła skromnie oczy, zaplotła palce i zaczęła wyłamywać je nerwowo. – Poprosił mnie o rękę – dokończyła cichutko.

– Naprawdę? – Wieśka porzuciła łyżkę, którą mieszała twaróg i klasnęła w ręce. Lubiała Wandę, a jeszcze bardziej lubiła ją szczęśliwą. – Proćko! To dobra partia! Ziemianin.

Joanna aż oddech wstrzymała na tę wiadomość. Jakże zazdrościła Wandzie czekającego ją szczęścia u boku ukochanego.

– Jaki tam ziemianin? – zauważyła kwaśno Aniela. – Gospodarstwo dziurawe jak portki naszego Kajetana.

– Portki można załatać, a Wojtek pracowity, nie taki jak jego ojciec – odgryzła się Wiesia. – Tylko patrzeć, jak porządek na tym kawałku ziemi zrobi. Niech no tylko stary Proćko oczy zamknie i do żony, na tamten świat się przeprowadzi... Pójdiesz za niego, Wanda?

– A so by miała nie iść – wtrąciła poufale Kazia. – Będzie panią jak się patsy!

Joanna zagryzła wargi. Sama by za takiego szła. Młody i rozum ma na swoim miejscu. A ciężką pracą każdą gospodarkę można wzbogacić. Tak pomyślała, więc z kąta pod oknem dobiegło pełne udanego żalu, westchnienie.

– Wojtek to chyba najbardziej pracowity w karczmie, przy kwaterce piwa – rzuciła z fałszywą troską. – Kiedy pan Zygmunt był zdrowy i tam bywał, to razem z twoim narzeczonym kielich w kielich pili. I za takiego moczymordę pójdiesz? – zapytała obłudnie, spoglądając z udanym współczuciem na Wandę.

Przed chwilą radosna, a teraz zagubiona i bezradna dziewczyna wlepiła najpierw w Joannę, a później w Anielę pełne wątpliwości oczy i wciąż

wyłamując palce, zastanawiała się nad odpowiedzią.

Kazię w tym czasie zaintrygowały odgłosy z zewnątrz, przypadła więc do okna i osłoniwszy twarz dłońmi, żeby ogniki łójówek nie odbijały się w szybie, oznajmiła:

– Pan Edward wraca z Zosią!

– Z Zosią? – podchwyciła Wanda z ulgą, że nie musi odpowiadać na kłopotliwe pytania. – Skoro Zosia wraca, to ja... Muszę iść! – rzuciła Joannie ostatnie spojrzenie i już jej nie było.

Rozalia nie spuszczała wzroku z ust Edwarda, jakby spodziewała się wyczytać z nich coś więcej, niż słowa wyrażające zaskoczenie. Patrzyła jak w napiętym milczeniu poszukiwał jakichś wyjaśnień, powodów tłumaczących zniknięcie Antoniny. Jego oczy ciskały dziesiątki niespokojnych pytań pozostawionych bez odpowiedzi.

– Nie wiem, dokąd poszła – powtórzyła Rozalia. – Naprawdę nie wiem, Edwardzie. Staś jej chyba czegoś naopowiadał, rozgniewała się i pobiegła.

– Staś jej naopowiadał? – zdenerwował się Edward. – Znów Staś?

– Znów? Coś jeszcze zmalował?

– A zmalował. Zamknął Jędrka i Zosię w stodole. Kazał im cicho siedzieć, dopóki po nich nie wróci. Na szczęście Zosia nie posłuchała go i zaczęła głośno lamentować, więc usłyszeliśmy ją z Antonim. Trzeba przyznać, że Jędrak dzielnie opiekował się panną.

– O! – podchwyciła Godziewiczowa. – Będzie z nich para. Możecie szykować wyprawę, bo szybki ślub wróżę.

– Co też ty opowiadasz? Zosi zaledwie szósty rok idzie – z politowaniem pokiwała głową Rozalia, a zwróciwszy się ponownie do Edwarda, zapytała:

– Antoni nie został na kolacji?

– Nie. Prosił pięknie podziękować, spieszył się, żeby przed burzą zdążyć do Olszówki.

– To będzie para. Wspomnisz moje słowa. – Uporczywie powracała do interesującego ją tematu Godziewiczowa. – Ja nigdy się nie mylę.

– Dobrze, dobrze, zobaczymy za kilkanaście lat – odrzekła zniecierpliwiona Rozalia. – Tymczasem usiądźmy do stołu.

– Siadajcie. Ja pójdę poszukać Antoniny – oznajmił Edward.

– Zapytaj Stasia, on pewnie wie, gdzie mogła pójść – poradziła Rozalia.

Staś zarzekał się, że nie powiedział niczego, co wywołałoby gniew Antoniny, i nie ma pojęcia, dokąd się udała. Dopiero podniesiony głos Edwarda i jego sroga mina skłoniła chłopca do mówienia prawdy.

– Ona poszła nad jezioro, tatku – oznajmił, wcale nie skruszony.

Pierwsze strugi deszczu przecięły plecy ostro, jak smagnięcia biczem.

Żywioł, który czaił się i krążył nad polami, uderzył gwałtownie i z całą siłą. A Nimfa nie znosiła burzy. Bała się błyskawic, przystawała i rżała, słysząc huk grzmotów. Edward jednak poganiał ją bez litości. Deszcz siekł prosto w twarz, zalewał oczy, zamazywał obraz. Widoczne z daleka potrzaskane lustro jeziora odbijało blask rozdzierających niebo błyskawic. Wichura wyła, targała obłąkanym lasem, czerniejącym po drugiej stronie jeziora, by już za moment chichotać wśród szamoczących się przybrzeżnych trzcin. Te kłaniały się nisko, zanurzały w spienionej wodzie na podobieństwo splątanych włosów kobiet.

Jakby na przekór temu szaleństwu, oddalona kilka kroków od brzegu, z zadartą do kolan suknią stała Antonina. W strumieniach deszczu, sparaliżowana jakimś dziwnym otepieniem wpatrywała się w siną głębię.

Gdyby nie deszcz, z jej beznadziejnie pustych oczu nie spłynęłaby ani jedna kropla.

Edward zeskoczył z konia. Nie miał pojęcia, co o tym sądzić, dlatego najpierw zaczął skradać się w jej kierunku, dopiero później, ponaglany przerażającą myślą, że jego żona postradała zmysły, szedł coraz szybciej i szybciej.

Wtedy Antonina przyłożyła dłonie do ust, a przez jezioro przetoczyło się gromkie, ochryple wołanie:

– Zosiu! Jędreku! Zosiu!

– Na miły Bóg, Antonino! – zawołał, stając za jej plecami. Drgnęła, zaskoczona jego niespodziewaną obecnością. Chwycił jej rękę i ścisnął mocno. – Co ty robisz? Dzieci są w domu!

– Co ty mówisz? Przecież Staś przyznał się, że zostawił je tutaj, na łódce! Ale nigdzie ich nie widzę. Ani łódki. Wołam i umieram ze strachu, że się potopiły!

– Chodź, Antonino. Wracajmy. Dzieci są bezpieczne – powtarzał, ciągnąc ją za sobą do brzegu. Jednocześnie zaklinał pioruny, żeby nie zechciały uderzyć teraz w jezioro.

Przez ciekłą tkaninę jego koszuli i delikatny jedwab jej sukni przenikało dygotanie podszyte tłącym się jeszcze strachem i nasilającym się chłodem. Edward starał się utulić to drżenie, ogrzać sobą. Rozczulił go szybki, urywany oddech Antoniny, jej ufność, z jaką po raz pierwszy garnęła się do niego. Kochał ją i podziwiał. Była dzielna. Bez wahania pobiegła ratować dzieci. A przecież mogła wziąć z sobą kogoś ze służby, na przykład Kajetana...

Burza ustępowała powoli, mieszkańców Przylipia kołysały do snu jej dalekie pomruki i zanikający powolutku deszcz. Wreszcie i on przestał

siąpić, a ciężkie chmury ustąpiły miejsca niebu rozświetlonemu księżycem. Grube kotary, jak zamknięte powieki, chroniły pogrążoną w półmroku sypialnię przed zimnym blaskiem. Tej nocy była pełnia.

Rozalia wierzyła w księżyc. I w jego siłę, bo jakże inaczej wyznaczałby przyptywy i odpływy oceanów? Jak panowałby nad regularnym cyklem kobiet? I jak zwodziłby lunatyków na manowce? Trzeba wykorzystać tę moc, oczyścić dom ze złej energii, bo ostatni postępek Stasia wyraźnie wskazywał, że jakieś nieproszone zło wkradło się do Przylipia, zagnieździło się w dworku.

Wszyscy już spali, gdy ostrożnie przemknęła do kuchni. Z aptecznej szafy wybrała zioła mające oczyszczającą moc. Umieściła je w glinianej misie, zamieszała i podpaliła. Zapachy rozmarynu, piołunu, szaławii, jałowca i lawendy splotły się z sobą, zbratały. A potem jak jeden wonny bukiet rozniosły się po kuchni, wymknęły szczelinami, opanowały sień.

Rozalia, stąpając bosą, najciszej jak potrafiła, przechodziła z pokoju do pokoju, a siwa smużka dymu rozplątywała się w przestrzeni, lgnęła do ścian, snuła się po podłodze.

– Uwalniam dom od zła – mamrotała, kołysząc misą. – Precz złe uroki, precz demony – szeptała. Jej słowa szeleściły w ciemności jak suchy, zabłąkany liść.

Na koniec otworzyła w holu okna i zaprosiła jasną moc księżyca, która wnikała do wnętrza, wypełniała je swoim blaskiem.

Kiedy Rozalia zniknęła za drzwiami swojej sypialni, od ukrytej w cieniu kolumny oderwał się Zygmunt, towarzyszący jej nieustannie duch. Krótką chwilę czekał pod jej drzwiami, zanim chyłkiem przemknął przez mroczny korytarz.

**N**astępny dzień wstał jasny i pogodny, choć chłodny. Antonina uwielbiała skąpane w rześkim, powietrzu słońce, lecz poranna rozmowa ze Stasiem, której była inicjatorką, położyła się cieniem na całym dniu.

Wczorajsze wydarzenie nie pozwoliło jej zmrużyć oka. Zastanawiała się, co było przyczyną tak jawnej niechęci chłopca do niej, bo przecież robiła wszystko, by zastąpić dzieciom matkę. Zosia przyłgnęła do niej od razu i pokochała swoją szczerą dziecięcą miłością. Staś natomiast, na początku przyjazny, pewnego dnia zatrzaskał przed nią drzwi swego serca. Musiała poznać przyczynę takiego zachowania, dlatego wybrała się do pokoju pasierba wcześniej, żeby go zaskoczyć, nie pozwolić na zmyślane historie, wydobyć prawdę.

Jak przypuszczała, zastała go w łóżku. Wyrwany ze snu i zdumiony jej wtargnięciem, usiadł gwałtownie i skrępowany, może nawet w strachu albo w poczuciu winy, mrugał oczami i przyczesywał dłońmi potargane włosy. Antonina nie zamierzała łagodzić tego stanu, ani dać mu pozbierać myśli. Z premedytacją postanowiła grać rolę oskarżyciela górującego nad wygrzebującym się z pościeli, zaspanym chłopcem.

– Dlaczego mnie wczoraj okłamałeś? – zapytała ostro.

Przez chwilę patrzył na nią osłupiały, potem odwrócił wzrok.

– Nie lubię pani – burknął po długim, pełnym napięcia milczeniu. Znów kłamał, ale nie umiał inaczej wytłumaczyć swojego postępuku.

– Domyślam się. Od pewnego czasu bardzo wyraźnie okazujesz mi swoją niechęć. Dzisiaj przyszedłem po odpowiedź: dlaczego masz dla mnie tyle... – Zacięła się. Czy „nienawiści” to właściwe słowo? A może lepiej nie pieczętować nim uczucia, którego on sam nie potrafi jeszcze nazwać? – Skąd w tobie to uprzedzenie? – dokończyła.

Zacisnął usta. Wciąż miał w pamięci słowa panny Joanny, że tylko jedna kobieta ma do niego prawo.

– Kocham mamusię – odparł. – Pani nią nie jest, więc proszę nie mówić do mnie „synku”, bo czuję się, jakbym ją zdradzał.

Przełknęła nerwowo ślinę i jakiś czas wsłuchiwała się w echo tych słów.

– Dobrze – zgodziła się z przykrością. – Nigdy więcej nie usłyszysz ode mnie tego słowa. Ale i ja mam do ciebie prośbę. Chcę, żebyś był wobec mnie uczciwy. Nie kłam więcej. To, co zrobiłeś wczoraj, było bardzo brzydkie. Naraziłeś mnie i twojego ojca na niebezpieczeństwo.

– Przepraszam – bąknął. – To się nie powtórzy.

– I jeszcze jedno – dodała ze ściśniętym gardłem. – Możesz mi zabronić nazywać cię synem, ale nie zabronisz mi kochać cię i troszczyć się o ciebie.

Jemu również słowa uwięzły w gardle, więc tylko patrzył. Czuł się prawie dorosły, więc nie miał pojęcia, dlaczego wczoraj zrobił coś tak głupiego. Tym bardziej, że lubił Antoninę. Naprawdę ją lubił, a mimo to krzywdził złym słowem i spojrzeniem. A wczoraj skrzywdził ją czynem. Robił to wbrew sobie. I teraz również, powoli, przez zaciśnięte zęby, odpowiedział wbrew sobie:

– Nie chcę. Tylko jedna kobieta miała do tego prawo.



Antonina nie odezwała się więcej. Odwróciła się na pięcie i powoli, jak automat, opuściła pokój.

Korytarz wydał się jej dłuższy, ciaśniejszy, bardziej głuchy i ponury niż zawsze. Obrazy na ścianach też były dziś nijakie, bez wyrazu, jakby ukryły przed Antoniną wszystkie barwy. Nawet to słońce, sącząc przez szyby ostre światło, ukazywało jedynie skazy i zabrudzenia na dawno niebielonych ścianach.

Po południu pierwsze objawy przeziębienia kazały Antoninie wrócić do łóżka. Oparta o poduszki rozgrzewała się gorącym naparem z lipy, dobrze przyprawionym miodem. Popijała go małymi łyżkami i z uwagą przysłuchiwała się rozmowie Edwarda z Rozalią, którzy przycupnęli na brzegu jej łóżka.

– Uważam, Edwardzie, że Staś potrzebuje silnej ręki ojca, a ty za bardzo mu pobłażasz – oświadczyła autorytatywnie Rozalia.

– Nie pobłażam – bronił się Edward. – Jednak nie o wszystkim wiem. Joanna nie informuje mnie o jego pomysłach.

– A cóż ma do tego Joanna? – zauważyła cierpko Rozalia. – Teraz są wakacje. – Szczerze mówiąc, zupełnie nie wiem, po co tu została. Równie dobrze mogła, jak co roku, wyjechać do rodziny.

– Niechętnie tam wraca – rzekł Edward. – Widocznie nie jest związana z tą swoją rodziną. Uczciwie zapytała, czy może zostać. W zamian za naszą gościnę zgodziła się doglądać Stasia.

– Właśnie widzę, jak go dogląda – skrzywiła się Rozalia.

– Joannę należy zwolnić – wtrąciła nieoczekiwanie Antonina. – Staś ma już czternaście lat, a ona wciąż niańczy go jak małe dziecko. Chłopcu potrzebny jest nauczyciel i wychowawca z prawdziwego zdarzenia.

Zaskoczenie i wyraźna dezaprobata pojawiły się na twarzy Rozalii. Edwarda również nie zachwycił ten pomysł.

– Hm... – zafrasował się. – Tyle lat jest tutaj z nami. Nie mam do niej zastrzeżeń, bo zwykle wywiązuje się z obowiązków. Chciałbym tylko, żeby informowała mnie o niepokojących pomysłach Stasia.

– Cóż to za koncept – obruszyła się Rozalia. – Joanna nie jest od wychowywania, tylko od prowadzenia lekcji – rzuciła sucho.

– Od prowadzenia lekcji? – prychnęła Antonina. – Odnoszę wrażenie, że lepszą byłaby niańką, niż jest nauczycielką. Sama nauczyłabym go znacznie więcej. Wykształcenie Joanny pozostawia wiele do życzenia.

– No... rzeczywiście, masz trochę racji – przyznała Rozalia, chociaż przyszło jej to z trudem. – Ja również zauważyłam, że wiedza Joanny przestała być dla niego wystarczająca. Jeśli nie chcesz jej zwalniać, Edwardzie – zwróciła się wyłącznie do syna, co bardzo zirytowało Antoninę – niech na razie zajmie się Zosią, a Wanda wróci do kuchni.

– Zosią?! – Antonina usiadła gwałtownie, odstawiała na stolik opróżniony kubek i ścisnęła rękę Edwarda. – Mój drogi, ty przecież nie pozwolisz, żeby taka Joanna, która do trzech nie potrafi zliczyć, zajmowała się naszą Zosią!

Edward poklepał jej dłoń uspokajającym gestem, ale nic nie powiedział. Nie chciał jej rozczarować. Nie zamierzał też przeciwstawiać się matce. No i żał mu było nauczycielki, która spędziła w ich domostwie sześć lat i zżyła się zarówno z miejscem, jak i z ludźmi. Może trochę osobliwa, ale była jedną z nich, częścią Przylipia.

– No, proszę – zaperzyła się z kolei Rozalia. – A cóż ty, Antonino, masz do Joanny? Prawda, że Staś już za duży dla niej, za poważny. Ale uważam, że dla Zosi będzie opiekunką w sam raz.

– Nie zgadzam się – oświadczyła kategorycznie Antonina. – Zosia potrzebuje koło siebie wyjątkowej osoby, bo ona sama jest wyjątkowa. – Oparła się ponownie o poduszki i dodała z pewnym siebie uśmiechem: – Zostawcie to mnie. Ja sama wybiorę nauczyciela dla naszych dzieci. Wy tylko zwolnijcie Joannę.

Wezwana do gabinetu Edwarda guwernantka stała w otwartych drzwiach z nietęgą miną. Takie wezwanie nic dobrego nie mogło wróżyć, zwłaszcza że na jej oko starsza pani Stalicka wyglądała wyjątkowo srogo. Tymczasem Rozalia, rozzłoszczona zarówno na Antoninę, która jej zdaniem zanadto się szarogęsiła, jak i na zbytnią uległość Edwarda, usiadła w fotelu i w prawdziwej rozterce spoglądała to na syna, to znów na Joannę. Nie było łatwo zupełnie bez skrupułów usunąć tę pannę ze stanowiska. Staś mimo wszystko przywiązał się do swojej nauczycielki, a i Edward uważał, że niespodziewane pozbawienie samotnej kobiety pracy jest niehumanitarne. Teraz zerkał na spłoszoną Joannę spode łba i nie bardzo wiedział, co powinien powiedzieć. Matka uporczywie milczała, a przecież to ona w końcu zgodziła się z Antoniną, żeby sprawy nie odwlekać i zainicjować to spotkanie.

– Panno Joanno – zagaił głosem mocnym i pewnym, żeby nie posądziła go o słabość czy brak charakteru. Ponieważ jednak nie potrafił powiedzieć jej przykrej rzeczy ot tak, bez ogródek, zaczął dwuznacznie: – Bardzo proszę o poświęcenie większej uwagi zachowaniu Stasia. Mój syn wkroczył w wiek dość oryginalnych pomysłów i, niestety, wszyscy ponosimy tego skutki. Ja, oczywiście ze swojej strony również... Tego... Rozumie pani... – Tu zerknął na matkę, która wzniosła oczy ku niebu, ale nadal milczała.

– Tak, rozumiem – bąknęła Joanna. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy. – Zamilkła i płochliwym wzrokiem obrzuciła twarze swoich

pracodawców. – Mogę już odejść?

– Jak to, odejść? – uniosła się Rozalia, zanim Edward zdążył uczynić gest, żeby pannę czym prędzej odprawić i pozbyć się kłopotu. – Nie wysłuchała pani do końca, co ma do powiedzenia mój syn. – Energicznie podeszła do drzwi i zamknęła je głośniejszym, niż zamierzała.

Edward spojrział na matkę bykiem i chrząknął zbity z tropu.

– To tak... – cmoknął, wspiął się na palce, opadł na pięty i dla animuszu założył do tyłu ręce. – Właściwie...

– Ech – zniecierpliwiała się Rozalia, machnęła ręką i przejęła inicjatywę. – Panno Joanno, nauka to jedno, a kontrolowanie głupich pomysłów mojego wnuka, drugie, więc ja... To znaczy my postanowiliśmy... Spojrzała na Edwarda i dokończyła: – No właśnie... Proszę czasem gruntownie przewietrzyć jego głowę.

– Przewietrzyć? – Joanna zatrzepotała rzęsami i przeniosła wzrok na Edwarda w poszukiwaniu wyjaśnienia. Ten jednak zmarszczył groźnie brwi, co ostatecznie wystraszyło nauczycielkę. – Oczywiście, proszę pani, przewietrzyć – rzuciła szybko, dygnęła i umknęła z gabinetu.

– Coś podobnego... I coś narobił? – jęknęła Rozalia. – Dlaczego jej nie zwolniłeś?

Edward łypnął tylko okiem, sięgnął po fajkę i nabił ją solidną porcją tytoniu.

Uda bezwstydnego i białe wynurzyły się spod zakasanej spódnicy Kazi i przyciągnęły lubieżny wzrok Zygmunta.

– Pan tu po co? – próbowała go zbyć Aniela, ale zajęta, nie czekała na odpowiedź. Schyliła się do pieca, skąd wyciągnęła blachę pełną smakowitych drożdżowych bułeczek.

Zygmunt nie miał pojęcia, po co przyszedł, ponieważ od wypadku z Zawiorstą przestał rozumieć cokolwiek. Stał niezdecydowanie na samym środku kuchni, przestępował z nogi na nogę i cmokał w głębokim zatroskaniu. Dźwięk ten komponował się z szuraniem ryżowej szczotki, którą Kazia z zacięciem szorowała podłogę. Zwabiona słodkim zapachem, zajrzała tu również Zosia, a na widok rumianych bułeczek pobiegła wprost do Anieli, by wyprosić jedną dla siebie. Świeżo umytą podłogę naznaczyła najpierw śladami bucików, a po chwili słodką kruszonką sypiącą się z bułeczki. Wyprowadzona z równowagi Kazia wrzuciła szczotkę do wiadra i gwałtownie podniosła się z kolan. Fałdy długiej spódnicy opadły z impetem, a poirytowany głos wydostał się przez okno i dotarł do uszu czyszczącego konie stajennego, przycinającego krzewy Kajetana, Wiesi karmiącej kury i spacerującej koło domu Joanny.

– Niech mi wsyssy święsi będą świadkiem, że ja tu spsątaś więcej nie będę! – krzyczała rozjuszona Kazia. – A pan Zygmunt niech mi się po kuchni nie kręsi, bo pana Zygmunta nikt tutaj nie zaprasa! Słonesko świesi, to niech pan Zygmunt do altany izie wierse pisaś! A Zosia... – zaczęła, ale przerwała natychmiast, ujrawszy groźną minę Anieli. Bez słowa zadarła znów spódnice, uklękła na cementowej podłodze i wróciła do sprzątania.

Aniela tymczasem wcisnęła Zygmuntowi do ręki bułkę z kruszonką i wypchnęła go za próg. Zosi natomiast podała fajansowy dzbanek.

– Idź, Zosiu, nazbieraj malin.

– Nie lubię malin – zaprotestowała dziewczynka.

– To zanieziesz je mamusi, bo są dobre na przeziębienie. Idź.

– Czy mamusia od tych malin przestanie kaszleć? – zapytała z powątpiewaniem Zosia, patrząc w czeluść dzbanka. – Muszę nazbierać pełen? Ten dzbanek jest bardzo głęboki...

– Mamusia na pewno wyzdrowieje, jeśli zje wszystkie maliny z twojego pełnego, bardzo głębokiego dzbanka – odparła, wykazując się resztką cierpliwości Aniela. – Idź już, mamusia bardzo na nie czeka.

– Dobrze – zgodziła się niechętnie Zosia. – A czy Aniela może pójść tam ze mną i mi pomóc?

Zdaje się, że tym pytaniem Zosia przekroczyła pewną granicę, bo kucharka spiorunowała ją lodowatym wzrokiem.

– A to jedna Aniela jest na całe Przyłipie do wszystkiego?! – zawołała, chwytając się pod boki. – Poproś pannę Joannę. Ta całymi dniami nic, tylko spaceruje, za to ja mam pełne ręce roboty – dorzuciła ze złością i na dowód, że mówi prawdę, jednym szurnięciem przesunęła blachę z bułkami i zabrała się do krojenia cebuli.

Malinowe krzewy gęsto zarastały tylną ścianę stodoły i już z daleka wabiły dojrzałymi owocami. Zosia ostrożnie ustawiła dzbanek na trawie i podejrzliwie przyjrzała się gałązkom.

– Czy te krzaki kłują? – zwróciła się do Joanny.

– Jeśli będziesz nieostrożna, mogą cię pokłuć. Ale w zamian dostaniesz pyszne owoce – odparła nauczycielka. – Spróbuj.

– Nie lubię malin... – skrzywiła się dziewczynka.

– W takim razie po co chcesz je zbierać? – zaśmiała się Joanna.

– Dla mamusi, żeby nie kaszłała – oświadczyła Zosia.

– Dla mamusi... – pokiwała głową Joanna, a ponieważ nie cierpiała Antoniny, dodała z premedytacją: – Ależ nie musisz tego robić, bo pani Antonina nie jest przecież twoją mamusią.

Zosia wbiła w Joannę wielkie, szare oczy. Pozostawała w tym bezruchu na tyle długo, że ta straciła rezon i nie bardzo wiedziała, jak powinna teraz się zachować. Tym bardziej że dziewczynka nagle tupnęła w złości nogą,

odwróciła się na pięcie i zostawiwszy ją z pustym dzbankiem, pobiegła w stronę domu.

Gdy znaleźli się na drodze prowadzącej do dworu, po zmierzchu nie było już śladu. Nie wiadomo kiedy ustąpił miejsca nocy, ścielącej się aksamitnie po okolicznych łąkach i polach. Bryczka to podskakiwała na wybojach, to znów kołysała się monotennie, poskrzypując na zakrętach. Anatol trzymający lejce od czasu do czasu przysypiał, nie zważając na siedzącą obok Wandę. A dziewczyna aż kipiła szczęściem. Co rusz dotykała pierścionka zdobiącego jej serdeczny palec. Od dzisiejszego poranka była narzeczoną Wojtka Proćki, a z okazji zaręczyn pani Rozalia zwolniła ją z obowiązków na cały dzień. I jeszcze przysłała po nią bryczkę z Przylipia! Wanda kochała dzisiaj cały świat i właśnie wyobrażała sobie, jak będzie opowiadać o wszystkim Wiesi i Kazi, gdy Anatol nieoczekiwanie ściągnął lejce.

– Prrrr! Stój! – zawołał na konie, zeskoczył z pojazdu i pochylił się nad ciemnym kształtem leżącym przy drodze.

– A niech mnie... – burknął. – Dzieciak leży. Jak Boga kocham, dzieciak...

Wanda, niewiele myśląc, wysiadła z bryczki i podążyła za Anatolem. Na miedzy, tuż przy drodze leżał może dziesięcioletni, może trochę starszy chłopak. Porażony lękiem nawet nie drgnął pod ciekawskim spojrzeniem. Błyskał tylko zatrwożonymi oczami.

– Coś ty za jeden? – Anatol szarpnął go za ramię. – Z wioski jesteś? Czego po nocach się włóczysz?

– Spokojnie, Anatolu – mitygowała Wanda. – Przestraszysz go.

Dopiero jej łagodny ton sprawił, że dzieciak podniósł się z ziemi. Zrobił to z trudem, lecz mimo że ledwo trzymał się na nogach, starał się otrzepać

strój z liści i zeschniętej trawy.

– Nie włóczę się – powiedział. – Uciekam.

Gesty i brzmienie jego głosu nie wskazywały na zwykłego wieśniaka.

– Zabierzmy go do Przylipia, Anatolu – szepnęła Wanda. – Jestem pewna, że pani Rozalia nie będzie miała nic przeciwko temu.

Anatol kiwnął tylko głową, złapał chłopaka na ręce i umieścił go w powozie.

– Wio! Ruszaj! – Śmignął batem i bryczka potoczyła się dalej.



Psy rozszczękały się jak zawsze, gdy poczuły obcego.

Zarówno Edward, który czytał Antoninie poemat Słowackiego, jak i Rozalia odmawiająca wieczorne modlitwy, zerwali się i wybiegli na ganek.

– Cicho! – beształa psy Rozalia, podczas gdy Edward zapalał oliwną lampę i osłaniał ją szklanym kloszem. – Swoich nie poznajecie? – Dodała, widząc, jak z bryczki, która zatrzymała się tuż przed gankiem, wysiada Wanda. – A ty dlaczego zatrzymujesz się pod samym gankiem, jakbyś gości wioził? – upomniała z kolei Anatola. – Psy tylko drażnisz.

Pokręciła głową z dezaprobatą i już miała wrócić do domu, gdy zatrzymała ją Wanda.

– Proszę pani... – dygnęła.

– No, jakże – uśmiechnęła się do niej Rozalia. – Zaręczyłaś się? Jutro pokażesz mi pierścionek, a teraz kładź się spać, późno!

– Nie o to chodzi – bąknęła nieśmiało.

Tymczasem uwagę Edwarda przykuły nie tylko wciąż niespokojne psy, ale przede wszystkim słowa Anatola:

– Ej, ty! Rusz się. Koniec podróży.

Zostawił na ganku matkę i usiłującą wyjaśnić jej coś Wandę, zbiegł ze schodów, odsunął Anatola i przyświecając sobie lampą, zajrzał do bryczki.

Rozciągnięty na ławce spał chłopiec. Był umorusany i włosy miał w nieładzie, ale ubrany po pańsku, chociaż odzież była nieświeża i brudna.

– Kto to jest? – zdumiał się Edward.

– Nie wiem. Przy drodze leżał, a Wanda mówi: bierz go do Przylipia. To wziąłem.

– Dobrześ zrobił – pochwalił Edward. – Zanieś go do ostatniego pokoju i połóż na łóżku.

– Tam gdzie ruski był? – upewnił się Anatol, a Edward pomyślał, że służba wie więcej, niż ośmieliłby się przypuszczać.

– Tak – odrzekł krótko.

Odprawiwszy Wandę i Anatola, Edward i Rozalia zostali z chłopcem sami. Mizerny i wyczerpany, całym ciężarem zapadł w puchatą biel poduszek. Jasne, czujne oczy śledziły z uwagą każdy ruch gospodarzy.

– Jak się nazywasz? – zapytał Edward, przysiadając na krześle, które przysunął bliżej łóżka.

Chłopiec milczał.

– Nie męcz go dziś pytaniami – poradziła Rozalia. – Jutro wypytasz, przecież on ledwo żyje. A dzisiaj... Myślę, że trzeba go nakarmić. Jesteś głodny? – zwróciła się do chłopca.

Przymknął twierdząco oczy i już ich nie otworzył. Zasnął.

Od rana w Przylipiu huczało. W kuchni, bo Wanda zajrzała tu już z nowiną. W obejściu, bo Anatol miał długi język i opowiadał o znajdzie każdemu, kogo spotkał. I na pokojach, bo Cesia dostała nowe i nieoczekiwane zadanie zaopiekowania się chłopcem, więc nie omieszkała podzielić się tą wieścią z resztą służby.

Wszyscy mówili o tajemniczym przybyszu, który pojawił się we dworze nocą i odpoczywał teraz w ostatnim pokoju, chociaż tak naprawdę

nikt o nim nic nie wiedział.

Nikt, poza Zosią.

Dziewczynka wślizgnęła się do pokoju po cichu, a stwierdziwszy, że chłopiec nie śpi, podeszła znacznie śmielej i przysiadła na brzegu łóżka.

– Dzień dobry – zagaiła, uśmiechając się promiennie.

Chłopiec obrzucił ją przelotnym, ponurym spojrzeniem, po czym przeniósł wzrok na sufit. Nie odezwał się.

– Jestem Zosia – oświadczyła niezrażona. – Wanda powiedziała, że znalazła cię przy drodze.

Milczenie.

– Leżałeś przy drodze jak dzikie jabłko. Jak się nazywasz?

Milczenie.

– Jeśli nie powiesz, jak się nazywasz, będę na ciebie wołała Dzikie Jabłko.

Milczenie.

– No więc leż tu sobie, Dzikie Jabłko – nadąsała się. Była już przy drzwiach, lecz zanim zdążyła położyć dłoń na klamce, do jej uszu dobiegło niewyraźne:

– Imre.

– Co powiedziałeś? – odwróciła się. Jej jasne brewki zbiegły się jak zawsze, gdy była zagniewana lub czegoś nie zrozumiała.

– Imre, to moje imię – wyjaśnił.

– Jakie dziwne! Nigdy nie słyszałam – roześmiała się. – Ale nie gniewaj się, że tak mówię. Jest bardzo ładne! – dodała szybko, ponieważ chłopiec znów się nachmurzył. – Naprawdę, podoba mi się. Nie chcę, żebyś się gniewał.

– Nie gniewam się – burknął.

– Masz rodzeństwo?

Imre skinął głową.

– Gdzie jest teraz?

– Nie wiem – odparł. Oczy zaszkliły mu się, a niechciana łza wykradła się spod powieki i płynęła sobie w najlepsze po zabrudzonym policzku. Otarł ją równie brudnym palcem.

– Ojej... Nie płacz – próbowała go pocieszyć. – Ja też nie zawsze wiem, gdzie jest mój brat. Na przykład teraz wcale nie wiem.

Rozmowę przerwała Cesia, która weszła do pokoju.

– No, kawalerze, czas wstawać – powiedziała wesoło. – A panienka niech stąd ucieka – zwróciła się do Zosi. – Wanda już nogi schodziła, tak panienki szuka. Czas się przebrać na śniadanie.

Uchylone skrzydło okna postukiwało delikatnie, gdy letni wiatr wkradał się do gabinetu Edwarda. Dzień był pochmurny i wyjątkowo chłodny, więc Rozalia zatrzasnęła okno i powróciła na fotel. Syn przysiadł na rogu biurka i obserwował smużkę dymu unoszącą się z fajki. Antonina zajęła krzesło stojące między fotelem świekry a biurkiem. Wciąż jeszcze kasłała po zaziębieniu, więc teraz otuliła się szczelniej szalem, po czym po raz kolejny z niecierpliwością zerknęła na drzwi.

Wszyscy czekali na małego chłopca, którego Cesia miała nakarmić i przebrać w czystą odzież.

Kiedy go wreszcie wprowadziła, drobnego i onieśmiałego, Edward nie mógł oprzeć się wrażeniu, że czas się cofnął i ma przed sobą własnego syna. Służąca bowiem wydobyła z kufra ubranie Stasia sprzed kilku lat i ubrała w nie małego gościa. Gabinet wypełnił się zapachem naftaliny.

I czymś jeszcze. Jakimś spokojem i dostojeństwem bijącym od tego podrostka.

– Usiądź, mój drogi – Rozalia wskazała mu krzesło, zwinęła usta w dzióbek i spojrzała wyczekująco na syna.

Edward z rozbawieniem uniósł jedną brew i zaciągnął się fajką. Jego matka uwielbiała stawiać go w kłopotliwej sytuacji.

– Przedstawisz się nam? – zwrócił się do chłopaka.

Chwila, jaką ów kawaler podarował sobie na zebranie myśli, wydała się wiecznością. Była na tyle długa, że Rozalia i Edward wymienili się spojrzeniami, natomiast Antonina znów otworzyła okno i powachlowała się chusteczką.

– Duszno – westchnęła.

– Gdzie jest ta dziewczynka? – zapytał w końcu chłopiec, zwracając się do Antoniny, którą widocznie obdarzył największym zaufaniem.

– Dziewczynka? – zamrużyła powiekami, bo nie miała pojęcia o wizycie Zosi w ostatnim pokoju. – Czy była z nim jeszcze jakaś dziewczynka? – Podniosła oczy na Edwarda.

– Może chodzi o Zosię? – domyśliła się Rozalia. – Czy tak? – przeszła chłopca wzrokiem, aż się spłoszył. – Poznałeś już naszą Zosię?

– Niech mama nie patrzy tak surowo – szepnął Edward. – Chłopak boi się mówić.

– Ja patrzę surowo? – Oburzyła się Rozalia. – Wybacz, synu, ale ja już mam taki wzrok. – Chcesz, żeby przyszła tu Zosia? – Przechyliła się w stronę chłopca i, żeby złagodzić rzekomą surowość, uśmiechnęła się przymilnie.

– Tak... – bąknął chłopak.

Rozalia wyprostowała się i spojrzała wymownie na Antoninę.

– No, więc... Trzeba ją tu chyba zawołać. I może Stasia również. Myślę, że w towarzystwie dzieci nasz gość poczuje się różniej.

– Ja zawołam. – Edward uprzedził nieprzyjemne zdziwienie Antoniny, że to ona została wyznaczona do roli posłańca.

Okazało się, że nie trzeba ich daleko szukać. Zosia czatowała pod drzwiami gabinetu, natomiast Staś asystował Poldkowi przy czyszczeniu konia i zupełnie nie był zainteresowany jakimś znalezionym niedorostkiem.

– On nazywa się Imre! – zawołała dziewczynka, wskakując na jednej nodze do gabinetu. Chłopcu zaświeciły się do niej oczy, ale Rozalia skrzywiła się z niesmakiem.

– Ciszej, Zosiu. Opamiętania trochę...

– Dobrze, babciu – zgodziła się Zosia i chwyciła Imre za rękę. – Powiedz im wszystko szybko i chodź ze mną. Wanda obiecała, że pójdziemy...

– Co to za imię, Imre? – chciał wiedzieć Edward. – A ty, Zosiu, usiądź i zamilknij choć na chwilę – zażądał.

– Dobrze, tatku – odparła i umknęła w ramiona Antoniny, która przytuliła ją serdecznie.

– To imię po moim węgierskim dziadku – wyjaśnił chłopiec. – Jestem najstarszy z rodzeństwa, więc to ja je otrzymałem. W naszej rodzinie jest taki zwyczaj.

– Masz rodzeństwo?

– Co to za rodzina? Jakie nazwisko?

– A gdzie twoi rodzice? – Padły jednoczesne pytania, a zasypany nimi Imre zaciął usta i nic nie odpowiedział.

– Tak nie można. Ja sam z nim porozmawiam – zdecydował Edward. – Możesz nam podać swoje nazwisko, chłopcze?

– Bardeński.

– Bardeński?! – zawołała Rozalia. – Może z tych Bardeńskich z Paproci? Twój ojciec to Eugeniusz?

– Nie, Eugeniusz to mój drugi dziadek – oznajmił Imre. – Tatko nazywa się Jeremi, a mama Danuta.

– Danuta, pamiętam. Dostała imię po swojej matce, Danuśce... A więc ty od Bardeńskich, mój Boże, nie pomyślałam, że jeszcze kiedy ich spotkam.

– Na razie spotkała mama ich wnuka – zauważył Edward. – A ci Bardeńscy to z tego dworu w Paproci? Zza Bukowego Wzgórza? – zapytał, lecz Rozalia nie zdążyła odpowiedzieć, bo Imre się rozpląkał. Szlochał tak dramatycznie, że Antonina pozostawiła Zosię i przypadła do chłopca, by go pocieszyć.

Rozalia złapała się za głowę.

– Tam coś się stało – desperowała. – Na pewno coś się stało, w przeciwnym razie chłopiec nie wędrowałby sam jeden...

– Spa-li-li – wyjąkał wśród spazmów Imre. – Przyjechali na koniach. Czterech ich było. Najpierw podpalili stodołę...

– Za co? Dlaczego? – odezwała się pobladła z przejęcia Antonina, odsunęła od siebie Imrego i zaniósła się kaszlem.

– Niepotrzebne ci te emocje – skarciła ją Rozalia, chociaż sama była roztrzęsiona. – Uspokój się, nie jesteś jeszcze zdrowa, tylko sobie zaszkodzisz. Edwardzie, zabierz stąd Antoninę. I Zosię, zobacz, jaka wystraszona. Wyjdźcie wszyscy i dajcie mi porozmawiać z chłopcem... Na litość boską, Imre – potrząsnęła ramieniem chłopaka, jednocześnie odprowadzając wzrokiem wychodzących. – Opowiesz mi, co się stało?

Skinął głową i zaczął wierzchem dłoni ocierać oczy, ale łzy nie chciały przestać płynąć. Rozalia podała mu chusteczkę i cierpliwie czekała,

głaszcząc nieporadnie jego włosy. Zazwyczaj daleka była od okazywania czułości, ale temu dziecku przychyliłaby teraz nieba.

– Nie płacz, nie płacz – mamrotała. – Nie damy ci zginąć, nie puścimy na tułaczkę...

Smużka żółtawego dymu unosiła się z porzuconej fajki Edwarda.

Rozalia wyobraziła sobie tamten dym.

Imre nie chciał o tym opowiadać. Wspomnienia każdej z chwil, kiedy obserwował wydarzenia zza gęsto posadzonych wiśniowych drzewek, sprawiały mu ból. Wciąż miał przed oczami czterech roślących żołnierzy, ich mundury. Mundury carskiej żandarmerii.

Ujadanie psów i wołanie ogrodnika, który przerwał przycinanie róż, wywabiły z domu ojca. Wyszedł śmiało, ale już po chwili skurczył się cały i trwożliwie obejrzał na drzwi, w których spodziewał się ujrzeć żonę. Tak też było. Stała w progu w blad różowej sukni, z upiętymi w kok czarnymi włosami, w których połyskiwała rubinowa zapinka. Ojciec cofnął się i przygarnął ją mocno ramieniem. Imre chciałby zapamiętać ich właśnie takich. Przytulonych, kochających się, czułych.

Wszystko, co działo się później, było jak koszmar sen, z którego Imre nie mógł się obudzić. Łuna ognia buchająca z płonącej stodoły, snopy zapalanej słomy wrzucane przez okna do domu, krzyk czteroletniego Kazia, który wyrwał się opiekunce i biegł do matki z szeroko rozłożonymi rączkami, odgłosy uderzeń, skowyt psów, rosyjskie przekleństwa, strzał jeden, drugi... Jednocześnie mocne szarpnięcie i ochryply szept pastucha:

– Uciekaj stąd, paniczu, bo zabiją! Nie oglądaj się, uciekaj!

Ale on się obejrzał.

We wspomnieniu, którego wcale nie chciał, zabrał obraz śmierci, krwi i ognia. W nozdrzach duszący zapach dymu i krowiego łajna bijący od szarpiącego go pastucha. W sercu niósł strach i niewyobrażalną rozpacz.



– Dlaczego to zrobili? – zapytała zdławionym głosem Rozalia.

– Tatko był nauczycielem. Kiedyś zabrali mu książki i krzyczeli, że nauczą go posłuszeństwa. A potem przyjechali i... – Nie dokończył, bo nowa fala żalości ścisnęła go za gardło.

– Imre – rzekła wzruszona Rozalia. – Chcę ci coś podarować.

Podniósł na nią pytające oczy.

– Dam ci rodzinę, chłopcze – powiedziała. – Zostań z nami.

**Z**a szpalerem przekwitłych bzów i za stodołą, a nawet dalej, bo aż za rozdeptaną końskimi kopytami drogą, na skrawku wyskubanego przez gęsi trawnika siedział Staś i żuł listek szczawiu. Z wyrazem dobrotliwej wyrozumiałości na twarzy, tonem, w którym nie brakowało przemądrzałej wyższości zwrócił się ku wpatrzonej w niego Zosi.

– Pani Antonina nie jest ani twoją, ani moją mamusią, wiesz o tym?

– Panna Joanna tak mówiła – oznajmiła Zosia. – Ale ja jej nie lubię – dodała.

– Możesz jej sobie nie lubić, ale ona ma rację i do pani Antoniny nie możesz mówić: mamusiu, rozumiesz?

Zosia pokiwała głową i rozejrzała się po okolicy.

– Mamusia nie pozwoliła mi tutaj chodzić – oznajmiła z przejęciem. – Powiedziała, że za krzaki bzu nie wolno mi się zapuszczać.

– Zosia – Staś westchnął w taki sposób, jakby pokłady jego cierpliwości były na wyczerpaniu. – Powtarzam, że to nie jest twoja mamusia. Ona nie może ci mówić, co ci wolno, a czego nie.

– A kto może? – Zosia otworzyła szeroko swoje wielkie szare oczy, ale zanim Staś zdążył odpowiedzieć, jej uwagę przykuł biały motyl.

– Spójrz, motylek! – zawołała radośnie, poderwała się i biegła za nim tak długo, aż zniknął z jej pola widzenia.

– Wracaj! – wołał za nią Staś. – Powiem ci, kto może to mówić, a kto nie!

Zosia wróciła natychmiast. Zdyszana usiadła z powrotem na trawie.

– Takie rzeczy mogę mówić tylko ja i babcia Rozalia – oświadczył wyniośle Staś. – No i tatuś.

– A Wanda? – zapytała Zosia i odprowadziła lęklwym wzrokiem przelatującą osę. Zbliżała się jesień, Aniela opowiadała, że o tej porze te owady stają się bardzo napastliwe.

– Wanda też może – zgodził się po krótkim zastanowieniu Staś. Ale nie Antonina – podkreślił. – Poza tym... Nasza prawdziwa mamusia chciała, żebym to ja się tobą opiekował.

Zosia wydłubała z ziemi kamyk i zaczęła podrzucać go do góry.

– Stasiu, pamiętasz? Mówiłeś, że wiesz, gdzie jest tamta mamusia. Mówiłeś, że tam kiedyś pójdziemy. Tak mówiłeś. Pójdziemy?

– Jeszcze nie. Jesteś za mała. Poza tym tatuś powiedział, że kiedy będziesz starsza, sam cię tam zaprowadzi.

– Ale ty tam chodzisz.

– Ja jestem od ciebie starszy, a ty jesteś papla. Zaraz wygadasz wszystko babci Rozalii. Babcia mówi, że na wszystko jest odpowiedni czas. Małym dzieciom niektóre rzeczy trudno wytłumaczyć.

– Teraz jest odpowiedni czas. A ja jestem już duża i niczego nie wygadamy. Pójdziemy?

Staś przyjrzał się siostrze z uwagą. Postarał się przy tym o najsurowszą minę, na jaką było go stać.

– Bardzo chcesz?

– Tak! – klasnęła w ręce Zosia i aż podskoczyła z radości.

– Dobrze, zaprowadzę cię do niej – rzekł tajemniczo. – Ale ani słowa nikomu! Nie możesz o tym opowiadać, rozumiesz?

– Rozumiem – przyrzekła i natychmiast o swoim przyrzeczeniu zapomniała, bo uwagę jej zajęły goniące się z jazgotliwym szczebiotem dwa wróble.

Czerwona słoneczna kula wisiała jeszcze dość wysoko na niebie, gdy mijali przydrożną kapliczkę. Kiedy dotarli na miejsce, słońce powoli znikało za horyzontem. Zosia dreptała dzielnie, ale pod koniec drogi zaczęła narzekać na bolące nogi. Staś, rad nierad, zwolnił tempo i w ten sposób, noga za nogą, szli do samego cmentarza.

Cisza przerywana trelem jakiegoś ptaka pasowała do spokoju i osamotnienia tego miejsca. Cmentarz, choć nieduży, skupiał długą historię mieszkańców starych dworów, wiejskich chałup i ubogich chat. Wszyscy leżeli w tej samej ziemi, tak jak dawniej żyli pod jednym niebem. Ale teraz równi sobie, tacy sami, bo śmierć potrafi zatrzeć wszelkie różnice.

Rosnące wokół klony, jesiony i wiązy stały na straży ich wiecznego odpoczynku, oddzielały od świata żywych.

– Chodź, zaprowadzę cię do naszej mamy – powiedział Staś wzruszony, chociaż wcale nie chciał tego okazać. Wolał odegrać rolę silnego i mądrego starszego brata, wzbudzającego w młodszej siostrze szacunek i podziw. Ale nie tylko. Pragnął, by Zosia czuła się przy nim bezpiecznie. Żeby mamusia, spoglądająca na nich z nieba, wiedziała, że on dobrze zrozumiał jej prośbę i nie zawiedzie jej. Zaopiekuje się Zosią, jak należy.

Mogiłę matki poznał już z daleka po krzaku bzu, który zasadził u wezglowia Edward. Serce zabiło mu mocniej, jak zawsze, gdy przychodził tu w sekrecie przed domownikami, którzy zabraniali mu

zapuszczać się tak daleko bez opieki. To była jego mała tajemnica. Akt buntu przeciw losowi, który zabrał ukochaną mamusię, a na jej miejscu postawił obcą kobietę. I poczucie solidarności. Tęsknił za matką. Dlatego lubił tu przychodzić, przenikać wyobraźnią warstwę piachu, pod którym spoczywała, oglądać ją w podziemnych salonach, piękną jak wtedy, uśmiechniętą jak wtedy, kochającą jak wtedy... Z ramionami, które tak miękko go tuliły.

– Mamusiu – jęk wydarty z dna duszy szarpnął sercem, uwolnił łzy.

– Gdzie? – zapytała trzeźwo Zosia i rozejrzała się wokół siebie. – Gdzie ona jest?

Staś nie odpowiedział. Zamiast tego patrzył dziwnym wzrokiem, wyrażającym ni to strach, ni onieśmienie. Patrzył na kłębowisko czarnych strzepów szat, w których sunęła ku nim drobna, zgarbiona postać. Spod sfatygowanego kapelusza wysuwały się kosmyki długich siwych włosów, przysłaniających bystre oczka przy każdym podmuchu wiatru. Były wypłowiałe jak dwa mętne jeziora, lecz spozierały czujnie. Twarz wprawdzie czerstwa, ale blada i pocięta gęstą siateczką zmarszczek. Starucha szła energicznie, pomagając sobie sękatym kosturem.

– A kto to do mojej faworytki przyszedł? – odezwała się skrzekliwie już z daleka, zdyszana, bo szła w tym pośpiechu chyba spod samego kamiennego muru, którym otoczony był cmentarz.

Staś cofnął się o krok, przyciągnął do siebie Zosię i w obronnym geście ogarnął ją ramionami. Zafascynowana spotkaniem dziewczynka miała oczy okrągłe jak spodki.

– Eliza, moja pupilka – oznajmiła kobieta. Pieszczotliwie pogładziła żelazny krzyż, po czym schyliła się nad kamienną płytą, zrzuciła z niej zeschniętą gałązkę i poklepała przyjaźnie żółtawy piaskowiec. – Kocham ją.

Dzieci milczały, więc przeszła je świdrującym spojrzeniem i zapytała podejrzliwie:

– Coście za jedni?

Staś dłużej nie czekał. Odwrócił się na pięcie i pociągnawszy za sobą Zosię, puścił się biegiem do furtki.

– Nie bójcie się! – wołała za nimi kobieta. – Ja nic wam nie zrobię, zostańcie!

Chłopiec zatrzymał się i spojrzał na Zosię, której buzia wygięła się w podkówkę.

– Boisz się? – zapytał.

– Chcę do mamusi... – bąknęła płaczliwie.

– A... – zawahał się Staś, lecz uznawał przecież tylko jedną matkę, więc zdecydował: – Dobrze, Zosiu. W takim razie wracamy. – I już po chwili, ku jej przerażeniu, stanęli oko w oko z tą straszną kobietą.

– Bzy – mruknęła, wskazując nieduży, poruszany wiatrem krzew. – Wiosną widziałam kwiaty. Białe jak niewinność. Takie mógł tylko mąż na grobie ukochanej żony zasadzić. Na pamiątkę pięknej przeszłości. Dobrze mówię?

– Tatuś zasadził – ośmielił się odezwać Staś.

– Tak, więc miałam rację. A ty jesteś synem Elizy – zaskrzeczała.

– Jestem – przyznał. – A to moja siostra – pchnął lekko Zosię przed siebie, lecz przerażona dziewczynka natychmiast schowała się za jego plecami, zza których zerkała ciekawie.

– Aj, zostawiła sieroty – zacmokała i pokiwała w zadumie głową kobieta. – Żle to Bóg urządził. niesprawiedliwie... Ja nie mam tu nikogo swojego. Ale przychodzę, bo bliżej mi do nich niż do tamtych, za murem. Tam też nie mam nikogo swojego... A tutaj znam wszystkich – ożywiła się nagle. – O, na przykład w tej brzozie, co zaraz za krzyżem rośnie, siedzi

Janek Bojar. Czternasty rok mu szedł, jak z konia spadł. Matka prawie zmysły postradała z rozpaczy. Ale kiedy go pochowała, zaraz drzewko zasadziła. Bo matki dają synom brzozy na wieczne mieszkanie... W tych tam trzech młodziutkich dąbkach rosną trzej bracia, co polegli w powstaniu. Rozejrzyj się, chłopcze, widzisz tutaj więcej takich?

– Nie – odparł Staś, który zaczął słuchać staruchy z coraz większym zaciekawieniem. Nawet Zosia stała spokojnie i przysłuchiwała się tym dziwnym opowieściom. – Nikt więcej z tych stron nie walczył? – zapytał.

– Walczył, walczył. Ale kto by tam wiedział, gdzie teraz leżą. A tych znaleźli...W wiązach, naprzeciw bramy żyją dwaj tacy, co pokłócili się za młodu. Nie pojednali się przed śmiercią i zostały im winy do wybaczenia. Wiązy się sady, na zgodę. A tam, widzicie? – wskazała kosturem miejsce w kącie, pod samym ogrodzeniem. – Dziki bez. To znak nagłej śmierci. Ty pewnie za młody jesteś, żeby znać Franciszka Ciżbę – spojrzała na Stasia, jakby szacowała, ile może mieć lat. – A on powiesił się, biedaczyna – pokiwała smutno głową. – Olechnę do niego zawołali, bo ona najlepiej na nieboszczykach się rozumie. Kazała zaraz dziki bez zasadzić i podlewać krzak tą samą wodą, w której umarłego obmywała... Tam lepiej nie chodzić – przestrzegła, a Staś aż się wzdrygnął. – Przeklęte miejsce. Nie daj Boże, złamie się gałązka tego bzu, szturchnie cię, to najgorsza wróżba! – przeżegnała się szeroko i zaraz dodała pogodnie: – Ja się nie boję. Bywa, że noc tu z nimi prześpię, bo i tak nie mam do kogo wracać. – Zniżyła głos i spojrzała mrocznie na słuchającego jej z przejęciem Stasia. – Sny wypełzają z nich jak robaki i szukają żywych, co by je wyśnili. O, bo sny nie giną – podniosła do góry wskazujący palec i uśmiechnęła się sprytnie. – One krążą w powietrzu, czepiają się rąk, nóg, wplątują we włosy... Nie bój się, kiedy tak opowiadam – szturchnęła Stasia kosturem i roześmiała się. – Mówią o mnie wiedźma cmentarna. A niech mówią, jak chcą. Nikt tak jak

ja nie umie z umarłymi gadać. Ludzie nie wiedzą, że trzeba mówić do drzew, bo w nich są umarli. Ziemia zabiera twarze, nazwiska, ale jednego zabrać nie może...

Staś zastygł w zasłuchaniu. Zosia natomiast dreptała w miejscu i ścisnęła rękę brata coraz mocniej i mocniej.

– Co po ludziach? – ciągnęła staruszka. – Ktoś powie: popiół i jakaś historia. Ale to nieprawda. Wiesz, co zostaje? – Nachyliła się nad Zosią, która aż skuliła się ze strachu. – Zostają cienie. Ja widzę, jak tu tańczą. – Roztoczyła dłońmi krąg. – Myślicie, że drzewa je rzucają? O, nie. Tu wszędzie roi się od dusz. Jak się kto z nimi zaprzyjaźni, pokażą się. W białych szatach albo czarnych sukienkach. Tańczą, tańczą... A potem wspinają się do nieba.

– Po czym? – Wytrzeszczyła oczy Zosia.

– Po czym? – Uśmiechnęła się do niej staruszka. – A po pajęczynie. Albo po włosach aniołów, po ptasim śpiewie. Po wszystkim, co dobre i ładne...

Przerwała nagle i zamyśliła się.

– Nie wszyscy tam idą – rzekła po chwili twardo. – Niektórzy zostawiają tu bardzo ważne rzeczy. – Znów pochyliła się nad Zosią i zajrzała jej w oczy. – Na przykład nowe lalki – szepnęła. – Masz nową lalkę?

– Nie – bąknęła przerażona dziewczynka.

– To dobrze. Bo i tak musiałabyś ją zostawić... Taaak... – westchnęła. – Niektórzy czekają, aż jeszcze czyjeś oczy zgasną. Czekają, czekają... Nie chcą iść sami, czegoś się boją. A inni znów skarżą się, że ktoś ich trzyma na ziemi, ciągnie za sukienkę.

– Dlaczego? – zapytała drżącym, bliskim płaczu głosem Zosia.



– Bo kocha za bardzo. Ty puściłeś swoją mamusię? – napastliwie zwróciła się do Stasia.

– Puściłem – odparł butnie. – Wcale nie trzymałem.

– Oj – pogroziła mu palcem. – Nie udawaj, chłopcze, siłacza, bo nim nie jesteś. Widzę, że byle wiatr zanieś cię tam, gdzie zechce, bo ty jesteś jeszcze zwykłą ćmą. A ja ci radzę, na razie nią zostań. Długo trzeba się hartować, żeby dostać mocne skrzydła... – Spojrzała w ciemniejące niebo i nagle wyraz twarzy jej się zmienił. – Idźcie już do domu – machnęła ręką, jakby nagle zaczęła do czegoś się spieszyć. – Nie stójcie tutaj. No, idźcie już, późno!

Staś posłusznie odwrócił się na pięcie, popychając przed sobą Zosię. Ale dziewczynka obejrzała się jeszcze.

– Nazywam się Zosia – oznajmiła z dziecięcą ufnością.

– Po co mi to wiedzieć? – odparła niegrzecznie kobieta. – Śmierć i to zabierze – rzuciła i poszła w swoją stronę.

– Wichur tak wyje, aż ciarki przechodzą – zauważyła Wiesia i potarła dłońmi ramiona. – Niby lato, a tylko patrzeć, jak jesień przywieje.

– Mój tatulek mówił, że jak tak wieje, to znasy, że ktoś we wsi się powiesił i diabeł subienią buja – szepnęła Kazia i zamrugała oczami. Ustawiona na stole łożówka zamigotała. Rzuciła cień na ścianę. Wiesia wzdrygnęła się i rozejrzała po zatopionej w półmroku kuchni.

– E, gadasz dla samego gadania – wtrąciła Aniela. – I po co tu siedzicie? Do łóżek, późno już!

– A kto by tam spał w taką wichurę? – zachnęła się Kazia. – Słowiek nie wie, sy głowę pod piezynę chowaś, sy okno tsymaś, zeby syby wiatr nie wypchnął. W taką nos to sam diabeł do chałupy może wleś.

– Moja ciotka, szwaczka z Miłakowa mówiła... – zaczęła Cesia, która po wypełnieniu swoich obowiązków również zajrzała do kuchni.

– Z Miłakowa? – przerwała jej Wiesia. – Mój stryj walczył u boku Napoleona, gdy jego wojska szły przez Miłakowo. Cesarz kwaterował na tamtejszej plebanii. Oj, jak stryj kochał Napoleona!

– Kolejny ślepy legionista – mruknęła Aniela. – Ech, zresztą nie mnie politykować – machnęła ręką.

– Ale so ta siotka z Miłakowa? – ekscytowała się Kazia.

– Mówiła, że kiedy wicher wieje, trzeba do studni zajrzeć.

– Po so? – wytrzeszczyła oczy Kazia, która we wszystkim dopatrywała się sensacji.

– Ażeby ujrzeć twarz tego, kto następny z okolicy umrze – szepnęła Cesia.

– I so? – Kazia zacisnęła obie pięści i przycisnęła je do serca.

– No i raz, kiedy tak w studnię patrzyła, zaszedł do niej wędrowny garncarz. Rozmaite garnki miał, pięknie zdobione kubki i dzbanki. Zatrzymał się przy niej i pyta, czego ona tam w tej studni wygląda. Wiatr wtedy był taki, jak dzisiaj. Ona na to: – Patrzę, kto na dniach umierać będzie. – I po co ci to wiedzieć? – spytał garncarz. – Wyroki boskie są niezbadane, umrze ten, na kogo przyjdzie pora. – Lubię to wiedzieć – mówi ciotka. – Bo jestem szwaczką i niejedną raz rodzina mnie prosi, żebym dla nieboszczyka uszyła odzież do trumny. To po co ja mam brać miarę z umarlaka, jak mogę jeszcze z żywego? I nie na łapu-capu, a porządnie materiał skroję i bez pośpiechu uszyję. Potem wszyscy powiedzą, że dobra i dokładna ze mnie szwaczka. – Niby racja – przyznał garncarz. – A ja, dajmy na to, mógłbym też zerknąć, żeby po próznicy z garnkami nie iść do takiego, co zaraz stygnąć będzie? – A patrz sobie do woli – powiedziała ciotka i odsunęła się od studni. Garncarz spojrział i swoją gębę zobaczył!

– I sooo? – jęknęła ze zgrozą Kazia.

– Tak się przestraszył, że od razu umarł – skwitowała Cesia.

– O Jezu... Prawdę twoja siołka mówiła...

– Aleś ty głupia, Kazia – westchnęła Aniela. – Każdy, kto w wodę spojrzy, swoją gębę jak w lusterku zobaczy... A ty co taka strapiona? – zwróciła się nagle do Wandy.

Dziewczyna siedziała przy końcu stołu w zupełnym mroku, bo światło łożówki wcale do niej nie docierało, ale Aniela i tak zauważyła, że jakaś niemrawa.

– Chora jesteś?

– Nie... – bąknęła Wanda i zakryła twarz fartuszkciem, spod którego natychmiast dał się słyszeć tłumiony szloch.

– Co jej się stało? – zapytała Aniela, popatrując w zdumieniu po twarzach dziewcząt.

– Narzeczony ją porzucił – wyjaśniła niechętnie Wiesia. – Inną znalazł – warknęła i złym okiem łypnęła w stronę drzwi, jakby tam należało szukać winowajcy.

– Kogo? – wybałuszyła oczy Kazia. – Niech no tylko wpadnie w moje ręce, to osy jej pazurami wydrapię!

– Nie trzeba – chlpała Wanda. – Widać tamta dla niego lepsza...

– Nie płacz, Wanda – Aniela podeszła do dziewczyny i przygarnęła ją mocno. – On ciebie nie wart. Oddaj mu pierścioneł i niech idzie w świat z nową panną. Po co ci ktoś tak głupi, kto nie potrafi cię docenić? Niech idzie. Minie kilka lat i będziesz się cieszyć, że nie musisz z tym nicponiem żyć.

Wanda wtuliła się mocno w ramiona kucharki i szlochała, zlewając suto łzami falbanki jej fartucha.

**N**igdzie na świecie nie ma takiego miejsca, gdzie kochałbym cię bardziej niż tutaj i mocniej niż teraz. I nigdy nie będziesz bardziej czyjaś, niż jesteś moja... – głos był przytłumiony, nosowy, jakby trafiał w splecione damskie włosy, fałdy sukni albo miękkość dekoltu.

– Niech pan tak nie mówi... – Kobięcy śmiech rozdarł ciemność, rozdzwonił się srebrzyście. Lecz choć zabrzmiał radosną kokieterią, dało się w nim wyczuć zakłopotanie. – Nie wierzę w żadne pańskie słowo.

– Musisz mi uwierzyć, moja cudna, jedyna! Musisz mnie kochać. Powiedz, że tak jest, powiedz to, proszę!

– Och, niech pan zamilknie! Ktoś idzie!

Zaszeleściło i dwa gruchające, a teraz spłoszone cienie rozpierzchły się na dźwięk lekkich kobiecych kroków, zatopiły w gęstej czerni sadu.

Antonina przystanęła i uśmiechnęła się z zastanowieniem. Słyszała urywki szeptanych słów, lecz nie wiedziała, do kogo należą głosy. Duszno jej było w sypialni, więc mimo późnej pory wybrała się na niedaleką przechadzkę. Nic dziwnego, że natknęła się na sekretne spotkanie jakichś zakochanych.

Cóż mnie właściwie obchodzi, kim są – pomyślała rozbawiona i wbiegła na schodki werandy z tyłu domu. Zmęczyło ją to. Zaczerpnęła powietrza i zaniosła się kaszlem.

Za sobą zostawiła chłodny, choć jeszcze letni wieczór, rozkołysane nitki babiego lata, zapach waleriany i wilgotnej ziemi. Przemknęła długim korytarzem, dotarła do pogrążonego w mroku holu i nacisnęła kłamkę sypialni. Tutaj było ciepło i przytulnie. Edward odpoczywał już w łóżku i wsparty o poduszki czytał książkę w świetle płonącej świecy. Antonina chętnie podzieliłaby się wrażeniami z ostatnich chwil, porozmawiała o nowym członku rodziny, jakim stał się Imre, albo o Zosi, której dzisiejsze słowa wypowiedziane zaraz po kolacji zmroziły ją i zmusiły do podjęcia pewnej bardzo ważnej decyzji. Podzieliłaby się tym wszystkim z mężem, lecz ujrawszy, jak bardzo pochłonięty jest lekturą, zrezygnowała. Umknęła za parawan, naląła wody do miednicy, zrzuciła suknię i zsunęła halkę. Delikatna tkanina płynnie opadła na podłogę. Antonina zbliżyła twarz do lustra. Przeziębienie, które przeszła, prócz dokuczliwego kaszlu pozostawiło brak apetytu. Zmizerniała. Kości policzkowe uwydatniły się, pociemniały oczy, wyostrzył się nos i podbródek. Ta zmiana nadała jej rysom szlachetności, niemniej zmartwiły ciotkę Godziewiczową, tym bardziej że na pobladłym licu piegi jakby stały się wyraźniejsze.

– Siostrzyczko – szepnęła do odbicia. – Przykro mi, że cierpisz z powodu tych nieznośnych piegów, ale kocham cię za to, że bez skargi dzielisz moje niedoskonałości...

– Ty znów przed lustrem? – usłyszała zza parawanu rozbawiony głos Edwarda.

– Tak, muszę zobaczyć, czy na zewnątrz wyglądam tak samo jak w środku – odparła zagadkowo.

– A jak wyglądasz w środku? – zapytał po dłuższej chwili. Widocznie wstał, bo głos rozległ się tuż obok. Antonina wstrzymała oddech, lecz Edward nie ośmielił się wsunąć za zasłonę, gdzie stała naga i nieoczekiwanie rozedrgana.

– Nie wiem – szepnęła. – Dzisiaj jest tam chyba bardzo czarno.

Dzieliła ich zaledwie cienka ściana parawanu, więc bezwstydną, śliską i wilgotną myśl przemknęła jej przez głowę, roztrzępotała wewnątrz i zaróżowiła policzki.

– Wiesz, co czytam? – Zepsuł nastrój Edward, choć i jemu ślina napłynęła do ust. Jak zawsze, gdy wyobrażał sobie, co mogłoby się stać, gdyby Antonina nie była taka niedostępna.

– Nie – zanurzyła w wodzie dłoń, chłodne strumienie płynące po szyi, ramionach i piersiach orzeźwiły ją nieco. – Co takiego?

To woda, nie on, dotykała jej skóry, odwiedzała wszystkie miejsca, których pragnął. Przełknął nerwowo ślinę, bo nagle zniknęły wszystkie realne rzeczy, sprzęty, obrazy, a została tylko namiętność i ogromna potrzeba spełnienia.

– Mickiewicza czytam, wiesz? – oznajmił, błędząc myślami po jej ciele.

– Mickiewicza? – powtórzyła lekkim tonem. Bo cóż znaczy Mickiewicz wobec piżmowego zapachu męskiej skóry, przyspieszonego oddechu, wobec tego wszystkiego, co ukrywa się między tym, co mogłoby stać się dzisiaj z Edwardem, a pragnieniem, żeby to był Tomasz... – Mickiewicz. Fascynujące...

Ten ton, ten niżony głos... Niemal widział rozkosznie rozchylone usta, przymknięte powieki, drżenie gotowe do pieszczot.

– O, tak, Antonino, fascynujące – potwierdził.

– Skąd masz tę książkę? – Zainteresowała się.

– Ktoś gdzieś zdobył, ktoś przemycił. Nie trzeba o tym wiedzieć. To trzecia część *Dziadów*, pewnie słyszałaś.

Antonina oprzytomniała.

– *Dziadów*? Boże mój, Edwardzie, przecież cenzura! – szepnęła w zdenerwowaniu. – Czy wyobrażasz sobie, co będzie, jeśli ktoś się dowie? Doniesie? Wiesz, co się stało z rodziną Imrego. To przez jego ojca, uczył zakazanych wierszy. Teraz wszystkie książki wydane na emigracji są zabronione! Za to grozi pozbawienie wszystkich praw, zesłanie, dziesięć lat katorgi! Nawet śmierć!

Ach, i po cóż o tym wspomniał? Nagle wszystko umknęło, znieruchomiało. I dreszcz emocji, który przyprawiał o rozkosz, zniknął. Nic z tego wieczoru nie będzie, nic dla niej, nic dla niego. Westchnął.

– Nie obawiam się, Antonino. Studiuję tego Mickiewicza i czuję, że jego słowa niosą w sobie moc czynu. Te wszystkie niepokoje miną. Sama powinnaś się przekonać, jak to się pięknie czyta.

– Nie wątpię, Edwardzie. Ale musisz zrozumieć moje obawy. Brałam udział w powstaniu, pod naszym dachem jest syn wywrotowego nauczyciela, wystarczy, że ktoś o tym doniesie, a przepadniemy! I teraz jeszcze ta książka. – Antonina wytarła się do sucha, włożyła nocną koszulę i wyszła z za parawanu. Edwarda zastała przy stoliku, gdy nerwowo nabijał fajkę.

– Zabraniam tutaj dymić – zastrzegła, usiadła przed toaletką i zajęła się rozczesywaniem splątanych włosów. – Ja potem spać nie mogę i w środku mnie coś dusi.

– Wyjdę na ganek – uspokoił ją. – A wracając do tych książek, nie wszyscy urzędnicy stosują się do zaleceń cara. Są przecież jeszcze łapówki. Poza tym krążą plotki, że on sam czytuje Mickiewicza.

– To dlaczego zabronił rozpowszechniać?

– Bo pełno tam o spiskach, moja droga. I o cierpieniu. – Edward skończył nabijać fajkę i ruszył w kierunku drzwi. Zatrzymał się jednak i dodał: – Wiesz, Antonino, w tym mnożeniu zakazów tkwi groźba

niekończącego się terroru. Każdy Polak ma zasypiać w strachu przed aresztowaniem, bo cokolwiek zrobi, czy powie, będzie to i tak niezgodne z prawem. I w tej wiecznej obawie w końcu skruszemy jak zajęce. Skoro tak czy inaczej trzeba nam się bać, to wolę czytać zakazane książki, niż gnić w łagrze nie wiadomo za co – skwitował i wyszedł, pozostawiając Antoninę w rozterce.

Na schodach ganku minął zdyszana dziewczynę. Na głowę zarzuciła lekki szal i biegła tak szybko, że nie zdążył dostrzec jej oblicza. Potrąciła go i coś bąknęła, a on uśmiechnął się tylko i pokręcił głową.

– Szalona młodość – mruknął.

Antonina podeszła do okna. Przez delikatną koronkę firanki przyglądała się mężowi. Stał w ulubionej, trochę nonszalanckiej pozie, oparty o poręcz schodów i cały oddawał się przyjemności palenia fajki. Ciemne włosy sięgające karku tu i ówdzie przetykała już srebrna nitka, ale roztrzepane na wietrze, ujmowały Edwardowi lat, nadawały mu beztroski i młodzieńczy wygląd. Mrok rozproszony księżycowym blaskiem łagodził ostry profil, tuszował pierwsze, prawie niewidoczne znaki nieuchronnej starości. Antonina darzyła Edwarda sympatią. Czowała się przy nim swobodnie i bezpiecznie, lubiła z nim milczeć i rozmawiać. Potrafiła o niego dbać i troszczyła się o jego dzieci. Doceniała bliskość, ale była to bliskość duszy, nie serca. Dlatego dręczyła ją jego szlachetność, dobroć i miłość.

Odeszła od okna, wypila porcję syropu na kaszel i położyła się do łóżka. Jej wzrok wędrował do płomyka świecy, który tworzył na ścianach i suficie nierzeczywiste obrazy. Myśli uporczywie umykały do dotkliwych, boleśnie przykrych słów Zosi:

– Czy to prawda, że mamusia jest dla mnie i dla Stasia obcą kobietą?

– Dlaczego... Skąd to pytanie, Zosiu? – Przeraziła się. – Kto tak powiedział?



– Panna Joanna.

Ukryta w cieniu lipy Antonina obserwowała Cesię, która miotłą z wierzbowych witek omiatała podwórko. Gwałtowne ruchy i chmury kurzu płoszyły kręcące się przy niej ptactwo, przyzwyczajone, że ta sama ręka co dzień sypie ziarno. Na schodach ganku siedziała Wanda z książką w ręku. Była zgaszona bardziej niż kiedykolwiek, mizerniejsza niż zwykle i melancholijna jak nigdy. Obok niej wierciła się Zosia, przytupywała drobnymi nóżkami i miętoszyła perkalową sukienkę. Czasem jednak zamierała, unosila na swoją opiekunkę wielkie, szare oczy i z uwagą przysłuchiwała się czytanej baśni. Tuż przy Zosi ulokował się Imre. Niby słuchał czytanej opowieści, ale Antonina widziała, że myślami zawędrował bardzo daleko. Smutek na jego twarzy wskazywał tęsknotę, więc pewnie wspominał Paproć. Dom, którego już nie było.

Dwa schodki niżej siedział Staś. Zgrywał dorosłego, ale wysunąwszy po dziecięcemu koniuszek języka, majstrował coś ze zgromadzonych patyków i konopnego sznurka. I jemu zdarzało się zastygać w zasłuchaniu, chociaż za nic w świecie nie przyznałby się do tego.

Ścieżką w pobliżu przekwitłych bzów przechadzała się Joanna. Pewnie układała w głowie jakiś nowy wiersz, bo czasem przystawała, marszczyła brwi i pocierała palcami skronie. Od czasu do czasu przypominała sobie o Stasiu i wtedy zalęknionymi oczami omiatała podwórko. Twarz jej łagodniała natychmiast, gdy okazywało się, że chłopiec wciąż znajduje się w zasięgu wzroku.

Poza tym podwórze było spokojne i opustoszałe. Kto żyw, od świtu pracował przy zniwach. Czasem wiatr niósł strzępy pieśni śpiewanych przez idące za kosiarzami kobiety.

Ich pracę nadzorował Edward, dlatego mało kiedy bywał teraz w domu. Doglądał chłopów, których lniane koszule pokrywały ciemne plamy potu, rosnące z każdym ruchem kosy. Przyglądał się pracy kobiet, które zbierały kłosa, wiązały je w snopki, po czym z wysiłkiem prostowały obolałe plecy. Trzeba było się spieszyć, wykorzystać słoneczną pogodę, zdążyć przed kolejną falą deszczy.

Około południa na pole zajeżdżała furmanka, a na niej kosze i dwojaki z jedzeniem przygotowanym przez Anielę. Przeważnie była to kasza z omastą, groch z kapustą albo tłuczone kartofle i zsiadłe mleko. Mężczyźni porzucali kosy, kobiety grabie i jak mrówki, jedno po drugim podążali ku wierzbom, które jeszcze ojciec Edwarda kazał sadzić między polami. Drzewa te dawały dużo cienia i pozwalały odpocząć od sierpniowych upałów. Niekiedy i Edward zasiadał z parobkami do tej prostej stawy, a w takich dniach, podobnie jak oni, wracał do domu dopiero po zachodzie słońca.

Rozalia tymczasem, przy pomocy kuchennych dziewcząt, szykowała miejsce w spiżarni i piwnicy na nowe przetwory, które lada moment wypełnią zapachami cały dom. Kiedy mogła, szła z koszem aż pod las, po miedzach i łąkach zbierała zioła, bo w tych rosnących bez pomocy człowieka doszukiwała się największej mocy i witalności. Po drodze z niezadowoleniem zerkąła na Antoninę, która nigdy nie dała się namówić na te wyprawy. Rozalia nie wiedziała przecież, że na dnie szafy synowej kryje się wojenna pamiątka, w postaci dobrze wyposażonej apteczki doktora. A nie były to jakieś tam zbierane po rowach zioła. Skrzynka zawierała prawdziwe apteczne leki w impregnowanych woskiem pudełeczkach i szklanych buteleczkach. Były tam eter, kamfora, specyfiki bakteriobójcze i uspokajające, a dla najbardziej cierpiących nalewka z opium. Nie brakowało też różnej szerokości i długości bandaży, szarpi

i listewek do unieruchamiania złamań. W osobnej zaś przegrodce leżało wstydliwie urządzenie do wykonywania lewatywy.

Całe to bogactwo Antonina wzięła w ramiona i tuląc do piersi jak głowę kochanka, nadzorowała je do końca wojny. Przywiozła z sobą tę osobliwą pamiątkę powstania bez żadnej nadziei, że skrzynka wróci kiedyś w mocne, a jednocześnie delikatne ręce Tomasza. Jakże ona podziwiała te ręce! Podziwiała i doktora. Podziwiała tak bardzo, że Edwardowi nigdy o nim nie wspomniała.

I o tym wszystkim Antonina rozmyślała, siedząc teraz pod lipą.

Czasem uśmiechała się leciutko do swawolącej Zosi. Przepadała za pasierbicą i gotowa była wybaczyć jej nie tylko wczorajsze pytanie, ale wszystkie niewinne psoty, które jej zdaniem, kształtowały niezależny charakter dziewczynki. Dziwiło ją zatroskanie Edwarda i irytacja Rozalii, ilekroć mała okazywała nieposłuszeństwo. Według niej upór Zosi świadczył o tym, że potrafi zaciekle bronić swojego zdania. Inaczej rzecz miała się ze Stasiem. Ten był już dużym chłopcem, wiele rozumiał, więc w tym czasie należało włożyć cały wysiłek, by wyrósł na rozsądnego i odpowiedzialnego mężczyznę. Antonina na pewno potrafiłaby z nim rozmawiać i chętnie spędzałaby z nim czas. Niestety, miejsce przy chłopcu zajmowała ta niby omdlewająca, ale w gruncie rzeczy przebiegła Joanna. To przez nią Antonina wciąż spotykała się z niechęcią ze strony pasierba, choć usilnie starała się zaskarbić sobie jego serce. Nie skarżyła się Edwardowi, lecz miała nadzieję, że po ostatnim wybryku Stasia on sam zauważy ten problem. Co do Joanny, zwolnienie jej z obowiązków byłoby najlepszym rozwiązaniem. Dałoby też Antoninie okazję do wyboru odpowiedniejszego nauczyciela.

Och, jak bardzo rozczarował ją brak decyzji Edwarda w tej kwestii! Dlatego postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce, rozmówić się z Joanną

i pokazać Rozalii, że i ona ma tutaj coś do powiedzenia. Zdecydowała, że zrobi to teraz. Natychmiast.

Opuściła cieniste miejsce pod lipą i poprawiwszy suknię, zbyt obszerną ostatnio, niespiesznym krokiem ruszyła w stronę ścieżki, po której spacerowała nauczycielka. Nie cierpiała Joanny i doskonale wiedziała o wzajemności tych uczuć. Mimo to starała się zachować z klasą, jak na pracodawczynię przystało.

– Panno Joanno – odezwała się zniecka za jej plecami.

Joanna zatrzymała się gwałtownie i przyłożyła obie ręce do serca.

– O, mój Boże! – zawołała zaskoczona. Udawała uprzejmość, chociaż z jej oczu wiało chłodem. – Ale mnie pani przestraszyła...

– Och, doprawdy. – Zbagatelizowała to z nieszczerym uśmiechem Antonina. – W żadnym wypadku nie chciałam tego zrobić. Życzę sobie porozmawiać z panią.

Ku jej zdziwieniu Joanna spiekła raka i zastygła stropiona. Jedyne roztrzepotane rzęsy i przyspieszony oddech świadczyły o wewnętrznym poruszeniu.

– Ale ja... – wyjąkała przez zaciśnięte gardło. – O, Boże... Proszę nie mówić o niczym panu Edwardowi... Ani... Och, ani pani Rozalii!

Antonina na ułamek sekundy uniosła w zdumieniu brwi, które niemal natychmiast wróciły na swoje miejsce. Pojęła, że przypadkowo zyskała jakiegoś asa w rękawie. Taka reakcja nauczycielki wskazywała na jakiś sekret. Coś najwyraźniej ciążyło jej na sumieniu. W takim razie nie należy okazywać, że się o niczym nie wie. Spokojnie i dyplomatycznie trzeba dotrzeć do prawdy.

– Cóż, panno Joanno – Antonina westchnęła wymownie, po czym zaryzykowała: – Nie mogę o tym milczeć. Właśnie dziś przy kolacji zamierzałam poruszyć ten temat.

– Nie, proszę! – Joanna chwyciła jej dłoń i przycisnęła ją do własnego serca. – Błagam panią, niech pani o niczym nie mówi! – wyszeptała żarliwie.

Antonina cofnęła dłoń i wydeła usta.

– Panno Joanno, pod tym dachem nie powinny dziać się takie rzeczy. To... To – szukała odpowiedniego słowa, które pasowałoby do każdej sytuacji.

– Wiem, to skandaliczne – wyręczyła ją szczerze skruszona Joanna.

– Tak, właśnie. Skandaliczne – potwierdziła z niejaką ulgą Antonina. – Powiedziałabym nawet, że... Obrzydliwe – dorzuciła ostrożnie, nie spuszczać badawczego spojrzenia z pąsowej twarzy nauczycielki.

Co ona ukrywa? – myślała tymczasem gorączkowo.

– Proszę pani, to się więcej nie powtórzy, obiecuję! – Joanna znów chwyciła dłoń Antoniny i ścisnęła ją kurczowo. – Błagam o zachowanie sekretu!

Antonina zacisnęła usta i z namysłem pokręciła głową.

– O, nie... – mówiła powoli, rozwleczonym głosem. – To nie może się powtórzyć, panno Joanno, bo mleko już i tak się rozlało... Ale dobrze, nie powiem – zakończyła sprytnie.

– Och! – zawołała uszczęśliwiona Joanna, a jej wargi z wdzięcznością przylgnęły do dłoni Antoniny. – Bardzo pani dziękuję!

– Nie, nie – Antonina cofnęła rękę. – To nie może ujść całkiem bezkarnie. Ja nic nikomu nie powiem pod jednym warunkiem.

– Zrobię wszystko, co pani każe.

Antonina ledwie powstrzymała uśmiech, tak była dumna z wybranej strategii.

– Tym lepiej – rzekła zimno. – Jeszcze w tym tygodniu opuści pani Przyłipie – zażądała.

Zaskoczenie, przerażenie, a zaraz potem bardzo już trudne do ukrycia uczucie nienawiści pojawiły się w oczach Joanny.

– Słucham? – wyjąkała słabym głosem.

– Po tym, co się wydarzyło, chyba nie chce pani tu zostać – zaryzykowała Antonina, chociaż nie miała pojęcia, co ta mazepa przeskrobała.

Przewidywała wybuch hysterii, lament, awanturę, lecz Joanna ukryła tylko twarz w dłoniach i odbiegła, by po chwili zniknąć w sieni.

Wanda, której włosy rozwiął pęd sukni przebiegającej z furią Joanny, oderwała wzrok od książki, odprowadziła nauczycielkę spojrzeniem wyrażającym ni to współczucie, ni satysfakcję. Potem wróciła do czytania. Jej głos płynął spokojnie, jakby niczego nie chciała zauważyć.

**Z**a oknami turkot podjeżdżających furmanek, rżenie koni, nawoływanie chłopów. Głos Edwarda i głośnie dyspozycje Rozalii przebijały się przez to wszystko, dyscyplinowały parobków, organizowały pracę.

Zwożono z pól kartofle i buraki. Edward objeżdżał grunty, dozorował zbiory, potem liczył furmanki, zapisywał w księgach drobne cyferki, dzielił i przeznaczał plony na sprzedaż i do dworskiej spiżarni.

Antonina nie czuła się ostatnio najlepiej. Była słaba i szybciej się męczyła, ale dzielnie pomagała Rozalii. Doglądała roboty w sadzie, ogrodzie i kuchni.

Soki, konfitury i galarety z letnich owoców dawno zadomowiły się na piwnicznych półkach. Aniela i jej pomocnice uwijały się teraz z jesiennymi przetworami. Powidła, marmolady, kompoty piętrzyły się w spiżarni, beczki buraków sąsiadowały z zakiszczonymi wcześniej ogórkami i czekały na kapustę, która dołączy do nich w listopadzie.

Kiedy wydawało się, że robota dobiega końca, młoda pani Stalicka wymyśliła jakieś nowe fanaberie. Kazała smażyć jarzębinę z miodem albo konfitury z berbersu. Od czasów babki Walerii i pod rządami Rozalii takie na przykład brzoskwinie przerabiano na dżemy, ale teraz pani Antonina kazała ucinać króciutko ogonki i wrzucać całe owoce wprost do słoje, żeby

broń, Boże, ręką nie tknąć. A potem zamknąć szczelnie słoik i we wrzątku zaparzyć. Słyszała, że tak ponoć szlacheccy kucharze świeże owoce przechowują przez zimę. Wanda więc całymi dniami preparowała papier do zamykania słoik, żeby nie przepuszczał powietrza. Przez dwa dni Zosia kręciła się po kuchni, ku zgrozie Anieli prawie włąziła do garnków, oblizywała z powideł drewniane łyżki, wyjadała miód, z zainteresowaniem śledziła, jak jej opiekunka trzyma papier nad ogniem, smaruje go roztopionym woskiem i zostawia do wyschnięcia. Jeszcze większą ciekawość wzbudziły w niej zwierzęce pęcherze, które Wanda moczyła w wodzie z solą, potem je wycierała do sucha i obwiązywała słoiki. Trzeciego dnia, znudzona dziewczynka, chwyciwszy pajdę chleba suto polaną konfiturą, pobiegła bawić się ze Stasiem i tyle ją widziano.

Wszystkie ręce były teraz potrzebne. Do kuchni odesłano Marynę, Józię i Cesię, a Waclaw z Alojzym zbierali owoce w sadzie. Nic więc dziwnego, że cały dom stanął na głowie i wprowadzone jeszcze przez babkę Walerię zasady odeszły w zapomnienie. Rozalia łapała się za głowę, obserwując rządy swojej następczyni, ale zajęta innymi sprawami, nie miała czasu ingerować. Poza tym dom ostatecznie działał bez wypadków, bo na to, że obiad zwykle był spóźniony i mało wykwintny, nikt nie zwracał uwagi. Czasem przemknęło jej przez myśl, że nie widzi wnucząt, ale skoro o właściwej porze zawsze znajdowała je w łózkach, uspokajała się. Widocznie ktoś, może sam anioł stróż, objął nad nimi pieczę.

Prawdę mówiąc, Rozalia była spokojna aż do wypadku z pszczołą.

W trakcie obiadu Zosia była bardzo niespokojna. Jadła szybko i niedbale, a na wyraźne pytanie Rozalii, dokąd się tak spieszy, dziewczynka porzuciła łyżkę, ku zgrozie Wandy zeskoczyła z krzesła i pobiegła do babci.

– Staś obiecał, że jeśli zjem szybko, znów pójdziemy na...



– Aaaa! – rozwrzeszczał się w tym samym momencie Staś. – Pszczoła! Ugryzła mnie pszczoła!

Wszyscy, prócz Imrego, jak na komendę poderwali się z miejsc.

– Skąd tu pszczoła? – wołała Rozalia, na wszelki wypadek wymachując krochmaloną serwetą.

– Przez okno! Wleciała przez okno, babciu! – wrzeszczał Staś, biegając dokoła stołu.

– Gdzie cię użądliła? Pokaż! – dopytywała Antonina, próbując dopaść Stasia i obejrzeć obolałe miejsce.

– Pszczoła! Pszczoła! – Klaskała w ręce Zosia, która nie bardzo wiedziała, co właściwie się stało.

Wacław przykrywał kloszami owoce, Wanda w pośpiechu zamykała wszystkie okna, a Cesia, która weszła akurat z herbatą i stanęła oszołomiona w progu, odskoczyła gwałtownie przed Zygmuntem, który klepiąc się po głowie, w popłochu opuszczał jadalnię.

Emocje nieco opadły, gdy Staś zatrzymał się w końcu i zaczął z uwagą obmacywać twarz i szyję.

– Czy pszczoła użądliła cię w szyję? – zapytała Rozalia. – Puchniesz? Cesiu – zwróciła się do służącej – Biegnij no do Anieli po cebulę, szybko!

– Możesz oddychać, Stasiu? – niepokoila się Antonina.

– Mogę, proszę pani – odparł sucho Staś, po czym zwrócił się do Rozalii. – Ona chyba tylko koło mnie przeleciała, babciu...

– To znaczy, że nie użądliła cię? – Zmarszczyła brwi Rozalia.

– Raczej nie... To chyba dobrze, babciu, prawda? – Uśmiechnął się chytrze.

– Tak, bardzo dobrze – odparła powoli Rozalia i przyjrzała się chłopcu z zastanowieniem.

Takim samym badawczym wzrokiem, choć z innego powodu, zmierzyła Stasia Antonina.

Starsza pani Stalicka nie znosiła, gdy coś wymykało się jej spod kontroli. A tak ostatnio działo się w Przylipiu. Nie panowała nad decyzjami Antoniny, drażniła ją niesubordynacja Stasia i swawola Zosi. Dziewczynka uwielbiała macochę i skwapliwie wykorzystywała jej pobłażliwość. Na dodatek Zygmunt uciekł Alojzemu i korzystając z życzliwości przygodnego chłopa, furmanką dostał się do karczmy. Gdyby nie Danicki, piłyby tam na kredyt i nie wiadomo, czy wróciłby do domu. A jeszcze Godziewiczowa coraz częściej słabła, więc Antonina co drugi dzień rzucała wszystko i jechała do Sępina pielęgnować ciotkę.

W dodatku wokół Rozalii mnożyły się dziwne niedomówienia i sekrety, którym w ferworze zajęć nie mogła poświęcić wystarczająco dużo czasu i uwagi. Bała się, że majątek zacznie żyć w końcu własnym życiem, niekoniecznie zgodnym z jej koncepcją i na jej warunkach. Wyrzucenie Joanny, brak nowego nauczyciela, a tym samym swoboda dzieci i rozluźnienie dyscypliny zaczęły jej doskwierać, godziły w jej poczucie odpowiedzialności i spędzały sen z powiek. Wydarzenie z wymyśloną pszczołą uświadomiło jej, że przez większość dnia nie widuje dzieci i nie ma pojęcia, jakimi ścieżkami biegają. Cóż, że Zosia jest pod opieką niby rozsądnej Wandy, gdy pozbawiony nadzoru Staś wymyśla psoty i pokusy nie tylko dla siebie, ale i dla siostry.

Postanowiła te sprawy rozwikłać i gruntownie omówić w gabinecie syna. Bo Rozalia doskonale już wiedziała, że żadnej pszczoły nie było. Była za to tajemnica. Może głupia i bezmyślna, ale może groźna, więc w żadnym wypadku nie należy jej bagatelizować.

Zdeterminowana przekroczyła próg gabinetu i stanęła nad głową syna właśnie wtedy, gdy tkwił nad zawilóścią rachunków. Rozumiała ich wagę.

Rozumiała też ciche skupienie syna. Ale i ona stanęła w obliczu dylematu. Nie zamierzała rozwiązywać problemu sama, skoro dotyczył dzieci Edwarda. Czekwała cierpliwie i z godnością, jak zawsze, gdy miała coś ważnego do powiedzenia.

– Czy musimy wypalać aż trzy świece? – zapytała na wstępie, gdy tylko Edward zdążył oderwać się od pracy i zdziwić jej obecnością.

– Przecież pracuję, a mój wzrok nie jest już tak dobry, jak dawniej – wyjaśnił.

– Rozumiem. Ale teraz przestałeś pracować, możesz dwie zgasić, synu – zauważyła niby żartobliwie, lecz on wyczuł niezadowolenie w jej głosie. – Nie można być tak rozrzutnym, mamy trudne czasy – dodała.

Sama zdmuchnęła dwie świece, a lichtarz przeniosła bliżej fotela, w którym zagłębiła się z westchnieniem ulgi. Lubiła gabinet Edwarda, jego przytulny półmrok i lekko zwietrzały zapach amfory, którym przesiąkły ściany i wszystkie sprzęty w tym pomieszczeniu. Takim tytoniem pachniało ubranie jej męża, a woń ta utrzymywała się w szafie jeszcze długo po jego śmierci. W trudnych chwilach wtulała twarz w kłapy jego surdutów, poły kamizelek i wdychała dawną obecność.

Uśmiechem, którym obdarzyła syna, chciała złagodzić ostry początek rozmowy. Niestety, pierwszego wrażenia nie udało się już naprawić. Edward siedział skwaszony.

Zerknęła na stosik książek leżących na stoliku. Podniosła pierwszą z wierzchu i poruszając nieznacznie wargami przeczytała nazwisko autora.

– Mickiewicz. – Uniosła brwi. – Jego książki nie są na liście cara?

– Cóż z tego? – Najeżył się syn. – Tym, że się nie poddajemy, wzbudzamy gniew tych jego sługusów, ale czy nie jest to gniew bezsilności? Jedyne z naszego strachu rodzi się ich zuchwałość, zaciekłość. Niech sobie robią listy i likwidują biblioteki. Polska kultura nie zginie.

– Uważaj, Edwardzie. Oni kontrolują prywatne zbiory. Za posiadanie zakazanych książek możesz stracić wolność.

– Dla mnie nie ma książek zakazanych, bo ja z zakazami cara nie zamierzam się liczyć – uniósł się. – Jestem Polakiem, mam swój język, będę go używał. A moich dzieci nigdy nie dam do tej ruskiej szkoły. Będą uczyły się w domu. Niech to będzie pierwsza linia frontu w batalii o ich wolność.

– Powtarzam, uważaj, synu. To, co wydarzyło się w Paproci, niech będzie przestrogą. A skoro wspominasz o dzieciach, to posłuchaj, co mam ci do powiedzenia – podchwyciła.

Zmarszczył brwi.

– Co tam znowu? Staś był impertynencki? A może Zosia minęła się z dyscypliną?

– Nie o to chodzi – Rozalia obejrzała się na drzwi. – Nie chcę krytykować twojej żony...

– Ależ mama krytykuje ją od dnia naszego ślubu! – zawołał Edward.

– Bądźże ciszej – skarciła go. – Antonina...

– Mamo, bardzo proszę – przerwał kategorycznie. – Mieliśmy mówić o dzieciach, nie o mojej żonie.

– To się ściśle wiąże – skwitowała Rozalia i z godnością uniosła podbródek.

– No dobrze. O co chodzi? – zapytał z rezygnacją.

– Kończy się wrzesień. Antonina wyrzuciła Joannę, ponieważ ta romansowała z zalotnikiem Wandy...

– Naprawdę? – Szczerze zdumiał się Edward. – Mnie powiedziała, że Joanna buntowała dzieci przeciwko niej. I że nie spełniała oczekiwań, jeśli chodzi o nauczanie Stasia.

– Myśl, co chcesz. Może Antonina nie chciała zawracać ci takimi rzeczami głowy, a może Joanna robiła to wszystko naraz. W każdym razie jej już nie ma, ale nowego nauczyciela też nie. Staś się nie uczy. Zosia również. No i mamy jeszcze Imrego, za którego wzięliśmy odpowiedzialność.

– Przepraszam, że naraziliśmy mamę na zmartwienia – Edward złagodniał, zamknął jej dłoń w swoich i oblekł twarz w pełen skruchy uśmiech. – Proszę jednak nie traktować nas jak nierozumne dzieci. Rozmawialiśmy o tym z Antoniną. Pojedzie do Warszawy na początku października. Kilka tygodni temu pisała do znajomej. Jej brat jest guwernerem. Zgadza się przyjechać do Przylipia.

– Skoro się zgadza, po cóż ona tam pojedzie?

– Antonina sama chce ocenić, czy on się nada. Jeśli tak, na miejscu określi wszelkie warunki. Niech mama nie zamartwia się tak o wszystko, Antonina wie, co robić.

– Dobrze... – zgodziła się, choć widział, że jest trochę urażona. Wolałaby mieć wszystko na oku. – Jest jeszcze jeden kłopot, Edwardzie.

Pytanie i niepokój pojawiły się w jego oczach, lecz ona potrzebowała czasu, zbierała myśli, by ująć problem składnie i zrozumiale.

– Wydaje mi się, że Staś... On nie ma teraz nad sobą żadnej kontroli. Pozostaje całkowicie bez nadzoru. Co gorsze, Antonina zabrała do pomocy w kuchni Wandę, więc i Zosia nie ma opieki.

– Taki czas – rzekł zafrasowany Edward. – Antonina zajęłaby się nią, ale musi jeździć do chorej ciotki.

– Wiem i rozumiem. Chcę ci tylko powiedzieć, że Zosią zaczął zajmować się Staś!

Na twarzy Edwarda wykwitł uśmiech pełen ojcowskiej dumy.

– Naprawdę? – ucieszył się. – To pięknie. Jutro go pochwałę.

– Moim zdaniem nie ma za co – zareagowała chłodno Rozalia. – On ją wodzi gdzieś na manowce, nie wiadomo dokąd prowadzi. Wciąż gdzieś znikają. Boję się, że coś złego z tego wyniknie...

– Przesada, mamó – skrzywił się Edward. – Proszę spojrzeć na chłopskie dzieci. Praktycznie wychowują się same.

– Chłopskie dzieci, Edwardzie – westchnęła i zgorziona tym porównaniem pokręciła głową. – Chłopskie dzieci... Widzisz synu, z Elizą porozmawiałabym o tym, bo ona nie złościła się, gdy zwracałam jej uwagę, ale Antonina...

– Antonina umie bronić się przed mamą. A Eliza... Też się złościła – rzekł ze smutkiem. – Złościła się. Tylko ona była jak drzewo, mamó.

– Jak drzewo – powtórzyła Rozalia, wzruszając ramionami. – O czym ty mówisz?

– A tak. Przyjmowała to wszystko do serca. A potem oddawała czyste powietrze za truciznę.

Rozalia wbiła wzrok w twarz Edwarda. Tkwiła tak w milczeniu, zastanawiając się nad jego słowami.

– Mój Boże... Przepraszam – powiedziała w końcu, a on wiedział, że nie kierowała tych słów do niego. Ścisnęła mocno jego dłoń, wstała z miejsca i poruszona do głębi, opuściła gabinet.

**K**osze jabłek i gruszek czekały w sieni i roznosiły po całym domu niebiański zapach. Przy wielkim dębowym stole siedziała Wanda i sztuka po sztuce zawijała owoce w bibułkę, podawała je Zosi, a przejęta dziewczynka układała je ostrożnie w wyłożonych sianem skrzynkach. Była skupiona na swojej pracy, ale mimochodem przysłuchiwała się wszelkim radom babci Rozalii dotyczącym zimowych zapasów.

Od czasu do czasu przybiegali z leszczynowego zagajnika Waław albo Alojzy. Wysypywali zebrane orzechy na rozpostartą w kuchennym kącie płachtę, przy okazji chwyтали skrzynki z owocami i wynosili je do ciemnej, chłodnej i nieprzewiewnej spiżarni.

– Kaziu, pamiętaj, żeby regularnie przeglądać owoce i wyrzucać wszystkie nadgniłe sztuki – przypominała Rozalia.

– Dobrze, proszę pani – Kazia uśmiechnęła się ze zrozumieniem, bo od lat zajmowała się owocową spiżarnią.

– Jabłka są delikatne, potrzebują uwagi, jeśli mają nas cieszyć przez całą zimę – przestrzegała, jak każdego roku, Rozalia.

– Tak proszę pani – odpowiadała niezmiennie Kazia.

Tymczasem przebierała orzechy, odrzucała robaczywe, a te, które leżały już kilka dni i zdążyły wyschnąć, wsypywała do pękatych butli, zamykała

je szczerze i wynosiła do małej przykuchennej spiżarni. Był tam niewielki lufcik, z którego cieniutka wiązka światła ledwo oświetlała warkocze czosnku i cebuli, pozostawiając w bezpiecznym półmroku tłoczące się na półkach słoje z suszonymi grzybami i owocami.

Aniela co i rusz pokonywała strome schodki wiodące do piwnicy, gdzie Kajetan przesypywał suchym piaskiem warzywa. Każdy gatunek należało oddzielić, dlatego kucharka wolała osobiście doglądać jego pracy.

– Pańskie oko konia tuczy – mówiła zasapana, gdy wracała do kuchni. Tutaj przygotowywała zapas jaj, które miały przetrwać aż do wiosny. Układała je w głębokich glinianych misach i zalewała gaszonym wapnem. Tłumaczyła przy tym zaintrygowanej Zosi, że nie trzeba będzie rozbijać misek młotkiem. Wystarczy rozpuścić wapno wodą.

Wiesia, której przypadło w udziale zająć się obiadem, przyprawiła już mięso, lecz zanim przyniosła włoszczyznę, zabrała się za rozpalanie ognia w kuchennym piecu. Zaszleściły gazety.

– Wieśka, już ja wiem, co to znaczy – uniosła się Aniela. – Znow zaczynasz czytać!

– Nie będę czytać – broniła się Wiesia. – Szykuję papier na podpałkę.

– No, pamiętaj! – Aniela pogroziła jej palcem, odstawiła ostatnią misę z jajami i poszła skontrolować robotę Kajetana.

Przez chwilę w kuchni panowała cisza, by za moment spod pieca dało się słyszeć niewyraźne biadolenie Wiesi.

– So tam? – odezwała się Kazia. – Nie ma Anieli, mozes sytaś na głos.

– A to złodziej – burknęła Wiesia. – Słuchajcie: *Ze sklepu Abrama Lajzera skradziono czterdzieści świec, dziesięć funtów herbaty, krochmalu...*

– Ile krochmalu? – zainteresowała się Kazia



– Nie wiem, nie napisali – Wiesia przysunęła gazetę bliżej oczu. – Czy to ważne, ile?

– Nie, sytaj dalej...

– *Trzydzieści pudełek sardynek, pięć funtów czekolady i gotówkę ze sklepowej kasy.*

– Ja bym wzięła pięć funtów herbaty, a ziesięć czekolady – zauważyła trzeźwo Kazia.

– Ja też lubię czekoladki – podchwyciła zachwycona Zosia.

– Nie słuchaj tego, Zosiu – zwróciła jej uwagę Wanda. – To bardzo brzydko kraść. A ty – rzuciła do Wiesi – nie musisz czytać o takich rzeczach przy dziecku.

– Nie muszę – zgodziła się Wiesia i zaraz zawołała podekscytowana: – Tutaj są wskazówki dla gospodyni!

– To sytaj, tylko prędko! – ucieszyła się Kazia.

– *Na obiad codzienny radzimy podać rosół barani z kartoflami, sztukę baraniego mięsa z sosem pomidorowym i kapustę faszerowaną. A jeśli kto baraniny nie je, można podać barszcz z pierogiem mięsnym, befszytk z chrzanem, kluski francuskie, do nich kurczę ze śmietaną, a na deser leguminę z sago...*

– Aniela izie! – zawołała Kazia.

Wiesia zgmiotła gazetę w kulę i wrzuciła ją do pieca.

– A nie, nie izie – Kazia podeszła pod drzwi, uchyliła je nieco i ostrożnie wyjrzała do sieni. – Mozes sytaś.

– Kiedy gazety już nie mam – zmartwiła się Wiesia.

– To weź drugą – wzruszyła ramionami Kazia.

Znów zaszeleścił papier.

– *Stan pogody na siódmego października tysiąc osiemset trzydziestego szóstego roku* – przeczytała. – *Ciepłomierz wskazuje czternaście stopni w ciągu dnia. Wieczorem i w nocy kilka razy deszcz...*

– Po co to czytasz? Przecież tak było trzy dni temu – odezwała się Wanda.

– Bo tu tak ładnie napisali – rozmarzyła się Wiesia: – *Radzimy wziąć palto jesienne i parasol...* To tak, jakby ktoś troszczył się o ciebie: weź, ukochana, jesienne palto i parasol...

– Sentymenty – parsknęła Kazia. – Psesytaj soś innego.

– Bardzo proszę: *Młody nauczyciel...*

– Wieśka! – szepnęła ostrzegawczo Kazia, ale było już za późno. W progu stanęła Rozalia.

– No, czytaj, czytaj dalej – zażądała ku zaskoczeniu wszystkich i zamieniła się w słuch.

– *Młody nauczyciel...* – powtórzyła niepewnie Wiesia i zerknęła ze zdziwieniem na panią Stalicką. Pewnie ją prowokuje, a za chwilę udzieli reprimendy...

– Czytaj, Wiesiu – ponagliła Rozalia.

– *Młody nauczyciel z wyższym patentem i gruntowną znajomością języka francuskiego poszukuje lekcji lub korepetycji. Oferty przyjmuje kantor Kuriera...*

– No właśnie... Podaj mi tę gazetę – wyciągnęła dłoń Rozalia.

– Ale to sprzed trzech dni... – bąknęła Wieśka.

– Nic nie szkodzi. Podaj mi ją, proszę – powtórzyła Rozalia, po czym, z gazetą w ręku, pospiesznie wyszła z kuchni.

Wprawdzie był to czas pracy Edwarda nad rachunkami, lecz Rozalia nie zawahała się jej przerwać. Wtargnęła do gabinetu syna i tryumfalnie

potrzęsnęła gazetą.

– O, masz i czytaj – rzekła z satysfakcją. – Jeśli ja się czymś nie zajmę, mogę mieć pewność, że to nie będzie zrobione. Musisz sam napisać do redakcji, bo Antonina... – zerknęła na Zosię, która nie wiadomo dlaczego wypełzła nagle zza biurka ojca. – Bo Antonina ma i tak dość zajęć, więc pewnie nie znajdzie czasu, by pojechać do Warszawy. – Zakończyła tyradę znacznie łagodniej, niż zamierzała.

– Właśnie się pakuje, mamó – odparł spokojnie Edward, nawet nie patrząc na gazetę. – Jutro z samego rana Anatol odwiezie ją do miasteczka na dyliżans pocztowy.

– Nic nie mówiła. – W głosie Rozalii zabrzmiała ni to pretensja, ni zawód. Znów coś działo się poza jej wiedzą.

– Mówiła – rzekł z naciskiem Edward. – Od tygodnia przecież o tym mówi.

– Przypuszczam, że tylko tobie – zauważyła kwaśno Rozalia.

– Być może – odparł chłodno i spojrzał znacząco na córkę. Nie chciał przy niej powiedzieć za dużo.

– Dobrze, w takim razie to już nieważne – Rozalia złożyła starannie gazetę, chociaż i tak przeznaczona była na podpałkę. – Co tu robi Zosia? – zapytała.

– Przyucza się do prowadzenia rachunków – odparł Edward i potarł włoski małej. – Całkiem sprawnie jej to idzie, prawda, Zosiu? – zagadał wesoło. – To bardzo inteligentna młoda kobieta – dodał z zadowoleniem. – Ale kończymy na dziś, córeczko. Możesz iść, pomóc Wacławowi przy orzechach – zwrócił się do niej.

– Staś i Imre mu pomagają – zaszczębiotała Zosia. – Ja byłam z Wandą w kuchni.

– No więc wróć tam – zaproponowała Rozalia. – W kuchni jest dla dziewczynki więcej zajęć niż przy biurku ojca.

Wspólna sypialnia, za którą Edward tak zawsze tęsknił, tonęła w półmroku. Ciepły, złotawy blask świecy kładł się na twarzy Antoniny i odbijał jej niewyraźny obraz w lustrze toaletki. Na ścianę padały ruchliwe cienie, gdy oprawioną w srebro miękką szczotką rozczesywała włosy. Edward patrzył, jak piętrzyły się i opadały na szczupłe ramiona kaskadą miedzianozłoty, wzburzonych loków.

Czekał.

Po sypialni rozszedł się różany zapach. Antonina kropla po kropli muskała perfumowaną wodą nadgarstki, szyję i dekolt. A potem długo wcierała w dłonie cytrynowy olejek wybielający.

Edward czekał.

A ona ociągała się, zwlekała i odsuwała w nieskończoność chwilę, której tak pragnął. Wziąć ją w ramiona, przygarnąć ze wszystkich sił do rozgrzanego namiętnością ciała, poczuć jej zapach, jej miękkość i usłyszeć oddech szybki, coraz szybszy...

– Co to? – odezwała się znienacka szeptem, obróciła głowę w kierunku drzwi i zaczęła nasłuchiwać.

On nie słyszał nic poza cichutkim szmerem ściennego zegara.

– Wydawało ci się, kochanie. Zgaś świecę i chodź wreszcie.

– Za chwilę. Sprawdzę, czy spakowałam swój podróży notes z adresem Marysi, siostry tego guwernera – wyjaśniła, podnosząc głowę znad walizki.

– Dobrze – westchnął.

– Jest. – Zaszleściły kartki. – Inne potrzebne adresy też są... A wiesz, że ona mieszka niedaleko kuzynki Eulalii? Przy tej samej ulicy.

– Wiem, mówiłaś o tym. – Edward zerknął na zegar. Wskazywał kwadrans po dziesiątej.

– Odwiedzę ją. Zapraszała mnie, gdy była tu ostatnio. Powiedziała, że jeśli tylko będę w Warszawie...

– Odwiedź, to będzie ładny gest z twojej strony. A teraz pospiesz się, już późno.

– Schowam tylko notes. Jestem podekscytowana tą podróżą. Dawno nie wyjeżdżałam... Co to było? – Spięła się nagle. – Ktoś skrada się pod drzwiami.

– Wydaje ci się – Edward ziewnął i niecierpliwie poprawił poduszkę.

– Ktoś tam jest na pewno. – Upierała się. – Niczego nie słyszysz, Edwardzie?

– Nie.

Wtedy ktoś nacisnął kłamekę.

Edward wstał z łóżka i energicznie podszedł do drzwi. Przekonany, że Zygmunt znów błąka się po korytarzach i nie może trafić do siebie, gwałtownie przekręcił klucz.

Za progiem stała Zosia. W białej, obszytej koronkową falbanką koszuli, z niesfornie rozrzuconymi włosami, wyglądała jak mała zjawa. Jej wielkie oczy błyszczały nienaturalnie.

– Boję się – powiedziała.

Nie płakała. Nie histeryzowała i nie robiła żadnych gwałtownych ruchów, jak zwykle, gdy chciała okazać, że coś bardzo jej się nie podoba. Po prostu stała. Z trzęsącym się podbródkiem, twarzą szarą jak papier i oczami okrągłymi z przerażenia.

– Czego się boisz? – zapytał zatroskany Edward i chcąc ją przytulić, wyciągnął do niej rękę.

Nawet nie spojrzała na ojca. Odrzuciła go bezwiednie i plaskając bosymi stopami po podłodze, płacząc się w przydługiej koszuli, pobiegła do Antoniny. W ramionach kobiety poczuła się bezpieczniej, więc przylgnęła do niej całym drobnym ciałkiem i westchnęła spazmatycznie.

– Mamusiu – wyszeptała.

Zanim padły pierwsze pytania, Zosia została utulona i wycelowana. Antonina była oszczędna w okazywaniu uczuć, ale do swojej przybranej córeczki miała słabość. Kiedy więc ramiona dziewczynki przestały zaciskać się na jej szyi i dygotać ze strachu, zapytała:

– Co się stało, kochanie? Kto cię tak przestraszył?

Zosia zacisnęła usta w cienką kreskę i pokręciła przecząco głową.

– Nie chcesz mówić?

Znów ta milcząca odmowa.

– A gdzie Wanda? – zainteresował się Edward.

– Śpi – odparła krótko dziewczynka.

– Dlaczego więc jej nie obudziłaś, tylko przyszałaś aż tutaj? – zapytał.

– Chciałam do mamusi – bąknęła i znów przywarła do Antoniny, która wymieniła z Edwardem znaczące spojrzenie.

– Dlaczego nie chcesz nam powiedzieć, co się stało? – ponowił próbę Edward.

Zosia wbiła w niego wzrok i trwała w cichym uporze dobrą chwilę, zanim wyznała:

– Staś nie pozwolił.

Antonina spojrzała na męża. Odwzajemnił spojrzenie. Wynikało z niego jasno, że Edward rozprawi się nazajutrz z synem i od niego dowie się wszystkiego. Postanowiła zatem nie męczyć Zosi, tylko zanieść ją

z powrotem do łóżka. Na tę propozycję dziewczynka rozkrzyczała się, jakby odzieraną ją ze skóry.

– Niiieeee! – wołała zrozpaczona i przerażona zarazem. – Nie chcę! Tam siedzi wiedźma!

– Jaka znów wiedźma? – chciał wiedzieć poirytowany Edward. Zosia dotąd nie ulegała żadnym lękom. Domownicy, cała służba, wszyscy mieli zakaz opowiadania tego typu bajek. – Jaka wiedźma? – wypytywał, gdy tymczasem Antonina mocno tuliła dziecko.

Nie minęło nawet pięć minut, gdy w drzwiach stanęła zafrapowana Rozalia, a zaraz za nią stropiona i zasnana Wanda.

– Co za wiedźma? – dociekał tymczasem Edward.

– Cmen-tar-na! – wydusiło dziecko, zanosząc się od płaczu.

Poza krzyczącą Zosią wszyscy milczeli. Rozalia obrzuciła skonsternowaną Wandę pytającym spojrzeniem, lecz ona tylko rozłożyła bezradnie ręce i pokręciła głową. Panująca wokół cisza uspokoiła dziewczynkę. Oparła mokrą i zaczerwienioną twarzą o ramię Antoniny i wodziła po wszystkich załzawionymi oczami, które zmęczone, zaczęły kleić się do snu. Jej drobnymi ramionkami wstrząsał urywany oddech.

– Usiądźmy – odezwała się ze zwykłym spokojem Rozalia i zajęła stojący najbliżej niej fotel. – Wando, proszę, zabierz Zosię do łóżka.

– Nie chcę – zaprotestowała mała, choć już znacznie spokojniej, i wczepiła się paluszkami we włosy Antoniny.

– Nie marudź, Zosiu – podniosła głos Rozalia. – Czas spać. I nie ma żadnych wiedźm. To wszystko przyśniło ci się. – Po czym zwróciła się do Wandy: – Na co czekasz? Zabierz dziecko i połóż ją spać. I nie pozwól jej na żadne fanaberie.

Kiedy Wanda z pochlipującą Zosią zniknęły za drzwiami, Rozalia obrzuciła szybkim spojrzeniem przygotowane do drogi bagaże.

– A więc jedziesz, Antonino – stwierdziła.

– Tak.

– To dobrze. Ale pamiętaj, zanim zatrudnisz tego nauczyciela, wybadaj, czy jest konsekwentny i czy ma twarde zasady. Bo takich właśnie potrzebuje Staś. I jak się okazuje, Zosia.

– Mamo, nauczyciel przede wszystkim musi mieć wiedzę – zaoponowała Antonina.

– Wiedzę – pokiwała głową Rozalia. – Dobry nauczyciel, to mądry nauczyciel. A mądry prócz nabytej wiedzy ma własny rozum. Dziećmi trzeba mądrze pokierować, bo coraz bardziej pstro mają w głowach.

– Jak to dzieci w tym wieku – wtrącił Edward.

Rozalia zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

– Imre nie jest taki – zauważyła. – On już wiele rzeczy zrozumiał... A wracając do Zosi, wiem, kogo nazywają wiedźmą cmentarną – dodała nieoczekiwanie. – Lepiej dowiedz się od Stasia, Edwardzie, po co zaciągnął siostrę na cmentarz. A ty, Antonino, kiedy planujesz wrócić z Warszawy? – Spojrzała z kolei na synową.

– Za pięć dni – odparła Antonina.

– Dobrze, za pięć dni.



Jesień dawno nie była tak ładna jak tego roku. Edward okrążał niespiesznie pola, na których właśnie zazieleniła się ruń, dopełniając barwnych krajobrazów malowanych złotem i czerwienią. Październik, a na polance, tej bliżej jeziora, Poldek znalazł jeszcze wysoką trawę. Kosił ją zapamiętale, bo lubił przed zamknięciem stajni rozpieścić konie wiązką świeżej wiechliny. Niedługo przyjdzie jego ulubieńcom tęsknić za nią aż do wiosny.

Dzikie gęsi zamykały kluczem niebo. Był jakiś porządek w równym szyku zapóźnionych skrzydlatych podróżników. Ale płynęła też melancholia z opuszczonych gniazd, milknących koron drzew i z osamotnionych zarośli.

Na kartoflanych polach wśród równo zaoranych bruzd spacerowały gawrony. Po sterczących łątach, pełnych koszach, skrzypiących wozach i siwym dymie ognisk, w których pieczono świeżo wykopane ziemniaki, nie było już śladu.

Czas wracać – pomyślał Edward. Wzdrygnął się od podmuchu chłodnego powietrza i spojrzął na słońce. Nie grzało tak jak latem. Osnute mgłą zostawiało purpurowy ślad, przesuwając się za linię horyzontu.

Właściwie nie miał do czego się spieszyć. Antonina od trzech dni bawiła w Warszawie. Zabrała z sobą ciotkę Karolinę, żeby lekarz z miasta

osłuchał jej serce. Może będzie miał lepszy sposób na poprawę zdrowia Godziewiczowej niż miejscowy doktor?

Edward minął siedzących na ganku Stasia i Imrego, poklepał psy i ruszył do kuchni. Ucieszył się, że zastał tam matkę, bo miał zamiar poprosić ją o butelkę czerwonego wina na samotny wieczór.

Rozalii towarzyszyła Zosia, która z ciekawością śledziła każdy ruch babci, wahała zawartość szufladek z przyprawami, i powtarzała za nią półgłosem ich nazwy: cynamon, wanilia, goździki, pieprz... Wanda i Wiesia siedzące na ławie pod oknem nuciły w zgranym duecie:

*Żebyś ty chmielu na tyczki nie laźł,  
nie robiłbyś ty z panienek niewiast.*

*Oj, chmielu, oj, nieboże,  
niech ci Pan Bóg dopomoże,  
chmieluuu, nieboże.*

*A że ty, chmielu, na tyczki leziesz,  
Naszej Kasieńce wianek odbierzesz.*

Ich zręczne palce wyłuskiwały ze strąków ziarna fasoli, które szeleściły kojąco, spadając na rozłożone przed nimi białe płótno.

Kazia omiatała gęsim skrzydłem ostygłe fajerki, czyściła garnki, wybierała popiół z pieca. Aniela zaś cedziła przez czyste płótno mleko z wieczornego udoju. Edward zajął krzesło przy świeżo wyszorowanym stole i z leciutkim uśmiechem oglądał ten niczym niezmacony, krzepiący obrazek. Za oknem ciemniało i czas było zapalić świece, nikt jednak nie chciał zakłócać harmonii szarej godziny.

Drzwi skrzypnęły cichutko i do środka wsunął się Zygmunt. Z przepraszającym uśmiechem zatrzymał się niedaleko wejścia i powiódł

po wszystkich nieprzytomnym spojrzeniem. Aniela, mamrocząc pod nosem, zdjęła z półki fajansowy kubek, zaczerpnęła mleka z kanki i podała mu bez słowa. Przysiadł z tym kubkiem na ławie i popijając napój drobnymi łykami, zasłuchał się w śpiew dziewcząt.

Nagle za oknem podniósł się tumult. Przez zaciekle ujadanie psów przedarł się czyjś przerażony krzyk. Pchnięte gwałtownie drzwi z głośnym trzaskiem odbiły się od ściany. Po chwili do środka wpadł Staś, a zaraz za nim Imre.

– Rusczy!! – krzyczeli jeden przez drugiego. – Są tutaj!

Za oknem majaczył zarys podrygujących w miejscu koni, na nich sylwetki dwóch żołnierzy. Pozostali dwaj już byli w kuchni. W jednym z nich Edward rozpoznał funkcjonariusza miejscowej policji.

– Schowaj się – szepnął Staś i popchnął Zosię w kierunku stołu. Stał pod nim sagan, w którym Wiesia gotowała każdego ranka kartofle dla świń i kaczek. Za nim właśnie ukryła się przerażona dziewczynka. Na wysokości oczu miała nogi żandarma obute w wysokie sapogi.

– Stalicki! – wrzasnął żandarm. Edward wyprostował się jak na komendę, a Rozalia poczuła jak uchodzi z niej cała krew.

To za te zakazane książki – przemknęła przez jej głowę paraliżująca myśl. – Spalą Przylipie... Twarz jej poszarzała ze strachu. Czuła to, chociaż w półmroku nikt nie mógł nic zauważyć.

– Stalicki Zygmunt! – rzucił żandarm.

Wszyscy spojrzeli teraz na wuja. Ten nadal siedział na ławce, zupełnie nieświadom, co się dzieje. Na dźwięk swojego imienia uśmiechnął się łagodnie i pokiwał głową. Od napięcia zgęstniało powietrze. Dopiero stojąca obok Wiesia chwyciła Zygmunta za łokieć i potrząsnęła nim lekko.

– Panie Zygmuncie... – szepnęła cichutko, lecz w naprężonej emocjami ciszy te słowa wybrzmiały jak huk górskiej lawiny i przyciągnęły

uwagę żandarma. Natychmiast wlepił w Zygmunta zwężone nienawiścią oczy i uderzył szpicrutą o podłogę.

Miejscowy policjant spoglądał to w sufit, to na swoje buty, jakby nie chciał brać w tym wszystkim udziału. Dopiero na wyraźny rozkaz rozwinął złożony na cztery dokument i odczytał nakaz aresztowania. Wynikało z niego, że cenzura przechwyciła wysłane do „Gazety Polskiej” wiersze Zygmunta Stalickiego. A te godziły w dobre imię Carskiej Rosji, siały propagandę i zachęcały do buntu.

Rozalii pociemniało w oczach, aż się zachwiała. Nie zrobił tego Zygmunt. Odkąd zapadł na tę dziwną chorobę, niczego nie napisał. Chciałaby o tym powiedzieć, ale oni przecież nie będą jej słuchać. Za chwilę zrobią to samo, co z Paprocią. Spalą Przylipie, a ich pozabijają...

Sięgnęła po dłoń Edwarda i ścisnęła ją mocno. Odpowiedział równie mocnym uściskiem.

– Wpiered! – warknął żandarm i szturchnął Zygmunta szpicrutą. – Pajechali!

Zygmunt spojrział na Rozalię, bo w chwilach bezradności zawsze u niej szukał oparcia. Sparaliżowana strachem nawet nie drgnęła. Brak reakcji zrozumiał po swojemu, dlatego najspokojniej w świecie powrócił do picia mleka.

Żandarm się wściekł. Uniósł szpicrutę i zaczął okładać nią Zygmunta po głowie, po ramionach i po twarzy.

– Swołocz! – ryczał. – Polskaja sobaka! Swinja!

– Nie bij! – zapiszczała nagle Zosia. Opuściła kryjówkę pod stołem i teraz krzyczała, uczepiona munduru żandarma. – Nie bij!

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, odepchnął ją nogą jak kundla. I jak kopnięte szczenię ze skowytem potoczyła się po podłodze, uderzając plecami o kredens. Natychmiast przypadł do niej Staś, wtulił jej twarz

w swoje kolana i błagał, żeby przestała krzyczeć. W tym samym momencie do umysłu Zygmunta coś chyba dotarło, bo znienacka chlusnął mlekiem żandarmowi w twarz. Rozjuszony do granic możliwości Rosjanin jednym ruchem wyszarpnął z kabury broń i z odległości nie większej niż długi krok, strzelił w pierś Stalickiego. Potem schował pistolet, z wyrazem obrzydzenia przeciągnął otwartą dłoń po splamionym krwią i mlekiem mundurze i wyszedł zamasyście. Policjant, nie oglądając się na nikogo, pospieszył za nim.

Nie rzucili ognia. Nie zabili ujadających psów ani strwożonego Kajetana. Nie opluli drzwi. Odjechali.

Ciszę, jaką pozostawili, przerywało jedynie chrapliwe bulgotanie krwi w gardle Zygmunta. Dźwięk powtarzał się przy każdej próbie oddechu.

Po pewnym czasie i on ustał.

Poprosili do Zygmunta Olechnę. Przyszła, lecz nie była tak dokładna jak sześć lat temu, gdy układała do trumny najpierw babkę Walerię, a później Elizę. Owszem, lustra kazała w całym domu zasłonić i świece palić w pokoju, gdzie odprawiano żałobne modlitwy, ale nie przestrzegą tak bardzo rytuałów zniechęcających duszę do powrotu.

– I czego miałby tutaj szukać? – mówiła z sarkazmem. – Wraca ten, za którym się tęskni, a tego biedaczyny kto tu będzie żałował? – Patrzyła przy tym na Rozalię i na Edwarda jak na winowajców.

– Olechna niech nieboszczykiem się zajmie, nie żywymi – burknęła pani Stalicka, wetknęła jej do ręki parę groszy, kawał sera, osełkę masła i podziękowała za usługę.

– Na wszelki wypadek posadźcie jarzębinę koło domu – szepnęła poufale na odchodnym. – Odpędza złe moce i duchy.

Danicki, który przyjechał następnego dnia, dotknął zimnej dłoni Zygmunta i rzekł zagadkowo:

– No i tajemnicę do grobu zabierzesz, stary cwaniaku, co?

– To już nie nasza sprawa – Edward uniósł w nieznacznym uśmiechu kącik ust. – Niech sam się dogada z Zawiorstą w zaświatach.

Stuk, stuk... echo roznosi się po pustym korytarzu. Zosia nie widzi nikogo, tylko wysokie sapogi, z których wylewa się krew. Po ścianach przesuwa się cień, który wyciąga do przodu rękę z fajansowym kubkiem. Ten kubek staje się coraz większy i większy.

– Mleko! – dudni głos żandarma, jakby wydobywał się spod ziemi. – Mleko! – po chwili coś chrapliwie bulgocze i pieni się czerwono jak krew w gardle wuja Zygmunta.

– Nie bij! Nie bij! – krzyczy Zosia i budzi się, bo ktoś ją mocno tuli, kołysze i uspokaja.

– Mamusia – szepcze dziewczynka, dygocząc z przerażenia.

– Nie, to ja, Wanda. Śpij, kochanie, to był sen, tu nikogo nie ma...

– Antonina nie wróciła z Warszawy – oznajmiła Rozalia, przekroczywszy próg gabinetu syna. – Miała tam spędzić pięć dni, a nie ma jej prawie dwa tygodnie.

Edward, oderwany od rachunków, powoli wyprostował się na krześle i rozluźnił mięśnie, wyciągając w górę ramiona. Potem sięgnął po fajkę, ubił tytoń i zapalił.

– Wiem, mamó – rzekł i zaciągnął się dymem. Zapachniało słodkawo. Rozalia lubiła ten aromat przypominający ni to suszone śliwki, ni rodzyunki. – Ja również się martwię. Wczoraj wysłałem konie do Sępina, żeby sprawdzić, czy Godziewiczowa wróciła.

– I co? – żywo zainteresowała się Rozalia. – Nie wróciła... Na pewno nie – machnęła ręką. – Przecież byłaby już w Przylipiu i opowiadałaby te swoje ploteczki.

– No właśnie... – Edward potarł czoło zafrasowany. – Napisałem list do Eulalii, może coś wie. Czekałem na odpowiedź, cóż mi pozostało?

– Ale co mogło je zatrzymać? – zastanawiała się głośno Rozalia. – Co mogło się stać? Zosia tęskni i desperuje. Wanda mówiła, że co noc budzą ją koszmary. Staś się nie uczy. No i ten Imre też potrzebuje nauczyciela, Edwardzie.

– Wiem – zasępił się. – Co więcej mogę zrobić? Pojechać do Warszawy? Szukać ich?

– Na to się nie zgadzam – zaprotestowała kategorycznie. – Pojedziesz i też zapadniesz się pod ziemię. A ja wolałabym nie zostawać tu teraz sama, wiesz, jak niespokojnie się zrobiło.

– Nie pojedę – uspokoił ją. – Poczekajmy jeszcze, może jutro przyjadą albo Eulalia coś napisze.

– Może... – westchnęła.

Przez chwilę trwali w milczeniu. Szeptanie zegara, melodia wiatru za oknem, chrzczenie tytoniu w fajce, wszystkie te dźwięki wypełniały wnętrze gabinetu, towarzyszyły ich zadumaniu.

– Jak myślisz – odezwała się przyciszonym głosem Rozalia. – Te wiersze, za które zginął Zygmunt, to czyje?

Edward nie odpowiedział. Zagapił się w białą ścianę, na której odżyły nieproszone wspomnienia. Nie lubił Zygmunta i nieraz dawał temu wyraz. Ale ostatnia scena z życia wuja, bezradne spojrzenie mętnych, nic nierozumiejących oczu, nieśmiały i ufny uśmiech chorego człowieka, wreszcie niezasażona, śmiertelna kula, wryły się mu ostro w pamięć. Bolały. Żal zdławił mu gardło, potrząsnął sumieniem.

- Jak myślisz? – powtórzyła Rozalia. – To Joanna?  
– Nikt inny u nas wierszy nie pisał – odrzekł w zamyśleniu.

Gdyby nie ulewa, bębnienie o szyby grubych jak groch kropli, gdyby nie zajmująca lektura, Edward usłyszałby może turkot kół na dziedzińcu. Nie słyszał, więc gwałtowne kołatanie do okna przerwało mu czytanie *Czerwonej Oberży* Balzaca. Zaskoczony, poderwał się z fotela. Było już późno, służba dawno udała się na spoczynek, a on jeszcze w gabinecie, w dziennym stroju, jakby w środku nocy spodziewał się czyjejs wizyty.

Zdmuchnął świecę, po czym ostrożnie i lękliwie uchylił firankę. Niepokój, dotychczas tłumiony przez dumę, coraz zachłanniej opanowywał mu duszę. Teraz bał się carskich władz, żandarmerii, zdrajców i szpiegów. Od wypadku z Zygmuntem nie wrócił już spokój do Przylipia.

Na dworze panowała ciemność. Strugi deszczu zalewały szyby, zamazywały obraz. Edward dostrzegł jedynie jakiś ruch, być może ktoś niecierpliwie wymachiwał rękami.

– Antonina? – szepnął do siebie. Nadzieja rozbudziła jego serce, ośmieliła, zagrzała do działania. Wyżły w holu wydawały się czymś podekscytowane, ale nie szczeakały, co utwierdziło go w przekonaniu, że się nie myli. Jest więc nareszcie, przyjechała! Trzeba obudzić Wacława, żeby zniósł do domu bagaże, i Józię, niech przyniesie gorącą herbatę, przygotuje wodę do mycia...

Odrygłował drzwi.

Fala zimnego deszczu wpadła do sieni wraz z wiatrem, omiotła mu nogi, rzeźwiąco musnęła twarz. Dwie postaci w ociekających wodą pelerynach, z twarzami ukrytymi w kapturach, wsunęły się do środka. Obie tuliły do piersi niewielkie tłumoczki. Niemal w tym samym momencie jakiś



mężczyzna, mruknąwszy coś niezrozumiale, postawił w progu sieni dwie pokaźne walizy, po czym zniknął w ciemnościach.

– Malwina... – szepnął poruszony, gdy drobniejsza z postaci zsunęła kaptur. Między mokrymi kosmykami włosów, które oblepiały jej twarz, znalazł przenikliwe spojrzenie. Patrzyła dziwnie, iskrząco i zielono.

Psy popiskiwały radośnie, kręciły się niespokojnie wokół jej nóg. Poznały ją i najchętniej skoczyłyby na jej ramiona, przywitały szorstkimi językami. Były tak przejęte, że na drugiego przybysza nie zwracały najmniejszej uwagi.

– Przejdźcie do holu – polecił Edward, kryjąc zmieszanie. – Obudzę służbę.

Rozalia nie spała jeszcze. Wsłuchując się w deszczowe werble, rozpamiętywała najazd carskich żandarmów, śmierć Zygmunta, zastanawiała się nad bezpieczeństwem Antoniny, które należy jej zapewnić, gdy wreszcie wróci z Warszawy. Rozmyślania te przerwał niespodziewany dźwięk. Nie mogła się mylić, był to skrzypliwy odgłos i trzaśnięcie zewnętrznych drzwi. Zaniepokojona, narzuciła na nocną koszulę peniuar i wyszła na korytarz. Strumień nikłego, rozedrganego światła płynący z holu utwierdził ją w przekonaniu, że nie uległa złudzeniu. Ktoś tam był.

Strach i ucisk w okolicy serca kazał jej zwolnić. Pociemniało jej w oczach, więc zachwiała się i oparła o ścianę. Zapragnęła ciepłego łóżka i naparu z suszonych korzeni waleriany, które piła na wypadek nerwowych sytuacji i kołatania serca. Kilka głębokich oddechów pozwoliło jej wrócić do względnej równowagi. Mimo lęku musiała pójść dalej, sprawdzić, kto kręci się po domu w środku nocy.

Obecność Edwarda w holu nieco ją uspokoiła.

W pierwszej chwili nie poznała Malwiny. Jej uwagę przykuł wysoki i chudy młodzieniec z jasnymi, nastroszonymi, prawie żółtymi włosami.

Sięgały ramion i otaczały jego głowę splątana aureolą. Jednak ostro patrzące zza szkieł binokli zielono-szare oczy nadawały mu raczej wygląd przyczajonego rysia niż dobrotliwego anioła. Długimi i ruchliwymi jak pajęczce odnóża palcami manipulował pod brodą, usiłując rozwiązać troki peleryny.

– Mamo – dobiegł do niej jak przez mgłę głos Edwarda. – To nasz nowy nauczyciel, przyjechał w towarzystwie... – Rozalia nie pozwoliła mu dokończyć. Uniosła dłoń, jakby kazała mu zamilknąć, i sama podeszła do dziewczyny. Śmiało odgarnęła z jej twarzy niepokorne kosmyki włosów.

– To ty, Malwina? – zapytała trzeźwo.

– Tak – odparła dziewczyna. – Jutro pojedę odwiedzić matkę. Nie zabawię tu długo, proszę tylko o jedną noc.

– Widziałaś się może z Antoniną? – zapytał Edward z nadzieją.

Patrzyła na niego długo, bardzo długo. Potem rzuciła niewyraźną odpowiedź.

– Tak, przelotnie...

– Przywiozłaś nauczyciela – zmieniła temat Rozalia, widząc przykrość na twarzy Edwarda. – Nareszcie – odetchnęła z ulgą i zwróciła się do młodzieńca: – Jak godność pana?

– Piotr Kostecki – przedstawił się z głębokim ukłonem i poprawił na nosie binokle. – Pani Antonina...

– O, właśnie, może pan wie więcej, gdzież ona? – przerwała niecierpliwie.

– Pani Antonina przesyła list. – Z flegmatycznym spokojem sięgnął za poję kamizelki. – Do pana Edwarda – dodał, ponieważ to Rozalia stanowczym gestem wyciągnęła dłoń po przesyłkę.

Edward uniósł brwi, jakby list od żony był czymś niezwykłym.

– Dziękuję – bąknął, zerwał zabezpieczającą przed niepowołanym czytelnikiem lakową pieczęć i otworzył kopertę.

Nie zważając na ciekawość wyzierającą z oczu matki, przebiegł wzrokiem treść listu, po czym złożył kartkę i z beznamietnym wyrazem twarzy schował ją do kieszeni. W tym samym czasie w progu pojawił się Wacław z informacją, że pokoje gotowe.

Dopiero w gabinecie Edward ponownie sięgnął po list. Podniósł bliżej twarzy i pociągnął nosem, spodziewając się leciutkiej nuty różanego zapachu, jakim otaczała się Antonina. Potem rozłożył na biurku biały arkusik i raz jeszcze przeczytał z uwagą:

*Drogi Edwardzie*

*Zapewne wielce rozczarowany jesteś moim przedłużającym się pobytem w Warszawie. Niestety, ciocia Karolina zaraz po przyjeździe dostała ataku duszności i przez godzinę była niemal bez oddechu. Trzeba było konsultacji z doktorem, żeby przywrócić ją do dobrego stanu. Ten, stwierdziwszy u niej dychawicę, zalecił zmianę sposobu życia oraz zaproponował kurację kokainą i opium. U nas tego nie ma, ale w tutejszych aptekach można kupić porcje proszku do palenia. Frania, służąca Eulalii, u której zatrzymałyśmy się, z oddaniem zajmuje się ciocią, poi ją mocną herbatą, karmi miodem, pali na blasze zioła i parzy miętę z sosną, które służą do wdychania.*

*Edwardzie, ja dobrze wiem, że spodziewałeś się mojego prędkiego powrotu, zresztą sama bardzo tęsknię za Zosią, jednak cioci należy się moja uwaga i opieka po tym wszystkim, co dla mnie zrobiła. Na razie przysyłam Piotra i liczę na twoje zadowolenie z jego wykształcenia i umiejętności pedagogicznych. Przyjedzie z nim Malwina, która dostała kilka wolnych dni od właścicielki sklepu, w którym pracuje. Stęskniła się za matką i pragnie*

zobaczyć się z nią. Rachuję na Ciebie, mój Drogi Mężu, że jej to umożliwisz, dając jak najszybciej konie do Olszówki.

Przyjmij wyrazy mojego przywiązania,

Antonina.

Przyjmij wyrazy mojego przywiązania – przeczytał jeszcze raz. I bardzo tęsknię za Zosią, ani jednego czułego słowa dla niego. Z listu była chłodna rzeczowość, suche informacje, nic więcej.

Edward złożył przełamaną na pół lakową pieczęć i długo jej się przyglądał, bezmyślnie czytając niewyraźny symbol stempla.

*Wczoraj w południe przechodzący ulicą Różaną byli świadkami następującej sceny: Na schodkach sklepu rzeźniczego spał jakiś wyrobnik, z czego skorzystał rzezimieszek i zakradłszy się na czworakach do niego, zajrzał naprzód w oczy, czy wyrobnik śpi, a następnie zaczął rewidować mu kieszenie. Rzezimieszek, ogołociwszy wyrobnika, zbiegł przed przybyciem stójkowego – czytała na głos Wiesia, zerkając co chwilę na kuchenne drzwi.*

– Nie złapią tego zezimieska – zawyrokowała Kazia, wydymając usta. – Gdyby jakiego slachsisa ogołosił, to może by sukali złozieja. Ale kto by starał się dla jakiegoś wyrobnika? Sytaj jesse – zażądała.

– Wystarczy – ucięła Wiesia. – Aniela będzie zła. Szósta już, a piec nie rozgrzany. Owsiankę trzeba gotować, zaraz cała służba zleci się na śniadanie. O, już ktoś idzie...

– To Józia – mruknęła Kazia. – Segó tu chsiałaś? Owsianki jesse nie ma – przywitała ją.

Józia wzruszyła ramionami i pobiegła prosto do kąta, w którym Wiesia łupała drewniane szczapy.

– Malwina przyjechała! – oświadczyła tajemniczo, dumna, że to ona pierwsza przyniosła tę wiadomość.

– Co ty powiesz... – Wiesia aż upuściła polano na cementową podłogę.

– Nie wiem, coś si się pomieszało – odezwała się Kazia. Ustawiła obok kredensu ubijak do masła, wlała śmietanę i zabrała się do roboty. Poruszała kijem w górę i w dół, raz po raz zbierała palcem pojawiającą się na powierzchni okrągłej deski, maślanekę i zlizywała ją ze smakiem.

– Naprawdę! – zapewniała szeptem Józia. – Przywiozła nauczyciela. Wiem, bo szykowałam dla niego miejsce w ostatnim pokoju.

– W ostatnim pokoju mieszka Imre – zauważyła trzeźwo Wiesia.

– Co z tego? – obruszyła się Józia. – Pan Edward kazał Alojzemu i Wacławowi postawić tam parawan i drugie łóżko.

– Nausysiel powinien mieszkać w pokoju Joanny – orzekła autorytatywnie Kazia.

– Może tak będzie, ale na dzisiejszą noc w pokoju Joanny pan Edward kazał umieścić Malwinę – wyszeptła w sekrecie Józia, a ponieważ do kuchni wkroczyła Aniela, rzuciła tylko: – Później wam opowiem! – I umknęła do swoich obowiązków.

– Wiesia, dzisiaj w jadalni postaw jedno nakrycie więcej – nakazała krótko Aniela.

– Nie dwa? – zdziwiła się Wiesia.

– Nie dwa – odparła Aniela.

– Nausysiel nie będzie jadł? – wytrzeszczyła oczy Kazia.

– Malwina zerwała się z samego rana i poszła pieszo do Olszówki.

Na spokojnym, śnieżnobiałym oceanie kołyszą się ruchome wyspy. Rosnące na nich różowe mięsa, białe sery i zielone sałaty, porywane przez srebrzystych, szcękających zbroją rycerzy, znikają w ciemnych

otchłaniach paszcz potworów... Zafascynowana tym odkryciem Zosia odprowadzała wzrokiem każdy kęs wędrujący do ust siedzących naprzeciw babci Rozalii i tatusia.

– Jedz, nie gap się – upomniał ją Staś, bo Wanda nie spuszczała oka z żółtowołosego chudzielca.

– Jem przecież – oprzytomniała Zosia. Sięgnęła po miseczkę z miodem, umoczyła w nim kawałek chleba i nie zważając na to, że miód cieknie jej po palcach, położyła chleb na talerzu Imre.

– Dziękuję – bąknął nieśmiało. – Nie jem miodu.

– Dlaczego? – zdziwiła się Zosia.

– Nie wiem... Miód jedzą dziewczynki, bo są delikatne i słabe – tłumaczył mętnie.

– A ty, Imre?

– Ja... Ja jem pszczoły.

Staś parsknął śmiechem, a Imre zrobił się czerwony jak burak.

– Ojej... To żaden wstyd, że nie lubisz miodu – Zosia złapała go za rękę. – Podoba mi się, że jesz pszczoły!

– Zosiu, mówię do ciebie – dotarł do niej podniesiony głos Rozalii.

– Słucham, babciu – bąknęła grzecznie, ale jednocześnie pod stołem kopnęła Stasia w nogę.

– Nie śmiej się z Imrego – szepnęła.

– Po śniadaniu pójdziesz z Wandą do kuchni przyglądać się pracy kucharek, a Stasia i Imrego zapraszam do bawialni. Chciałabym, żebyście poznali waszego nowego nauczyciela.

– Czy ja nie mogę również pójść do bawialni?

– W żadnym wypadku – odezwał się nauczyciel, ściągnął usta w dzióbek i poprawił binokle. – Jesteś za mała, poza tym ja uczę chłopców,

nie dziewczęta.

– Dobrze – zgodziła się Zosia i zmierzyła Piotra Kosteckiego zimnym wzrokiem. Jej spojrzenie nie wróżyło przyjaźni.

**A**ntoni Danicki większe miał zacięcie do myślistwa niż do swojego rozległego gospodarstwa.

– Zwierzynę trzeba poddawać selekcji, inaczej marnieje, traci hart i zapada na choroby – twierdził, przepijał do kompanów w karczmie i już na początku lata wysyłał im zaproszenia na jesienne łowy, zalecając czyścić strzelby i gromadzić proch. Zaproszenie nigdy nie omijało Edwarda, dlatego mimo obowiązków rezerwował czas na początek listopada, szykował myśliwski strój i broń. Przedtem jednak składał wizytę Antoniemu, by wspólnie wyznaczyć teren, wybrać naganiaczy, ustalić stanowiska i przygotować fury do zwożenia upolowanej zwierzyny.

Imprez tych nie znosiły kucharki. Aniela burczała pod nosem, że mężczyźni dla zabawy angażują podkuchenne, podczas gdy jej brakuje czasu i rąk do nieustającej roboty. A jeszcze wieczorami dostarczano upolowane ptactwo, przeważnie dzikie kaczki, do natychmiastowego sprawienia. Trzeba było zarywać noce, chociaż następnego dnia wstawało się o zwykłej porze. Na nic jednak nie zdawało się to burczenie, bo kobiety potrzebne były do obmywania upolowanej zwierzyny z krwi i wyczesywania futra. Z Przylipia zawsze zabierano Kazię, a od Danickich z Olszówki mocną i krzepką Janeczkę.



Los chciał, że w przeddzień polowania Kazia spadła z kilku schodków wiodących do piwnicy i zwichnęła nogę. Wobec tego wypadku Edward osobiście udał się do Wandy i poprosił ją, by zechciała zastąpić Kazię i zająć się tą osobliwą, zwierzęcą toaletą.

– Ale przecież jest Zosia – zaproponowała niepewnie Wanda.

– Zosia? Ona nie potrzebuje już niani – przekonywał z uśmiechem, zawsze niezawodnym w czarowaniu kobiet. – Zresztą dużo przebywa teraz w kuchni, przyucza się do roli gospodyni – wyjaśnił.

– Rozumiem – bąknęła dotknięta do żywego Wanda. Nie uległa żadnemu czarowaniu, bo pan Edward właśnie zranił ją tak mocno jak nigdy. Sprawił, że poczuła się niepotrzebna, chociaż zdawała sobie sprawę, że Zosia nadal będzie garnęła się do niej i niejednokrotnie skorzysta z jej rady i pomocy. – Pojadę... – zgodziła się, bliska płaczu.

– Jak tak patzę pses okno, to nawet się siesę, ze skręsiłam nogę – powiedziała z zadowoleniem Kazia. – Psa by nie wygonił...

Ponury i dżdżysty poranek kisił się we mgle, snuł się między zaroślami, osiadał na ścieżkach. Po podwórku kręcił się Kajetan, pilnował rozładunku wykarczowanych w lesie pni z przyrośniętymi krętymi korzeniami, znakomicie nadającymi się na opał. Trzeba będzie je porąbać i ładnie ułożyć w drewni, przygotować na pierwsze przymrozki.

Wilgotny chłód wkradał się szczelinami okna, pod którym na ławie siedziała Kazia i obierała buraki.

Obok niej wierciła się Zosia i chrupała kapuścianego głąba, który wręczyła jej Wiesia.

– Niech no pani Rozalia zobasy, sym ją karmis, to da si burę – ostrzegła półgłosem Kazia.

– A może i nie da – przekomarzała się wesoło Wiesia. – Toć Zosi nie zaszkodzi, nawet zębów sobie nie zetrze, bo nie zając.

– A czy Zosia nie powinna być teraz na lekcji? – zainteresowała się nieoczekiwanie Anieli i spojrzała podejrzliwie na dziewczynkę.

– Ja nie chodzę jeszcze na lekcje. Pan Piotr uczy teraz Stasia i Imrego rachunków – odparła. – Babcia powiedziała, że jestem na to za mała i niczego nie zrozumieję. Ale ja rozumiem, bo tatuś dużo mi objaśnia – dodała, odgryzła kęs kapuścianego głąba i przez chwilę chrupała w milczeniu.

– Za moich czasów panienki nie interesowały się rachunkami, tylko szykowały sobie posag, żeby dobrze wyjść za mąż – oświadczyła Anieli. – A teraz świat na głowie stoi.

– Ja nie chcę męża – skrzywiła się Zosia.

Kazia zachichotała, a Wiesia wzięła się pod boki i zabawnie zmarszczyła nos.

– A to dlaczego? – zapytała i zaraz zerknęła na Anielę, czy aby nie ma dość tych żartów i nie pogoni wszystkich do roboty. Ale kucharka była dziś w dobrym nastroju.

– Mąż jest nudny – stwierdziła Zosia. – No, chyba, że Imre – dodała po długim zastanowieniu. – On ciekawie opowiada.

– Tak? A o czym on tak opowiada? – zainteresowała się Wiesia.

– O wszystkim – odrzekła z lekkim wahaniem dziewczynka, jakby usiłowała sobie przypomnieć którąś z historii. – Na przykład o takim kraju, gdzie zamiast ziemi jest lód, albo o ludziach, którzy mają czarną skórę. A wczoraj opowiedział mi o... – przerwała, usłyszawszy turkot kół na dziedzińcu i wyjrzała oknem. – Ktoś przyjechał! – zawołała. Zeskoczyła z ławki i włożywszy do ust ostatni kawałek głąba, wybiegła do sieni.

Pojawiła się tam Cesia, za Cesią Waclaw, a znów za nim Józia. Wszyscy gotowi do przywitania niespodziewanego gościa.

Z bryczki wysiadła Antonina.

– Mamusia! – chciała zawołać Zosia, ale głos uwiązł jej w gardle.

W podróżnej ciemnozielonej sukni i nowym czepku ozdobionym pawim piórem, blada i jeszcze mizerniejsza niż przed wyjazdem, mamusia wyglądała obco. Poza tym zachowywała się jak jakaś wielka dama. Skinęła na stangreta, który wydobyl z bryczki walizy i zaniósł je na ganek, po czym wręczyła mu należność i odprawiła ruchem ręki. Zaaferowana jakimiś pakunkami i pakunczkami, zupełnie nie zwracała uwagi na służbę, a nawet na Zosię. Dopiero kiedy Waclaw zajął się jej walizkami, Józia i Cesia zabrały z jej rąk te wszystkie drobiazgi, a na ganku pojawiła się Rozalia, oprzytomniała.

– Zosieńko moja – uśmiechnęła się i otworzyła w oczekiwaniu ramiona, w które natychmiast wpadła jej przybrana córeczka.

– Mamusiu – szepnęła dziewczynka. – Ja tak bardzo na mamusię czekałam...

– Wiem, kochanie. Ciocia Karolina była chora i nie mogłam jej samej zostawić, ale w nagrodę za cierpliwość przywiozłam dla ciebie podarki.

– A dla Stasia?

– Naturalnie, dla Stasia też.

– A dla Imrego?

– Dla niego również mam prezent. A dla babci Rozalii jaśminowe perfumy.

– A dla tatusia?

Antonina uśmiechnęła się w zakłopotaniu. Nie miała dla Edwarda żadnego upominku.

– Dla tatusia mamusia przywiozła siebie! – zaszczębiotała Zosia i klasnęła w ręce. – Tatuś bardzo się ucieszy!

Nikt nie wiedział, co wydarzyło się na polowaniu, dość, że Wanda wróciła nie ta sama. Przez tydzień chodziła markotna i zamyślona, unikała rozmów, nawet Zosia musiała dopraszać się o jej uwagę. Zaintrygowana służba szeptała po kątach, jedynie Wiesia nie wytrzymała napięcia i odważyła się zapytać wprost. Zrobiła to po niedzielnym śniadaniu dla służby, gdy wszyscy rozeszli się do swoich obowiązków.

– Dłużej nie zamierzam patrzeć, jak się zamartwiasz – szepnęła, zaciągnąwszy Wandę do przykuchennej komory, bo jedynie tutaj mogły porozmawiać bez świadków. – Powiedz mi, co się stało.

Zamiast odpowiedzi Wanda rozplakała się rzewnie, wtuliwszy twarz w ramiona oszołomionej takim obrotem sprawy Wiesi.

– Masz ci los – mruknęła. – I co tu robić...

Stały tak pod wąskim okienkiem, obie zagubione i bezradne, tyle że każda z innego powodu, dopóki nie nakryła ich sama pani Stalicka. Uniosła wysoko podbródek i zapytała tym swoim wyważonym tonem.

– Co to znaczy? Czy nie macie nic innego do roboty niż lamentowanie w komorze?

– Mamy, proszę pani – bąknęła Wiesia. – Przepraszamy. Już idziemy...

– Aha, idziecie – pokiwała głową Rozalia. – Do mojego pokoju, na rozmowę.

Dziewczęta spojrzały po sobie i posłusznie opuściły pomieszczenie.

– No i co takiego się stało? – zapytała nad wyraz spokojnie Stalicka, gdy te skromnie przysiadły na brzeżkach krzeseł. Nikt, nawet sam Edward, nie czuł się pewnie w tym pokoju, który kojarzył się jedynie z bardzo

poważnymi sprawami. Nie było łatwo tu rozmawiać, zwłaszcza że z portretu przysłuchiwał się wszystkiemu mąż pani Rozalii, Jan Stalicki.

– Mów – szturchnęła Wandę łokciem Wiesia.

Ta, spłoszona, zerknęła najpierw na nią, a później na panią Stalicką.

– Która ma kłopot? – zapytała nieco zdezorientowana Rozalia.

– Ja... – wyznała niechętnie Wanda i znów zerknęła na Wiesię.

– Wobec tego zostaw nas same, Wiesiu – zażądała beznamiętnie Rozalia, po czym zwróciła pytające spojrzenie na Wandę.

– Pan Danicki... – zaczęła niepewnie Wanda i zamilkła. Ale to wystarczyło, by Rozalia przestała panować nad sobą.

– Cóż pan Danicki, na Boga?! – zawołała i aż poczerwieniała ze złości. – Chyba nie zrobił ci tego, co Malwinie? Cóż pan Danicki?! Mów!

– Nie... – wyjąkała Wanda, która przestraszyła się słów, tonu i wyrazu twarzy pani Stalickiej. – Nic takiego... Pan Danicki zaprosił na polowanie Wojtka Proćko. A on... A on...

– No, wiem, co on zrobił – uspokoiła się Rozalia i wróciła do właściwego sobie tonu. – Zbałamucił Joannę. O czym więc rozmawiamy? – uniosła brwi i przeszyła Wandę badawczym spojrzeniem.

– Bo... Właśnie na tym polowaniu... Wojtek Proćko oświadczył mi się znowu.

– Ach, tak – zauważyła Rozalia z lekką naganą w głosie. – Przyjął go?

Wanda zagryzła wargi i w milczeniu pokiwała głową.

– Cóż... – westchnęła Rozalia. – Skoro mu zaufałaś...

– On mnie przeprosił. A ja go Kocham, proszę pani.

– Przeprosił cię. A ty go Kochasz, więc mu wybaczyłaś.

– Tak... – Wanda podniosła na Rozalię niepewne spojrzenie. Potrzebowała rady, może pocieszenia, ale prócz suchych słów nie otrzymała żadnego wsparcia.

– Czym więc się trapisz od tygodnia?

– Bo ja muszę odejść.

– Jak to? Skąd odejść? – zdziwiła się Rozalia.

– Ze służby. Pan Edward mi powiedział, że Zosia nie potrzebuje już mojej opieki, bo jest duża – mówiła szybko, zachłystując się własnymi słowami, jakby chciała mieć to już za sobą. – Poza tym jest nowy nauczyciel i...

– Cóż z tego – przerwała jej chłodno Rozalia. – Mężczyzna nie nauczy jej dobrych manier, skromności, uległości, niewinności i tego wszystkiego, czym powinna wyróżniać się panna z dobrego domu. Nie nauczy jej też, jak sprawdzić się w roli matki, czy jak być posłuszną mężowi.

Wanda poczerwieniała zmieszana. Nigdy nie sprzeciwiała się pani Stalickiej, ale znała na tyle Zosię, że jedno wiedziała na pewno:

– Ja też nie nauczę jej tego wszystkiego, proszę pani – oświadczyła z przekonaniem. – Obawiam się, że nikt jej tego nie nauczy, bo Zosia jest...

– Zosia jest zwyczajną, sześćioletnią dziewczynką i nie należy przypisywać jej cech, których nie ma – przerwała jej stanowczo Rozalia.

Wanda zamilkła i wbiła oczy w podłogę.

– Czy Malwina bawi jeszcze u matki? Jest w Olszówce? – zapytała zniecierpliwiona Stalicka. – Wiesz coś o tym?

– Nie wiem, czy jest jeszcze – odparła. – Była z nami na polowaniu.

– Malwina? – zdumiała się Rozalia.

– Tak – potwierdziła Wanda.

– Czy... – to pytanie nie mogło Rozalii przejść przez gardło, głównie przez wzgląd na Helenę, żonę Antoniego. – Czy towarzyszyła panu Danickiemu? – wykrztusiła, choć siliła się na obojętność.

– Nie... – wyjaśniła zaskoczona takim podejrzeniem Wanda. – Malwina, tak jak my, zajmowała się myciem ubitych zwierząt. Pan Danicki jej kazał.

– Kazał jej. Rozumiem... A ty? Kiedy chcesz odejść?

Wandzie zaszklily się oczy.

– Jeszcze w tym miesiącu – rzekła niepewnie. – Mogę?

– Możesz – zgodziła się Rozalia, wruszając lekko ramionami. – Oczywiście, że możesz, przecież wychodzisz za mąż – dodała w roztargnieniu, jakby nagle jej myśli wkroczyły na całkiem inne tory. – Życzę ci szczęścia w małżeństwie...

Wanda podziękowała i opuściła pokój pani Stalickiej.

Wiesia stała na końcu korytarza i czekała niecierpliwie. Umierała z ciekawości.

– Odchodzę z Przylipia – oświadczyła płaczkliwie Wanda i kurczowo chwyciła przyjaciółkę za rękę. Nie czuła się dobrze z tą decyzją.

– Wyrzuciła cię? – wytrzeszczyła oczy Wiesia.

– Nie, skąd znowu – zastrzegła szybko. – Ale też nie zatrzymywała.

Rozalia uchyliła firankę w oknie jadalni i wyjrzała na dziedziniec.

– Dlaczego Godziewiczowej wciąż nie ma? – zastanawiała się, mamrocząc półgłosem niby do siebie. Nie omieszkała jednak zerknąć na synową, od której oczekiwała wyjaśnienia. Ta niewzruszona stała z założonymi rękami pod ścianą i śledziła szybkie ruchy Wacława uwijającego się przy stołowym nakryciu. Rozalia dałaby sobie rękę uciąć,

że w tym przezroczystym spojrzeniu nie ma żadnej treści. A jeśli nawet, nie dotyczy ona Przylipia.

– Myślisz, że ciotka znów miała jeden z tych swoich ataków? – zapytała. – Mówiłaś, że po kuracji w Warszawie czuje się znacznie lepiej.

Antonina drgnęła, zamruwała powiekami i nieprzytomnie spojrzała na świekrę.

– Przepraszam... O czym mama mówiła?

Rozalia westchnęła, poprawiła firankę, podeszła do Antoniny i ujęła jej dłonie.

– Chodź, usiądźmy – rzekła tonem, który uznała za wystarczająco serdeczny, żeby wzbudzić zaufanie synowej. Poprowadziła ją do stojącej pod ścianą sofę i usiadła tak blisko, że Antonina czuła bijące od niej ciepło. – Chyba musimy porozmawiać.

Błada twarz młodej pani Stalickiej nie wyrażała żadnych uczuć. Ta właśnie milcząca obojętność oraz nieustanne pokaskiwanie synowej bardzo niepokoiły Rozalię. Nie dzieliła się swoją obawą nawet z Edwardem, ale zaczęła podejrzewać, że może są to początki dychawicy, jak u jej ciotki.

– Powiedz mi – zaczęła tonem poufałym i serdecznym, co było wbrew jej naturze i przychodziło z dużym trudem. – Ostatnio jesteś bardzo przygnębiona. Na pewno martwisz się o ciocię? A może wypadek Zygmunta tak bardzo cię przestraszył?

Antonina przełknęła nerwowo ślinę. Milczała.

– Nie powinnaś się tak zamartwiać. Myślę, moja droga, że jesteś tu bezpieczna. Przecież nawet w księdze, w kościele, zostałaś zapisana pod innym nazwiskiem. I nie masz tu żadnych wrogów, nikt cię nie wyda.

Kąciki ust Antoniny zadrżały leciutko, ubierając twarz w ledwo zauważalny smutek i rezygnację, których Rozalia nie dostrzegła.



– A może ty źle się czujesz, dziecko? – zapytała z troską. – Twój kaszel...

– Nic mi nie jest, mamó – przerwała szybko Antonina. – Dobrze się czuję. I nie boję się żandarmów. Niczego już się nie boję. – Uwolniła dłonie, które Rozalia wciąż ścisnęła w swoich, i dodała: – Przepraszam, pójde poszukać Zosi.

Cóś przebudziło Edwarda w środku nocy. Przesunął rozespany wzrok po niewyraźnie zarysowanych konturach sprzętów, by ze zdziwieniem zatrzymać go na sylwetce żony. W słabiutkim świetle świecy, na tle okna, nieruchomo i bezszelestnie wypatrywała czegoś w czarnych fałdach nocy. Nie wiedziała, że się obudził, więc stała z obnażoną duszą, z myślą prostą, odsłaniającą z twarzy woal fałszu. Z jej skulonych pleców Edward czytał melancholię, może rozzalenie. Milczał, nie chciał tego spłoszyć ani przestraszyć jej nagle wypowiedzianym słowem. Na dotyk zaś nie miał ostatnio śmiałości. Leżał więc, rozmyślając o dziwnym między nimi czasie, który zatracił granice i zlał nocę wraz z dniami w beznadziejną, martwą masę. Od powrotu z Warszawy jego żonę stać było jedynie na bierną obecność. Nigdy nie była wylewna, lecz potrafiła być zmysłowa. Teraz zabrakło skrytych w zmierzchach obietnic i wtulonych w świty namiętności. Pozostała zwykła codzienność, nieokraszona nawet namiastką czułości. A słowa, którymi zwracała się do niego, traciły nutki intymności, więdły, znaczyły coraz mniej.

– Antonino – szepnął z żalem samym tylko ruchem warg.

Wrażliwa na najlżejsze drgnienie, najcichszy dźwięk, odwróciła się natychmiast.

– Dawno nie śpisz? – zapytała płochliwie, jakby przyłapała ją na zdrożnych myślach.

– Nie, właśnie się obudziłem – skłamał.

Dostrzegł ulgę na jej twarzy i ledwo widoczny uśmiech. Był kłamliwy. A wzrok, który na nim przez chwilę zatrzymała, wyrażał tysiące przemilczanych, hamowanych ostatnim wysiłkiem woli słów.

– Przyjdiesz? – zapytał.

– Nie mogę spać – odparła.

A więc nie przyjdzie – pomyślał, udał obojętność i odwrócił się plecami.

A więc niczego nie zauważył – pomyślała i zapadła się w swój sekret.

Srebrzystą tacę przykryło kilka białych kopert, których Józia nie zdążyła jeszcze roznieść po pokojach. Spiesząca do kuchni Rozalia zatrzymała się przy nich i przerzuciła od niechcienia, odczytując imiona adresatów. Odłożyła na bok urzędowe pismo do Edwarda i korespondencję Piotra Kosteckiego, by natknąć się na długo wyczekiwany list od Eulalii. Zabrała go z bijącym sercem i obracając w palcach, przeszła czym prędzej do swojej sypialni, zupełnie zapomniawszy o dyspozycjach dla kucharki. Stojąc u okna, gdzie było więcej światła, czytała.

### *Droga Rozalio*

*Nie masz pojęcia, jak tej jesieni Warszawa tonie w deszczu. Po sprawunki wysyłam wyłącznie swoją Franciszkę, której spódnice uwalane w błocie łatwiej i szybciej można wyczyścić niż moje wyjściowe suknie. Tak więc najczęściej siedzę w domu i słucham tego deszczu, bo niepodobna przecież słuchać paplaniny pocziwej Frani. Dlatego tak brakuje mi już Malwiny. Milcząca wprawdzie, ale nauczyłam się czytać z jej spojrzeń, które aż nadto wystarczą za słowa. Modystka też już o nią pytała i zaczynam*

żałować, że pozwoliłam jej z tym Waszym nauczycielem jechać. Ja wiem, że była okazja na tańszą podróż, ale przez to biedulka może stracić pracę. Chociaż może nie zależy jej tak bardzo i wolałaby znaleźć posadę nauczycielki, skoro skończyła odpowiednie kursy. Jednak i tak myślę, że Antonina miała rację, mówiąc mi, że odradza ten wyjazd Malwiny.

Jak wiesz, Antonina bawi ze swoją ciotką u mnie. Godziewiczowa umówiona listownie z samym doktorem Wituńskim, musiała na niego w Warszawie poczekać, bo ten przebywał akurat w Wilnie. Los chciał, że takie ją duszności dopadły, aż trzeba było Franciszkę po najbliższego doktora posłać, nie bacząc czy jest podobnie popularny. (Wituński, jak może słyszałaś, cieszy się u nas dużą sławą).

Ach, moja kochana, cóż to za człowieka ta Frania sprowadziła! Nitewski się nazywa, nie znałam go wcześniej, a jaki troskliwy. Zaraz też się zajął biedną panią Karoliną. A układny taki, szarmancki, że nie tylko ja byłam nim zauroczona, ale i sama pacjentka. Nawet Antonina zerkała na niego, a sama wiesz, że niełatwo ją sobie zjednać. Potem siedzieliśmy w salonie przy herbacie i można było się przekonać, jak towarzyski jest ten doktor. Chociaż jedna rzecz wcale mi się nie spodobała. Wyobraź sobie, opowiadał, że w niedzielę, kiedy wybrał się dorożką na przejażdżkę, stał się świadkiem wypadku na ulicy. Nie uwierzysz, że kazał zatrzymać dorożkę i pomógł poszkodowanemu, nie bacząc na swoją pozycję społeczną. A przecież ten chory mógł wykonywać jakiś prosty zawód i pomoc takiej osobie mogła narazić doktora na plotki! Powiedziałam mu, co o tym myślę. Zaśmiał się tylko i powiedział, że na wojnie też pomaga się wszystkim, jak leci. „Jak leci”, wyobraź sobie. Do dzisiaj zastanawiam się, czy to grzeczne określenie. Poza tym muszę przyznać, że chociaż jest młody, nie tylko dużą wiedzą i doświadczeniem się wykazał, ale pilnował etykiety i maniery miał nienaganne. Ba! Wiedział, gdzie odłożyć kapelusz, o czym na przykład mój

Henryk zawsze zapominał i nosił go w pomieszczeniu na głowie lub rzucał, gdzie popadło, wywołując niesmak.

Nie o doktorze jednak chciałam pisać, droga Rozalio, a o Antoninie. Wiem, że Cię zmartwię, lecz muszę Ci o tym donieść. Doktora zainteresował jej stan zdrowia, bo nienaturalnie jest blada, wychudła i wciąż pokasłuje. Moja droga, nawet Godziewiczowa o tym nie wie, że on zamknął się z nią sam na sam w moim gabinecie i tak długo ją badał, że sama byłam tym przerażona. Kiedy wreszcie wyszli, biedulka była dla odmiany cała czerwona. Nie wiem, co jej zalecił, może do wód jechać, ona przecież jest tak skryta, że nie powie, ale ja myślę, że Antonina musi pozostać pod opieką dobrego doktora, bo nie obraź się, ale ten Wasz z miasteczka na niczym się nie zna. Wiem coś o tym, bo jednego lata zajmował się moją migreną, która do dzisiaj mnie męczy. Dlatego zastanawiam się, czy Antonina nie powinna leczyć się u nas, w Warszawie.

Chociaż muszę Ci powiedzieć, teraz Warszawa nie ta sama. To istna wieża Babel, Rozalko. Na ulicach słychać język niemiecki, francuski włoski i oczywiście rosyjski. Ale mało tego! Zjechali się Ormianie i Grecy, Czesi i Węgrzy. Coraz więcej Romów, chociaż władze starają się usuwać z miasta tych włóczęgów. No i wszędzie skupiska Żydów. Rzemiosło i handel całkiem przechodzą w ich ręce. Mnie to narodowościowe zróżnicowanie wcale się nie podoba, każdy inaczej się ubiera, inne ma obyczaje i inną wyznaje religię. Ale jednak ta różnorodność nadaje miastu charakter. Przedstaw sobie, jak tu barwnie. Polacy, Rosjanie, Żydzi i Niemcy tworzą tu społeczność, chociaż wcale się nie lubią. Prym wiodą i tak Polacy, i nasz język wciąż najpowszechniejszy. Cóż z tego, że Rosjanie chcą w Warszawie zapuścić korzenie, wyprzeć naszą kulturę, że pokazują swoją wyższość. Nie uda im się wydać tu owoców. Mimo wszystko jesteśmy silni i zgnieść się nie damy.

*Ciemno się robi, a muszę jeszcze wysłać Franię z tym listem. Dlatego kończę pośpiesznie. Dodam tylko ze smutkiem, że o Witusiu nadal nic nie wiem. Tracę już nadzieję, czy go jeszcze kiedy zobaczę. Ktoś opowiadał, że widział, jak prowadzili takie zmęczone i brudne kolumny ludzi. Wlekli się noga za nogą, bez godności i nadziei, konwojowani przez rosyjskich żołnierzy. Wyobraziłam sobie moje dziecko i ten graniczny słup: po jednej stronie wszystko, co się kocha, co trzeba zostawić, po drugiej stronie wszystko, co dopiero czeka, a już się tego nienawidzi. Ta okrutna, bezkresna Syberia. A tam może śmierć, a może wiele lat katorgi, morderczych robót z rękami przykutymi do taczki.*

*Moje serce krwawi, Rozalio. I będzie krwawić, dopóki nie dowiem się, że Witold jest wolny. Żywy albo martwy, ale wolny.*

*Zostańcie w zdrowiu.*

*Oddana Wam na zawsze, Eulalia.*

Rozalia westchnęła, złożyła list i wsunęła go do koperty.

Właściwie ta Eulalia niczego nowego nie napisała, ale Rozalia rozumie, że obecne życie kuzynki wymaga tych drobnych wrażeń, wydarzeń małych i niespodziewanych, cudzych dramatów i sensacji, by odwrócić uwagę od tęsknoty za Witusiem i żalu po Henryku.

Wrzuciła list do szuflady i otworzyła drzwi.

– Co tu robisz, Zosiu? – zapytała zdziwiona, a jednocześnie oburzona, ujrzawszy siedzącą na progu wnuczkę. Dziewczynka tuliła do piersi niewielki, biały kłębuszek.

– Bardzo przepraszam, babciu, ale przyszedłam zapytać, czy mogę zatrzymać Inanę?

– Co to Inana? – Nie zrozumiała Rozalia.

– Kotka. Imre znalazł ją na drodze. Piszcziała głośno, więc ją przyniósł i podarował Stasiowi.

– Stasiowi – powtórzyła z przekąsem. – Ale to ty niańczysz tego kota.

– Tak, bo Staś nie chciał.

– Ty, jak widzę, chciałaś.

– Bardzo. Mogę ją zatrzymać, babciu?

– A co na to tatuś i mamusia?

– Nie wiem. Przyszłam zapytać babcię, bo jeśli babcia się zgodzi, tatuś i mamusia również mi pozwolą.

– I Wanda z pewnością będzie zachwycona nowym obowiązkiem – dorzuciła uszczypliwie Rozalia.

– Wandy nie ma. Pojechała do domu. Przecież mamusia jej pozwoliła.

Rozalia z trudem powstrzymała się przed cierpką uwagą o tej samowoli. Uznała jednak, że jej złość nie powinna trafić do uszu dziecka.

– Słyszę, że dałaś już kotce imię. Czy uważasz, że brakuje kotów w Przylipiu?

– Wiem, że u nas jest dużo kotów. Ale całkiem białych, jak śnieg, nie ma. A ja polubiłam już Inanę.

– Dziwne imię.

– Takie nadał jej Imre... Czy ona może tu zostać? Bardzo babcię proszę.

– No, niech już zostanie – zgodziła się niechętnie. – Ale zostaw ją teraz z Imrem i chodź ze mną do kuchni. Przyjrzyj się jak nastawić rozczyn i wyrobić chleb.

– Nie mogę jej przecież oddać Imremu, bo on i Staś są teraz na lekcjach.

– To wypuść ją na podwórko, niech pobiega.

– Ale boje się, że ucieknie. Imre nie wybaczyłby mi tego.

– Dobrze – zniecierpliwiła się Rozalia. – Zabierz ją do kuchni. I nie rozmawiajmy więcej o kocie, dobrze?

– Dobrze, babciu. A czy...

– Zosiu – przerwała jej stanowczo. – Ani jednego słowa więcej. Jako dziewczynka musisz uczyć się powściągliwości i posłuszeństwa.

– Czy jako chłopiec nie musiałabym uczyć się tego?

– Proszę, żebyś nie zadawała zbędnych pytań. Jesteś dziewczynką i ogranicz się do zainteresowań dotyczących dziewczynek – upomniała ją. – Za moich czasów dziewczynki uczono, by były grzeczne i łagodne, a do starszych zawsze zwracały się z pokorą i miłością, rozumiesz?

– Tak, babciu...

– Dziewczynki zawsze muszą być posłuszne, a o rady powinny się zwracać do rodziców i starać się im zawsze przypodobać.

– Przypodobać? – Zosia zadarła główkę i przyglądała się Rozalii z wyrazem zastanowienia.

– Tak, przypodobać – powtórzyła Rozalia. – Cóż w tym dziwnego? Innych krewnych też trzeba szanować, zwłaszcza dziadków, którzy swoje przeżyli i są najbardziej doświadczeni – zaznaczyła. – Nie myśl, że wychowanie, to tylko wpajanie manier związanych z brylowaniem na salonach.

– Ja tak nie myślę, babciu. Ale Staś powiedział, że mamusia Eliza go poprosiła...

– Zosiu, Staś ma jeszcze pstro w głowie. Kiedy będzie starszy, zrozumie, że nie miał racji, więc zamilknij, proszę.

– Dobrze babciu. Już nic nie mówię.



W kuchni było ciepło i parno. Na ogniu bulgotał barszcz i pieczone w gęstym i tłustym sosie, który Kazia od czasu do czasu mieszała drewnianą łyżką. Wiesia zawinęła rękawy powyżej łokci i z wysiłkiem wyrabiała w dzieży chleb. Aniela szykowała ciasto na szarlotkę i raz po raz zerkała na nastawione w rondlu mleko. Jak zwykle brakowało rąk do pracy, a tu jeszcze trzeba obrać i ugotować przyniesione ze spiżarni jarzyny.

Rozalia ściągnęła w niezadowoleniu usta. Antonina niepotrzebnie dała Wandzie wychodne. Zosia biega bez dozoru, a w kuchni nie wiadomo, w co ręce włożyć.

– Zostań tu, Zosiu – nakazała i opuściła kuchnię.

Uniosła palcami suknię, o którą w pośpiechu i zdenerwowaniu wciąż się potykała, i szła korytarzem do salonu, gdzie ostatnio widziała synową.

– Antonino – odezwała się spokojnym i opanowanym głosem, chociaż w środku dygotała z gniewu. – Dlaczego Wanda znów ma wolny dzień?

Młoda pani Stalicka uniosła wzrok znad serwety, którą zdobiła białym haftem, i ku irytacji Rozalii odpowiedziała z przyganą pełną zdziwienia.:

– Ależ, mam, Wanda szykuje się do ślubu. Za dwa miesiące będzie szła za męża. Musi się do tego przygotować. Potrzebowała kilku wolnych dni, więc jej dałam.

– Powinnaś omówić to ze mną. Czy przez te kilka dni Zosia będzie biegała bez opieki? – Głos Rozalii leciutko zadrżał, demaskując hamowane napięcie.

– Ja zaopiekuję się córeczką – oznajmiła Antonina i zamilkła dla złapania oddechu. – Tak długo dopóki nie znajdziemy kogoś na miejsce Wandy – dokończyła po chwili. – Zrobię to z radością – dodała z uśmiechem.

Rozalia zapanowała nad złością i zmieniła ton.

– Niepokoi mnie, że od czterech miesięcy wciąż kaszlesz – zauważyła łagodnie. – Odnoszę też wrażenie, że twój stan od powrotu z Warszawy pogorszył się i wciąż masz podwyższoną temperaturę. Te szkliste oczy i rumieńce...

– To nieprawda, mamu – zaprzeczyła żywo.

– Prawda, prawda. Nie oszukuj sama siebie. Widzę, że zmizerniałaś, jesz jak ptaszek i wciąż narzekasz na ból głowy. Stałaś się bardziej nerwowa...

– Och, dobrze, przyznaję, że nie zawsze czuję się najlepiej – mruknęła Antonina.

– Ano właśnie – podchwyciła Rozalia. – Jak więc chcesz w takim stanie zajmować się Zosią? – Zniżyła głos i dodała: – Obawiam się, że też masz dychawicę, jak twoja ciotka. Eulalia pisała, że badał cię w Warszawie jakiś lekarz.

Na twarz i szyję Antoniny wystąpiły pąsowe plamy. Odwróciła wzrok i zapatrzyła się w okno.

– To dobry lekarz? Czy postawił diagnozę? – dociekała Rozalia, udając, że nie widzi zakłopotania synowej.

– Czy postawił diagnozę? Podejrzewa infekcję po zapaleniu płuc, mamu.

– Po zapaleniu płuc, mój Boże! – przestraszyła się Rozalia. – I to wszystko przez naszego Stasia – dodała z oburzeniem. – Każę mu przez tydzień modlić się w intencji twojego zdrowia... No, ale ten doktor nic nie mówił na to, że ty wciąż kaszlesz?

Synowa nie chciała o tym rozmawiać, chociaż Rozalia starała się okazać jej jak najwięcej troski i ciepła. Antonina nie wtuliła się też w jej otwarte ramiona, nie odpowiadała na słowa pociechy i zapewnienia, że ona

sama zajmie się leczeniem jej choroby. W żadnym wypadku nie potrzebowała teraz obecności świekry. Pragnęła zostać sama.

Pragnęła po raz setny wrócić wspomnieniem do tamtego dnia, do Warszawy.

– „Kurier Warszawski”! „Kuuurier”! – darł się chłopak w zbyt dużej koszuli, wymachując płachtą najświeższego wydania gazety. Spieszące na targ służące z wiklinowymi koszykami, nobliwi panowie z czarnymi parasolami, niańki w białych krochmalonych czepkach, które przechadzały się z wózkami o wielkich kołach, wszyscy zatrzymywali się na chwilę, wciskali w dłoń chłopaka monetę i odebrawszy swój egzemplarz, oddalali się w sobie wiadomym kierunku.

– „Kurier Warszawski”! „Kuuurier”! – krzyknął chłopak tuż nad uchem Antoniny, która w pierwszej chwili skuliła się od tego hałasu, a potem ostro ofuknęła chłopaka. Ten jednak nic sobie z tego nie robił, roześmiał się głośno i bezczelnie wciskał jej do ręki gazetę. Chcąc nie chcąc, wydobyla pieniądze, zapłaciła i przyjęła z jego rąk pachnący świeżym drukiem dziennik. W bramie kamienicy należącej do Eulalii minęła elegancką damę z parteru, wychodzącą w towarzystwie starszego zażywnego mężczyzny. Antonina obejrzała się dyskretnie, lustrując najnowszej mody czepek.

Wysoka, koścista i lekko przygarbiona pokojówka wprowadziła ją do ponurego, pozbawionego okien przedpokoju. Jedyne źródłem światła była smuga płynąca z otwartych drzwi prowadzących do pokoju od południowej strony. Fragment białego pianina i wiszące nad nim, oprawione w jasne owalne ramy podobizny Kościuszki i księcia Józefa Poniatowskiego, wskazywały, że był to salon. Obok pianina Antonina dostrzegła kolumnę z karraryjskiego marmuru, takiego właśnie, jaki sam Michał Anioł

wykorzystywał do rzeźbienia swoich największych dzieł. Na kolumnie pyszniło się białe jak śnieg kobiece popiersie.

Eulalia widocznie lubiła otaczać się cennymi przedmiotami.

– Pani zajęta. Interesant przyszedł – bąknęła służąca. Odebrała od Antoniny lekki, jesienny płaszczyk i zawiesiła go na usytuowanym przy drzwiach wieszaku obok granatowego męskiego okrycia. Ruchy miała powolne, a palce sztywne, jakby dokuczał jej reumatyzm. – Proszę zaczekać – wskazała miejsce przy małym okrągłym stoliku, na którym piętrzyły się pachnące kurzem poradniki.

Antonina z rozkoszą zagłębiła się w miękkim fotelu. Wciąż jeszcze odczuwała skutki podróży dylizansem, a potem jeszcze podskakującą na kocich łbach, niewygodną dorożką. Z tego samego powodu ciotka Karolina wolała zostać w hotelu, odkładając wizytę u Eulalii na następny dzień.

Antonina z ciekawością rozejrzała się po wnętrzu. Przedpokój przydawał się w tego typu mieszkaniach. Strzegł prywatności, a przy okazji świadczył o prestiżu gospodarzy. Niewątpliwie dla Eulalii było to ważne. Uwagę Antoniny zwróciła masywna szafa przeznaczona do przechowywania odzieży wierzchniej, parasolek, lasek i kapeluszy, a nawet kaloszy noszonych przy słotnej pogodzie. Naprzeciw tego kolosa umieszczono filigranowy stolik. Królowała na nim taca przeznaczona na wizytowe bileciki odwiedzających Eulalię gości.

Antonina przeniosła wzrok na drzwi po stronie północnej, ale ponieważ były zamknięte, straciła dla nich zainteresowanie. Ziewnęła dyskretnie i znudzona oczekiwaniem sięgnęła po kupioną przed chwilą gazetę. W półmroku nie widziała liter, wykorzystwała więc ustawiony na stoliku lichtarzyk i zapaliła świecę.

Przebiegła wzrokiem szarady, stan pogody i drobne ogłoszenia, dopiero najświeższe wiadomości przykuły jej uwagę.

*Wczoraj obchodzono otwarcie Szkoły Obwodowej – czytała. – Władze i licznie zebrani obywatele zgromadzili się w sali szkolnej, gdzie oczekiwał inspektor ze składem nauczycieli i uczniami. Wygłoszono stosowną do okoliczności przemowę, wysławiając wielką wdzięczność dla Najjaśniejszego Cesarza i Króla Pana naszego Najmiłościwszego. Następnie inspektor wskazał młodzieży, ile winna jest dobrodziejstw Najłaskawszemu Monarsze. Wreszcie zachęcił do posłuszeństwa i ochoczego wypełniania obowiązków, a także do podziękowania Bogu za dobrodziejstwa, które z rąk Najwspaniałomyślniejszego Monarchy odbierają. Na koniec dał świetny obiad, w czasie którego spełniono toasty za zdrowie Najłaskawszego Monarchy i Jego dostojnej Rodziny.*

Już od pierwszych słów przepelnione złością serce Antoniny zaczęło mocniej bić. Zanim skończyła czytać artykuł, zgmiotła gazetę i cisnęła nią o podłogę.

– To wstrętne – zaklęła w duchu. – Najwspaniałomyślniejszego Monarchy! – szydziła. – Podli zdrajcy! Jak można uczyć młodzież takiej służalczości, obrzydliwego schlebiana, ślepego posłuszeństwa wobec wroga?! – myślała z irytacją.

W tym momencie drzwi gabinetu otworzyły się. Średniego wzrostu mężczyzna, który przekroczył próg, był poruszony. Zatrzymał się, chrząknął, poprawił pstrokatą kamizelkę i przyczesał palcami grzywkę. Dopiero wtedy zamknął za sobą cicho drzwi. Obrzucił beznamiętnym spojrzeniem leżącą na podłodze gazetę i twarz Antoniny, z której nie zniknął jeszcze wyraz obrzydzenia i wściekłości. W roztargnieniu skinął jej głową i podążył w kierunku wyjścia. Zanim przybiegła służąca, włożył źle skrojony paltot, kapelusz i przez chwilę stał w głębokiej zadumie, trzymając rękę na klamce. Wyglądał na przeciętnego, niewiele znaczącego urzędnika albo rzemieślnika wykonującego jakąś żmudną robotę. Raz

jeszcze obejrzał się na gabinet, mruknął coś pod nosem, machnął ręką i wyszedł.

Eulalia długo nie opuszczała pokoju. Zakłopotana służąca kręciła się pod drzwiami i raz po raz zerknęła na oczekującego w przedpokoju gościa. W końcu ośmieliła się zapukać.

– Przepraszam – bąknęła. – Pani Stalicka tu czeka.

– Pani Stalicka? – zdumiała się Eulalia. – Nie pisała, że przyjedzie.

Zanim Antonina poderwała się z miejsca, Eulalia już była w przedpokoju.

– Ach, Antonina! – zawołała i wyciągnęła ramiona. – A ja myślałam, że o Rozalię chodzi. Wejdz, moja droga, do salonu. Franiu – zwróciła się do służącej. – Podaj nam herbatę.

Kiedy zasiadły przy niewielkim, intarsjowanym stoliku, Eulalia przechyliła się figlarnie i szepnęła tajemniczo:

– Widziałas tego jegomościa, który przed chwilą ode mnie wyszedł?

– Widziałam.

– Przychodzi do mnie w konkury.

– Naprawdę? – Uprzejmy uśmiech wypłynął na twarz Antoniny, ale prawdę mówiąc, niewiele ją to obeszło.

– Naprawdę – uśmiechnęła się Eulalia. – Ale ja go wcale nie chcę. Nikogo nie chcę – dodała ze smutkiem. – Tęsknię za Henrykiem. Zresztą, tobie nie trzeba tłumaczyć, doskonale wiesz, co to miłość, prawda? – westchnęła.

– Chyba tak... – bąknęła Antonina, po czym sprytnie zmieniła temat. – Droga kuzynko, przyjechałam do Warszawy w sprawie nauczyciela dla Stasia...

– Wiem, wiem – przerwała jej Eulalia. – I jakże? Udało ci się wszystko pomyślnie załatwić?

– Tak, za trzy, cztery dni wyruszy do Przylipia, ja natomiast muszę zostać tu nieco dłużej. Ciocia Karolina zapadła na zdrowiu, jest umówiona z doktorem Wituńskim...

– O, z Wituńskim! Jest znakomity – podchwyciła Eulalia.

– Tak, byliśmy pod adresem, gdzie mieszka, lecz jego służąca oświadczyła, że wyjechał do Wilna i zabawi tam dłużej, niż planował. Musimy czekać.

– Gdzie się zatrzymałyście? – zainteresowała się Eulalia.

– Przy Bednarskiej, w Hotelu Nadwiślańskim.

– Myślę, że wygodniej byłoby tu, a ja serdecznie zapraszam – uśmiechnęła się ciepło Eulalia. – W moim mieszkaniu wystarczy miejsca. Nie mogłabym spokojnie zasnąć, gdybyście tułały się po hotelach.

– Nie będziemy przeszkadzać?

– Ach, ja już się cieszę na wspólne rozmowy przy herbacie, a i Malwina chętnie zobaczy gości z Przylipia.

– A gdzie Malwina?

– Wyobraź sobie, kończyła jakieś nauczycielskie kursy, żeby na koniec zatrudnić się w sklepie z kapeluszami. Nie chciała być u mnie pokojówką. Ach. – Machnęła ręką. – Niech tam! Ona nie nadaje się na służącą, w żadnym wypadku. Prawdę mówiąc, na osobę sprzedającą kapelusze też nie. Wiesz, na kogo się nadaje? – Eulalia zmrużyła oczy i zastanowiła się przez chwilę. – Na leśną nimfę – powiedziała.

**N**astępnego dnia po przeprowadzce do kuzynki Godziewiczowa zaraz po przebudzeniu dostała ataku duszności.

– Boże mój! – krzyczała między napadami kaszlu, a próbą złapania oddechu. – Ja się uduszę!

Eulalia stała przy jej łóżku i patrzyła bezradnie, jak biedaczka krztusi się, blednie i sinieje na przemian. Antonina otworzyła okna i robiła wszystko, by ulżyć ciotce i uspokoić ją. Niestety, z mizernym skutkiem.

– Proszę pani – wtrąciła się Frania. – Dwie kamienice dalej, po drugiej stronie ulicy przyjmuje taki jeden doktor – oznajmiła. – Mogę polecieć, zanim starsza pani ducha wyzionie – zadeklarowała się, łypiąc okiem na ciężko dyszącą i świszczącą panią Karolinę.

– Po drugiej stronie, mówisz? – ożywiła się Eulalia. – Chyba nie będziemy czekać na Wituńskiego, co? Jak myślisz, Antonino? – zastanawiała się głośno. – Ja bym posłała po tego doktora.

Zanim Antonina zdążyła się odezwać, służąca zarzuciła na plecy chustę i wybiegła, trzasnąwszy drzwiami. Sprowadziłaby samego diabła, byle nie musiała patrzeć na cierpiącą Godziewiczową, tak bardzo bała się wszelkich chorób.

Minęły może dwa kwadranse, gdy klamka poruszyła się, drzwi stanęły otworem, a w nich pachnący chłodnym powietrzem, poważny i dostojny



doktor. Eulalia przywitała go już w progu, po czym odwróciła się na pięcie i pobięła zamknąć okna w pokoju Godziewiczowej.

Wtedy pełen niedowierzania wzrok doktora spoczął na Antoninie.

– Ruda – szepnął oniemiały.

Dopiero teraz podniosła na niego oczy. Rozpoznała go natychmiast, choć pod eleganckim kapeluszem, w płaszczu najmodniejszego kroju trudno było wypatrzeć tamtego doktora z powstania. Krew odpłynęła jej z twarzy. Stała odrętwiała, nie była w stanie nawet podać mu ręki. On sprawiał wrażenie niemniej oszołomionego.

– Och, jak to dobrze, doktorze, że zechciał pan odwiedzić chorą – szczebiotała tymczasem Eulalia, która zdążyła wrócić już do przedpokoju, chwycić doktora pod ramię i poprowadzić do pacjentki.

– Co się wydarzyło? – zapytał głosem aksamitnym, jakiego nigdy nie używał w stosunku do rannych żołnierzy. Na polu bitwy był twardy i bezwzględny dla ich cierpienia. Nie brakowało mu empatii, ale wiedział, że współczucie na nic się nie zda, jeśli brakuje leków i środków znieczulających, bo za chwilę zada im stokroć silniejszy ból. Teraz pochyłał się uprzejmie nad Eulalią i uśmiechał się do niej dobrotliwie. – Opowie mi pani?

– Och, doktorze, nasza kuzynka... – usłyszała jeszcze Antonina, zanim za Eulalią i doktorem zamknęły się drzwi.

Jak zahipnotyzowana przeszła do salonu i stanęła przy oknie.

Padało.

Za szybą świat zwolnił, przystanął albo wręcz przeciwnie – przyspieszył i pędził jak szalony. Tego nie była pewna. Niczego nie była pewna, bo wszystko nagle się zmieniło i nie było takie samo jak przed dwoma kwadransami. Chociaż ludzie, na których spoglądała z pierwszego

piętra mieszkania Eulalii, wydawali się zwyczajni w przeżywaniu swoich małych losów złożonych z określonej liczby oddechów i uderzeń serc.

Tomasz żyje – tłukło się jej w głowie, w której nie było miejsca na inne myśli. Nie potrafiła zapanować nad drzeniem rąk, splatała więc i rozplatała pobielale, lodowate palce, zaciskała powieki i odtwarzała pod nimi jego obraz, jakby w obawie, że znów zniknie, zmieni się w ból, w tajemnicę, w milczenie. Jej podbródek dygotał, nie była zdolna nad tym zapanować.

– On żyje – powtórzyła niewyraźnym szeptem i uszczypnęła się w przedramię.

– Przed południem, kiedy wychodziłam do Szlamka Szuby po wołowinę, jeszcze nie padało. A teraz proszę... rozległ się za jej plecami głos Frani. – Znów leje.

Leje. Antonina dobrze pamięta taki właśnie dzień, gdy ociekając wodą i brnąc po kostki w błocie, razem dźwigali rannych. Lało wtedy jak z cebra, a oni pod prowizorycznym dachem walczyli o ich życie. Zaciskała zęby, gdy ranni wyli z bólu, i niemal mdlała z amputowanymi kończynami w ramionach, a on wściekał się na jej wrażliwość, patrzył zimno i wydawał szorstkie dyspozycje. Klął przy tym jak szewc, jeśli nie dostał na czas potrzebnych narzędzi. Gdzie jest tamten Tomasz? Bo ten, z nienagannymi manierami, wytworny i szarmancki, to nie on. Nie ten sam, chociaż rozpoznał ją i nazwał „Ruda”.

Gdyby Frania nie skubnęła jej rękawa, Antonina stałaby nadal jak słupek soli.

– Wyszli, proszę pani – rzuciła półgłosem.

– Franiu, pan doktor ma chęć napić się herbaty – dobiegł z przedpokoju głos Eulalii. – Podaj ją w salonie. Weź chabrową zastawę ze złotym paseczkiem. Aha, przynieś tylko trzy filiżanki, bo starsza pani zasnęła. I herbatę jaśminową poproszę, tę od Lajzera.

– Tak, proszę pani – dygnęła Frania, a po chwili z kuchni odezwało się brzęczenie naczyń.

Antonina mieszała gorący napój małą srebrną łyżeczką, chociaż nie wrzuciła do niego ani kawałka cukru, który kucharka rąbała wczoraj z hałasem z wielkiej, lśniącej głowy.

Nie odrywała oczu od Tomasza. Patrzyła śmiało, a on wprawdzie wyszedł temu spojrzeniu na spotkanie, lecz lekko uniesionym głosem, jakby w obawie przed kłopotliwym milczeniem, omawiał przypadek Godziewiczowej.

– Pacjentka przeżyła silny wstrząs. Sądzę, że duszności wywołały u niej lęk, a nawet histerię. Ważny jest teraz spokój i odpoczynek.

To mówiąc, sięgnął do ukrytej w kamizelce kieszeni.

– Oto moja wizytówka, gdyby działo się coś niepokojącego – dodał, po czym mały, prostokątny bilecik zamknął w dłoni Antoniny. Uścisk był mocny, znaczący. Odniosła wrażenie, że wraz z wizytówką otrzymała możliwość wyboru.

I właśnie wtedy, gdy Tomasz gotowy był do wyjścia, Antonina zaniósła się kaszlem.

– Pani nie jest zdrowa – stwierdził, zdjął palto, kapelusz i odwiesił je z powrotem na wieszak.

– Czasem kaszlę. Proszę się tym nie kłopotać – odparła.

Zbył ją i zwrócił się do Eulalii:

– Gdzie mógłbym zbadać tę panią?

– Może w moim gabinecie? – rzekła z wahaniem.

Antonina zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Oddychała prędko, nerwowo. Nic nie mówiła, ale jej wzrok wystarczył, by Tomasz chwycił jej dłonie i zbliżył do niej twarz.

– Nie mogę uwierzyć, że cię widzę – wyrzucił wraz z gorącym oddechem, który przylgnął do jej ust jak pocałunek.

– Pan żyje, doktorze – szepnęła, patrząc w jego oczy tak głęboko, że natychmiast odczytał z nich wszystkie uczucia, które z pietyzmem pielęgnowała.

– Kiedy odeszłaś...

– Nie odeszłam! – krzyknęła, ale położył dłoń na jej ustach i odciągnął od drzwi. – Nie odeszłam – szeptała gorączkowo. – To był rozkaz. To był twój rozkaz. Ty kazałeś mi iść, zabrać apteczkę i ratować innych. Krzyczałeś... Nie, nie krzyczałeś, wrzeszczałeś na mnie, że za chwilę i tak umrzesz, więc mam nie marnować na trupa swojego cennego czasu. To był rozkaz – rozplakała się i było zupełnie jak wtedy, gdy biegła pod ostrzałem kul, potykając się na bruzdach, bo łzy zalewały jej oczy. Do piersi przyciskała apteczkę z tym wszystkim, co po nim zostało, co mogło dać szansę rannym powstańcom.

– Ocalałem – rzekł i odgarnął jej włosy czoła. – Dla ciebie, Ruda.

– Kto... – chciała pytać dalej, ale coś zdławiło jej gardło, zatrzymało słowa.

– Kto mi pomógł? – domyślił się. – Jacyś wieśniacy. Stary człowiek i jego wnuk. Ten chłopak był mały, miał może z dziesięć lat. Zaciągnęli mnie do chaty, jeszcze dzisiaj mam w uszach dźwięk rwanego płótna, którym zawijali mi rany. Kobieta, pomarszczona jak zwiędłe jabłko, poila mnie ziołami. Przeżyłem.

Antonina ze zmarszczonym czołem szukała w jego oczach tamtego czasu i tamtego Tomasza.

– Co teraz? – zapytał, ściskając jej nadgarstki. – Co z nami? Obiecałem ci coś, jeśli przeżyję. Przeżyłem. A moja miłość przetrwała.

– Mam męża, doktorze – wyznała z rozpaczą.

Godziewiczowa spała. Eulalia pomrukiwała coś pod nosem, przeglądając pismo, którego okładkę zdobił tytuł: „Magazyn Mód czyli Dziennik Przyjemnych Wiadomości”. Antonina topiła desperację w drugim kieliszku wina. Zza lekko uchylonych kuchennych drzwi dobiegały strzępy rozmowy Frani z kucharką i zapach gotowanej włoszczyzny. Deszcz nadal padał. Grał na szybach coraz ciszej i ciszej, aż przerodził się w monotony szum.

– Odkąd nie ma przy mnie Henryka, już zawsze będę czuła się źle – westchnęła Eulalia, spoglądając na Godziewiczową, która wyjadała z miseczki pudding z wiśniową konfiturą.

– Mam nadzieję, że nie mówisz tego z zazdrości – odrzekła pani Karolina, odstawiła na stolik miseczkę i otarła usta serwetką. – Masz świetną kucharkę – dodała i poprawiła się na poduszkach.

– Z zazdrości? – zdziwiła się Eulalia. – Proszę wybaczyć, ale nie bardzo rozumiem.

– Ciocia ma na myśli to całe zamieszanie wokół niej – wtrąciła Antonina. – Kiedy była zdrowa, nikt jej tak nie rozpieszczał.

– Ach, to! – zawołała Eulalia. – Nic podobnego, nie zazdroszczę, naprawdę – zapewniła ze śmiechem. – Mam na myśli ból duszy. Od kiedy zabrakło mojego drogiego męża, boli mnie dusza. A teraz jeszcze zmartwienie o Witusia. Mój Boże...

Eulalia zrobiła przerwę, żeby wytrzeć toczącą się po policzku łzę.

– Rożański... Pewien człowiek, który mnie czasem odwiedza – Eulalia znów przerwała i otarła oczy, które natychmiast ponownie się zaszkliły. – On ma syna, Jakuba. W wieku Witusia – przy ostatnim słowie głos jej się załamał i strumień łez spłynął po policzkach. – Razem byli w szkole podchorążych, razem powstali w listopadzie i razem walczyli. I raz temu

Jakubowi w nocy ktoś skradł buty! – rozszlochała się na dobre. Kiedy się opanowała, ciągnęła dalej: – Jak walczyć bez butów? Boże mój, jak on w tę daleką drogę miał iść bez butów? – zrobiła efektowną pauzę i powiodła wzrokiem po twarzach Godziewiczowej i Antoniny, uważnie przysłuchującym się jej słowom. – Czy wiecie, dlaczego Rożański tu przychodzi? Nie wiecie... A on przychodzi dlatego, że jego syn wrócił do domu w butach Witusia. Rozumiecie, co to znaczy?

Antonina w popłochu zerknęła na ciotkę, która przymknęła oczy i zagryzła wargi. Obie wiedziały, ale tak trudno było wyartykułować to słowo. To ostateczne słowo...

– Mój Wituś oddał mu swoje buty! – nieoczekiwanie z satysfakcją zawołała Eulalia. – Zawsze wiedziałam, że wychowałam go na bohatera. – Z jej oczu, pełnych jeszcze łez, wyzierała duma. – Na pewno zaraz zabił jakiegoś wroga i zabrał mu buty dla siebie – dorzuciła i uśmiechnęła się do Antoniny. – Zjedz swój pudding, kochana, mizernie dzisiaj wyglądasz.

Antonina nawet nie spojrzała na deser. Nie mogła oderwać oczu od kuzynki, tak pełnej wiary i nadziei.

– Śni mi się w nocy, że przyszedł list – ciągnęła dalej Eulalia. – Od Witusia, naturalnie. – Jej oczy roziskrzyły się, jakby naprawdę ten list otrzymała. – „Mamo...” albo może „Kochana Mamo”, tak by napisał. Boże drogi, jak dawno nikt nie mówił do mnie w ten sposób... A dalej pisałby na przykład: „Niech Mamusia się nie martwi, ja wrócę”. Bo może on stoi gdzieś pod Irkuckiem – wyjaśniła i spojrzała na Antoninę, jakby szukała u niej potwierdzenia. – Chciałabym do niego napisać, że czekam, że modłę się o niego każdego dnia... Och, jak dobrze, że tu jesteście, że mogę się przed wami wypłakać! – zawołała nagle i wyciągnęła ramiona do Antoniny, która przytuliła ją serdecznie. – On tak bardzo pragnął wolności ojczyzny,

a teraz sam być może jest w niewoli, może w drodze na syberyjską ziemię... – Oczy Eulalii nagle zapłonęły nienaturalnie.

– Ja tam pojedę, wiesz? – szepnęła, zacisnąwszy palce na nadgarstku Antoniny. – Albo pójdę, bo nie mam przecież konia. Po co mi w Warszawie koń, prawda? – roześmiała się. – Ruszę jutro, z samego rana. Albo pojutrze. Kupię najpierw Witusiowi nowe buty, wysokie, z jasnymi cholewami, albo trzewiki z długimi noskami, jakie teraz się nosi. Wybiorę coś u Szumana, przy Marszałkowskiej. Takie zapinane na guziczki i żeby koniecznie skrzypiały przy chodzeniu...

Delikatne pukanie, a po chwili twarz Frani, która ukazała się w uchylonych drzwiach, przerwały budzące grozę wynurzenia Eulalii.

– Proszę pani – szepnęła. – Pan doktor przyszedł – oznajmiła i wzniosła oczy ku niebu, bo od pierwszej wizyty pojawił się w domu pani Wojarskiej już kolejne cztery razy.

– Proś go więc do salonu – rzuciła Eulalia i szybko otarła łzy.

– Do salonu? – zdziwiła się Frania.

– No tak. Skąd mam wiedzieć, do której pacjentki przyszedł? – odparła.

Antonina poczerwieniała i zaczęła skubać nerwowo końcówki spadających na ramiona loków, Godziewiczowa zaś opadła na poduszki i przyoblekła twarz w cierpienie.

– Duszno – jęknęła. – Jakby Frania była tak dobra i otworzyła okno...

Doktor Tomasz w świetnie skrojonym aksamitnym tużurku, spod którego wychylał się śnieżnobiały, wysoki kołnierz obwiązany jedwabnym, amarantowym krawatem, wyglądał nie tylko dostojnie, ale wręcz uroczyście. Witającej go Eulalii przemknęło przez myśl, że to chyba przesada, ubierać się tak na wizytę u pacjentki. Godziewiczowa na dodatek nie płaciła mu ani grosza, bo nikt nie prosił go o kolejne konsultacje. Mimo

to doktor przychodził. Jego troska była niecodzienna i świadczyła o prawdziwym zaangażowaniu.

– Jakże dziś miewa się pani Karolina? – skłonił się i łypnął okiem w kierunku otwartych drzwi, przez które dobiegały strzępy czyjejs rozmowy.

– Och, dziękuję panie doktorze. To wspaniale, że zapisane lekarstwa i zalecona dieta przynoszą dobry skutek – odparła Eulalia. – Pani Godziewiczowa czuje się znacznie lepiej. Sądzę, że nie ma powodu, by fatygował się pan do niej każdego dnia.

– To drobiazg. Mieszkam niedaleko, proszę pani. – Skłonił się znów doktor. – Poza tym odwiedzam też panią Antoninę i przyznam, że ona niepokoi mnie bardziej. Jeśli kaszel nie ustąpił, chciałbym ją znowu osłuchać.

– Ileż w panu szlachetności – zachwyciła się Eulalia. – Niestety, pański niepokój w pełni uzasadniony. Kaszel nie ustąpił – dodała zmartwiona. – Proszę łaskawie poczekać, zaraz przyślę tu kuzynkę.

Antonina przez kilka ostatnich nocy niewiele spała. Przez kilka ostatnich dni niewiele jadła. Przez kilka porzuconych złudzeń niewiele pragnęła, bo zrozumiała jedno. Nie wolno jej pragnąć Tomasza.

Do salonu weszła jak cień. Pokonana przez wydane sobie zakazy, przez odrzucenie miłości człowieka, za którym tęskni. Słaba i nieszczęśliwa, przyłgnęła policzkiem do miękkiego aksamitu tużurka i rozplakała się bezgłośnie. Ukrył ją w ramionach i razem rachowali wszystkie straty, przesiewali wspomnienia, które z trudów, ze wspólnych przeżyć, ze starania o czyjeś życie, z szorstkości, ze sprzeczek, z wymagań i z gniewu zbudowały najszczerze przywiązanie, silną miłość.

Jak można odwołać, zniszczyć, unicestwić prawdę? Jak odwrócić nieodwracalność? Jak wypluć truciznę, którą się wypilo?



Gdy raz powiedziało się „tak”, nie ma ucieczki.

– Muszę wrócić do Edwarda – szepnęła, a on przycisnął ją jeszcze mocniej do siebie i przylgnął wargami do jej ust.

– Przepraszam – usłyszeli nagle niepewny, matowy głos Malwiny. – Szukam pani Eulalii...

Odskoczyli od siebie, a ona zawróciła zakłopotana, lecz zanim odeszła, Antonina podbiegła i chwyciła ją za rękaw sukni.

– Zaczekaj...

– Bardzo panią przepraszam, drzwi były otwarte – oznajmiła stropiona.

– Tak, otwarte... Pan doktor... – plątała się Antonina. – Pani Eulalia jest pewnie w pokoju mojej ciotki...

– Nie, jest w kuchni – odparła spokojnie Malwina. Wskazała dłonią kuchenne drzwi, nie odrywając przy tym spojrzenia od oczu Antoniny. – Właśnie usłyszałam stamtąd jej głos. Pójdę do niej – dodała, spoglądając wymownie na palce Antoniny zaciśnięte na jej rękawie.

Antonina uwolniła jej rękę i pozostawiwszy samego Tomasza w salonie, pobiegła do swojego pokoju.

Więcej go nie widziała. Jego kamerdyner przyniósł pewnego wieczoru krótki liścik:

*Kochana moja, uciekłaś tak nagle, bez pożegnania. Nie zdążyłem powiedzieć Ci wszystkiego, a później unikałaś spotkań ze mną. Gdybyś zgodziła się zostać, leczyłbym Cię, robiłbym wszystko, byś odzyskała zdrowie. Bo Ty potrzebujesz opieki, dobrego doktora, potrzebujesz mnie! Ruda, przypuszczam, że Twój kaszel to gruźlica płuc.*

*Pamiętaj, że Cię kocham. Będę czekał. Tomasz.*

**F**rancuz rodowity lub Polak dokładnie mówiący po francusku i po niemiecku, opatrzony dobrymi świadectwami, potrzebny jest na prowincję do dozoru i prowadzenia dziecka...

Albo nie. Na cóż mi tu drugi mężczyzna? Dla Zosi przydałaby się raczej guwernantka – pomyślała Rozalia, przekreśliła prawie gotowe ogłoszenie i zaczęła jeszcze raz:

*Potrzebna jest na prowincję guwernantka, posiadająca gruntownie język francuski i niemiecki...*

Zastanowiła się i dopisała:

*Bez muzyki.*

W końcu Antonina doskonale gra na fortepianie i kiedy poczuje się lepiej, może sama Zosię uczyć. Taka guwernantka ze wszystkimi umiejętnościami drożej weźmie. Francuski i niemiecki doskonale zna Piotr, jeśli więc guwernantka będzie bez tych języków, nic się nie stanie...

*Osoba życząca sobie przyjąć ten obowiązek, zechce się zgłosić do...*

– Mama tutaj? – zajrzał do jej sypialni Edward. – Pukałem, ale nie otrzymałem odpowiedzi, więc pozwoliłem sobie wejść.

– Wejdz, wejdz... Nie słyszałam, synu. Byłam zajęta.

– A cóż mama pisze, jeśli można spytać? – uśmiechnął się, ujął dłoń Rozalii i pocałował ją z szacunkiem.

– Siadaj, synu – westchnęła.

Usiadł na krześle z boku biurka, przy którym siedziała matka i odruchowo poszukał w kieszeni fajki. Zreflektował się jednak, że nie jest u siebie w gabinecie.

– Bardzo martwię się o naszą Zosię, Edwardzie – zaczęła. – Wanda zakończyła służbę. Zresztą... – Machnęła ręką. – W ostatnich dniach i tak żadnej korzyści z niej nie było, bo tylko o zamążpójściu myślała. Nasz Piotr dobry jest dla Stasia i dla Imrego, ale w żadnym wypadku nie nadaje się dla sześciolatniej dziewczynki. Tutaj potrzebna jest guwernantka.

– Ba... – podrapał się po głowie Edward. – Nie tak łatwo o dobrą guwernantkę. Zwłaszcza dla Zosi.

– Co znaczy: zwłaszcza dla Zosi? Coście się wszyscy uparli, że Zosia jest jakaś wyjątkowa?

– Ktoś poza mną upiera się przy tym? – zapytał rozbawiony. Wokół jego oczu zarysowały się drobne kreseczki zmarszczek, które Rozalia bardzo lubiła, mimo że świadczyły o upływających latach.

– Wszyscy. Wanda twierdziła, że Zosia nie przyswoi dobrych manier, Aniela znów mówi, że twoja córka w kuchni dałaby sobie radę i bez kucharek. Antonina, kiedy czuje się lepiej, zabiera ją na spacer i Bóg jeden wie, co na tych przechadzkach kładzie jej do głowy. A skoro już przy Antoninie jesteśmy... – Rozalia zawahała się, a Edward skrzywił się zniecierpliwiony. Nie lubił, gdy matka uderzała w ten swój mentorski ton. – Nie podoba mi się, że Zosia spędza z nią tak dużo czasu.

– Dlaczego? Dopóki nie ma guwernantki, niech uczy się różnych rzeczy od Antoniny.

– Nie o to chodzi, synu. Twoją żonę męczy kaszel. Boję się, że zarazi czymś dziecko...

– Dotąd nikogo nie zaraziła.

– Ach, więc czekamy, aż to nastąpi? Dobrze ci radzę, porozmawiaj z nią o tym. I z Zosią też, chociaż nie wiem, czy ona zrozumie.

– Zosia rozumie więcej, niż nam się wydaje.

– O, ty znów swoje... Proszę! – zawołała w kierunku drzwi, skąd rozległo się pukanie.

– Pani Godziewiczowa przyjechała – dygnęła Maryna.

– Prowadź ją do salonu – poleciła Rozalia. – Co do naszej rozmowy – zwróciła się znów do Edwarda – postanowiłam napisać do gazety ogłoszenie i znaleźć dla naszej Zosi guwernantkę.

– Proszę nie robić tego na własną rękę, mamó – żywo zareagował Edward. – Antonina może być niezadowolona.

– Nie na własną rękę, rzeczywiście – zachnęła się Rozalia. – A ja sądzę, że Antonina wcale tym się nie zajmie. Nie wiem, czy to choroba tak na nią wpływa, ale zauważyłam, że ona ostatnio w innym świecie żyje.

– Sam zajmę się szukaniem guwernantki dla Zosi – mruknął Edward, pomijając milczeniem słowa matki o Antoninie.

– No więc dobrze, zajmij się tym – wzruszyła ramionami, dając wyraźnie do zrozumienia, że jako mężczyźni wcale mu nie ufa w sprawach dzieci. – Idę do Godziewiczowej – oznajmiła.

– W takim razie pojedę na wyręby, zobaczę, czy drewno zwożą.

– Na wyręby? – przestraszyła się Rozalia.

– O co chodzi, mamó? – zdziwił się.

– Nic, nic... Tylko twój dziadek... Pamiętasz, opowiadałam ci. Drzewo go przygniotło...

Pani Karolina używała wachlarza, mimo że kominek dogasał, a w salonie panował chłód.

– Czasem brakuje mi powietrza, chociaż zimno tu u ciebie, moja droga – tłumaczyła Rozalii, która najpierw zadzwoniła po Cesię, by ta dołożyła do ognia, sprawdziła, czy okno jest dobrze uszczelnione, a na koniec podała Godziewiczowej węlniany szal.

– Przypomnij mi, żebym dała ci mieszankę ziół przygotowaną według receptury mojej matki, dobre na twoją chorobę – powiedziała.

– Bardzo ci jestem wdzięczna – ucieszyła się Godziewiczowa. – A powiedz mi, jak miewa się Antonina? Chciałam do niej zajrzeć, ale ta wasza Józia mnie nie wpuściła. Mówiła, że pani śpi.

Rozalia pokiwała głową.

– To prawda. Antonina słaba jakaś. Ostatnio dużo śpi.

Pani Karolina sięgnęła do tacy z kruchymi ciasteczkami, wybrała jedno i trzymając je w dwóch palcach, odgryzła mały kęs, po czym delektowała się nim, przymknąwszy oczy.

– Dobre – rzekła z uznaniem. – Ja w domu wcale ciastek nie jem. Lekarz zalecił dietę – westchnęła z ubolewaniem. – A co do mojej siostrzenicy, to ci powiem, że ona już jako dziecko była wątła i słabowita. Ale co się dziwić, skoro jej ojciec od wczesnej młodości słabował na płuca. Może odziedziczyła to po nim?

– Teraz o tym mówisz? – zmarszczyła brwi Rozalia. – Jakie choroby płuc? Nie daj, Bóg, gruźlica może? – przeraziła się.

– Na gruźlicę chyba nie chorował – wycofała się natychmiast Godziewiczowa, widząc, jakie wrażenie zrobiła na Rozalii.

– A po matce co wzięła? – zainteresowała się Rozalia.

– Po mojej siostrze? – zastanowiła się Godziewiczowa. – Cóż ona mogła wziąć po niej... Jasną cerę i rude włosy. Aha, i te okropne piegi – dodała z niesmakiem

– Ech – machnęła ręką Rozalia. – Piegi... Piegi to nic, można z nimi żyć, mnie martwi, że ona wcale nie ma apetytu. – Podaję jej rozcieńczone wodą, słodkie wino.

– Pomaga? – zaciekawiła się Godziewiczowa.

– Jak dotąd, nie... – odparła z wahaniem Rozalia. – Może by tak pijawki przystawić – zastanawiała się głośno.

– O takie rzeczy lepiej doktora pytać, bo jeszcze jej zaszkodzisz – przestraszyła się Godziewiczowa.

– Nasz doktor nie na wszystkim się zna – oświadczyła Rozalia. – Eulalia twierdzi, że nie poznał się na jej migrenie.

– Może to i racja – zamyśliła się Godziewiczowa. – Mnie nie pomógł na wątrobę. Wiesz, ten doktor, który mnie od ataku ratował, a potem i naszą Antoninę badał, zna się na wszystkim.

– Być może, ale on jest w Warszawie, a ona w Przylipiu.

– Ano tak – zasepiła się pani Karolina. – Ale można by do niego pojechać – dodała z ożywieniem. – Ja też chętnie bym skorzystała.

– Ja tak sobie myślę, że najważniejsze to zimę przetrwać – pominęła ten koncept Rozalia. – Wiosną inne powietrze będzie, a latem do wód ją wyślemy. Ta słotna jesień i zima najgorsze.

Godziewiczowa pokiwała głową i zamilkła w zadumaniu.

Jesień, więc dnia, jak przykrótkiej pierzyny, przestało wystarczać na wszystko. Antonina w cichości sypialni przysłuchiwała się głosom z zewnątrz: bieganinie służby, strofowaniu chłopców przez Kosteckiego, chichotom Maryny i Józi, które przechodząc korytarzem, opowiadały sobie wesołe anegdotki, lamentom Zosi, bo ukochana kotka Inana znów gdzieś się zapodziała, wreszcie pokrzykiwaniom woźnicy, który pewnie przywiózł kolejną partię drewna na opał.

Ona sama nie czuła się dobrze, więc unikała kontaktu z domownikami. Nie chciała, by ktokolwiek interesował się jej chorobą. Tym bardziej że ostatnio kaszel nasilił się, a wieczorami gorączka rozpaliała policzki i nienaturalnie rozświetlała oczy. Może wciąż zajęty Edward nie będzie zwracał uwagi na takie szczegóły – łudziła się. Pragnęła obecności Tomasza. Nie chodziło tu o miłość ani o tęsknotę za nim, ale o poczucie bezpieczeństwa, bo tylko jemu zwierzyłyby się ze swoich dolegliwości i z obaw, jakie ją ogarniały. Bała się swojej choroby, bała się umierania.

To zadziwiające, w jak różny sposób może to przychodzić. Na polu walki pielęgniarki razem ze śmiercią zaglądały w oczy rannym żołnierzom. A umieranie było tam naturalne, zwyczajne, codzienne. Inaczej wygląda śmierć przyczajona, cicha, ta, przy której chodzi się na palcach.

Właśnie taka zabierała jej ojca. Był początek lata, a ona w wieku Zosi, gdy przemykała ukradkiem pod oknami jego pokoju z koszykiem pełnym czereśni. Firanki furkotały na wietrze, a jej chciało się śpiewać i skakać, i jeść te dojrzałe czereśnie. Zapłakana matka kazała jej powściągnąć radość i przechodzić po cichutku. Przy ojcu rozsiadła się śmierć. Raz po raz zmuszała go do męczącego kaszlu, który na spieczonych wargach pozostawiał krople krwi czerwone jak ten sok z nabrzmiąłych owoców. Raz po raz chwytala go drapieźnie, dusiła w piersiach, wzbudzała strach i kazała o sobie myśleć.

Antonina również się bała.

Gdyby Tomasz był tylko doktorem. Zwykłym znajomym z wojny doktorem, a nie sprawcą pocałunku, nad którym wirowały bielone ściany salonu Eulalii z podobiznami Kościuszki i Poniatowskiego w owalnych ramach. Pocałunku, po którego prawej stronie rozkołysały się koronki firan, po lewej mdało białe jak śnieg karraryjskie popiersie kobiety, a na wprost otwierały się drzwi i zaraz potem zszokowane, zimne oczy Malwiny...

Gdyby nie ten pocałunek, gdyby nie Malwina, wizyta u doktora Tomasza nie wzbudzałaby w nikim żadnych podejrzeń. Ale tamtej chwili nie można wymienić na inną, cofnąć, przeżyć inaczej.

Pełna troski i dobrej woli Rozalia zaglądała do synowej a to z syropem na kaszel, a to z naparem z liści malin i powidłami z czarnego bzu, a to z miseczką lipowego miodu. Oprócz tych specyfików kazała ustawić misę, w której paliło się roślinne wonności i smoliste węgielki na złagodzenie kaszlu. Antonina często zbywała świekrę lub udawała, że śpi. A potem płakała.

Jedynie Józi wolno było tu przychodzić o każdej porze. Rano przynosiła serwatkę z koziego mleka, którą Rozalia zalecała na chore płuca. Koło południa meldowała przyjazd ciotki, ale Antonina nie chciała jej widywać. W porze obiadowej przynosiła tacę z obiadem, z którego chora wypijała jedynie odrobinę rosółu. Przed kolacją pytała, czy zapalić świecę i czy pani znajdzie siły, by pójść do jadalni, czy też raczej życzy sobie do pokoju kilka plasterków szynki i filiżankę kakao. Czasem na chwilkę wślizgiwała się za nią Zosia z białym kotem w ramionach i swoim szczerbatym uśmiechem, który mamusia uwielbiała, a za który babcia Rozalia nieustannie ją strofowała: „Nie uchodzi, Zosiu, tak jawnie obnosić się z faktem, że gubisz ząbki”.

W sypialni było zimno, a od Antoniny buchał żar. Jednak każda próba dotknięcia jej ramienia, stopy, pleców, kończyła się gwałtownym odsunięciem na brzeg łóżka, potem szarpiącym, tłumionym płaczem.

Dlaczego jesteśmy razem? – zastanawiał się Edward, lecz nie pytał o to głośno. Powoli godził się z rosnącą przepaścią między nimi, uklepywał swoją prawą poduszkę, naciągał prawą połowę pierzyny.

– Kocham cię – szeptał. Coraz ciszej i coraz rzadziej.



**P**o dniu Wszystkich Świętych i Zaduszkach, które spędzało się na cmentarzu albo w kościele na modlitwach, śpiewaniu pieśni za zmarłych i kwestowaniu na rzecz biednych, nadszedł czas na stare i niechrześcijańskie zwyczaje. Bo zdarzali się jeszcze wieśniacy, którzy szli do swoich zmarłych z koszami pełnymi potraw i ustawiali je na mogiłach, aby choć raz w roku wygłodniałe dusze najadły się do syta. Gwarno wtedy robiło się na mogiłkach, jasno i migotliwie od płonących świec i lampek oliwnych. I dużo było w żywych wiary, że duszyczki gromadzą się przy tym świetle, cieszą się z ciepła i jadła, a z wdzięczności zapewnią zdrowie i dobrobyt swoim ziemskim krewnym. Zwłaszcza, gdy posilą się przy nich żebraczki i dziady proszalne, licznie gromadzący się w tym czasie przy kościołach i cmentarzach.

Edward nie wierzył w żadne gusła i nie uczestniczył w tych obrzędach, a wynoszenie pokarmu na cmentarz uważał za marnotrawstwo. Mimo to lubił przychodzić tu wieczorem. Zatrzymywał się nad grobem swojej pierwszej żony i z ciekawością obserwował to wiejskie świętowanie. Dobrze mu tu było i spokojnie, kiedy wędrował myślami do beztroskich chwil z Elizą, do szczęścia, które z nią dzielił. Teraz miał Antoninę. Zagadkę i zmartwienie.

Wyteżył wzrok, gdy rozświetlona cmentarnymi ognikami zamajaczyła przed nim znajoma sylwetka. Stąpała pewnie, jakby tysiące razy odwiedzała to miejsce. Nie oglądała się na nikogo i nie patrzyła pod nogi, mimo że właśnie potknęła się na ścieżce, mimo że już szeptano za jej plecami. Spieszyła się, bo tam, w mroku, w kącie cmentarza, czekał na nią jej maleńki chłopczyk. Jej synek.

– Malwina! – zawołał półgłosem Edward i uniósł dłoń, by mogła go łatwiej dostrzec. Jej niespodziewana obecność uświadomiła mu, jak bardzo czuje się tu samotny. Dlatego szczerze ucieszył się na jej widok. Był przecież pewien, że dawno wróciła do Warszawy.

Zatrzymała się. Przez chwilę patrzyła zaskoczona, a jej piękna twarz zastygła w napięciu.

– Pan tutaj – odezwała się lekko ochryłym głosem i zatrzymała wzrok na stojącym za nim krzyżu. – U pani Elizy...

Zawiesiła głos i zagryzła wargi. Nie powiedziała nic więcej. Może jej współczujące spojrzenie miało dopowiedzieć jakąś myśl, ale Edward jej nie zrozumiał.

– Idziesz do syna – rzucił, bo tak naprawdę nie miał pojęcia, jak zacząć rozmowę.

Opuściła głowę, a on zwrócił uwagę na jej dłonie, które kurczowo zaciskały oliwną lampkę.

– Jeśli pozwolisz, będę ci towarzyszył – rzekł bez namysłu. Potrzebował czyjejs obecności. Takiej, przy której nie trzeba silić się na prowadzenie konwersacji. Czuł, że przy Malwinie będzie mógł milczeć bez zakłopotania.

– Pan? – Uniosła wyraźnie zarysowane brwi, a jej oczy roziskrzyła jakaś nerwowość, może trwoga. – Ludzie będą gadać.

Wzruszył ramionami. Nie obchodziło go ludzkie gadanie. Nie miał niczego do ukrycia, ani niczego na sumieniu.

– Pozwolisz mi? – zapytał.

– Proszę – zgodziła się z wahaniem.

Ruszyła przodem.

Złocisty płomyk rozkołysał się nad małym kopczykiem usypanej ziemi, rozjaśnił drewniany krzyż i pochyłoną nad mogiłką twarz Malwiny. Gdzieś w ciemność unosił się bezgłówny jej szept do istotki, której nie dane było ziemskie życie.

– Ktoś z Olszówki przywiózł cię tutaj? – zapytał Edward, gdy opuścili już cmentarz i stali niezdecydowanie pod kamiennym murem. Rozejrzył się, ale poza jego własnym koniem uwiązany do rosnącego nieopodał klonu, nie dostrzegł żadnego powozu.

– Nie mieszkam w Olszówce. Ojciec przegonił. Przyszłam ze wsi – oznajmiła.

Spojrzał pytająco, ale odpowiedziała mu takim wzrokiem, że o nic już nie pytał.

– Długo zabawiłaś. Pani Eulalia pewno wygląda ciebie w Warszawie – odezwał się po dłuższej chwili.

– Nie wrócę tam – rzuciła. Wydawało mu się, że zaczepnie.

– Może więc szukasz zajęcia? – zapytał impulsywnie i dodał, wciąż pod wpływem instynktu, którego sam nie rozumiał: – Zosia potrzebuje guwernantki...

Uśmiechnęła się. Nie do Edwarda, ani nie do siebie. Uśmiechnęła się do tych sił tajemnych, u których powrót do Przylipia długo wypraszała.

Rozalia może by i ofuknęła syna za nieprzemyślaną decyzję, bo za Malwiną przecież nie przepadała. Może nawet odmówiłaby jej posady, lecz

brak opieki nad Zosią niepokoił ją po stokroć bardziej niż usposobienie tej panny. Poza tym coś ją przed tą odmową bardzo powstrzymywało. Nie miała pojęcia, co, więc bez entuzjazmu pogodziła się z postanowieniem syna. Pokrzepiał ją fakt, że Malwina skończyła przecież kursy nauczycielskie i nie trzeba będzie przed nikim świecić oczami, że znów wzięła jakąś nieudacznicę. Cóż, najwyżej poskromi się niektóre jej manieri, jeśli zanadto wysunie pazurki.

Antoninie wiadomość o przyjęciu Malwiny przysporzyła tak silnej gorączki, że nie obyło się bez wizyty miejscowego doktora.

– To suchoty – rzekł bez ogródek po opuszczeniu sypialni chorej. Obrzucił Edwarda karcącym spojrzeniem i dodał z sarkazmem: – Szkoda, że tak późno po konsultacje, bo stan jest poważny. Cóż można zrobić... Zapisuję leki kojące i wykrztuśne. Wskazany wywar z lekko zmielonych ziaren owsa... – Zawahał się. – Może też być z jęczmienia, bo to dobre przy chorobach gorączkowych, podobnie jak czarny bez i lipa. A lód, proszę państwa, na wypadek, gdyby pojawiło się krwioplucie. – Powiódł wzrokiem po przerażonych twarzach Edwarda i Rozalii. – Może tak być przy tej chorobie – rzekł twardo. – Dobrze jest stosować wzmacniające kąpiele w wywarach z kory dębu. Poza tym dużo odpoczynku i wygrzewanie się w łóżku. Na lato... – zawahał się, jakby szacował, czy chora tego lata dożyje. – Na lato zalecam bezwzględnie pobyt leczniczy w Dusznikach. Tam, prócz stosownych lekarstw, trzeba pić wodę, która jest przy tej chorobie skuteczna. I zażywać solankowych kąpiele, a jak sił wystarczy, to spacerować. Proszę szczególnie dbać teraz o żonę i nie narażać jej na żaden afekt, bo wzburzenie tylko jej zaszkodzi – rzekł do Edwarda. – Przy dobrej pielęgnacji choroba pewnie zelżeje, ale niech to was nie zwiedzie, bo uczciwie powiem, nie znam skutecznej metody na nią. Cóż, postaramy się jak najdłużej oszukiwać śmierć. Na razie wietrzyć dobrze

pokoje i karmić pożywnie. Pan nie powinien teraz dzielić z żoną łoża, trzeba jej pozwolić się wysypiać i wypoczywać. – Zwrócił się znów do Edwarda, ale to Rozalia oblała się rumieńcem jak panienka. – Co do tych wszystkich ziółek i syropów, które pani podaje – skierował z kolei słowa do niej – nie mam żadnych zastrzeżeń, na pewno nie zaszkodzą.

Doktor odjechał. Zdesperowany Edward zamknął się w swoim gabinecie i nie opuścił go aż do wieczora. Rozalia snuła się pod jego drzwiami, lecz sama wstrząśnięta diagnozą, nie chciała zakłócać samotnych deliberacji syna. Widocznie potrzebował tych rozważań i konfrontacji z sobą samym.

– Kazałam przygotować dla ciebie pokój w starej bawialni od strony sadu – oznajmiła, gdy wreszcie opuścił gabinet. – Waclaw przeniósł tam już twoje rzeczy, a Cesia napaliła w kominku. Do czasu wyzdrowienia Antoniny powinieneś tam spać, jak radził doktor...

– Wyzdrowienia? – Edward wymówił to słowo z takim ogniem w oczach, że spłoszona Rozalia zamilkła. – Czy ona kiedy wyzdrowieje, mamo?

Następnego ranka Rozalia pisała:

*Cóż za nieszczęście, droga Eulalio. Antonina zdeklarowaną gruźliczką! Nie ma szczęścia biedny Edward, bo coś mi się wydaje, że długa droga do jej wyzdrowienia. Nasz doktor zalecił jej na lato wyjazd do Dusznik. I tak sobie myślę, że kiedy pierwsze ciepłe dni nastaną, a jej sił wystarczy, bo przecież od nas jakiś tydzień drogi, to pojedzie. Wiesz, zastanawiam się teraz, czy to możliwe, żeby ona na tę straszną chorobę zapadła. Czy ten doktor właściwą postawił diagnozę, skoro Ciebie nie wyleczył nawet z migreny? Gdybyś to mogła, moja droga, z tym doktorem, co go tak chwaliłaś, z tym Tomaszem Nitewskim, skonsultować, byłabym Ci po stokroć wdzięczna. On przecież badał Antoninę. A jak mówisz, dyplom*

*uzyskał w Berlinie, więc może lepiej kształcony od naszego lekarza? Jeśli on wszystko potwierdzi, wyślemy ją do tego uzdrowiska.*

*Mam dla Ciebie jeszcze jedną wiadomość, która z pewnością Cię nie zadowoli. Otóż Malwina nie wróci do Warszawy...*

Sypialnia Antoniny rozpachniała się tymiankiem, miętą i lukrecją, które w połączeniu z suszonymi na sierpniowym słońcu liśćmi maliny i kwiatami lipy mieszała dla niej Rozalia i w postaci naparu podawała trzy razy dziennie do picia. Józia zaś na srebrzystej tacy zanosila rosół, przyrządzany osobiście przez Anielę, oraz świeżutkie bułeczki z masłem, jaja i ciemne kakao dla wzmocnienia organizmu. Każdego popołudnia wizytę składał żonie Edward. Siadał nieopodal łóżka, na wyściełanym baranią skórą zydelku i czytał poematy Puszkina, gdyż jedynie lektury tych nie bała się Antonina. Poeta pod nieustającym nadzorem musiał się spowiadać carowi nie tylko z zamiarów i czynów, lecz także z każdej lirycznej myśli. Te utwory nigdy nie znalazłyby się wśród zakazanych.

Poświęcenie i zabiegi sprawiały, że dzień po dniu odzyskiwała siły i wszystko wskazywało na to, że święta Bożego Narodzenia spędzi ze wszystkimi przy stole.

Tymczasem coraz śmielej ku zimie spieszył już listopad, by kłaść kres gospodarskim pracom. Pola i pastwiska opustoszały, zapasy wypełniały spizarnie i piwnice, a bydło wracało do obór. Na świętego Marcina Edward wypłacał służbie ustaloną należność, a Rozalia dawała wszystkim dzień wolny od pracy i pozwalała na świętowanie przy gęsinie, która właśnie późną jesienią bywała najbardziej tłusta i dorodna.

Teraz już coraz częściej przesiadywało się w kuchni, gdzie było najcieplej. Po kolacji Kazia i Wiesia sprzątały tam do czysta, szorowały stół i podłogę, wносиły do spizarni resztki jedzenia, w czyste płótno zawijały

chleb i kładły go do kredensu. Bywało, że Kazia gasiła łożówki i zapalała woskowe świece, kiedy zaglądała tu pani Rozalia. Zawsze wtedy ustawiała wszystkie na małym stoliku przy aptecznej szafie, a pani Stalicka sama dzieliła je według potrzeb: najczęściej dwie zatrzymywała dla siebie, a trzy kazała postawić na dębowym stole, przy którym odbywało się darcie gęsiego pierza. Dziewczęta śpiewały przy tym zajęciu, opowiadały miejscowe ploteczki albo historie jeżące włos na głowie. I Zosia zakradała się o tej porze do kuchni. Ryzykowała wprawdzie gniew babci Rozalii, lecz ciekawość i upodobanie do przysłuchiwania się mrocznym opowieściom zwyciężały. W końcu i Rozalia machnęła ręką, tym bardziej że Zosia żywo interesowała się ziołami, tworzyła z nią lecznicze mieszanki, a nawet orientowała się, które na co pomagają. Grzech byłoby tych zdolności nie wykorzystać, zwłaszcza, że dziewczynka była jedyną osobą, której Rozalia mogła takie zamiłowanie zaszcześcić.

Zbliżał się dzień świętego Andrzeja. Zaraz po nim zaczynał się Adwent, którego zwyczajów pani Rozalia bardzo przestrzegała. Nie pozwalała śmiać się głośno ani nucić skocznych piosenek przy robocie. Również fortepian miał stać zamknięty do samych świąt Bożego Narodzenia.

Dlatego wszystkie panny w Przylipiu chodziły podekscytowane i nie mogły się doczekać andrzejkowej zabawy, przeznaczonej na matrymonialne wróżby. Zaplanowano je, jak co roku, w kuchni, w przeddzień świętego Andrzeja, patrona panien na wydaniu. Aniela zgodziła się na używanie wielkiego dębowego stołu, postawiła jednak warunek, że cała kuchnia ma lśnić czystością zarówno przed, jak i po tych wszystkich, jak to nazwała, głupstwach. Niby kpiła z dziewcząt, ale sama lubiła przyglądać się z kątką ich zabawie.

Jeszcze przed śniadaniem, zanim dzień na dobre się zbudził, Wiesia wetknęła Kazi kilka obranych ząbków czosnku.

– Idź, natrzyj bramę, drzwi wejściowe, klamki i próg ten od ganku. A potem wszystkie parapety i okienne ramy – szepnęła.

– A po so to? – zdziwiła się Kazia.

– Złe duchy trzeba od wejścia przegonić, bo jak one przyjdą, to wszyscy konkurenci ze strachu uciekną.

– Aha – rzekła z przejęciem Kazia. – Pójdę, tylko Anieli nie mów, gdzie jestem. Powies, ze mnie bzuch rozbolał.

– Dobrze, dobrze, powiem, idź już – ponagliła ją Wiesia.

Ranek wstał chmurny i ponury, jak to w listopadzie. Kuchnia też była mroczna, dlatego Wieśka zapaliła łożówki. Śniadanie czekało już na stole, lecz ona tylko przełknęła ślinę i odwróciła oczy. Nie będzie dzisiaj nic jadła, podpowie też pozostałym dziewczętom, by nie zapomniały pościć cały dzień. W przeciwnym wypadku święty Andrzej nie wysłucha ich modlitw o rychły ślub i huczne wesele, ani prośb o kochającego, zamożnego męża, własny dom i gromadkę zdrowych dzieci. Bez postu w śnie nie pojawi się przyszły mąż i trzeba będzie czekać do przyszłego roku. Tak więc siedziały rządkiem na ławie Maryna z Cesią, Józia, Wiesia i Kazia. Przed sobą miały talerze z owsianką, chleb, masło, ser, marmoladę i parujące mleko. Po drugiej zaś stronie pałaszujących ze smakiem Alojzego, Waclawa i Kajetana, a pomiędzy nimi naburmuszoną Anielę. Może dlatego, że nie dla niej były już te zabawy, a może zła była na Waclawa i Alojzego, którzy jawnie drwili z przejętych wróżbami panien. Tymczasem dziewczęta przy akompaniamencie skwierczących łożówek i sekretnych szeptów omiatały stół łakomym wzrokiem i udawały, że wcale nie są głodne. Zresztą zajęte były dzieleniem się ziarnami lnu i konopi, które należało zasiać na prowadzących do dworku ścieżkach nocą i koniecznie w tajemnicy przed innymi. Takie ziarna trzeba było zagrabić męskimi spodniami, inaczej wróżba nie mogła się spełnić. Cesia i Maryna



chichotały, zastanawiając się, czy Waław zauważy, że podebrały mu z szafy tę część garderoby.

– My pięknie prosimy – odezwała się zniecka i uśmiechnęła przymilnie Wiesia – żeby Kajetan po zmroku ogniska dookoła domu rozpał.

– I bez waszego proszenia pamiętam – odpowiedział i odsunął pusty kubek po mleku. – Co roku pał, żeby jakie demony mi was nie wykrały. Pewnie dlatego dotąd żadna jeszcze za mąż nie posła – mrugnął do Alojzego, który w odpowiedzi zarechotał złośliwie. – A ja was proszę, żebyście mi całej wiśni z gałazek nie obrały – dodał, groząc palcem.

– Ależ nie! – zawołała Maryna. – My tylko po jednej gałazeczce. Wstawimy do wody, a jeżeli zakwitnie w wigilię Bożego Narodzenia, to Kajetan się doczeka, że jedna po drugiej za mąż powychodzimy i Kajetan będzie miał wreszcie spokój.

– Moja jesse ani razu nie zakwitła – poskarżyła się Kazia.

– Bo ty zrywasz ze starej wiśni – podchwyciła Cesia. – Ja łamię z tej młodziutkiej, co na końcu sadu rośnie.

– I kwitnie? – zapytała z nadzieją Kazia.

– No pewnie! Od trzech lat, w każdą Wigilię kwitnie.

– To dlaczegoś dotąd za mąż nie wysła? – zapytał Waław i szturchnął łokciem Alojzego, który znów się zaśmiał.

Cesia aż z miejsca wstała, chwyciła się pod boki i przekrzywiła głowę.

– A, bo każdy konkurent do ciebie był podobny, to go nie chciałam! – odgryzła się.

Na kolację przyłipskie panny zjadły tylko po kawałku mocno solonego śledzia. Żeby chciało się pić. I żeby garnuszek z wodą podał we śnie ukochany. Kazia z Wesią uwinęły się z porządkami szybciej niż zwykle.

Podniecone, nie zauważyły, kiedy do kuchni wkradła się Zosia. A jeśli nawet zauważyły, machnęły na to ręką. Niech sobie najmłodsza panienka popatrzy, niech się uczy, jak konkurenta zwabić.

A kiedy za oknem zapadła ciemność i tylko ognie świętego Andrzeja płonęły wokół domu, w kuchni zapachniało suszonym zieleń i topionym woskiem. Zapachniało magią.

Zaraz po dniu świętego Andrzeja kończyły się wszelkie zabawy. Wraz z zimnymi i krótkimi dniami przyszedł Adwent, a pani Stalicka po raz kolejny nakazała post i powściągliwość w zachowaniu. Ale dla służby oczekiwanie na Boże Narodzenie nie było czasem skupienia i modlitw. Zbliżały się święta, a to oznaczało, że trzeba będzie porządnie zakasać rękawy.

Eulalia pisała, zerkając na pierwsze płatki śniegu, które wirowały przed jej oknami, lepiły się do szyb, po czym spływały po nich łzawo.

### *Droga Rozalio*

*Wszystko wskazuje na to, że do Warszawy wraz z grudniem przyszła zima. Nigdzie nie ma tak pięknych świąt jak w Przylipiu. Z melancholią wspominam, gdy bywaliśmy u Was, jeszcze z Henrykiem i Witusiem, i zawsze wtedy padał śnieg. Ach, te kuligi, ta radość! Nigdy potem nie śmiałam się tak serdecznie...*

*Droga moja, nie dalej jak wczoraj spotkałam doktora Nitewskiego przy naszej ulicy. Frania wypatrzyła go z okna, jak przechodził pod kamienicą. Wcześniej, gdy wysyłałam po niego służącą, wracała z niczym, mówiąc, że nikt u niego drzwi nie otwiera. Może wyjeżdżał gdzieś do chorego albo rodziny? A wczoraj był tu! Kazałam Frani zejść na dół i w moim imieniu zaprosić go na herbatę.*

*Przyszedł, ale bez tego blichtru, który bił od niego na początku jesieni. Jakiś wymizerowany i smutny się wydawał, ciekawiło mnie, co się stało, ale nie wypadało pytać o przyczynę. Siedział osowiały i niewiele się odzywał. Dopiero kiedy wspomniałam Antoninę, oczy mu rozbłyły, ale zgasty natychmiast na wieść, jaka ona chora. Wyobraź sobie, Rozalciu, on tę gruźlicę podejrzewał już wtedy, gdy po raz pierwszy badał Twoją synową. A teraz twierdzi, że wie, jak jej można pomóc, tylko musiałyby znów ją zobaczyć. Ja myślę, że warto to rozważyć, i jeśli Antoninie brakuje sił, może należy zaprosić doktora do niej? Przemyśl to i daj odpowiedź, a ja już tutaj z nim porozmawiam.*

*Co do Malwiny, przecież mówiłam, że ona nie do służby się urodziła, a na wolnego ptaka lub leśną nimfę. Spodziewałam się, że prędzej czy później ucieknie z Warszawy. Szkoda tylko, że nie uprzedziła o tym modystki i nie pożegnała się ze mną.*

*U nas znów wszystko podrożało, zbliżają się święta, więc kupcy korzystają na tym. Wy tam na wsi macie wszystko swoje, więc tego nie znacie.*

*Zostańcie w zdrowiu, a Ty, Rozalio, koniecznie napisz, jak sprawa z tym doktorem ma wyglądać.*

*Wasza kochająca Eulalia.*

**Z**aledwie prószyno, a czasem i ta drobnica zamieniała się w siąpiący deszcz. Po dziedzińcu kręcili się bracia Zaniewscy. Felicja przysłała ich, by obejrzeni konia, którego zamierzał sprzedać Edward.

Zosia wodziła palcem po szybie, rysując ślad spływających kropli i zamartwiała się o podróż saniami na pasterkę.

– Jeszcze tydzień do świąt, zdąży śniegu napadać – pocieszała ją Aniela, rozgrzana żarem z chlebowego pieca. Nikt w całej okolicy nie piekł tak dobrego chleba na żytnim zakwasie jak ona. Zosia lubiła ten kwaśny zapach, przytulne ciepło bijące od garnków pełnych potraw i widok rosnącego drożdżowego ciasta na słodkie bułeczki z kruszonką. Lubiła też opowieści kucharek, którym przysłuchiwała się, wyglądając przez okno na dziedziniec. Dlatego ona pierwsza ujrzała wtaczającą się z turkotem bryczkę, którą Anatol wyjechał z samego rana do miasteczka.

– Już jest! – zawołała dziewczynka. – Ciocia Eulalia przyjechała! – Zeskoczyła z ławy i tak jak stała, wybiegła na ganek.

Zawsze czujna Malwina nakrywała ramionka Zosi wełnianą peleryną, Cesia biegła od gabinetu pana Edwarda przez salon i sypialnię Antoniny aż do pokoju starszej pani Stalickiej, anonsując przyjazd kuzynki. Wacław i Alojzy spieszyli odebrać bagaże. Z powozu wyłoniła się otulona futrzaną narzutką Eulalia. Tuż za nią wysiadł niezwykle elegancki Tomasz Nitewski.

– Pisałaś: „Przywieź tego doktora”, to przywiozłam! – śmiała się radośnie Eulalia, wtuliwszy się w ramiona Rozalii. – Ach, jak ja tęskniłam za wami! Wreszcie Przylipie! – wołała w euforii.

– Pragnę powitać pana i wyrazić wdzięczność, że zechciał pan swój czas poświęcić... – krygowała się uwolniona wreszcie z uścisków kuzynki Rozalia, chociaż doskonale wiedziała od niej, że sam doktor nalegał na ten przyjazd. – Antonina, dzięki Bogu, czuje się znacznie lepiej i zdaje się, choroba odpuściła. Nie zaszkodzi jednak, jeśli pan doktor ją osobiście zbada i może dalsze wskazówki da...

– Miło mi panią poznać – Tomasz Nitewski pochylił się z szacunkiem nad dłonią Rozalii. – To ja jestem wdzięczny za zaproszenie, bo dawno nie spędzałem świąt w ciepłym rodzinnym gronie. Pani Eulalia może wspominała, że pochowałem rodziców jeszcze przed powstaniem, a rodzeństwo rozpiezchło się po świecie... Co do choroby zaś... – zawahał się. – Przykro mi to mówić, ale gruźlica jest bardzo podstępna, może się przyczać, przesunąć w czasie, ale nie odpuszcza. Dlatego pacjenci wymagają stałej opieki i wyjazdów leczniczych do wód, gdzie nabierają sił... Dzień dobry panu – wyciągnął dłoń do Edwarda, który zwabiony zamieszaniem i licznymi głosami, również wyszedł na ganek.

Tylko Malwina zauważyła nerwowe drgnienie ust pana doktora i jego oczy, które gwałtownie pociemniały na widok męża Antoniny. Zacisnęła wargi, ujęła rękę Zosi i wróciła z nią do kuchni. Żal jej było pana Stalickiego. Po stokroć żal.

Przy kominku w salonie, w tym samym fotelu, który służył Zygmuntowi do udawania, że pisze wiersze, Antonina haftowała obrus. Zamierzała podarować go Wandzie w prezencie ślubnym. Miała sentyment do dziewczyny, która z takim oddaniem zajmowała się Zosią. Jakiż to zbieg

okoliczności, że obowiązek ten znów przypadł Malwinie, dawnej mamce, która jakby specjalnie w tym celu pojechała z Borisem do Warszawy, żeby wykształcić się na guwernantkę.

Ach, ta Malwina wyniosła, nieprzenikniona. Malwina czarownica.

Konkuruje ze mną – pomyślała Antonina. – I wygra...

Już wtedy, gdy zobaczyła ją na brzegu jeziora w koszuli ponętnej i wilgotno lepiącej się do ciała, a Edward nie mógł oderwać od niej oczu... Już wtedy Malwina miała przewagę. A później ta sytuacja z Tomaszem, która chcąc nie chcąc, stała się milczącą złą między nimi i Antonina odtąd musiała czuć się jej dłużna i wdzięczna za zachowanie tajemnicy. I wreszcie ta choroba, o której doktor mówił, że podstępna, bo będzie igrać z chorym, przemijać i wracać, by w końcu okazać się śmiertelna. Ale nie, nie wolno jej przegrać. Taka diagnoza to właściwy moment, żeby zrobić coś jeszcze ze swoim życiem, ratować się, walczyć!

Chciałyby zobaczyć jeszcze Tomasza. Nic więcej. Chciałyby go tylko zobaczyć i powiedzieć mu, żeby nie czekał, żeby nie starał się o nią, bo zdecydowała inaczej...

Z korytarza dobiegł gwar i już po chwili drzwi salonu stanęły otworem.

– Spójrz tylko, kto przyjechał, Antonino! – usłyszała głos Rozalii.

Na widok wyłaniającego się zza pleców Eulalii Tomasza serce Antoniny zabiło gwałtownie. Pąsowe rumieńce oblały jej policzki, a ręce zaczęły niebezpiecznie drżeć. Przez chwilę myślała, że wyobraźnia płata jej figle, że przywołały go jej refleksje, bo ten mężczyzna nie może być przecież prawdziwy. Podniosła się z fotela, a obrus, który trzymała na kolanach, opadł z cichym szmerem na podłogę. Wtedy Tomasz podbiegł, przyklęknął, by podnieść robótkę, ale tęsknota widocznie była silniejsza, bo chwycił dłoń Antoniny i przyłgął do niej ustami. Nie miała sił się temu oprzeć. Druga jej dłoń bezwiednie wczepiła się w jego włosy, przygarnęła

jego głowę do siebie, a jej twarz skrzywiła się w wyrazie nieopisanego bólu. Zacisnęła powieki i trwali w tej rozpacz na oczach skonsternowanej Rozalii, zdumionej Eulalii i zranionego do głębi Edwarda.

Pierwsza ocknęła się Eulalia.

– Na miły Bóg, opamiętania proszę – syknęła.

Edward odwrócił się gwałtownie i odszedł zdecydowanym, zamaszystym krokiem.

Ach, Boże... Lepsze to, niż gdyby miał wyzwać tego doktora na pojedynek – pomyślała gorączkowo Rozalia, chwyciła łokieć kuzynki i wyprowadziła ją na korytarz, a stamtąd prosto do swojego pokoju. Nikt nawet przez moment nie spojrział więcej na oprzytomniałych już, lecz teraz zastygłych w przerażeniu Antoninę i Tomasza.

– Eulalio, jak mogłaś go tu przywieźć?! – wybuchła Rozalia, gdy zamknęła za sobą drzwi. – Jak mogłaś coś takiego zrobić nam, Edwardowi?!

– O co ty mnie posądzasz? – wyszeptała zbielełymi wargami Eulalia. Usiadła na brzegu równiutko zaścielonego łóżka i zaczęła wachlować się chusteczką. – Rozalio kochana, przecież ja o niczym nie wiedziałam!

– Nie wierzę ci – zniżyła głos Stalicka. – Nie wierzę, bo patrzyłaś na ten romans przez trzy tygodnie. Nie mogłaś niczego nie zauważyć.

– Nie widziałam, Rozalio. Niczego. Musisz mi uwierzyć.

Rozalia pokręciła głową. Na biurku stała buteleczka z walerianą. Odkręciła ją, poszukała wzrokiem łyżeczki, a ponieważ jej nie znalazła, upiła spory łyk wprost z butelki. Przymknęła oczy i odetchnęła głęboko.

– Jesteś z nim w zмовie? – zapytała znacznie spokojniej. – I dlatego przywiozłaś go tutaj? Do niej?

– Nie, Rozalio. Owszem, bywał codziennie w moim mieszkaniu, ale po to, by badać Godziewiczową.

– A później Antoninę. Zamykał się z nią w twoim gabinecie. Tak pisałaś. Oburzało cię to nawet, ale pozwalałaś, żeby byli sam na sam pod twoim dachem. Tego nie da się odwrócić, ale chcę, moja droga, żeby on stąd wyjechał. Jak najszybciej.

– Z nią?

– Jak to z nią? Antonina jest żoną Edwarda i to się nie zmieniło. Trzeba załatwić wszystko dyskretnie i uniknąć skandalu. Lada chwila będą święta, przyjedzie tu Godziewiczowa i moja siostra z rodziną. Nie chcę, żeby się dowiedziały. Służba również nie powinna o niczym wiedzieć, bo ktoś może mieć za długi język i roznieść po wsi. A wtedy to i ksiądz się dowie, i doktor z miasteczka, no i w efekcie wszyscy...

– Myślę, że Edward powinien wyrzucić stąd doktora – zauważyła Eulalia.

– Edward?

– No, tak. Jako zhańbiony mąż...

– To nie on jest zhańbiony. Ale po jego stanie ducha oceniam, że prędzej go zabije, niż będzie w stanie spokojnie rozmawiać – rzekła kąśliwie Rozalia. – Już moja w tym głowa, by Edwarda do niego nie dopuścić.

– No, więc kto powie?

– Sama powiem – odparła wyniośle.

Nigdy jeszcze nie drżały mu tak ręce. Tytoń, którym usiłował nabić fajkę, wysypał się na biurko. Trzeba było pozbierać i spróbować ponownie. I uspokoić się. Przede wszystkim się uspokoić...

Pukanie. Ciche, nienachalne. Potem ktoś nacisnął klamkę, ale Edward przezornie zamknął drzwi na klucz. Nawet nie pytał, kto tam, bo nie chciał nikogo widzieć. Nawet matki. Nawet Zosi. Przede wszystkim jednak nie



chciał widzieć Antoniny. Zawiodła go, oszukała, ośmieszyła. Odzyskać honor mógł jedynie przez pojedynek i wyzwiałby tamtego łotra, gdyby nie rozpaczliwy protest matki. Ostrzegła, że jej serce tego nie wytrzyma. Bała się o syna. Nie chciała też, żeby dowiedziała się o skandalu cała okolica i jeszcze pół Warszawy. Matka nic temu nie winna, a ucierpiałaby najmocniej.

Niech więc on wyjedzie – myślał, zacinając usta. A Antonina niech jedzie z nim. Z nami koniec.

Zaledwie wszyscy opuścili salon, Antonina opadła na fotel. Nie spuszczała przerażonego wzroku z Tomasza.

Ten, na początku zmieszany, opanował emocje, wyciągnął dłonie w stronę kominka i przez chwilę przyglądał się, jak buzujący ogień ogrzewa je, barwi czerwienią.

– Nie powiesz nic? – zapytała nerwowym szeptem.

Opuścił dłonie i spojrzał na nią z rezygnacją.

– Cóż... – zaczął i urwał zdanie. Nie potrafił się tłumaczyć, usprawiedliwiać. – Cóż mogę powiedzieć...

– W takim razie ja powiem. Wyjedź stąd. Tak będzie dla ciebie najlepiej – zdławiony głos z trudem przecisnął się jej przez gardło. – I dla mnie.

Przysunął do fotela stojący pod ścianą zydel i usiadł naprzeciw Antoniny.

– Dla ciebie? Czy wiesz, co będzie z tobą, jeśli cię tu zostawię?

– Co ma być...

– Wyjedź ze mną – rzekł spontanicznie. – Musisz to zrobić, żeby ratować siebie. Pojedziemy do Warszawy albo lepiej do Paryża. – Uniósł do

ust jej dłonie i zaczął obsypywać je pocałunkami. – Proszę! Będę cię tam leczył.

Zabrała ręce i wstała z fotela.

– Nie trzeba – rzekła chłodno. – Spróbuję się z tym pogodzić. – Nie kłamała. Po tym incydencie nie wiedziała już jak żyć. – Nasz doktor mówił, że na to nie ma lekarstwa.

– Jeszcze nie, ale przy wielkiej dbałości, dobrym odżywianiu, higienie, śmierć można oszukać. Wyjedź ze mną, wiem, jak zadbać o ciebie.

– Nie chcę, Tomaszu – powtórzyła przez ściśnięte gardło. – Zostanę tutaj. Jestem żoną Edwarda. Na ciebie i na mnie za późno.

– Ale ja cię kocham! – zawołał zdławionym głosem.

– Za późno, Tomaszu. Rozumiesz? – W jej oczach pojawiła się rozpacz.

Podniósł się z westchnieniem.

– Dobrze, teraz wyjadę, bo ty tak chcesz. Ale nie zapomnę o tobie. Wymyślę jakiś sposób i wrócę.

– Nie, proszę, nie wracaj. – Ścisnęła kurczowo jego ramię. – Nigdy nie wracaj! A teraz żegnaj – ucięła i czym prędzej wyszła z salonu. Nie chciała pokazać mu łez.

– Wymyślę coś, wrócę! – zawołał za nią.

Dopiero w zaciszu swojego pokoju dała upust łzom. Wcisnęła twarz w poduszkę i zanosła się tłumionym szlochem.

Nie powinna rozpaczać, egzaltować się, gdyż każde uniesienie źle wpływało na jej stan zdrowia, zaostrzało chorobę, wywoływało bóle głowy i gorączkę. Nie potrafiła jednak powstrzymać łez ze świadomością, że nigdy więcej nie zobaczy Tomasza. Dla niej umarł po raz drugi. Ale nie to było najgorsze. Bardziej przerażało ją pozostanie w Przylipiu z Edwardem i jego matką.

Aniela miała rację. Zaczęło sypać. Najpierw drobno, nieśmiało. Ale kiedy Poldek zaprzągnął konie, a Anatol okrywał futrem nogi doktora Nitewskiego, śnieżek przemienił się w duże płatki, opadające na ziemię powoli, jak białe parasole.

Nikt z Przylipia nie wyszedł na ganek, nikt nie żegnał doktora. Spoglądając przez okna, każdy chował w sercu swoje myśli i każdy miał na ten temat własne zdanie.

**B**iegnij, Zosiu, do kuchni! Aniela ma tam coś dla ciebie! – zawołała Cesia, wychylając się zza poręczy schodów, którą właśnie czyściła.

Od tygodnia dziewczynka chodziła przygnębiona, kręciła się pod drzwiami Antoniny i wyraźnie czekała na możliwość spotkania z mamusią. Ta jednak nie opuszczała swojego pokoju, a babcia Rozalia zakazała Zosi tam wchodzić. Nic więc dziwnego, że cała służba, chociaż nie rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi, starała się rozwiać smutek dziewczynki, czym tylko mogła.

– Co ma? – zaciekawiała się Zosia i nawet blady uśmiech przemknął przez jej twarzyczkę. – Może rogalik z makiem?

– O, nie, dzisiaj Wigilia. Do wieczora będziesz jadła same śledzie – żartowała Cesia. – No, biegnij, biegnij.

Na dworze panował mróz. Część pokoi zostało zamkniętych aż do wiosny, pozostałe słabo ogrzewano, ale w kuchni było naprawdę gorąco. W piecu buzował ogień, a na żelaznych fajerkach bulgotały w garnkach smakowite potrawy. Wiesia i Kazia lepiły niezliczoną ilość pierogów z nadzieniem grzybowym.

– Kto wie, co te grzyby w sobie mają – mruzczała po cichu Wiesia, zerkając dyskretnie na Kazię, łasą na wszelkie sensacje.

– Dlasego tak mówis? – wytrzeszczyła oczy. – So one takiego mają?

– Kto to może wiedzieć? Ani w polu, ani w sadzie żaden człowiek ich nie wyhodował, wyrosły dziko i tak szybko, że muszą mieć w sobie jakąś wielką moc.

– Sybko?

– Szybko. Nie wiesz, jak to z grzybami? Dzisiaj ich nie ma, a jutro pełen las. Widać umawiają się z sobą, że będą wychodzić spod ziemi. Ciekawe, co one tam pod tą ziemią robią, może z duszami umarłych gadają?

– Wieśka, Wieśka, ty jak coś powiesz... – pokręciła głową Aniela. – I czego tak straszysz Kazię przed wieczerzą?

– Do wieczerzy daleko, zdąży zapomnieć – śmiała się Wiesia.

Zosia wsunęła się przez ledwo uchylone drzwi ostrożnie i po cichu jak mysz. Lubiła słuchać opowieści kucharek, zwłaszcza Wiesia znała ich mnóstwo i na każdy niemal temat. Jednak nie wszystkie były przeznaczone dla jej uszu, więc kucharka milkła albo zaczynała opowiadać nudne bajeczki.

– Jestem siekawa, sy pani Antonina wieseżę zje ze wsyskimi. Od tygodnia Józia do pokoju jej wsysko nosi.

– Ciekawość pierwszy stopień do piekła – burknęła Aniela. – Nie interesuj się tym, czym nie powinnaś. Zresztą Zosia przyszła... No, chodźże tu, mam coś dla ciebie – uśmiechnęła się i podała małej puszkę po kawie wypełnioną piernikami. – Spójrz, to dla ciebie upiekłam. A nie zapomnij poczęstować Stasia i Imrego – przykazała.

– Możemy je zjeść? – zapytała zachwycona Zosia.

– Zjedzcie po jednym, a resztę zostaw na jutro. I nie musisz się chwalić babci Rozalii – dodała półgłosem i obejrzała się na drzwi. – A puszkę oddaj, jak już będzie pusta.

– Dobrze, oddam! I nic nie powiem, nawet mamusi, kiedy wyzdrowieje – szepnęła przejęta dziewczynka i zniknęła za drzwiami.

Jak w każdą Wigilię, Kajetan z samego rana wniósł do jadalni snopek zboża, który Maryna zaraz ozdobiła jabłkami, wstążkami i szyszkami. On sam wrócił do stodoły, gdzie już czekały na niego zaciekawione dzieci parobków, a wśród nich Imre, który nie stronił od takiego towarzystwa, ale też nikt we dworcu mu tego nie bronił. Przyglądał się więc, jak trzeba kręcić powrozy, którymi w dzień świętego Szczepana obwiązywano drzewa owocowe, żeby zapewnić dobre zbiory.

– Zawsze przy tym kręceniu ziarno spada – gawędził Kajetan, zadowolony, że ma towarzystwo wokół siebie. – Zbierajcie do kieszeni, a jutro posypcie kurom, żeby dobrze się niosły. Taaaak... – mrucał z zadowoleniem. – A wiecie, że kiedy w domu stawia się potrawy na świąteczny stół, trzeba je zawsze zaklinać?

– Jak zaklinać? – zdziwił się Imre.

– Ano, mówi się do nich: mnóż się zboże, albo zwijaj się kapusto, wiąż się fasolo. Po takim zaklinaniu zawsze jest urodzaj. Nie trzeba wtedy przez cały Adwent oszczędzać, żeby w święta lepiej zjeść – westchnął.

Eulalia przycupnęła na zydelku blisko kominka i z tego miejsca, rozcierając zziębnięte dłonie, dozorowała krzątających się wokół stołu Wacława, Alojzego i Józię. Pomagała w ten sposób Rozalii, która zajęta wydawaniem win i rozmaitych produktów ze spiżarni, nie mogła doglądać stołu.

Wacław wyjął z kredensu świąteczne talerze z cieniutkiej porcelany, odstawił je na brzeg stołu i w skupieniu przeliczył gości na palcach:

– Pani Rozalia, pan Edward – mamrotał cicho – pani Eulalia... A pani Antonina? Będzie? – zwrócił się dyskretnie do Józi.

– Skąd mam wiedzieć? – odszepnęła i zerknęła przez ramię na Wojarską, która z kolei udała, że niczego nie dostrzegła. Od tygodnia nie widziała Antoniny, jej obecność stała więc pod znakiem zapytania.

– Nakrycie postaw – poradził Alojzy. – I tak trzeba jedno puste zostawić dla duchów – wzruszył ramionami i mrugnął okiem do Józki, która zarumieniła się jak piwonია.

Puste miejsce teraz nie dla umarłych – pomyślała ze smutkiem Eulalia. – A dla tych odłączonych od rodzin, aresztowanych, więzionych, dla wygnańców. Kto wie, czy nie uciekają właśnie z niewoli, czy nie zabłąkają się tutaj w czasie wieczery? Może i Wituś... Mój Boże... – dyskretnie otarła toczącą się po policzku łzę. – Żeby chociaż list od niego, który można w wieczór wigilijny czytać, żeby jakaś wiadomość. A tu nic.

– U nas zawsze nieparzysta liczba potraw była na stole – wdarł się w tę zadumę głos Józki. – A wśród nich koniecznie cztery bochenki chleba.

– To nic nie jedliście, tylko chleb – zaśmiał się Alojzy. – Po co aż tyle?

– Jedliśmy i inne rzeczy – bąknęła Józka. – Na przykład kapustę z grochem albo kluski... A te chleby, to na każdą porę roku, żeby go nigdy nie zabrakło.

Ściany gabinetu i szczelnie zamknięte drzwi nie chroniły Edwarda przed świątecznym zamieszaniem, które tego roku wcale go nie cieszyło. Nie zamierzał też brać w nim udziału. Dlatego przed południem kazał Poldkowi osiodłać Nimfę i ruszył ośnieżoną drogą na cmentarz. Mogiła Elizy znów stała się jedynym miejscem, które potrafiło go ukoić.

Z okien swojego pokoju Antonina śledziła znikający w bieli ruchomy punkt. Doskonale wiedziała, dokąd prowadzi droga. Wiedziała, że jako żona rywalizuje z duchem. Niestety, nie była już silna. Choroba odbierała jej odwagę i pewność siebie. W obecnej sytuacji pocieszał ją fakt, że tak

naprawdę Edward nigdy nie przestał kochać Elizy. Żyje wspomnieniem o tamtej, więc utrata Antoniny z pewnością nie sprawi mu bólu. Może sobie odejść. Do Tomasza albo z tego świata. Edward nie będzie rozpaczał. W przeciwnym wypadku szukałby rozwiązania, przyszedłby do niej, zażądał wyjaśnień, oczekiwał rozmowy, tęskniłby.

Ale on tego nie potrzebował.

Antonina usiadła na krześle i ukryła twarz w dłoniach. Wypłakała już wszystkie łzy, odkąd zrozumiała, że po ostatnim spotkaniu z Tomaszem gruźlica i śmierć to właściwy prezent od losu.

Po co żyć, skoro nie ma już dla kogo? Nawet Edward, który zawsze był obok, już jej nie zechce. I nigdy nie wybaczy, bo chociaż fizycznie go nie zdradziła, myślami była z innym mężczyzną. Nie chciała dostrzegać troski, ciepła, zabiegania o związek, na którym jej nie zależało. Teraz poniesie karę za marzenia o Tomaszu, za pragnienie Tomasza, za bezsensowne przywiązanie do niego.

Los chciał, żeby nie przy nim, a właśnie przy mężu mogła czuć się spokojnie i bezpiecznie. Żeby umiała pokochać Edwarda, okazać mu wdzięczność i oddanie. Lecz to czułe myśli o Tomaszu wracają do niej stale i natarczywie.

A może Tomasz jest zaledwie epizodem w jej życiu? Łączą ich wspólne przeżycia, niejednokrotnie dramatyczne, ryzykowne. Wzajemnie chronili się przed śmiercią i wspólnie walczyli o życie innych. Wtedy liczyli wyłącznie na siebie i mieli tylko siebie. I nagle tych przeżyć zabrakło. A oni tęsknili. Tyle, że nie za sobą, a za tą solidarnością w niedoli, której zgodnie stawiali czoła, za lojalnością i braterstwem, bo nic więcej ich nie wiązało, nic o sobie nie wiedzieli. Nadal nie mają dla siebie innych uczuć niż te niezbędne na wojnie: odwaga i ofiarność. To za mało na wspólne życie. Tak



byłoby rozsądnie i tak mogłaby opowiadać Edwardowi, gdyby zechciał słuchać. Wytłumaczyłaby to wszystko sobie i jemu.

Ale on tego nie potrzebował. Jej serce również tego nie chciało.

Dzisiaj Wigilia. Dźwięki bieganiny z korytarza, szczęknięcie naczyń, pokrzykiwanie służby wzbudziły w Antoninie żal, że choć ostatnio czuje się całkiem dobrze, nie uczestniczy w tym pełnym oczekiwania zamieszaniu. Brzęczenie dzwoneczków przypomniało o podarkach dla dzieci od miesięcy spoczywających w komodzie. Korzenne aromaty, zapach świerku i siana, ogień w kominku, to wszystko pamiętała z dzieciństwa. Radość i podniecenie, na które zawsze czekała.

Tak boleśnie tęskniła za utuleniem Zosi, tej małej, słodkiej istotki, która zawsze do niej lgnęła, a teraz nie przysłała do jej pokoju ani razu. Zaprażyła też być na uroczystej wieczerzy, bo brakowało jej bliskości ludzi, rodziny... Kto wie, ile tych Wigilii jeszcze przed nią.

Antonina przełknęła łzy i uniosła podbródek. Nie będzie się dłużej upokarzać, trzeba wyjść do nich, uśmiechać się, rozmawiać. Ale jak tu opuścić pokój po całym tygodniu dobrowolnego więzienia, unikania domowników, z bólem w sercu, z tkwiącym w gardle niedomówieniem? Jak wyjść do nich po scenie, której byli świadkami? Jak przekonać, że to, co się zdarzyło, nie ma już znaczenia, ponieważ ona wiele zrozumiała. Jak wytłumaczyć, skoro oni nie zechcą tego słuchać?

Pukanie rozległo się znienacka. Pewne, zdecydowane. Brzmiało inaczej niż delikatne i nieśmiałe pukanie Józki. Przekonana, że to Edward zawrócił z drogi, Antonina starała się zrzucić z twarzy pokorną słabość. Podniosła się z krzesła w niecierpliwym oczekiwaniu. Była pełna obaw, bo mimo pragnienia pojednania ugięcie przed Edwardem karku tak bardzo upokarzało, bolało.

– Proszę – odezwała się bardziej zaczepnie niż uprzejmie.

Do pokoju weszła Rozalia. Zaskoczenie odebrało Antoninie całą symulowaną zadziorność. Obserwowała w milczeniu, jak świekra ustawia na jej nocnym stoliku tacę z lekarstwem i naparem z ziół.

– Józia zajęta w kuchni, więc sama ci to przyniosłam – rzekła spokojnie. Ton jej głosu był zwyczajny i nie wskazywał na jakiś podstępny wybieg.

– Dziękuję – bąknęła Antonina.

– Nie wychodzisz z pokoju – stwierdziła Rozalia i obrzuciła wzrokiem porządnie zaścielone łóżko, odłożoną robótkę, otwartą książkę. – A Józia twierdzi, że czujesz się dobrze.

– Tak, czuję się znacznie lepiej – potwierdziła.

– No więc?

Antonina zbyła pytanie milczeniem, mimo że niczego tak nie pragnęła, jak pozbycia się ciężaru, wytłumaczenia się i odzyskania spokoju. Nie mówiła nic, lecz wzrok, który wbiła w świekrę, wprost krzyczał desperacją.

– Wigilię zaczynamy o szóstej wieczorem – oznajmiła Stalicka i ruszyła do drzwi.

Widziała mękę synowej, ale nie zamierzała jej niczego ułatwić. Antonina skrzywdziła jej syna, naraziła go na utratę honoru, zawiodła jego uczucia. Niech więc pokutuje. To żadna łaska, że nie odjechała z tamtym, zdecydowała się zostać. Niech pracuje na przebaczenie, o ile Edward zechce jej przebaczyć. To sprawa między nimi. Nieobecność synowej przy stole zawsze można wytłumaczyć złym stanem zdrowia, nawet jeśli to nieprawda. Żal tylko Godziewiczowej, która będzie się zamartwiać i sama pewnie przez to dostanie ataku.

– Mamo... – usłyszała za plecami. Zatrzymała się, ale zanim odwróciła głowę, Antonina już była przy niej, już osuwała się na kolana.

Rozalia miała więc przed sobą skulone, drżące łkaniem plecy Antoniny. Jej kark, na którym wiły się drobne rdzawe sprężynki włosów. Jej ręce czepiające się nóg świekry. Jej upokorzenie i własne skrępowanie.

– Wstań, dziecko – rzekła zakłopotana i ujęła ją pod ramiona.

– Mamo, proszę o wybaczenie. Nie chciałam, żeby tak się stało. Chcę powiedzieć...

– Powiesz Edwardowi, nie mnie. A teraz... – Rozalia szukała odpowiednich słów. – Jest dużo pracy. Jeśli czujesz się na siłach, włóż codzienną suknię i... – zastanowiła się nad niewyczerpującym zajęciem, które może zlecić synowej. – Zastąp mnie przy zdobieniu ciast.

– Dobrze – odparła.

Ale zanim wyszła do ludzi, siedziała jeszcze nieruchomo na brzegu łóżka, zbierała siły.

Posiniałe niebo prędko przywołało zmierzch. Nabrzmiałe chmury zwiastowały śnieg, ale nadymały się jeszcze, wstrzymywały, jakby chciały wszyściuteńki puch rozścielić rodzącemu się Dzieciątku.

Edward jechał powoli, niespieszno mu było wracać, chociaż Nimfa zrywała się do galopu, tęskniła za stajnią i obrokiem.

Pustka i cisza cmentarza tym razem nie uśmierzyły jego zmartwień, nie dodały otuchy. Ostatni tydzień, kiedy Antonina nie wychodziła z pokoju i nie szukała z nim żadnego kontaktu, utwierdził go w przekonaniu, że ona go nie potrzebuje i woli żyć bez niego. Miał żal w sercu, ale postanowił być twardy. Nie będzie żebrać o miłość. Nie będzie jej też zatrzymywać, jeśli postanowi odejść do tamtego.

Z daleka zamajaczyła czyjaś postać na koniu. Odległość topniała, a z zapadającego mroku coraz wyraźniej wyłaniała się sylwetka Danickiego. Zanim zrównali konie, Antoni wołał już z daleka:

– Z Przylipia wracam! Zawiozłem świąteczne pozdrowienia i kuropatwy, cośmy razem upolowali. Dobrze już skruszały na mrozie. Ale wiesz, gdyby nie panna Zosia, nikt by mi tam drzwi nie otworzył, tak wszyscy zajęci.

– Zosia odebrała kuropatwy? – zaśmiał się Edward.

– Nie ona sama, zawołała swoją rudą mamusię – mrugnął okiem. – A ta znów którąś z dziewczek. Antonina chyba już zdrowa, co? Taka była ożywiona!

Edward zawahał się i przyjrzał się dobrze przyjacielowi, zanim odpowiedział.

– Jesteś pewien, że Antoninę widziałeś?

– No, jakże! W karczmie nie byłem, trunku nie piłem. Antonina we własnej osobie. Powiem ci, przez tę chorobę dawno ją widziałem, a ona wydelikatniała, wypiękniała. Moja Helena nowe suknie szyje, bo wszystkie ciasne, a twoja wiotka jak płatek dzikiej róży. Ech, szczęśliwyś!

Zosia w świątecznej sukience z czerwonego atłasu, z nosem spłaszczonym na szybie, spoglądała na ośnieżony dziedziniec. Złocił się od ognisk rozpalonych przez Kajetana dla dusz zbłąkanych, srebrzył od zmrożonych kryształków śniegu, migocących w księżycowej poświacie. Za jej plecami szemrały głosy i jak płynący potok to przybierały na sile, to znów słabły. W jadalni unosiła się woń krochmalonej bielizny stołowej, siana wysuwającego się wąsato spod białego obrusu, rozstawionych po kątach słomianych snopków niemłóconego zboża i jabłek, które je zdobiły. Stół ugiął się pod półmiskami wigilijnych potraw, pachnących cynamonem, miodem i owocowym suszem. Postną kapustę, pierogi z grzybami, kluski i ryby Aniela zatrzymała w duchówce i na polecenie

pani Stalickiej zwlekała z ich wydaniem do przyjazdu Felicji z Gustawem i dorosłymi dziećmi.

Wszyscy czekali, chociaż dawno minęła szósta i każdy po całodziennym poście odczuwał głód. Rozalia ze swojego miejsca doskonale widziała, jak Staś dyskretnie podskubuje kruszonkę z drożdżowego kołacza, słyszała jak Imre przełyka ślinę, pochłaniając wzrokiem zawijane makowniki, dostrzegła też, że Godziewiczowa podejrzliwie i w zaciętym milczeniu przygląda się siedzącym naprzeciw niej Edwardowi i Antoninie. Eulalia raz po raz trącała stopę Rozalii czubkiem zgrabnego bucika, dając jej do zrozumienia, że czas odwrócić uwagę Godziewiczowej od młodych, zanim dojdzie do kłopotliwych pytań.

Antonina, niezwykle eteryczna w nowej, seledynowej sukni, z dużym, wyciętym w łódkę dekoltem, nerwowo poprawiała narzucony na ramiona jedwabny szal. Dekolt obnażał wynędzniałe chorobą ramiona i wystające obojczyki. Zwracała przy tym ozdobioną kokiem głowę ku Edwardowi, ale on zdawał się nie zauważać tych zabiegów. Zniecierpliwiony przedłużającym się oczekiwaniem na spóźniających się gości, spoglądał nerwowo na matkę, by dała wreszcie sygnał do rozpoczęcia wieczerzy.

– Nie będziemy dłużej zwlekać – odezwała się w końcu pani Stalicka. – Widocznie coś im wypadło. Może Gustaw ma tę swoją niestrawność – skrzywiła się nieznacznie. – Podzielmy się opłatkiem. Zosiu... – zwróciła się do wciąż tkwiącej przy oknie dziewczynki, która niechętnie opuściła swój posterunek. Nie znosiła czekać na coś i wcale się nie doczekać.

Zaledwie przełamali się opłatkiem, a Wacław i Alojzy poczęli wnosić gorące potrawy, rozszczękały się psy i ktoś gwałtownie zatupał w sieni. Edward poderwał się z miejsca i ruszył do drzwi, lecz zanim dotknął klamki, otworzyły się przed nim gwałtownie.

W progu stali bracia Zaniewscy. Obaj zgrzani, jakby się ścigali. Obaj ubrani w strój świąteczny najmodniejszego kroju.

Na ich widok Rozalia podniosła się z miejsca i z pobladłą twarzą zbliżyła się do siostrzeńców.

– Sami? – zapytała lekko ochrypłym głosem. – Gdzie matka? Ojciec, Małgosia?

– Przyjadą... – odparł zakłopotany Mateusz i zerknął na Marka, który potwierdził skinieniem głowy.

– Jak to? – zdziwił się Edward. – Nie ma ich z wami? Ktoś chory?

– Zdrowi – rzekł Marek i wykrzywił twarz w marnej imitacji uśmiechu.

– Może przestraszyli się śnieżycy – snuła domysły Eulalia.

Obaj bracia uśmiechnęli się głupkowato i może próbowaliby nawet coś wyjaśnić, gdyby nie zniecierpliwienie Rozalii. Za progiem bowiem, przebierając nogami, czekała służba. Rada by zasiąść do wieczerzy, lecz tradycyjnie należało wymienić się życzeniami i przełamać się z państwem opłatkiem. Dlatego właśnie Rozalia machnęła ręką na siostrzeńców, skinęła na Antoninę, która według zwyczaju tego domu powinna rozdać służbie upominki i sięgnęła po koszyk z opłatkiem. W tym momencie znów rozszczękały się psy.

Pukanie było spokojne. Tyle tylko że w okno, nie do drzwi, a to wywołało dziwny niepokój w sercu Rozalii. Odstawiła koszyk z opłatkiem i spojrzała pytająco na Edwarda. Eulalia pomyślała, że stał się wreszcie cud i to Wituś wrócił z tułaczki, odnalazł matkę w Przylipiu i przyszedł. Tak po prostu. Antoninie serce zabiło mocniej. Edward zauważył zmianę na jej twarzy i pomyślał o Tomaszu. Bo co zrobi jego żona, jeśli ten doktor stanie w drzwiach i powie... Coś powie albo zapyta o coś, nas co ona w zakłopotaniu nie zdąży wymyślić właściwej odpowiedzi. A co zrobi Edward? Uderzy go? Wyrzuci? Czy to się godzi w wigilijną noc?

Godziewiczowa nie przejęła się pukaniem. Była głodna i wykorzystała moment, żeby sięgnąć po apetyczny kawałek ryby. Imre pomyślał o rodzicach i braciszku, bo może to nieprawda, że ich już nie ma. Może żyją i właśnie przyszli tu po niego, zabiorą do domu, do Paproci... Zosia wyciągnęła spod stołu swoją kotkę i przytuliła policzek do bieluńskiego futerka. Czuła się pewniej, gdy miała Inanę przy sobie.

A Malwina wyprostowała się dumnie, przyciągnęła Zosię, zamknęła ją w ramionach i wstrzymała oddech. Bo ona jedna zauważyła dziwne zmieszanie, może strach, w oczach braci Zaniewskich.

Jeżeli jest strach, jest i powód – pomyślała.

Już pierwsze sygnały: rżenie koni, krzyki, potem żałosny skowyt, zamilkłe nagle psy i ciężkie kroki, wzbudziły niepokój wszystkich mieszkańców Przylipia. Ale pojawienie się w jadalni dwóch żandarmów wywołało popłoch i trwogę. Pamiętano przecież Zygmunta i jego okropną śmierć.

Służba zbiła się w struchlałą gromadkę i trzymając w rękach opłatek, symbol zgody, pojednania i przebaczenia, śledziła z przerażeniem najdrobniejszy gest żołnierzy, najniklejszy grymas. Staś i Imre nie wiedzieli, co z sobą począć, dołączyli do Marka i Mateusza.

– Antonina Stalicka – odezwał się jeden z nich i zawiesił wzrok na twarzy najpierw Malwiny, potem Antoniny. – Stalicka – powtórzył.

Pod Edwardem ugięły się nogi. A więc stało się to, czego ona najbardziej się obawiała. Stało się najgorsze. Widział jak uchwyciła się oparcia krzesła, żeby nie upaść i przymknęła powieki.

Bracia Zaniewscy spojrzeli po sobie i niemal niezauważalnie wycofali się pod ścianę. I kiedy wszyscy struchleli w przerażeniu, ich twarze pozostały spokojne. Staś i Imre stali przy nich jak skamieniali.

– Ja jestem Stalicka – wystąpiła krok naprzód Rozalia i wbiła twardy wzrok w żandarma. Zdenerwowanie nie pozwalało jej swobodnie oddychać, oszalałe serce rozsadzało żebra, pod którymi czuła dotkliwe pieczenie, ale usiłowała zataić lęk. Jej twarz była zimna i zacięta.

– Nie ty – burknął tamten i wyciągnął wskazujący palec w kierunku Antoniny. – Ty jesteś. Widzę, że się boisz. Swołocz – splunął na podłogę i otarł usta wierzchem dłoni.

– To nie jest Antonina, tylko Weronika. Po ojcu Lisicka, moja żona – pospieszył z wyjaśnieniem Edward. – Można to sprawdzić.

– Zamilcz – warknął żandarm, zamachnął się i uderzył go pięścią w brzuch. Edward jęknął i zwinął się z bólu.



– Antonina Stalicka – wtrącił się drugi żandarm – Wezwanie do natychmiastowego stawienia się na przesłuchanie.

– Za co? – wyrwała się przerażona Godziewiczowa i zaraz tego pożałowała, bo żandarm uderzył ją pięścią na odlew. Upadła od tego ciosu. Nie próbowała wstać, tylko zaczęła wycierać chusteczką krwawiący nos, więc Edward rzucił się czym prędzej, żeby ją podnieść.

– Ty co? – pytał tymczasem drwiąco drugi żandarm, zbliżywszy się do Antoniny. – Też nie wiesz, za co? Mam ci wytłumaczyć? – Zniekształcał słowa rosyjskim akcentem.

W jadalni panowała cisza, jak makiem zasiał, dlatego jego głos zabrzmiał z mocą spiżowego dzwonu.

– Taki rozkaz, rozumiesz?

Antonina milczała.

– Rozumiesz?! – Znów ryknął nad nią.

– Tak, rozumiem – odparła posłusznie i zanosła się kaszlem.

– Daj jej wody – żandarm zwrócił się do Rozalii, która stała najbliżej.

– Woda tu nie pomoże – oznajmiła z lodowatą pogardą. – Ona jest bardzo chora.

– Milcz! – wrzasnął żandarm. – Mówię, daj wody, to daj!

Ze zlepionej gromadki służby wyrwała się Józia, trzęsącymi się rękami naląła z dzbanka wody i podała Antoninie, która łapczywie opróżniła całą szklanę.

– Czyny skierowane przeciw carowi i jego rodzinie są przestępstwem – oświadczył drugi Rosjanin, zakładając ręce do tyłu, jakby zabierał się do dłuższej przemowy. – Zabronione jest działanie podrywające szacunek do najwyższej władzy. Za popełnienie takiego przestępstwa grozi kara pozbawienia wszelkich praw i zesłania do ciężkich robót na dwanaście lat. Teraz wiecie, za co?

– Nie – odezwała się Rozalia, za co dostała otwartą dłoń w twarz. Chwyliła się za policzek i oznajmiła patrząc oprawcy prosto w oczy – Nie wiem, co ona takiego zrobiła.

Zosia szarpnęła się w ramionach Malwiny, ale ta przytrzymała ją z całych sił.

– Zostań – syknęła.

– Zabiję cię, suko! – wrzasnął żandarm i znów zamachnął się na Rozalię. Strużka krwi sączyła się z rozciętej wargi, spływała po szyi na nową, świąteczną suknię. – Za dużo chcesz wiedzieć!

Edward podbiegł do matki i zasłonił sobą, ale żelazna ręka chwyciła go za poły kamizelki i szarpnęła brutalnie.

– Był donos! – wrzasnął żandarm. – A ty zbieraj się na przesłuchanie! – ryknął na Antoninę.

– Nie wierzę – Eulalia, w której nagle obudziła się matka żołnierza, z dumnie uniesioną głową zrobiła krok naprzód i stanęła oko w oko z tym podłym carskim psem. Znalazła okazję, by odegrać się choć słowem za zaginionego syna. – Kłamiesz! Kto doniósł?

– A to wiedźma – zaklął żandarm zaskoczony jej zachowaniem. – Kto doniósł? – przedrzeźniał, wykrzywiając twarz.

– Szybko, zbieraj się, już! – szturchnął tymczasem Antoninę drugi żandarm.

Ta otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz Rozalia chwyciła ją za łokieć.

– Na miłość boską, nie walcz – szepnęła. – Skatują cię i odbiorą siły.

Po głowie chodziło jej tylko jedno imię: Joanna. To ona doniosła. Antonina wyrzuciła ją przecież z posady.

Edward wysunął się przed żonę. Chciał ją osłonić, zatrzymać, choć wiedział, że to na nic, i tak nie zdoła jej obronić, najwyżej sam straci życie.

Zza okien dobiegały jeszcze jakieś głosy i urągliwy śmiech, więc nie wiadomo, ilu ich tam jeszcze mogło być. On musi żyć, myśleć, znaleźć sposób, by czym prędzej uwolnić żonę. W takiej chwili zapomniał o jej uczuciu do doktora. Ważna była tylko ona.

Żandarmi trzymali w pogotowiu karabiny, ale Rozalia i tak wybiegła z jadalni, by wrócić ze swoim nowym, ciepłym futrem. Ośmielona brakiem reakcji, poprosiła o możliwość przygotowania ciepłej odzieży i zapasu jedzenia.

– A pewno! Dajcie jej, co tam macie, na drogę – zgodzili się łaskawie, popatrując łakomie na stół. Dobrze wiedzieli, że większość tych zapasów trafi i tak do ich żołądków, tak jak to futro skończy na plecach którejs z żołnierskich żon.

– Jeśli jej nie zastrzelą, to i tak skazą na zesłanie. Daleko trzeba będzie iść – oświadczył ten pierwszy.

– Buty – załkała nagle Eulalia. – Weź, dziecko, dobre buty... I pilnuj ich, kochana...

Jedynie lament Zosi zakłócał śmiertelną ciszę, jaka zapadła po odjeździe żołnierzy. Przez długi czas wszyscy stali porażeni, bezsilni, zrozpaczeni. Puste miejsca przy stole, których już nikt nie chciał zająć, bolały stokroć bardziej niż wtedy, gdy zostawiano je dla umarłych.

Markotna służba rozeszła się, poszeptując o wszystkim, co się stało.

Edward sięgnął po fajkę i nie zważając na nowy atak dychawicy u Godziewiczowej, zaciągał się nią zachłannie.

– Boże – jęknęła Rozalia. – Biedna Antonina! Nie chciałam tego zła doczekać.

Siedząca u stóp Malwiny Zosia, zmęczona długim, bezsilnym płaczem, już tylko wzdychała spazmatycznie, pociągała nosem i głaskała nerwowo

futerko Inany.

Na podłodze pozostał kosz z prezentami dla służby, których Antonina nie zdążyła wręczyć. Na oparciu krzesła jedwabny szal, intensywnie pachnący różanymi perfumami. Na talerzyku nadłamany opłatek.

Mateusz i Marek wiercili się w kącie pod ścianą tak bardzo, że zwrócili na siebie uwagę przygnębionego Edwarda.

– Co tam? – rzucił nieuprzejmie. Nigdy nie przepadał za kuzynami, tym bardziej był niezadowolony, że właśnie oni stali się świadkami rodzinnego dramatu. – Czego chcecie?

– Musimy jechać – bąknął Marek.

– Trzeba sprawdzić, dlaczego naszych jeszcze nie ma – dorzucił Mateusz.

– Idźcie – wzruszył ramionami Edward. – Nikt was tu nie trzyma. A jeśli jada, zawróćcie ich do domu. My już świętować nie będziemy.

– Oni coś wiedzą – wyrwała się milcząca dotąd Malwina, ale zaraz się wycofała. Była tu tylko dla Zosi, nie należała do rodziny, nie powinna więc się wtrącać, nawet jeśli dostrzegła więcej niż inni.

Edward spojrzał na nią obojętnie, ale pełna podejrzeń Rozalia natychmiast zatrzymała siostrzeńców.

– Mówcie mi zaraz całą prawdę! – zażądała.

– Nie mamy tajemnic, ciociu – odparł Marek, który wydawał się bardziej otwarty niż Mateusz. – Matka kazała nam jechać przodem, uprzedzić, że się spóźnią, to jechaliśmy, ile sił w koniach...

Edward pokiwał głową. Zawsze uważał kuzynów za dwóch błaznów.

– Wracajcie do domu – rzekł ze smutkiem.

A potem spojrzał na Malwinę. I wiedział już, że ona nie ufa Zaniewskim.

Zegar tykał monotonnie, skwierczały świece. Za oknem sypało obficie i miękko. Przed domem przygasały ogniska, do których nikt nie dorzucał świerkowych gałęzi. Półmiski z wystygłymi potrawami pozostały nietknięte.

Rozalia zapatrzyła się w wiszącą pod sufitem podłaźniczkę oplataną papierowym łańcuchem. Tak jej się ta ozdoba dziwnie ze znakiem niewoli skojarzyła. Westchnęła ciężko.

Za dwie godziny w kościele rozpocznie się pasterka. Będzie pachniała kadzidłem i jednoczyła naród wspólną modlitwą i kolędowaniem. Trzeba tam jechać, wymodlić u Dzieciątka wolność dla Antoniny. I dla wszystkich Polaków.

– Bóg się rodzi, moc truchleje – zaintonowała cicho i spojrzała na Edwarda. Zrozumiał i włączył się w śpiewanie matki, ujmując jej rękę. Za nim podchwyciła pieśń Eulalia i Godziewiczowa, Staś, Imre, Malwina i na końcu cienkim głosem Zosia:

*Podnieś rękę, Boże Dziecię,  
Błogosław ojczyznę miłą...  
W dobrych radach, w dobrym bycie  
Wspieraj jej siłę swą siłą*

– zawtórował gromki chór służby dobiegający z korytarza.

I wtedy Zosia, nie wypuszczając dłoni Malwiny, ruszyła do tych drzwi, ciągnąc za sobą łańcuch dłoni i głosów. Stanęli jaśnie państwo naprzeciw kucharek, lokai i pokojówek. Wszyscy smutni, milczący i solidarni.

Podkrążone oczy Rozalii wyraźnie wskazywały na bezsenną noc. Nie zmrużył oka również Edward, który spalił niemal cały zapas tytoniu,

obmyślając sposób uwolnienia Antoniny. Dlatego siedząca na sofie i wtulona w ramię brata Zosia spoglądała na ojca z nadzieją.

– Ci funkcjonariusze są nieudolni, żałośni, a urzędowy wywiad prymitywny – dowodził Edward, spoglądając to na matkę, to znów na Eulalię.

– Gdyby tak było, nie wyłapywaliby ludzi, nie osadzali w łagrach i więzieniach – odezwała się niepewnie Eulalia.

– Wyłapują, bo ludzie donoszą, a oni lubują się w zbieraniu bajek i plotek, nic więc dziwnego, że otacza ich zgraja donosicieli.

– Nic się nie zmieniło – westchnęła Rozalia. – Dawniej w Rosji za złożenie donosu chłopca uwalniano od pańszczyzny, a urzędnikom przypinano ordery. Pewnie i teraz jest jakaś nagroda. Joanna w przeciwnym wypadku nie doniosłaby przecież na Antoninę...

– Doniosłaby – mruknął posepnie Edward. – Bez skrupułów podszywała się pod nazwisko Zygmunta, wuj zginął za nie swoje wiersze. Natomiast Antonina wyrzuciła Joannę z posady, więc ta znalazła sposób, żeby się zemścić.

– No właśnie – wtrącił Staś. – Gdyby Joanna została...

– Stasiu – upomniała go natychmiast Rozalia. – To są rozmowy dorosłych.

– Nigdy dotąd nie było takiego szpiegostwa, ograniczenia swobody, ściszenia głosu nie tylko w publicznych miejscach, ale nawet we własnym domu – oburzała się Eulalia.

– Ich siła to rozpasanie i samowola. Natomiast ich słabość to zachłanność – rzekł Edward. – Sądzę, że łapówka to jedyny sposób, aby Antonina powróciła do domu.

– Nie zawsze tych biedaków udaje się wyswobodzić – zauważyła Eulalia. – Nawet jeśli zapłaci się za nich – przestrzegła. – Żandarmi są

bezlitośni i bezkarni.

– Myślę, że to zależy od wysokości łapówki. I czasu. Trzeba działać szybko, zanim oni zrobią jakiś krok – rzucił nonszalancko Edward i wyjął z kieszeni fajkę, którą nerwowo obracał w palcach. Wyglądało na to, że ma gotowy plan.

– A może przesłuchają ją i wypuszczą, nic złego przecież nie zrobiła – ożywiła się Eulalia.

– Brała udział w powstaniu. Jestem pewien, że Joanna nie omieszkała o tym powiedzieć. Mogą ją przetrzymać w cytadeli, wysłać na Sybir albo...

– Co zamierzasz zrobić? – przerwała szybko Rozalia, patrząc na niego podejrzliwie.

– Wszystko – odparł. – Wszystko, co da się zrobić. Chodzi przecież o życie Antoniny.

– Bez względu na to, co zrobiła? – wyrwała się Eulalia, ale pod czujnym spojrzeniem Stasia zarumieniła się tylko i zamilkła.

– To nie ma teraz znaczenia – mruknął Edward.

– No więc co zrobisz? – drażzyła Rozalia.

Edward rzucił kątem oka na Zosię i zaczął nabijać fajkę. Grał na zwłokę.

– Zamierzam poręczyć tym, co zostawiła mojej córce babka Waleria – oświadczył po długiej chwili.

Zaległo pełne napięcia milczenie.

Rozalia znieruchomiała, Eulalia w zakłopotaniu zaczęła skubać frędzle szala, Zosia, wciąż wtulona w brata, nie przestawała głaskać Inany. Prawdopodobnie nie rozumiała, że jej majątek postawiono na jednej szali z losem Antoniny. Zresztą, gdyby rozumiała, dołożyłaby do tego wszystkie swoje dziecięce skarby, byle mamusia wróciła.

Jedynie Staś, odsunąwszy od siebie siostrę, podniósł się z sofy i patrząc wrogo, zbliżył się do ojca.

– Czy może tato powtórzyć? – zapytał powoli, przez zaciśnięte zęby.

– Stasiu – upomniała go ponownie, lecz znacznie ostrzej Rozalia.

– Proszę to zostawić mnie, mamu – uniósł uspokajająco dłoń Edward, po czym spokojnie zwrócił się do Stasia: – Owszem, mogę to powtórzyć, synu. Życie ludzkie stoi ponad wszystkimi skarbami świata. Zrobię absolutnie wszystko, żeby ratować moją żonę.

– Mam piętnaście lat – wycedził Staś, błyskając oczami. – Wystarczająco, żeby zrozumieć, co się tu wyprawia. I wystarczająco, żeby na to nie pozwolić.

– Na szczęście jeszcze nie ty decydujesz – rzekł Edward. – Skoro nie potrafisz odpowiednio się zachować i uszanować ojca, wyjdź, proszę.

Ku zdziwieniu Rozalii i zadowoleniu Edwarda, Staś wyszedł natychmiast. Zosia obserwowała całą scenę rozszerzonymi oczami. Wciąż nie miała pojęcia, o co chodzi.

– Chyba ja również powinnam zostawić was samych – bąknęła Eulalia. – Zabiorę Zosię...

– Edwardzie – zaczęła zafrasowanym głosem Rozalia, gdy kuzynka z wnuczką opuściły salon. – Ja wiem, że majątek mojej matki trafił w ręce Zosi. Ty jesteś jej opiekunem i dopóki ona jest dzieckiem, masz prawo nim dysponować... Jesteś pewien, że to dobra decyzja? Masz na myśli cały majątek? Przecież to...

Nie zdążyła dokończyć zdania. Drzwi gwałtownie się otworzyły, a do środka wtargnął Staś. Ze strzelbą wymierzoną wprost w głowę ojca.

Edward zbladł, a Rozalia poderwała się z miejsca i stanęła między synem a wnukiem.

– Oszalałeś, dziecko – wyszeptwała. – Postradałeś rozum...



– Odłóż to, synu – Edward usiłował zapanować nad drżeniem głosu. Wprawdzie nie wierzył, by Staś mógł do niego strzelić, nie wiedział nawet, czy w środku jest nabój, ale już sam pomysł mierzenia do niego z broni był niepojęty.

– Moja matka – zaskamlał Staś, nie opuszczając strzelby. – Moja prawdziwa matka przykazała mi strzec Zosi. I ja jej to obiecałem! – Głos mu się łamał, tak silne było to przeżycie.

– Odłóż broń, synu.

– Nie! Nie odłożę. A jeśli... Jeśli nie zmieni ojciec decyzji, strzelę. Jak Boga kocham, strzelę, bo pamięć o mojej matce i obietnica, którą jej złożyłem, jest dla mnie po stokroć ważniejsza niż wolność obcej kobiety!

– Stasiu! – załamała ręce Rozalia.

– Proszę usiąść, babciu. Chcę widzieć oczy mojego ojca. Proszę usiąść! – nakazał histerycznie.

– Stasiu, ja tylko cię ostrzegam, przegrasz zaufanie ojca, jego szacunek, a wtedy... – usiłowała tłumaczyć Rozalia.

– Szacunek, babciu? – rzucił płaczliwie. – Szacunek? Chcę, żeby ojciec patrzył mi w oczy, gdy będzie okradał córkę, łamał ostatnią wolę babki Walerii i deptał prośbę mojej matki.

Rozalia wprawdzie nadal stała, lecz przesunęła się nieco, by ojciec z synem mogli zmierzyć się wzrokiem. Podobnie jak Edward, nie wierzyła, by Staś mógł strzelić. Podobnie jak Staś, uważała pomysł Edwarda za absurdalny i nieuczciwy wobec tych, którzy mu ufali. W sekretnym zakamarku duszy rozważała przeplatanie się życia rosnącej dopiero Zosi z marnieniem i umieraniem synowej. Nie mogła znieść myśli, że jakiś łajdak miałby kłaść chciwą łapę na majątku jej wnuczki, podczas gdy Antoninie pewnie i tak niewiele czasu zostało... Szybko skarciła się za tę okrutną myśl.

– Synu, po raz ostatni żądam, odłóż broń. Porozmawiajmy spokojnie – mówił tymczasem Edward.

– Jestem spokojny, ojciec. To ja żądam obietnicy, że majątek mojej siostry zostawi ojciec w spokoju.

Mimo napastliwego tonu, wycelowanej prosto w twarz lufy i lodowatego wzroku, Edward podszedł blisko i wyjął broń z bezwolnych rąk Stasia. Odłożył ją na bok, po czym otulił ramionami dygoczące plecy syna. Staś wtulił się w pachnącego tytoniem ojca i załkał boleśnie. W płaczu tym wybrzmiał cały żal i cała miłość do niego. I tęsknota za matką. Bolesna, nieutulona.

– Jakże dumny jestem z ciebie, Stasiu – szepnął Edward. – Jakże dumny! Teraz o Zosię jestem spokojny. I zawsze będę, jeśli ma takiego brata. Dziękuję ci, synu...

Oczy Rozalii zaszkliły się wzruszeniem. Starła się nie roztkliwiać, ale gdy spoglądała na tych dwóch mężczyzn, ją również rozpierała duma.

– Weź pieniądze za tegoroczne plony, Edwardzie – powiedziała. – Potem sprzedamy las. Najważniejsze, żeby Antonina była w domu.

To prawda, że wtedy nie umiał jej wybaczyć. Bo nigdy nie zaznał takiej miękkości dłoni ani tak czułego dotyku, jakich doświadczył ten warszawski doktor. I nigdy nie patrzyła na niego tym szczególnym wzrokiem, jakim obdarzyła tamtego. Nigdy nie wyciągała do niego rąk z taką rozpaczą, takim bólem w oczach. Wtedy więc nie umiał jej wybaczyć i nie chciał. Lecz odkąd odjechała rozklekotaną kibitką z żandarmami, dzielnie przełykając łzy, odkąd zniknęła z zasięgu jego wzroku, czas dla Edwarda przestał płynąć. Każdy kolejny dzień przynosił to samo: nadzieję i rezygnację. Wiarę i zwątpienie. Odwagę i trwogę. Czuł, że zanurza się w bagno, w bezsilność, w rozpacz. Obsesyjnie myślał o wyjeździe do

Warszawy, o odzyskaniu Antoniny, wykupieniu jej, wydarciu z cytadeli. Ona nienawidziła i bała się tego miejsca, a on modlił się każdego dnia, żeby jeszcze tam była...

Pomimo słów ojca, którymi wyraził dumę i zaufanie do syna, Staś bezpowrotnie stracił wiarę w jego uczciwość co do spadku Zosi. Być może incydent ze strzelbą dał Edwardowi do myślenia, ale kto wie, czy w przyszłości majątek siostry znów nie stanie się kartą przetargową, nie przysłuży się obcym Zosi interesom?

Staś postanowił ukryć szkatułę. Zastanawiał się tylko nad odpowiednim miejscem. Pomysł spłynął wraz z krwawiącym słońcem, które pewnego styczniowego popołudnia chowało się za horyzontem. Wróżyło kolejny mroźny dzień, co niezmiernie cieszyło Imrego. Chłopiec lubił wyprawy ze Stasiem nad jezioro i ślizganie po zamrożonej tafli. I właśnie teraz, gdy oddawał się tej przyjemności, Staś w zadumie obserwował czerniejącą w zapadającym zmierzchu ścianę lasu po drugiej stronie jeziora i mającą w oddali chatę.

To dobre miejsce – pomyślał z zadowoleniem. – Do transportu wystarczy wziąć sanki, którymi Cesia rankiem wozi z drewni polana bukowiny, a do wykopania dołu w zamrożonej ziemi oskard i łopatę z szopy. Najtrudniej będzie wykraść babci Rozalii klucz od schowka, gdzie stoi szkatuła, ale to chyba kwestia sprytu...

Okazja nadarzyła się dwa dni później, gdy Piotr Kostecki zapodział gdzieś binokle. Przygotowani do lekcji Staś i Imre przez chwilę obserwowali jak nauczyciel obmacuje kieszeń kraciatej kamizelki i raz po raz dotyka nosa, na którym owych binokli się spodziewał. Nie znalazł ich tam, wobec tego chłopcy również zaczęli rozglądać się po pokoju. Zerknęli

na parapet i regał, obrzucili wzrokiem blat biurka, a Staś zajrzał nawet do szuflady.

– Nie ma – westchnął obłudnie z ledwie ukrytym triumfem. Lekcje nudziły go, nie miał więc poczucia straty.

– Może zostawiłem w bibliotece – zastanawiał się głośno Kostecki. – Wieczorem czytałem tam poemat Malczewskiego. Bądź tak uprzejmy, chłopcze...

– Pobiegnę! – zaofiarował się Imre, któremu nieoczekiwany spacer podczas godzin lekcyjnych bardzo był na rękę.

Nauczyciel zamknął za nim drzwi, po czym przykląkł i w tej pozycji obmacywał dłońmi podłogę. Staś właśnie ziewał szeroko, gdy drzwi znów stanęły otworem, a gwałtowne wtargnięcie babci Rozalii zbiegło się ze spazmatycznym krzykiem nauczyciela i jej własnymi słowami:

– Co tu się dzieje, panie Kostecki? Dlaczego Imre zamiast... – Przerwała, ponieważ nauczyciel jęczał i syczał, potrząsając bezwładnie zwisającymi, zakrwawionymi palcami prawej ręki.

– Aaaaa... – zakwilił żałośnie i wciągnął z sykiem powietrze. – Aaaaa... Boli...

– Co się stało? – przeraziła się Rozalia. – Niechże pan wstanie z podłogi. Cała skóra z palców zdarta... Włożył pan palce pod drzwi?

– Szukałem binokli – odparł boleściwie Kostecki.

– Ach, mój Boże... Właśnie je przyniosłam, leżały w salonie na pianinie... Stasiu, weź klucze, biegnij do mojej apteki, przynieś jodynę i bandaże. Szybko!

Chłodny pęk metalu zaciśnięty w dłoni pulsował wraz z sercem chłopca. Coraz szybciej i szybciej, gdy zbiegał po chybottliwych schodkach do piwnicy, kierował się do zakamarka po lewej stronie i drżącymi palcami szukał odpowiednich kluczy. A potem przekręcał je z cichym zgrzytem.

Wszystkie trzy zamki były otwarte, ale drzwi do komórki z cenną szkatułą pozostawił nietknięte. Kiedy przyjdzie tu ponownie, wystarczy, gdy naciśnie klamkę.

Wieczorem nasłuchiwał ostatnich dźwięków. Kiedy ucichło podśpiewywanie Cesi dokładającej drewno do kominków, szczęk sztucców układanych przez Waclawa w szufladach kredensu, szelest spódnic Maryny i Józi udających się na nocleg, skrzypienie śniegu pod krokami Kajetana, obchodzącego z zapaloną pochodnią cały dworek, kiedy wreszcie babcia Rozalia złożyła na czole wnuka pocałunek, Staś zaczął odliczanie. Zamierzał wstać, gdy doliczy do tysiąca. Wtedy będzie miał pewność, że wszyscy zdążyli udać się na spoczynek.

Psy w holu zaskamlały i z radosną gotowością poderwały się z miejsca, lecz Staś poklepał je uspokajająco i nakazał leżeć. Ostrożnie i powoli stąpał po ciemnych schodach prowadzących do piwnicy. Skrzynka z kosztownościami była ciężka i nieporęczna. Niósł ją z uwagą, czujnie wsłuchując się w odgłosy domu. Nie miał planu na wypadek, gdyby kogoś spotkał w ciemnym korytarzu. Tylnymi drzwiami wymknął się za dom, zawinął szkatułę w starą derkę, umieścił ją na przygotowanych sankach do wożenia drewna i porządnie przywiązał konopnym sznurkiem. Obok uwiązał kilof i łopatę. Tak wyposażony ruszył w kierunku jeziora.

Noc nie była bardzo mroźna. Może dlatego, że niebo zasnuły chmury, z których cicho i obficie sypał śnieg. Chrząścił teraz pod butami Stasia, zapadał się pod ciężarem kroków, ale nieustannie opadające płatki szybko maskowały ślady butów. Droga złała się z polami i gdyby nie rosnące wzdłuż niej drzewa, łatwo byłoby pobłądzić. Przed Stasiem rozciągał się niczym niezmacony krajobraz, wyścielony wpadającą w czerń niebieskością nocnego śniegu.

Dochodziła jedenasta, gdy dobrnął do brzegu. Miał przed sobą skute lodem martwe lustro i sześć godzin, by znaleźć się z powrotem w domu, gdyż o piątej Cesia będzie szukała w drewnitni swoich sanek. Nie było na co czekać.

Starał się iść żwawym, miarowym tempem, ale szybko przekonał się, że nogi trzeba stawiać rozważnie. Wiatr przeganiał z jeziora cienką warstwę śniegu, odsłaniając śliską nagość lodu. Buty Stasia rozjeżdżały się przy każdym pochopnie postawionym kroku. Poza tym im dalej od brzegu, tym większy ogarniał go strach. Bywało, że łowiący ryby wieśniacy pozostawiali przeręble, które zabezpieczał bardzo cienki lód. Jezioro nigdy nie zamarzało równomiernie. Mogło się załamać. Mogło pochłonać jego i cały majątek Zosi.

Staś zatrzymał się, odwiązał łopatę i sunąc krok po kroku, co pewien czas uderzał trzonkiem łopaty w lód. Taki sposób znacznie zwolnił tempo, ale chłopiec poczuł się pewniej. Minęły trzy godziny, zanim znalazł się na drugim brzegu.

Dzięki nieskazitelnej bieli śniegu było jasno nawet wśród gęsto rosnących drzew. Staś kilkakrotnie okrążył starą chatę, zanim zdecydował się na wykopaną dawno, zapewne przez jakieś zwierzę, jamę. Trzeba było ją pogłębić, na dnie umieścić omotaną derką skrzynię i zasypać wszystko grubą warstwą ziemi, a na wierzchu śniegiem. Zanim to zrobił, minęło kolejne półtorej godziny.

W drodze powrotnej nie silił się na ostrożność. Wsparty o sanki odpychał się nogami, po czym przywierając do nich brzuchem jechał siłą rozpędu po kilka metrów naraz.

Udało mu się odstawić je na miejsce jedynie dlatego, że Cesia zasnęła.

**Z**aledwie trzydzieści lat wcześniej na zboczu wzgórza położonego malowniczo pomiędzy dopływami Wisły, rzeczkami Drną i Bełczą zakwitły wspaniałe ogrody zbiegające w kierunku Nowego Miasta i brzegu Wisły. Joli Bord – nazywali z francuska tę piękną krawędź warszawiacy. Teraz z tego miejsca potężna i ponura bryła cytadeli paraliżowała puls Warszawy, straszyla okrucieństwem i hamowała życie miasta. „Przybyłem widzieć cytadelę, a nie miasto, niech o tym wiedzą” – wyrzekł Jego Cesarsko-Królewska Mość, co w pełni uzasadniało wygląd i rolę fortecy.

W całej olbrzymiej twierdzy nie znaleziono jednak drobnej, rudowłosej kobiety, mimo że strażnik ochoczo wyciągnął łapę po całoroczną krwawicę Przylipia i obiecał wyprowadzić więźniarkę tajnymi ścieżkami. Edward czekał cały dzień. Noc. I znowu dzień, i kolejną noc. Stracił nadzieję, gdy po wiarołomnym strażniku ślad zaginął, a o losach Antoniny nie zdołał dowiedzieć się niczego. Wynędzniały, zgnębiony, z kilkudniowym zarostem, włókł się nogą za nogą do domu Eulalii, u której miał obiecany nocleg.

Oswojenie zła jest o wiele gorsze niż zło – myślał. – Ale zaakceptowanie krzywdy jest złem. Gdzie szukać sprawiedliwości, kiedy czasy są złe i ludzie źli?

Sypał śnieg. Przechodnie mijali go w pośpiechu. Tej nocy miał skończyć się tysiąc osiemset trzydziesty szósty rok.

Z końcem lutego gwar dobiegający z sieni nie dawał spokoju Anieli, a zdeptana błotem podłoga irytowała Kazię.

– Sy wsyssy zmówili się chorowaś na koniec zimy? – wyrzekła. – W sieni az sarno, takie tłumy.

– Skoro ludzie grzeszą, to chorują – wzruszyła ramionami Wiesia. – Pamiętacie panią Antoninę? Ona też zgrzeszyła z doktorem z miasta, a potem zachorowała.

– Ot, bzdury opowiadasz – obruszyła się Aniela. – Wcześniej zachorowała.

– O niej nie tseba wsale mówić. Pan Edward nawet Zosi nie pozwala jej wspominaś – oznajmiła Kazia, biorąc się pod boki.

– Nie mówię przecież – zaperzyła się Wiesia. – Jedno słówko aby... A chorobę sprowadzają demony – szepnęła, nachylając się do ucha Kazi. – Bóg ją dopuszcza albo nie.

– A dlasego dopusca? – wytrzeszczyła oczy Kazia.

– Żeby doświadczyć człowieka, kiedy ten zgrzeszy – wyjaśniła Wiesia.

– To oni tam w nasej sieni wsyssy gzesni? – zdziwiła się Kazia. – To do kościoła musą iś, a nie do pani Rozalii.

– Za robotę się weź, Wieśka. Znów Kazi głowę zawracasz i ją straszysz – zdenerwowała się Aniela. – O, ciasto na bułki wyrosło.

– Nie straszę, nie straszę – mamrotała Wiesia, dzieląc ciasto na kilkanaście jednakowych kulek. – Moja matula opowiadała – ciągnęła, nie zważając na zniecierpliwioną minę Anieli – że choroby przychodzą pod różnymi postaciami, zwłaszcza te zakaźne można zobaczyć.

– Jak to, zobasyś? – przeraziła się Kazia.



– Zwyczajnie, zobaczyć. Bo one mogą przyjść jako zwierzę albo dziecko... O, ja na przykład pomyślałam, że do naszej pani Antoniny to Imre chorobę sprowadził. Bo niby dlaczego on nagle do nas przystał?

– Wieśka! – uderzyła pięścią w stół Aniela. – Zostaw ty tę nieszczęsną panią Antoninę w spokoju! W grobie się biedaczka przewraca.

– Jak to w grobie? – oczy Kazi zrobiły się okrągłe jak spodki. – To ona umarła?

– Nic takiego nie powiedziałam – wykręcała się Aniela. – Ale skoro jej nigdzie nie ma, to gdzie ona jest?

– No... Nigdzie – przyznała Kazia i spłoszona zerknęła na Wiesię.

– Same rozmawiacie o młodej pani Stalickiej, a mnie zabraniacie – naburmuszyła się Wiesia.

– Nie rozmawiamy – ucięła Aniela. – Co tam jeszcze ta twoja matula opowiadała?

– A, mówiła, że taka na przykład cholera przyszła jako płacząca kobieta w samej koszuli, z długimi, rozpuszczonymi włosami i włóczyła się po wsi. W której chałupie jej płacz usłyszeli, tam wybuchała zaraza. A znów febra to stara ślepa baba, która zmieniała się w morowe powietrze. Dżuma znów wyglądała jak... no, wypisz, wymaluj jak nasza Aniela, tylko wyższa...

– Będziesz ty cicho?! – kucharka chwyciła ze stołu ścierkę i trzepnęła Wieśkę po głowie. – Dość już tych opowieści.

– Niech się Aniela nie denerwuje, bo humory Anieli uderzą do głowy – ostrzegła z powagą Wiesia. – Złe soki, które krążą po żyłach, mogą wywołać różne zapalenia i zakażenia. Nie na darmo się mówi, że żółć kogoś zalała – pogroziła palcem.

– To nie żółć, a krew jest zepsuta – wtrąciła Kazia. – Wtedy tseba ją upuśsiś i juz.

– Ot, doktorki się znalazły – burknęła Aniela.

Drzwi uchyliły się delikatnie. Do środka wsunęła się Zosia, a wraz z nią głosy z sieni, szemrzące jak woda w imbryku.

Od pamiętnej Wigilii, gdy żandarmi zabrali mamusię, dziewczynka nie była już tak radosna. Tęskniła za Antoniną jak Staś za Elizą. Przystanęła przy stole i z uwagą przyglądała się zręcznym palcom Wiesi, która toczyła okrągłe bułeczki i układała je na blasze.

– Ucz się, ucz – pogładziła ją po jasnych włoskach Aniela. – Nie wiadomo, jakie czasy przed tobą... A puszkę przyniosłaś?

– Jaką puszkę? – zdziwiła się Zosia.

– A tę od kawy, co na święta pierniczki w niej dostałaś.

– Nie... Aniela już pytała, ale nie wiem, gdzie ona jest. Zapodziała się chyba.

– Zapodziała się – mamrotała z niezadowoleniem Aniela. – Wszystko gdzieś się zapodziewa, bo nikt niczego nie pilnuje

– Chcesz mi pomóc? – zapytała szybko Wiesia, widząc zmartwioną minę dziewczynki.

– Tak – ucieszyła się Zosia i zakasała rękawy. – Pomogę, zanim przyjdzie Imre, bo pan Kostecki tłumaczy mu coś jeszcze.

– Jus nie tłumasy, Imre seka psed domem – Kazia ruchem głowy wskazała okno, za którym chłopiec rozglądał się zniecierpliwiony.

Dziewczynka ożywiła się, chwyciła dwa spore kawałki odrąbanego cukru, wsunęła je do kieszonki fartuszka i wybiegła na ganek.

Kto by pomyślał, że tak polubią się te dzieciaki – pomyślała Aniela, odprowadzając je wzrokiem.

Zosia nieraz chodziła drogą wiodącą nad jezioro. Zawsze jednak pod opieką dorosłych: tatka, Malwiny albo babci Rozalii. Jeszcze wcześniej

prowadzała ją za rękę mamusia Antonina. Staś nie mógł jeszcze towarzyszyć siostrze, był za młody. Cóż dopiero Imre! A z nim właśnie wybrała się po pierwszych roztopach, wymknąwszy się spod skrzydeł Malwiny. Dzień był słoneczny i ciepły jak na początek marca.

– Coś ci pokażę – rzekł tajemniczo chłopiec i odgarnął z czoła jasny kosmyk włosów, który wciąż opadał mu na oczy.

– Co pokażesz? – zaciekawiała się zadyszana Zosia. Musiała co chwilę podbiegać, żeby dorównać mu kroku. – Skarb?

– Nie – obruszył się i dodał z wyższością: – Kobiety myślą tylko o skarbach i błyskotkach.

– Nieprawda! – zaperzyła się Zosia i znów podbiegła kilka kroków. – Ja myślę o wielu innych rzeczach.

– Tak? O jakich? O zamążpójściu i posagu? – zaśmiał się.

– Nie, Imre. Ja myślę... – dziewczynka zastanowiła się chwilę, po czym dopowiedziała znacznie ciszej: – Ja myślę o tych złych żołnierzach, którzy zabrali mamusię, a wcześniej zabili wuja Zygmunta. Słyszałam, jak babcia Rozalia powiedziała tatce, że nawet sam Bóg im tego nie wybaczy.

– Przestań! – krzyknął nieoczekiwanie Imre. Zatrzymał się i zacisnął pięści. – Nigdy nie mów o nich przy mnie! Nie mów, bo mi tutaj, w środku – uderzył się kułakiem w piersi – tutaj robi się coś takiego... Powiem ci coś – zniżył nagle głos. – Kiedy będę miał siedemnaście lat... Albo nie, piętnaście. Kiedy będę miał piętnaście lat, wezmę strzelbę i zabiję każdego ruskiego żołnierza, który stanie na mojej drodze. Zobaczysz, że tak zrobię. Pomszczę moich rodziców i brata. I twojego wuja. I twoją mamusię też – zwęził oczy, a potem splunął przez zęby. Zosia starała się nie patrzeć na plamę spienionej śliny, która powolutku wsiąkała w ubitą ziemię. Babcia Rozalia upomniała kiedyś Stasia, że takie spluwanie to bardzo brzydki

zwyczaj i robią tak tylko dzieci parobków. Imre nie jest synem parobków, więc musiał się od któregoś z nich nauczyć.

– A teraz ile masz lat? – zapytała z nadzieją, że ruscy żołnierze zginą z rąk Imre już niedługo i żaden więcej nie zrobi nikomu krzywdy.

– Jedenaście – mruknął ponuro.

– Ojej – zmartwiła się. – To za mało... Ale Staś niedługo będzie miał piętnaście. Staś ich zabije!

– Nie, ja sam – powiedział twardo Imre. – Zresztą może jest na nich jeszcze inny sposób.

– Jaki?

– Nie wiem jeszcze, ale pomyślę. A teraz pokażę ci coś. Tylko nie opowiadaj o tym nikomu – zastrzegł.

– Dobrze – obiecała przejęta.

Szli w milczeniu aż do jeziora. Głowy wypełnione czarnymi, dramatycznymi wspomnieniami ożywiła rozmyta czerwień tonącego w wodzie słońca. Przykuła wzrok barwą, przywołała obraz przelanej krwi, nadała myślom siłę i umocniła chęć zemsty. Teraz już nie tylko Imre, ale i Zosia zaciskała mocno pięści.

Wbrew tym nastrojom jezioro było spokojne. Delikatne fale z cichym pluskiem podmywały resztki lodu kurczowo trzymającego się szuwarów, kołysały przybrzeżną łodzią przytwierdzoną sznurem do pnia drzewa, wyrzucały na brzeg drobne patyki, strzępy zeszłorocznych traw i poczerniałych liści. Wyschły tatarak szumiał dyskretnie, skrywając tajemnice zimujących kormoranów i cyranek.

– Chodź za mną – szepnął z zagadkowym wyrazem twarzy Imre i ruszył przed siebie piaszczystym brzegiem.

Zosia poprawiła czepek, zebrała garściami fałdy sukienki wyglądającej spod paltocika i podążyła za swoim towarzyszem. Spięta, uważnie

wsluchiwała się w szmery wiatru, pluskanie wody i chrzęst mokrego, czasem zmrożonego żwiru pod butami. Nie spuszczała wzroku z pleców Imrego.

– To tutaj – oznajmił chłopiec i zatrzymał się przy stosie niewielkich przyrzuconych zgniłymi liśćmi kamieni.

Przykucnął i jeden po drugim odkładał je na bok, aż odkrył patyki, które osłaniały dość głęboki dołek. Zaintrygowana sekretem Zosia oddychała szybko i głośno przełykała ślinę. W wykopanym zagłębieniu leżało zawiniątko. Imre zdarł papier i szmaty, które je chroniły, by wreszcie ukazać oczom dziewczynki puszkę od kawy.

– Imre, to puszka Anieli! – zawołała wstrząśnięta. – Zabrałeś kucharce puszkę, a ona szuka jej od Bożego Narodzenia.

– Nie zabrałem niczego kucharce – sprostował. – Znalazłem ją na krześle w holu, i to ty ją tam zostawiłaś.

– I to chciałeś mi pokazać? Tę puszkę? – jęknęła rozczarowana.

– Nie puszkę, tylko coś, co jest w środku – nachmurzył się. – Ale skoro nie jesteś ciekawa, to nie patrz.

– Jestem ciekawa. Otwórz – zażądała i rozejrzała się wokół, jakby w obawie, że ktoś niepowołany odkryje ich tajemnicę.

W puszcze leżał człowiek.

Wyschnięty wprawdzie, ale miał wszystko, co trzeba: głowę, oczy, uszy, brzuch, ręce i nogi. Był w kolorze chrzanu, który kiedyś wykopał ogrodnik i przyniósł do kuchni. Zosia widziała, jak Kazia, wylewając łzy, tarła go na miazgę, a później Aniela kazała podać go na stół do mięsa i jaj. Ale ten tutaj, to nie chrzan przecież...

– Co to jest? – zapytała zafrapowana.

Coś zatrzeszczało w pobliskich zaroślach. Imre ukrył puszkę za plecami i przez chwilę nasłuchiwał w napięciu.

– Ptak albo zwierzę – uspokoił ją szeptem.

– Co ty mówisz, to nie jest żaden ptak – skrzywiła się. – Wygląda jak pomarszczony starzec.

– Wiem – syknął Imre. – W krzakach jest ptak. A to dostałem od Józinka z czworaków. Nie chciał powiedzieć, skąd to ma.

– I dał tobie?

– Tak, ale nie za darmo. Musiałem mu oddać swoją krawatę i świąteczny kołnierzyk.

– Krawatę i kołnierzyk za jakiś korzeń? – oburzyła się Zosia, gdyż babcia Rozalia uczyła ją być oszczędną i roztrofną. Imre zaś, choć starszy, okazał się bardzo nierozsądny.

– Bo to magiczny korzeń. Chcesz potrzymać? – wyjął korzeń z puszek i podał Zosi.

Przyjęła go z wahaniem i przez chwilę oglądała z uwagą.

W zaroślach trzasnęła gałązka.

– Ktoś jest w krzakach – wyszeptała niemal bezgłośnie i wlepiła w Imrego wielkie oczy.

– To wiatr – odparł. – Boisz się?

– Nie – zaprzeczyła prędko i natychmiast zapytała, spoglądając znów na korzeń: – Dlaczego jest magiczny?

– Józinek tak powiedział. Zresztą sama widzisz, jak wygląda.

– Wygląda strasznie. Jak stare dziecko – wzdrygnęła się.

– A jednak boisz się – uśmiechnął się szelmowsko. – Tak, boisz się. Widzę przecież.

– Nie, nie boję się – zapewniła nerwowo w odpowiedzi na jego kpiny. – To tylko roślina.

– No, nie wiem – chłopiec wymawiał słowa powoli, nieprzyjemnie. – A może to nie roślina, tylko stwora, co ma diabelską moc?

– Przestań tak mówić. I tak się nie boję. Wcale – powtórzyła z zacięciem, choć jej głos załamał się na ostatnim słowie.

– Skoro się nie boisz, mogę ci go oddać, chcesz? – Imre zmrużył oczy i patrzył na nią zaczepnie, wyzywająco. Nie wierzył, że ta wypieszczona dziewczynka biegająca w różowych sukienkach i koronkowych pantalonach, mogłaby przyjąć tego rodzaju podarek.

– Chcę – zgodziła się wbrew sobie, żeby nie posądził jej o tchórzostwo. – Co mam z nim zrobić? – zapytała niepewnie.

– Musisz go zakopać – odparł niedbale kopnął kamyk. – Na cmentarzu, jak człowieka – dodał.

Kiedy wrócili zmęczeni, prawie bez tchu, stół nakryty był już do podwieczorku, a po całym domu roznosił się zapach waniliowej leguminy. Odziana w popołudniową suknię Rozalia, oderwany od ksiąg rachunkowych Edward i Staś w towarzystwie nauczyciela, siedzieli już przy stole. I właśnie wtedy, gdy Rozalia patrzyła wymownie na ścienny zegar, w drzwiach jadalni ukazała się spóźniona gromadka: Zosia i Imre, a tuż za nimi Malwina zarumieniona, z włosami w nieładzie i w spacerowym stroju.

Niezobowiązujące opinie na temat pogody, które Edward uprzejmie wymieniał z Piotrem Kosteckim przerwała chłodna uwaga pani Stalickiej.

– W przyszłości zwracaj bacniejszą uwagę na wpływający czas, Malwino. Wasz spacer przeciągnął się i dzieci ledwo zdążyły na podwieczorek. Dopilnuj teraz, żeby umyły ręce.

Krzążąca się przy nakryciu Wiesia, chcąc pomóc Malwinie, zabrała od Zosi zabrudzone blaszane pudełko i wyniosła je do kuchni.

Zaskoczona dziewczynka bez słowa protestu oddała puszkę z wysuszonym niby człowiekiem, którego nie zdążyła zakopać na cmentarzu, i teraz spoglądała na swoją opiekunkę, niczego nie rozumiejąc. Skąd Malwina taka zdyszana, pachnąca powietrzem i jeziorem znalazła się za ich plecami i dlaczego bez słowa przyjmuje na siebie winę za ich spóźnienie, skoro wcale z nimi nie była?

Przez twarz Malwiny przemknął ledwo zauważalny, enigmatyczny uśmiech. Skinęła głową, zagarnęła ramieniem oszołomioną Zosię i popychając przed sobą nie mniej zmieszanego Imrego, opuściła jadalnię. Po niespełna kwadransie byli już z powrotem. Chłopiec miał gładko przyczesane włosy, Zosia czystą sukienkę, a Malwina starannie spleciony warkocz. Wciąż jeszcze zarumieniona, z dumnie uniesioną głową, z uśmiechem igrającym w kącikach ust, których kolor harmonizował z aksamitną suknią i z czarnym węzem grubego warkocza, przerzuconego niedbale przez ramię, wyglądała ponętnie i zagadkowo.

Jakaż kusząca... – nieproszona myśl zakiełkowała w głowie Edwarda i zaczęła ukorzeniać się podstępnie i nieuchwytnie.

Aniela z głębokim zastanowieniem przyglądała się blaszanej puszcze po kawie, która niewiele miała wspólnego z pudełkiem zawierającym podarowane niegdyś Zosi pierniki. Tu i ówdzie wygięta i zardzewiała, nadawała się do wyrzucenia. Coś jednak było w środku, więc nie byłaby sobą, gdyby tam nie zajrzała.

– Święci pańscy! – zawołała zdumiona. – A cóż to za straszdyło?!

Kajetan, który przyszedł się posilić, uniósł niespiesznie głowę nad swojej miski i bez specjalnego zainteresowania obrzucił zmęczonym spojrzeniem kucharkę. Natomiast Kazia i Wiesia, zajęte dotąd uprzątnięciem



kuchni, porzuciły swoją robotę i teraz jedna przez drugą zaglądały Anieli przez ramię.

– Chyba małpolud jaki albo diabeł – przeżegnała się dyskretnie Kazia. – Niech Kajetan patsy!

Ten ledwie spojrział. Nawet dotknąć nie chciał, tylko wzruszył ramionami i kazał dać to plugastwo Cesi, żeby wrzuciła do ognia.

Widok rośliny zmroził jednakże Wiesię.

– Słodki Jezu, to chyba krzykwa... – wymamrotała pod nosem. – Wisielczyk...

– Wisielsyk? – powtórzyła ze zgrozą Kazia.

– Pod szubienicami wyrasta – wyjaśniła grobowym głosem Wiesia. – Trzeba ją w ciepłym mleku wymoczyć, na noc czystą szmatką owijać, żeby nie marzła, i pielęgnować jak małe dziecko.

– Po so tak robiś? – wyszeptała Kazia. Przestraszone spojrzenie przerzucała z Wiesi na Kajetana, starannie omijając zawartość pudełka.

– A po to, żeby choroby jakiej nie ściągnęła. Ty nie wiesz, co taka krzykwa potrafi.

– Nie wiem, skąd mam wiezieś, skoro nigdy nie wiziałam... – wyszeptała na jednym oddechu Kazia. – Mówiłaś wisielsyk, a teraz znów ksykwa...

– Ponoć głośno krzyczy, kiedy jej korzeń wyrywa się z ziemi, tak się gniewa – rzekła mrocznie Wiesia, naśladując przerażoną minę Kazi. – Dół po niej trzeba chlebem zalepić albo kilka monet tam wrzucić, żeby z zemsty za to wyrwanie nieszczęścia nie sprowadziła.

– Ot, głupoty – machnęła ręką Aniela. – Za sprzątanie lepiej się weźcie. A tego małpoluda pani Rozalii trzeba pokazać, bo jak widzę Zosia nie tym się zajmuje, co trzeba.

Pani Stalicka odwiedzała kuchnię dopiero po kolacji, późnym wieczorem, kiedy to zwykła wydawać dyspozycje na następny dzień. Po wyjściu służby zasiadała przy swoim roboczym stoliku, szykowała ziołowe mieszanki lub zajmowała się wyrabianiem past i pomad do utrzymania higieny. Obejrzała korzeń z zainteresowaniem, ale swoim zwyczajem, bez emocji.

– Przepięty – stwierdziła z miną znawcy. – Podobny do mandragory, tyle że tamta w naszym klimacie nie rośnie. Skąd to u was?

– A, bo to tak, proszę pani było... – zaczęła przejęta Kazia, lecz Aniela uciszyła ją natychmiast.

– Cicho, Kazia, co ty tam wiesz... Dzieciaki gdzieś znalazły i przyniosły – wyjaśniła.

– Dzieciaki? Folwarczne? – dopytywała pani Rozalia, marszcząc brwi, bo to silnie trująca roślina. Doskonale znająca się na ziołach babka Waleria przestrzegała, że może utrudnić oddychanie i zadusić człowieka na śmierć. Chociaż akurat korzeń mógł pomóc na reumatyzm czy ból brzucha...

– Nie folwarczne, tylko nasze – sprostowała Wiesia. – Zosia...

Twarz Rozalii ściągnęła się na moment, usta ledwo drgnęły w niezadowoleniu. Opanowała się natychmiast, zamknęła korzeń przepięty w swojej apteczce i życząc kucharkom dobrej nocy, dostojnie opuściła kuchnię.

Danicki zaledwie musnął łakomym wzrokiem Malwinę, bo przeszła przez hol pospiesznie i zaraz zniknęła za drzwiami. Zaskoczony jej widokiem, nie zdążył nawet się odezwać, a ona gardziła nim do tego stopnia, że nie zamierzała go witać. Przemknęła lekko jak chwilowy kaprys, nie obdarzywszy go ani jednym spojrzeniem. Antoni uśmiechnął się pod wąsem, pozwolił wyprężonemu służbiście Alojzemu rozebrać się z palta, rzucił mu od niechcienia kapelusz i kazał się prowadzić do Edwarda.

– No i mamy gubernie, co? – zawołał od progu. – Rozumiesz, przyjacielu? Nasze województwa nie dość dobre dla umiłowanego cara – rzucił kąśliwie. – Nie wystarczyło obsadzić swoimi sługusami najwyższych stołków, narzucić nam język, skonfiskować majątki, trzeba było jeszcze przechrzcić województwa na gubernie. Ot, scalić Królestwo z Cesarstwem. Nie-do-cze-ka-nie! – wyskandował, rozkładając przed Edwardem ramiona. – Nie zdominują nas, nie wchłoną. Ani kwalifikacji, ani gorliwości nie mają ich administratorzy, a Paskiewicz patrzy tylko, jak utrzymać władzę.

– Czytałem, czytałem – potwierdził z krzywym uśmiechem Edward. – Wszystkie ukazy cara będą dążyć do wessania nas. Mamy zniknąć. W Cesarstwie obowiązują gubernie, to je mamy. Prezesów przechrzczą na

cywilnych gubernatorów. Musisz się pogodzić, że mieszkamy teraz w Mazowieckiej Guberni.

– Dobrze, że choć na pieczęciach nadal będzie używany herb Królestwa Polskiego... Wiesz, Edwardzie, ja myślę, że to nie potrwa długo – zapalił się nagle. – Nasi, zwłaszcza kręgi polskich emigrantów spiskują i szykują się do nowego powstania. Zobaczysz, damy im radę!

Pobłaźliwy uśmiech, który pojawił się na twarzy Edwarda, i ciężkie westchnienie świadczyły o braku wiary w słowa przyjaciela.

– Zaborcy dogadali się, współdziałają w ściganiu spisków. Zagwarantowali wzajemne wydawanie wicherzycieli...

– Ja wiem, że damy radę – rzekł z mocą Antoni.

– Wierzysz w to, boś nie poznał na własnej skórze mocy rozkazów, bezwzględności żandarmów i naszej bezradności – uciął Edward.

Danicki spoważniał i zamyślił się przez chwilę.

– No ale jakże ty się miewasz, co? O Antoninie coś wiadomo? – zapytał przygaszonym głosem.

– Niestety – Edward uśmiechnął się smutno i poklepał Antoniego po plecach. – Nawet nie chcę o tym mówić. Dobrze, że wpadłeś, siadaj, przyjacielu. Może ubijemy interes.

– Interes, mówisz? Ja z tobą? Może mam zgrać się w karty, co? Potrzebujesz gotówki?

– Jakbyś zgadł, Antoni, jakbyś zgadł...

– No, mów. Nie każ czekać – sąsiad przyczesał palcem wąsy i spojrzał na Edwarda podejrzliwie. Zdawało się, że opadł z niego cały animusz, którym tryskał od wejścia.

Obaj sięgnęli po fajki, obaj nabijali je w milczeniu. Tam, gdzie w grę wchodziły pieniądze, sympatie chowało się do kieszeni. Edward wyraźnie grał na zwłokę. Otworzył szafkę, wydobyl z niej butelkę whisky i dwie

szklanki, do których rozlał bursztynowy płyn. W powietrze rozniósł się zapach alkoholu i dwie smużki dymu, by po chwili gabinet wypełnił się tym szczególnym tytoniowo-trunkowym aromatem towarzyszącym przeprowadzaniu męskich rozmów.

Antoni chrząknął, ale o nic nie pytał.

– Napijmy się – Edward podał mu kieliszek i uśmiechnął się niepewnie.

– Twoje zdrowie – Danicki odwzajemnił uśmiech i upił łyk trunku. Kilka drobnych kropelek osiadło mu na wąsach. Otarł je wierzchem dłoni i mlasnął ze smakiem.

– W żadnej karczmie alkohol nie smakuje tak jak u ciebie.

– Sprowadzam ten trunek z najlepszej gorzelni. Jeśli już jest tak drogi, niech przynajmniej sprawia przyjemność podniebieniu – Edward zaśmiał się z przymusem. Nie potrafił pozbyć się napięcia, dopóki nie nabierze pewności, że Antoni przystanie na jego propozycję.

Danicki obrócił w palcach szklaneczkę i popatrzył na whisky pod światło. W smugach zachodzącego słońca rzuciła rdzawe refleksy. Edward podążył wzrokiem za gestem przyjaciela, dostrzegł głęboką barwę, mimowolnie skojarzył.

Jak włosy Antoniny – pomyślał i poczuł ucisk w gardle.

– Widzę, że coś cię trapi, Edwardzie – rzekł Antoni, nie spuszczać wzroku z mieniącego się szkła. – Powiedz wreszcie i miejmy to za sobą.

Edward oparł się o kant biurka i wbił w niego prowokacyjne spojrzenie.

– Kup ode mnie las – wypalił.

Dopiero teraz Danicki oderwał wzrok od kieliszka.

– Co? – zapytał niezbyt inteligentnie, po czym roześmiał się serdecznie. – Co ty powiedziałaś?

– Nie każ mi powtarzać, przyjacielu – westchnął Edward. – Wierz mi, że ten jeden raz ledwo przeszło mi przez gardło.

– A więc nie chcesz sprzedać lasu – stwierdził Antoni.

– A więc usłyszałeś za pierwszym razem – cicho skonstatował Edward.

– Usłyszałem, ale nie pojmuję – Antoni wypuścił z fajki kłąb dymu. – Dlaczego chcesz to zrobić?

– Muszę. Wydałem wszystkie pieniądze na uwolnienie Antoniny.

Danicki rozejrzył się po gabinecie, uniósł w zdziwieniu brwi i rozłożył ręce.

– No i gdzie ona jest? – zapytał.

– Przepadła bez wieści – westchnął Edward i ponownie wypełnił szklanki. – Nie pytaj. Strażnicy, żandarmi, tajna policja, wszyscy chętnie wyciągali łapy po pieniądze, ale nie dowiedziałem się, gdzie podziewa się moja żona... Może już jej nie ma – dodał po chwili ze ściśniętym gardłem.

– Nie mów tak. Nadzieja umiera ostatnia, trzeba wierzyć – usiłował go pocieszyć Antoni, ale sam nie był co do tego przekonany, więc pokrzepienie wypadło nieudolnie. Dopił duszkiem alkohol i odstawił szklankę. – Wróćmy do kwestii lasu – powiedział. – Cały chcesz sprzedać?

– Tylko po prawej stronie jeziora. Ten po lewej zostawię. Mój dziadek tam zginął, babka Waleria kazała postawić krzyż. Mamy do tego miejsca sentyment.

– I dobrze. Po lewej stronie mniej dębów, więc i dzików tam mało – mrugnął okiem Danicki. – Chociaż lewy pas lasu przylega do mojego...

– Nie, lewego nie sprzedam – oświadczył stanowczo Edward.

Antoni skrzywił się, cmoknął i podsumował:

– Niech będzie moja strata. Tylko dlatego, żeś w potrzebie. Może z czasem sprzedasz i lewy – zażartował, chociaż widział, że Edwardowi

wcale nie jest do śmiechu. – Biorę! – klepnął się po kolanach.

Był taki czas, gdy Staś odwiedzał babcię Rozalię w jej pokoju bardzo często. Przyłipie w takich chwilach zamierało, bo do pani Stalickiej zwykle chodziło się po ostrą reprimendę. W łżejszych przypadkach otrzymywało się zwykłą burę lub tylko pouczenie. Chociaż każda z tych rzeczy jawiła się nader nieprzyjemnie, zostawała w pamięci na długo, więc pani Rozalia używała takich właśnie sposobów do ułożenia służby czy korygowania dziecięcych światopoglądów.

Tym razem do pokoju babci wezwano Zosię. Józia przysłała po nią do kuchni, gdzie dziewczynka pod czujnym okiem Anieli uczyła się sztuki zlepienia brzegów delikatnych pierożków. Wszystko działo się w obecności Malwiny, która najpierw obrzuciła swoją pupilkę zaskoczonym wzrokiem, potem zwróciła się do Józii:

– Jesteś pewna, że chodzi o Zosię?

– Tak – odparła Józia. – Pani Stalicka otworzyła drzwi swojego pokoju, a ja właśnie omiatałam korytarz, więc skinęła na mnie, i mówi: „zawołaj no mi tu zaraz Zosię, Józiu”. Pani Stalicka nie lubi czekać, to od razu przybiegłam.

Wiesia, Kazia, a nawet Aniela porzuciły swoją pracę i rzucając współczujące spojrzenia Zosi, zgromadziły się wokół Józii.

– A jaką minę miała pani Rozalia? – dopytywała szeptem Kazia. – Marscyła brwi?

Nad wyraz skrupulatna Józia przymknęła oczy i przez chwilę usiłowała przypomnieć sobie wyraz twarzy Stalickiej.

– Marszczyła – pokiwała głową.

Wszystkie spojrzały na Zosię, która nucąc coś cieniutkim głosikiem, nadal lepiła pierożki i wcale nie zwracała uwagi na panujące w kuchni nastroje.

– A jaki miała głos? – zapytała przejęta Wiesia. – Srogi?

– Srogi – potwierdziła natychmiast Józia.

Kazia przeżegnała się szeroko i zerknęła na Anielę. Ta zaraz poszperała w kredensie, wydobyla dwa ostatnie rogaliki z masą orzechową i zawinęła je w serwetkę.

– Weź, aniołku – powiedziała żarliwie. – Zjesz sobie później. A chwalić się babci Rozalii nie musisz, żeś przed obiadem dostała deser.

Kalendarz domowy i gospodarski na każdy kolejny rok był wyznacznikiem uporządkowania i systematyczności Rozalii. Zwłaszcza zawarta w nim tabela do regulowania zegarów miała dla niej znaczenie. Ustawianie wszystkich domowych czasomierzy podług kompasu, gdy ten wskazywał południe, uważała za swój obowiązek. Była nadzwyczaj punktualna, a ponieważ terminowości wymagała również od innych, nie mogła dopuścić do tego, by każdy zegar wskazywał inną godzinę. Dokonawszy codziennego rytuału, uspokojona zasiadła przy swoim biurku i w oczekiwaniu na Zosię przeglądała najnowsze pisma kobiece. Ilustracje anonsowały świeży styl w modzie. Pani Stalicka z aprobatą przyjęła pomysł pozbycia się wszechobecnej pstrokaczyny i absurdalnych, bufiastych rękawów. Jej wątpliwości wzbudziły natomiast przedziwne kapelusze zasłaniające po bokach twarz. Aż uśmiechnęła się na myśl o tłustych policzkach Godziewiczowej, które wyleją się obficie spod takiego czepka.

Czynność tę przerwał odgłos drobnych, pospiesznych kroczków dobiegający z korytarza. Rozalia przybrała chłodny wyraz twarzy i przesiadła się na fotel ustawiony przodem do drzwi, które krótkim i zdecydowanym pchnięciem otworzyła Zosia. Stała uśmiechnięta, w blad różowej sukience, spod której wystawały obszyte misterną koronką, białe pantalone. Wyglądałyby uroczo, lecz ponieważ Edward kazał szyć jej



sukienki w manufakturach i z nie najtańszych materiałów, Malwina, chroniąc je przed zabrudzeniem, narzucała na nie obszyte falbanką fartuszki. Ten, w którym Zosia paradowała dzisiaj, miał pojemną kieszeń, oczywiście wypchaną jakimiś znanymi tylko Zosi skarbami.

– Wejź, dziecko – zaprosiła ją wyniośle, chociaż dziewczynka wcale na to zaproszenie nie czekała. Przekroczyła śmiało próg i ciekawie rozejrzała się po wnętrzu. Bywała tu czasem z tatkiem, jednak wystrój tego pomieszczenia niezmiennie ją fascynował. Zwłaszcza drewniane pudełko wypełnione kolorowymi niciami i koronkami przykuwało uwagę. I ten portret nieznanego dziadka, który świdrował przestrzeń uważnym, przenikliwym spojrzeniem.

Rozalii nie spodobała się ta śmiałość. Uważała, że jej wnuczka jest krnąbrna i z każdym dniem bardziej zuchwała. Wszystko przez to, że każdy ją rozpieszcza, nawet Edward nie ma twardej ręki.

– Usiądź, Zosiu – wskazała gestem krzesło stojące naprzeciw fotela.

Dziewczynka obrzuciła je niełaskawym wzrokiem i po krótkim wahaniu niechętnie usiadła. Gdyby to od niej zależało, wybrałaby brzeg wysokiego łóżka, na którego sprężynach można podskakiwać lub przynajmniej wymachiwać nogami. Krzesła z reguły uznawała za nudne.

Rozalia spoglądała karcąco. W głębi serca przepełniona była miłością do swoich wnucząt. Nie chciała jednak okazywać tych uczuć. Uważała, że zarówno Zosię, jak i Stasia należy sobie bezwzględnie podporządkować, bo jedynie we wczesnych latach można właściwie uformować ich temperament.

– Czy zechcesz mi powiedzieć, co stało się z korzeniem przestępu, który położyłam w mojej apteczce? – zapytała surowo, nie spuszczać z Zosi badawczych oczu.

Dziewczynka rozejrzała się ponownie po pokoju, jakby w jego kątach szukała odpowiedzi na to pytanie. W kieszeni fartuszka kuśły orzechowe rogaliki, chciałyby więc mieć tę rozmowę za sobą.

– Czy słyszałaś, o co pytam? – niecierpliwiła się Rozalia.

– Tak, babciu – ochoczo potwierdziła Zosia. Jednocześnie umknęła wzrokiem w stronę uchylonego okna, skąd dobiegał jazgotliwy świergot wróbli.

– No więc? Gdzie ten korzeń?

Dziewczynka pochłonięta wrzaskiem wróbli, nadal nie odpowiadała. Według Rozalii była to jawna impertynencja.

– Pytam po raz ostatni – podniosła głos. – Powiesz mi czy nie?

– Nie – odparła szczerze, po czym zanurzyła rękę w kieszeń fartuszka i uskubała kawałek rogalika z orzechowym nadzieniem. Zjadłaby, ale nie mogła przecież zdradzić Anieli.

– Ach, więc nie przyznasz się, że go zabrałaś? – zapytała chłodno Rozalia. – Wykorzystałaś moment, gdy szafa była otwarta i zabrałaś korzeń bez pozwolenia.

Zosia, miętosząc w kieszeni rogalik, zaprzeczyła ruchem głowy.

– Dlaczego nie mówisz prawdy? – ostro domagała się odpowiedzi Rozalia.

– Bo ja nie wiem, babciu, gdzie on jest – zaszczębiotała niewinnie. Nic jej ten korzeń nie obchodził. Marzyła o spróbowaniu choćby kęsa specjału Anieli.

– Widzę, że kłamiesz – zawyrokowała Rozalia. – To bardzo brzydki zwyczaj. Jeśli się nie przyznasz, będę zmuszona cię ukarać.

Dziewczynka zmarszczyła brewki, wbiła wzrok w twarz babci i uporczywie milczała.

– No tak – westchnęła Rozalia. – Takiej nieustępliwości należało się po tobie spodziewać. Jesteś nieodrodną wnuczką twojego dziadka – zerknęła z pretensją na portret męża, jakby spodziewała się, że wyjdzie z drewnianej ramy i w cudowny sposób zmieni charakter wnuczki.

Podobnie uparty był Staś i choć Rozalia namawiała Edwarda do stosowania wobec syna kar cielesnych, ten twierdził, że obejdzie się bez różgi i cierpliwie tłumaczył dziecku, gdzie popełnia błędy. Raz tylko nie wytrzymał i porządnie oćwiczył Stasia dyscypliną. Było to wtedy, gdy naraził Antoninę na silne przeziębienie. Do dziś nie potrafi wybaczyć Stasiowi, a przypuszczał, że to właśnie przez tamto zapalenie płuc jego żona nabawiła się gruźlicy.

Dzieci Edwarda nie dostawały w skórę i gdyby nie brutalność carskich żandarmów, nie widziałyby przemocy.

Jednak autorzy poradników o wychowaniu, których orędownikiem był również miejscowy ksiądz, popierali surowe wychowanie, a pobłażliwość wobec dziecięcych przewinień i figli uważali za szkodliwą. Ze zdaniem księdza Rozalia liczyła się najbardziej. Wstydziłaby się przed nim, gdyby Zosia wyrosła na arogancką i zuchwałą pannę. Ta myśl była nie do zniesienia i przesądziła o jej decyzji. Z dna szafy wydobyła dyscyplinę, którą niegdyś smagała niesforne dzieci parobków, przełożyła Zosię przez kolano i wymierzyła jej trzy solidne cięgi.

Zaskoczona i przerażona dziewczynka nawet nie pisnęła. Wyrwała się z rąk babci i z poczuciem niewyobrażalnej krzywdy wybiegła z jej pokoju. Drzwi zostawiła otwarte, więc Malwina, która pod nimi czekała, zdążyła dostrzec narzędzie kary w dłoni pani Stalickiej, a na podłodze serwetkę z pokruszonymi rogalikami, których Zosia nie zdążyła spróbować, a które zapewne wypadły z jej fartuszka. Zacisnęła zęby i z błyszczącymi z gniewu oczami podążyła za swoją podopieczną.

Nigdzie jej jednak nie znalazła.

Początkowo szukała jej po wszystkich zakamarkach domu. Potem poprosiła o pomoc Kajetana, który wraz z nią przetrząsał zabudowania gospodarcze i sad. Kiedy nakrywano do podwieczorku, a poszukiwania okazały się nieskuteczne, Malwina podniosła alarm.

Zmierzchało, gdy niemal cała służba z Edwardem i Stasiem na czele, w towarzystwie psów, rozpierzchnęła się po okolicy. Przytłoczona wyrzutami sumienia Rozalia chodziła od okna do okna, odprowadzała wzrokiem oddalające się sylwetki, mamrotała litanie i pacierze do świętych w intencji odnalezienia Zosi. Zdenerwowanie blokowało jej oddech, serce kołatało mocno i nierówno. W kuchni, dokąd udała się po zioła uspokajające, krzątała się rozeźlona Aniela. Na panią Stalicką ledwie łypnęła zaczerwienionymi od płaczu oczami. Rozalia zrozumiała, że całą służbę zwróciła przeciw sobie. Z pewnością również Edwarda, chociaż znając go, będzie powściągliwy i przemilczy pretensje do matki.

Przygotowała mieszankę ziół i ciężko opadła na krzesło. Na kuchni cichutko gwarzył czajnik i Rozalia pomyślała, że jedynie ten, zdawałoby się, bezduszny przedmiot wprowadza odrobinę ukojenia. Pod ławą drzemała zwinięta w kłębek Inana. Koci spokój i odprężające mruczenie dawało nadzieję, że z jej panią nie dzieje się nic złego.

Słońce dawno ukryło się za horyzontem. W mrocznej kuchni pociemniało, więc Aniela zapaliła łożówki. Zapewniały światło, lecz skwierczały i śmierdziały jak zawsze, jednak kipiąca gniewem kucharka nie zamierzała nic z tym zrobić. Może nawet chciałaby pozbyć się stąd pani Stalickiej.

Mimo smrodu i ciężkiej atmosfery Rozalia czuła się tu lepiej niż we własnym pokoju, gdzie prócz nieprzyjemnego wspomnienia i dokuczliwej

samotności czekała ją jeszcze trwoga.

Zapadł zmrok.

Aniela skończyła szykować kolację, przykryła potrawy, żeby nie obsychały, uprzątnęła kuchnię i w braku dalszej roboty usiadła na ławie z różańcem. Przesuwała w palcach drewniane paciorki, mrużąc pod nosem zdrowaśki.

Zegar w holu wybijał dziesiątą. Aniela z nisko opuszczoną głową przysnęła na ławie, oddychała równo, posapując z cicha. Inana przeciągnęła się z cieniutkim miauknięciem, wyszła spod ławy, powłóczyłym krokiem, na dumnych łapach, ruszyła do kąta za kredensem, gdzie czekała na nią pełna miska. Pod kuchennym piecem bezgłośnie dogasał ogień. Wokół łojówki kręciła się ćma. Poza tym bezruch.

Tylko serce Rozalii kołatało niespokojnie. Z pogłosem najdrobniejszego dźwięku gorąca krew uderzała jej do głowy, budowała lęk. W piersiach gniotło boleśnie. Niewiele pomógł ziołowy napar, gdy w duszy narastała trwoga. Trudno znaleźć miejsce i usiedzieć spokojnie, jeśli w czaszce szumi i dudni, gdy wzmagą się strach i histeria, gdy w płucach brakuje powietrza.

Tak bardzo chciała wynagrodzić Zosi krzywdę, której dziewczynka doznała. Niech tylko się znajdzie, niech tylko wróci do domu, a otrzyma... Tak, otrzyma jakiś drobiazg z kuferka babki Walerii. Broszkę albo zapinkę do włosów! – planowała Rozalia. Poczuli się nieco lepiej, kiedy dała sobie tę obietnicę. Sięgnęła do kieszeni, a po chwili pęk kluczy wypełnił jej dłoń. Oddychała ciężko. Lewą ręką ścisnęła poręcz, w prawej niosła śmierdzącą łojówkę, gdy schodziła powoli po schodkach do piwnicy.

Po chwili jej ręce zatrzęsły się nerwowo, a pot zrosił plecy i czoło. Już pierwszy klucz, którym starała się otworzyć najlepiej chronione drzwi, okazał się nieposłuszny i nie chciał przekreślić się w zamku. Jednak kolejne odkrycie było jak mocny cios w żołądek. Przyłgnęła do zimnego

piwnicznego muru i patrzyła z niedowierzaniem. Komórka była otwarta, a schowek pusty.

Przytrzymując się ściany, ledwo wdrapała się na górę, dotarła do sieni, otworzyła drzwi wiodące na ganek. Dopiero tutaj zaczerpnęła haust rześkiego powietrza. Nie chciała myśleć. O zniknięciu Zosi i o zniknięciu klejnotów babki Walerii, bo zniknięcie korzenia, za które ukarała wnuczkę, nie miało teraz żadnego znaczenia. Boże, jak bardzo nie chciała o tym wszystkim wiedzieć!

Przez chwilę poddawała się orzeźwiającym powiewom wiatru, wdychała nasycone mżawką powietrze. Dalekie szczekanie psów docierało do niej jak przez mgłę. Ból w piersiach nasilał się, zaostrzał, nie dawał spokoju. W oczach ciemniało.

Coś ciepłego i miękkiego przypadło do niej, gdy osuwała się na wilgotny kamień ganku. Krótki, płytki oddech nie dostarczył już tyle sił, by zmusić oczy do patrzenia.

– Babciu Rozalio – usłyszała zdławiony głos Zosi. – Przepraszam... Ale ja naprawdę nie zabrałam tego korzenia...

**J**a nie zabrałam korzenia, babciu – Zosia przerzucała szeptane słowa przez szparę w drzwiach żałobnego pokoju, gdzie Olechna pochylała się nad woskową twarzą Rozalii, krzątała się wokół solidnej, dębowej trumny.

– Ot, widzisz – utyskiwała pod nosem babina, przeczesując przyprószone siwizną włosy umarłej. – Mogłaś sobie jeszcze pożyć, bidulko. A tak przyszło mi i ciebie na tamtą stronę wyprawić. No, idź, idź... Ścieżki nam przecieraj.

Łzy dziewczynki już wyschły, lecz w sercu pozostało poczucie winy, że to ją właśnie babcia posądziła o zły czyn, przez nią się zdenerwowała i przez nią umarła. Żadne tłumaczenie ojca, Malwiny czy Anieli nie pomagało Zosi wyzbyć się odpowiedzialności za jej śmierć i żalu, że nigdy się przed nią nie wytłumaczy, nie oczyści z niesłusznego oskarżenia. Nie mogła sobie darować, że kiedy wszyscy jej szukali, nawoływali, a babci pękało ze strapienia serce, ona dzieliła budę z podwórzowym Burkiem i przepełniona buntem, w poczuciu krzywdy, nie zamierzała się ujawniać. Zakopana w słomie, wytrwała kilka długich godzin. Dopiero widok babci słaniającej się na ganku wzruszył jej serce, przeraził, skłonił do opuszczenia kryjówki, przeprosin i wybaczenia.

– A mówiłam, o krzykwę trzeba się zatroszczyć, w mleku kąpać i ciepło owijać – popłakiwała po kątach Wiesia. – Ostrzegałam, że coś złego się za nią przywlecze!

– Ossegałam, ossegałam – przedrzeźniała ją Kazia. – Tseba było samej się zatrossyś. Teraz już psepadało, bo serse pani Rozalii nie wytsymało.

– To wszystko przez Imrego. Gdyby nie wykradł z apteki krzykwy i nie zakopał jej na cmentarzu, ta wywłoka nie odebrałaby naszej pani rozumu i nie pociągnęłaby za sobą do ziemi! – oburzała się Wiesia.

– So ty mówis? Pani Rozalia nie strasiła rozumu! – zaprotestowała zgorszona Kazia.

– Co ty tam wiesz – zachnęła się Maryna. – Musiała stracić rozum, inaczej nie stłukłaby Zosi. Nigdy tak nie robiła – rzekła z wyższością, bo to przecież ona usługiwała pani Rozalii, więc znała ją najlepiej.

– Kto wie, czy jedna śmierć krzykwie wystarczy. Może jeszcze kogoś zabrać – westchnęła Józia.

– Kogo? – wytrzeszczyła oczy Kazia.

– A choćby ciebie! – zawołała przez łzy Wiesia.

– Mnie? – złapała się pod boki Kazia. – A może ksykwa woli...

– Przestańcie – przerwała smutno Aniela, która wyrzucała sobie z kolei, że tamtego wieczoru w złości łójówki zapaliła, a nie świece, choć dobrze wiedziała, że pani Stalicka tego smrodu nie znosi. Ach, nie pamiętała ostrzeżenia matki, że należy godzić się na ludzkie zachcianki, żeby potem ich dusze nie nawiedzały w snach i nie domagały się spełnienia kaprysów.

– Pani Rozalia jeszcze w domu. Po co ma słuchać kłótni?

Wiesia zamilkła, przeżegnała się dyskretnie i ze zdwojoną energią wzięła się za ubijanie masła. Jutro, zaraz po pochówku przyjdą żałobnicy, pani Rozalia nie wypuściłaby nikogo bez poczęstunku.



Zarządzić wszystkim musiała Aniela, przecież pan Edward nie znał się na tym, zresztą nie miał do tego głowy.

Gabinet Stalickiego tonął w kłębach dymu. Od tamtego wieczoru, gdy zdruzgotany zaginięciem Zosi wracał do domu, a Aniela z lamentem wybiegła aż na drogę, nie potrafił znaleźć sobie miejsca i nie rozstawał się z fajką. Radość z widoku całej i zdrowej córki wchłonęła bezdenna rozpacz, jaka ogarnęła go na wieść o tragedii.

Matkę zastał na podłodze w holu, bo jedynie tam zdołała zaciągnąć bezwładne ciało, kucharka.

– Panie Edwardzie! – łkała, gdy on, znieruchomiały, patrzył na stygnącą twarz matki i nie mógł uwierzyć własnym oczom. – Ja nie wiem, co się stało! Nie wiem! Pani Rozalia siedziała sobie w aptecznym kąciku, piła zioła, a ja odmawiałam różaniec w intencji naszej Zosi. A potem, Jezusie... Poczulałam, że ktoś szarpie mnie za ramię. Patrzę, a to Zosia! Tak się ucieszyłam, panie Edwardzie! Nie zdążyłam jeszcze Różańcowej Matce podziękować, kiedy Zosia chwyciła mnie za rękę... O, tak chwyciła – Aniela ścisnęła przedramię Edwarda. – Przepraszam, panie Edwardzie, chciałam tylko pokazać – zreflektowała się. – Chwyciła mnie i ciągnie na ganek... Patrzę, a tam nasza pani na tym mokrym, zimnym kamieniu skulona leży... Jezusie miłosierny, serce podeszło mi do gardła! Po policzkach panią klepię, za ramiona szarpie, wołam: pani Rozalio, na miłość boską, zaziębi się pani... A ona nic, całkiem bez ducha leży! Boże kochany, całkiem bez ducha... Co miałam robić, kiedy ona tak na tym deszczu... Zaciągnęłam do holu, tu przynajmniej jej ciepło – szlochała. – Biedna Zosia, stała taka przerażona! Patrzę, oczyska wielkie, nic nie mówi, tylko broda jej się mocno trzęsie... Jak do przytomności wróciła, upadła na kolana przy pani Rozalii, po włosach, po twarzy zaczęła ją głaskać,

całować, i nic, tylko w kółko: Babciu Rozalio, przepraszam... Babciu Rozalio, przepraszam... Serce się kroi, proszę pana!

To Malwina kazała Wacławowi i Alojzemu przenieść Rozalię do jej pokoju. Ona zabroniła służbie rozprawiać o tym, co się stało, żeby nie ranić pana Edwarda i dzieci. Ona też następnego dnia z samego rana posłała Poldka z depezą do pani Eulalii, a Anatolowi kazała zawiadomić panią Felicję z Borowic, Godziewiczową z Sępina i księdza proboszcza z miasteczka. Kajetana zaś wysłała po Olechnę i do stolarza, obstalować trumnę. A Piotra Kosteckiego na czas pochówku i pierwszych dni żałoby odesłała na urlop. Nie pytała o nic i nie meldowała Edwardowi o niczym. Postępowała tak, jak podpowiedziało jej sumienie.

Odrętwiała służba kręciła się po korytarzach, po pokojach, podejmowała mechanicznie swoje zajęcia, ale co rusz ktoś przystawał, zadumał się i łzy otarł. Przyłipie nie było już takie samo.

Śmierć jest nieodwracalna. Zosia nie potrafiła tego zrozumieć i dopóki otwarta trumna stała w żałobnym pokoju, pytała szeptem czuwającego przy matce Edwarda, kiedy babcia wreszcie się obudzi. Felicja, która w asyście męża, synów i Małgosi przybyła pożegnać siostrę, zaciskała usta w wążutką kreskę i starała się nie zwracać na małą uwagi, co stanowiło dla niej ciężką próbę.

Staś chodził oszołomiony. Uważał dotąd, że umieranie dotyczy jedynie kogoś, kto wcześniej chorował jak jego matka, kto został zabity jak wuj Zygmunt lub był naprawdę stary jak babka Waleria. Był przekonany, że babcia Rozalia nie pasowała do żadnego z tych prawideł i obserwował w zdumieniu i żalu całe to smutne zamieszanie.

Tylko Aniela domyślała się dolegliwości pani Stalickiej. Rozalia nie skarżyła się nigdy, ale kucharka nie raz była świadkiem, gdy ta nagle

zwalniała kroku, chwytła się za serce, a potem piła te swoje zioła w aptecznym kąciku. Z kolei Maryna czasem słyszała, jak pani modliła się półgłosem o więcej czasu na Ziemi. Żeby chociaż te Edwardowe dzieci odchowić, żeby Zosię do życia przyuczyć...

Eulalia przyjechała najszybciej, jak mogła, by zdążyć pokłonić się kuzynce i westchnąć za jej duszą do Henryka. Wierzyła, że tam, po drugiej stronie, jej poczciwy mąż szykuje miejsce dla bliskich i znajomych. Kiedy jednak ujrzała swoją ukochaną Rozalię w trumnie, dostała ataku hysterii. Nie mogła przestać płakać, a na nudności, zawroty głowy i bóle brzucha nie pomagały żadne domowe specyfiki i trzeba było posyłać po doktora.

Zosia deptała po piętach Malwinie albo przesiadywała wśród kucharek, gdzie czuła się najbezpieczniej. Nie mogła otrząsnąć się ze smutku i osamotnienia. Wieczorami ogarniał ją lęk, że śmierć, jak ta cmentarna wiedźma, zakradnie się do dworku, wlezie przez okno, zabierze tatkę i Stasia, potem jeszcze Malwinę, Anielę i resztę służby, a ją zostawi samą, samiutką na tym świecie. Czasem miała wrażenie, że widzi sylwetkę babci lub słyszy jej kroki. To czuła zimny dotyk, to znów dreszcz od chłodnego powiewu powietrza, a zapach ziół, który otaczał Rozalię, towarzyszył jej teraz nieustannie. Wciąż ogarniał ją niepokój, a z nim niewyobrażalna tęsknota za babcią. I ból, bo znów straciła kogoś kochanego.

Imre, z którym jeszcze niedawno spędzała czas na zabawach, unikał jej teraz i chadzał własnymi ścieżkami. Ciężko mu było na sercu, bo to przecież on wykradł korzeń z apteczki pani Rozalii.

Zaraz po pogrzebie Felicja upomniała się o pamiątki po siostrze, lecz Godziewiczowa, która szczerze opłakiwała Rozalię i tak samo szczerze nie lubiła Felicji, rozkrzyżowała pulchne ramiona przed wejściem do pokoju zmarłej.

– Sześć tygodni nie minęło – oświadczyła w taki sposób, że przysłuchującym się aż ciarki przeszły. – Nieboszczka w tym czasie może jeszcze wrócić i korzystać ze swoich rzeczy. Nie pozwolę niczego zabierać.

Edward, obezwładniony gwałtownym wstrząsem, znalazł się nagle poza czasem, poza rzeczywistością, nawet poza bólem, bo przestał przyjmować stratę matki do wiadomości. Najchętniej przebywał w swoim gabinecie, tutaj poczucie krzywdy prawie nie docierało, więc było najmniej dotkliwie. Ślęczenie nad codziennymi rachunkami w przesiąkniętych znajomym zapachem ścianach, wśród oswojonych sprzętów, pozwalało właściwie zapomnieć o tym, co działo się za drzwiami.

Tymczasem za progiem czaiła się Wielkanoc. Właściwie nie tyle czaiła się, lecz natarczywie wyglądała z kart kalendarza, wybrzmiewała z odległego bicia dzwonów wzywających na wielkopostne nabożeństwa, wyzierała z nieśmiałości zielenienia wiosennego, z miękkości wierzbowych kotków i złocistości forsycji.

Aniela wolałaby nie przeszkadzać panu Edwardowi w przeżywaniu żałoby i nie zawracać mu głowy przyziemnymi sprawami, nie wszystko jednak mogło się obyć bez jego udziału, zwłaszcza przygotowanie najważniejszych świąt w roku. Zebrała się w sobie, włożyła świeży, sztywno krochmalony fartuszek i udała się do gabinetu.

Skupiony na podatkowych kalkulacjach Edward, nie oderwawszy oczu od dokumentów, ledwo burknął zaproszenie. Aniela wsunęła się nieśmiało do środka i pozostała przy drzwiach.

– No i proszę – zżymał się tymczasem Stalicki. – Podymne znów każą płacić, a przecież w marcu już raz płaciłem... Co tam, moja Anielo? – Dostrzegł wreszcie kucharkę, a ponieważ stała w progu speszona i on nieco się stropił.

– Panie Edwardzie... – zaczęła. Ciężko jej było ubrać w słowa to, co naprawdę cisnęło się na usta. Gdyby mogła, wybuchłaby przed nim całym zasobem uczuć ledwie mieszczących się w obolałym sercu. – Gdyby nasza pani Rozalia tu była, zaczynałoby się ciasto na wielkanocne baby, biłoby się prosiaka, piekłoby rozmaite mięsiwa... Dziewczęta pytają, czy można już krasić jajka... Ja rozumiem, że teraz smutno w Przylipiu, ale... – bąkała. – Nie wiem, czy w ogóle jaka Wielkanoc tu będzie... Myślałam, że choć pani Eulalia na święta zostanie, ale i ona pojechała sobie. Znów pani Godziewiczowa do Bobrowej, do tego ciamajdy, Konickiego, zaproszona. A pani Felicja już na pogrzebie naszej pani zapowiedziała, że na święta pojedą wszyscy na zaręczyny, bo Mateusz... Nie, nie Mateusz, tylko Marek... A może Mateusz... będzie się żenić... Pani Rozalii zabrakło, to i cała rodzina się rozsypała – chlipnęła.

Edward wolałby tego nie słuchać, nie podejmować decyzji, których ustanawianie w tym domu zawsze należało do kobiet. Wtargnięcie Anieli do jego azyłu z takimi sprawami skonsternowało go i odebrało pewność siebie.

– Czy... – potarł w zakłopotaniu czoło. – Czy bez tych wszystkich ludzi, których tu Aniela wymieniła, to znaczy bez gości, nie może być w Przylipiu świąt? Ja, dzieci i wy wszyscy... To mało? Nie damy rady jednemu prosiakowi? – Uśmiechnął się niepewnie. – Może niech Aniela z pomocnicami przygotuje trochę mniej jedzenia niż zawsze...

– Nie o to chodzi, panie Edwardzie. – Oczy Anieli znów zaszklily się podejrzanie. – Nie o gości wcale chodzi, tylko... Tylko... – jąkała się.

– To o co? Nie rozumiem – Edward mówił łagodnie, nie omieszkał jednak zerkać dyskretnie w kierunku drzwi, wyraźnie sugerując, że kucharka powinna już wyjść.

– O słowo, panie Edwardzie, takie pozwolenie i zachętę do pracy... Żebyśmy wszyscy wiedzieli, co mamy robić. Pani Rozalia przychodziła do kuchni i nam przed taką robotą błogosławiła... – Głos Aniela załamał się, a z oczu popłynęły łzy.

– A... Błogosławiła... – zasepił się Edward. Nie miał pojęcia, co ma z tym wszystkim zrobić. – Mam więc przyjść do kuchni i pobłogosławić?

– Nie musi pan – załkała Aniela. – Jakoś się obejdziemy. Wystarczy, że pan wyda zapasy ze spiżarni.

– A, zapasy...

– No, tak. Pani Rozalia miała wszystkie klucze – oznajmiła Aniela, pociągając nosem. – Teraz nie ma pani Rozalii ani pani Antoniny...

– To ja Aniela dam te klucze – rzekł wspaniałomyślnie Edward.

– A ja nie chcę! – Przestraszyła się Aniela i zaczęła szybko ocierać łzy fartuchem. – Nie chcę! To duża odpowiedzialność takie klucze. Pani Rozalia nigdy by na to nie pozwoliła. Klucze to sprawa jaśnie państwa, a nie służby. Skoro nie ma starszej pani Stalickiej ani młodszej pani Stalickiej, a Zosia za mała...

– Rozumiem – przerwał jej Edward. – Pomyślę, co z tym zrobić. Niech Aniela wraca do kuchni, a ja zaraz przyjdę... – mówił nieskładnie. – I te baby wielkanocne czy co tam jeszcze... pobłogosławię.

Aniela zamknęła szczelnie drzwi kuchni, po czym kazała Wiesi i Kazi podeprzeć je ławą, żeby nikt nie ważył się wejść.

– Będzie ciasto drożdżowe? – domyśliła się Wiesia i klasnęła w ręce. – Będą święta!

– Sicho bąż – skarciła ją Kazia. – Pani Rozalia na smentazu, nie wypada się siesyś.

– Nie mędrkuj, Kazia – wtrąciła się Aniela. – Pani Rozalia nie chciałaby wcale, żebyśmy po niej płakali. Lepiej mąkę przesiej przez sito, patrz tylko, żeby sito było gęste, a mąkę najbielszą weź, pszenną! A ty w piecu dobrze rozpal, musi być ciepło w kuchni... – zwróciła się do Wiesi. – Kto to znowu skrobie do drzwi? – zatrzymała się na środku kuchni i zaczęła nasłuchiwać.

– To Zosia – odezwał się cienki głosik. – Proszę mnie wpuścić...

Kazia ruszyła od razu, ale zawahała się z dłonią na klamce. Może Zosia nie powinna teraz przeszkadzać? Ciasto drożdżowe potrzebuje spokoju.

– No? – burknęła Aniela. – Czemu nie otwierasz? Nie pamiętasz, jak pani Rozalia nakazała wszystkiego Zosię uczyć?

– Otwieram pesiesz – wysapała Kazia, mocując się z ciężką, dębową ławą.

– Dobrze, że jesteś – Aniela wskazała Zosi krzesło przy stole. – Ręce masz czyste?

Zosia wystawiła przed siebie dłonie i obejrzała je ze sceptyczną minką.

– Chodź tu, poleję ci wodą. Trzeba ręce myć, jak się chce w kuchni pomagać – zrzędziła dobrodusznie kucharka. – A teraz siadaj, będziesz rozbijała jaja. Białko osobno i żółtko osobno. Potrafisz?

– Potrafię!

– No, dobrze. Tylko skorupek nie nawrzucaj!

Sto dwadzieścia żółtek trafiło do makutry, do której Kazia zaraz dodała rozpuszczony w wódce cukier i szafran.

W tym czasie buchnął wesoło ogień z paleniska. Podekscytowana Wiesia nawet gazet dziś nie czytała przed rzuceniem ich na podpałkę.

– Ucieraj – przykazała Zosi Aniela. – A jak się zmęczysz, to powiedz.

– Nie zmęczone się – zapewniła Zosia, ale od razu wysunęła z wysiłku koniuszek języka, więc Aniela domyśliła się, że bez pomocy się nie obejdzie.

– Chodź, Wiesia, zmiel migdały. A ty, Kazia, przebierz rodzyнки i utłucz w moździerzku wanilię. Tylko drobno!

– Już, już! – cieszyła się Kazia. – Zawse tłuć drobno. Jak pani Rozalia zyla...

– Kazia – ostrzegła ją Aniela surowym tonem i zerknęła na Zosię. Nie trzeba dziecku wciąż o tej śmierci przypominać. – Cicho bądź! – syknęła, po czym zabrała się za przygotowanie zaczynu na drożdżach.

Ciasto zagniała Wiesia, bo najwięcej miała krzepy. Aniela w tym czasie szykowała lniane obrusy do nakrycia form, żeby żadnej baby nie zaziębić, bo nie wyrosnie i dostanie zakalca. Kazi kazała dokładać drewno do ognia. Zosia natomiast grubą derką obtykała szczeliny w oknach. W kuchni gorąco było jak w piekle.

Piec do chleba był już gotowy na przyjęcie wyrosniętych bab, które Aniela ostrożnie, na drewnianej łopacie wsuwała do jego rozgrzanej paszczy.

– Żeby nie przyrumieniły się za dużo... Żeby nie usiadły – zaklinała Wiesia tak dramatycznym i jęklwym głosem, że Zosia musiała uznać taki przypadek za największą kuchenną hańbę.

Po wyjęciu bab z pieca Wiesia i Kazia ułożyły je ostrożnie na ławie i nakazały ciszę, żeby gwałtowniejszy dźwięk im nie zaszkodził, żeby nie opadły.

Ciasta były piękne, puszyste, mimo to Kazia znów załamała ręce.

– A kto je będzie lukrem ozdobił, kiedy pani Rozalii już...

– Kazia – zgnęła ją Aniela. – Mówiłam, cicho bądź!



Gdyby nie te baby i bukietki fiołków, o które postarała się Malwina do przystrojenia stołu, Wielkanoc byłaby bardzo smutnym wydarzeniem. Tak samo smutnym jak Boże Narodzenie, kiedy to żandarmi zabrali Antoninę.

Zosia kiedyś uwielbiała święta. Tego pechowego roku znienawidziła je.

**K**ajetan o nic nie pytał. Z pierwszym powiewem wiosny ponacinał jak co roku brzozy, poustawiał korytka, żeby miał do czego spływać sok, zdjął podwójne okna i wyniósł je do szopy, później usunął stary mech i słomę, którymi na zimę ogacał ściany, a na koniec pomalował pokostem drzwi i okiennice. Każdego roku tak robił, nie widział więc powodu dla którego coś miałyby się zmienić po śmierci pani Rozalii. Poldek wyprowadził konie na pastwisko i starannie wyczyścił stajnię, Cesia zadbała, by kury zasiadły w gniazdach, Aniela z pomocnicami przejrzały zapasy w spiżarniach, wyrzuciły nadpsute przetwory i oczyściły warzywa. Józia, Maryna i Alojzy zajęli się odświeżaniem pokoi, wyczyścili dywany, przesypali je zielem bagna i lawendy i zanieśli na strych. Wacław natomiast, jak zwykle po świętach, całe dni spędzał na liczeniu i czyszczeniu sreber.

Niby każdy wiedział, co należy do jego obowiązków, niby wszyscy wykonywali swoją pracę, a jednak potrzebny był ktoś, kto kontrolowałaby jej jakość i wyznaczał terminy. Przyłipie potrzebowało gospodyni, a Edward dobrej, przyjacielskiej rady.

Dlatego zaraz po świętach, gdy uporał się z doglądaniem wczesnych prac polowych, kazał Poldkowi osiodłać Nimfę i drogą na przełaj udał się z wizytą do Danickich. Nie liczył wprawdzie w tej kwestii na Antoniego,

lecz wierzył, że jego żona, jako znakomita gospodyni, znajdzie dobre rozwiązanie.

Zastał Helenę w salonie przy pianinie. Długą i cienką wierzbową witką ćwiczyła najmłodszą córkę układania palców na klawiaturze. Zaledwie jednak odwróciła od małej wzrok, ta czmychnęła czym prędzej, nie oglądając się za siebie.

– Och, Edwardzie! Cóż za niespodzianka! – zawołała, uśmiechając się nieszczercze, na dzisiejsze popołudnie miała bowiem inne plany niż bawienie gościa. – Antoni nie wrócił jeszcze z miasteczka, a pojechał tam w sprawie... Mówił ci może?

– Nie, nic nie wiem, dawno widziałem się z nim.

– Ach, więc nie wiesz nic o jego kłopotach. Siadaj – wskazała mu kanapę, sama zaś przysiadła na krześle wyściełanym aksamitem.

Edward usiadł i niecierpliwie rozejrzał się po salonie. Skoro nie ma Antoniego, rad by załatwić swoją sprawę i wyjść.

– Otóż, Edwardzie – zaczęła Helena. – Całkiem niedawno jeden z parobków zakradł się w nocy i wyniósł z naszego spichlerza worek mąki. Zarzucił go na plecy i poszedł do swojej chałupy jak z własnym. Traf chciał, spotkał naszego rządcę, ojca Malwiny, znasz go przecież...

– Znam.

– No właśnie. Rządca chciał mu ten worek odebrać, wtedy tamten parobek, rozumiesz, strasznie go pobił i zostawił na drodze. Rano księża gospodyni szła tu do mnie odebrać ornat, który zaraz po niedzieli skończyłam haftować. Po mszy przywołałam ją do naszej ławki w kościele i powiedziałam, żeby przyszła, bo we wtorek będzie skończony. Ach, jakże ona się ucieszyła! Bo stary ornat naszego księdza dobrodzieja już znoszony, więc gospodyni powiedziała, że w podziękowaniu poda mi przepis na ciasto dla mojej kucharki, bo w ubiegłym tygodniu naszej kucharce...

– A co z tym parobkiem? – przerwał Edward i zerknął z nadzieją na drzwi, w których spodziewał się ujrzeć Antoniego.

– Z jakim parobkiem? – zdziwiła się Helena. – A, z tym! – przypomniała sobie. – Z nim nic! Mąkę musiał oddać. Ale nasz rządca jeszcze rany liże, to znaczy, chodzić mu trudno, bo ten parobek zdrowo mu kości porachował. Nasza kucharka codziennie musi...

– I Antoni do miasteczka pojechał w sprawie tego parobka?

– Tak. Skargę odwołać.

– Chyba złożyć.

– Nie złożyć, tylko odwołać, bo skargę to złożył ten parobek. Na Antoniego. Wyobraź sobie drogi Edwardzie... Ale może herbaty się napijesz? – sięgnęła po dzwonek spoczywający na stoliku.

– Nie, nie trzeba – powstrzymał ją. – Wpadłem nie na długo, w pewnej trapiącej mnie sprawie. I to nie do Antoniego, a do ciebie, droga Heleno – pochylił się i z szacunkiem ucałował jej dłoń.

– Och, rozumiem, mój biedny Edwardzie. Na pewno nie jest ci łatwo, gdy zabrakło najpierw żony, a teraz znów naszej kochanej Rozalii... O czym to ja mówiłam... Ach, no przecież o tej skardze! Wyobraź sobie Edwardzie, ten chłop miał czelność oskarżyć mojego męża o nietrzymanie umów! Żeby mój Antoni z jakimś chłopem się układał! Przedstaw to sobie!

– Jakich umów?

– Ano właśnie... Niby mąż nakazał pracę w niedzielę i święta, więc on sobie zapłatę w tym worku mąki odebrał. Ale mąkę musiał oddać, więc oskarżył Antoniego o wyzysk. I co ty o tym myślisz, Edwardzie?

– A czy Antoni kazał chłopom w święta pracować?

– Jakże inaczej dałby radę tej całej wiosennej krzątaniu? Chłopów do roboty coraz mniej, wolą do wojska się zaciągnąć.

– A, to przez obietnice, że dzięki służbie pozbędą się jarzma pańszczyzny – zauważył trzeźwo Stalicki.

– Jarzmo pańszczyzny. Co też ty mówisz, Edwardzie. Przecież to my, ze dworów właśnie, roztaczamy nad nimi opiekę. I na przednówku zawsze ratujemy zbożem albo kapustą. A ten parobek, ten złodziej i łajdak musi ponieść konsekwencje tego, że mąkę ukradł.

Zapadła cisza. Wzrok Heleny – zadziorny, wyczekujący – spoczął na twarzy Edwarda, nie pozwalając na żadne niedopowiedzenia.

– Powiem tak – zaczął powoli, lekko ochrypłym głosem. – Kiedy odeszła najpierw Eliza, potem Antonina, a teraz jeszcze matka, zliczyłem wszystkie moje straty i pojąłem jak ich wiele i jak są bolesne...

– Bardzo ci współczuję, biedaku – pokiwała smutno głową Helena.

– Jednak teraz – kontynuował – kiedy ciebie słucham, myślę, że oni może tracą dużo więcej.

– Kto oni? – zdziwiła się szczerze. – Kogo masz na myśli?

– Chłopów. A z nimi tego parobka, co w poczuciu krzywdy stłukł waszego rządcę.

– No wiesz, Edwardzie... – zgorszyła się. Zmarszczyła nos jak zawsze, gdy wyrażała dezaprobatę.

– Bronił swojej zapłaty – wzruszył ramionami Edward. – Chyba go nawet rozumiem – dodał wyzywająco.

– Ech... – zachnęła się Helena i chciała mówić dalej, lecz Edward nakazał gestem milczenie.

– Nie, zaczekaj. Posłuchaj – rzekł gorączkowo i zaraz uśmiechnął się gorzko. – Załóżmy, że Antoni jest tu tylko emisariuszem. Przedstawicielem wszystkich obszarników, symbolem dobrobytu, jakiego oni nie doświadczyli, bo mieli nieszczęście urodzić się w chłopskich chałupach. Na

jego miejscu nie oskarżałbym ich, a raczej wynagrodził tę pracę, do której zmusił ich w niedziele.

– Ależ, Edwardzie! – przerwała oburzona.

– Czekał – przytrzymał jej rękę. – Trzeba poznać pobudki, którymi kierują się chłopci, zrozumieć ich potrzeby. Wiesz, Heleno, tak sobie teraz myślę: wypadek z mąką to ostrzeżenie, ich roszczenia będą coraz śmielsze, aż wcześniej czy później przerodzą się w bezwzględne żądania. Wygląda mi na to, że zechcą uczyć nas pokory...

Roześmiała się przewrotnie i zimno.

– Przesadzasz, Edwardzie. Oni będą nas uczyć pokory, też coś! – prychnęła. – W takim razie trzeba im pokazać, gdzie ich miejsce.

– To ludzie, Heleno. Tacy jak my, tylko w gorszym położeniu przez swoje urodzenie. Jeśli nie chcesz tego rozumieć, to i mówić o tym z tobą nie zamierzam.

– Jak to nie chcę rozumieć? – zaperzyła się. – Bardzo dobrze rozumiem. Skoro urodzili się w chłopskich chałupach, taki los był im przeznaczony. Bóg tak chciał, a Jego wyroki są niezbadane. O... to chyba Antoni! – ucieszyła się, słysząc głos męża.

– A toś niespodziankę sprawił! – zawołał przyjaciel, wyciągając do Edwarda ramiona. Był na lekkim rauszu i w wyśmienitym humorze. Danicki wiedział, z kim wypić, żeby sprawy potoczyły się po jego myśli. – Już myślałem, że nigdy tego swojego Przylipia nie opuścisz, nawet na godzinę, co? No, jak tam, przyjacielu? Jak sobie radzisz?

– A jak ma sobie bez kobiet radzić? – burknęła Helena i spoglądając współczująco na Edwarda, westchnęła wymownie. – Ciężko.

– W tej sprawie jestem – uśmiechnął się Edward.

– No to domowej nalewki się napijemy – zatarł dłonie Antoni.

– Tobie już chyba wystarczy – zganiała go Helena. – Edward będzie pił ją sam, bo jeśli chodzi o mnie, nie mogę tu z wami siedzieć. Jak to mówią, pańskie oko konia tuczy, pójdę zatem zajrzeć, jak mi się służba sprawuje.

– Nalegam, żebyś została chwilę z nami – odezwał się spokojnie Edward. – Tak się składa, że właśnie ty będziesz mi bardziej pomocna niż Antoni.

Usiadła natychmiast z powrotem, ułożyła dłonie na kolanach i wbiła w Edwarda pytające spojrzenie.

– Mów, o co chodzi – powiedziała zachęcająco.

– Może doradzisz mi, Heleno... Potrzebuję kobiety.

– No, proszę! – klepnął się po udach Antoni. – I do mojej żony z tym przychodzisz, co? A Malwina? Nie podoba ci się?

– Antoni – upomniała go surowo Helena. – Wystarczy, że raz tobie się spodobała – warknęła cicho i przebiegła wzrokiem po twarzy Edwarda, jakby badała, ile wie na ten temat.

On jednak udał, że nie słyszy, i nie skomentował jej uwagi.

– Malwina jest teraz nauczycielką mojej córki – wyjaśnił. – A ja potrzebuję takiej, która zarządziłaby kobiecym gospodarstwem. Nie musi być ani piękna, ani młoda...

– Taką już masz, co? – Nie ustępował Danicki. Mrugnął okiem i przyczesał palcem wąsa. – Malwina – dodał śpiewnie i zakołysał biodrami, co wyprowadziło z równowagi Helenę.

– Antoni... – zasyczała ze złością. Zabrzmiało jak ostrzeżenie.

– Już jestem poważny, droga żonko. – Ujął z pietyzmem jej dłonie i obsypał je lepkimi pocałunkami. – A ty Edwardowi naszą Elżbietkę podeślij – zaśmiał się szelmowsko i chichotliwie.

Ku zaskoczeniu Edwarda, Helena nie zbeształa go, a po raz pierwszy tego dnia spojrzała na męża z podziwem.

– Elżbietkę? – powtórzyła powoli, z zastanowieniem. – Elżbietkę! – zawołała nagle. – Jakże mogłam sama nie wpaść na tak dobry pomysł! Posłuchaj – zwróciła się z kolei do Edwarda. – Zdaję sobie sprawę, że mężczyzna uczestniczący w sprawach gospodarstwa domowego wydaje się sobie śmieszny, a służba uważa, że to wręcz niestosowne. Masz świętą rację, potrzebna ci kobieta. A ja mam dla ciebie znakomitą zarządzającą. Ach, że też sama o niej nie pomyślałam... Elżbietka to wdowa po moim bracie, Józefie. Nieboszczyk majątku jej nie zostawił, więc jest naszą rezydentką. Dobrze ją znam i wiem, że chciałaby się do czegoś przydać, a nie tylko kątem u krewnych mieszkać i darmowy chleb jeść. No więc przyda się. Tobie się przyda, Edwardzie. A zapewniam cię, że to dobra gospodyni i zna się na wszystkim. Dla oka też miła, choć niedawno skończyła pięćdziesiąt lat. – Helena mówiła szybko i uśmiechała się przymilnie. Czasem zerkała na męża, który nagle uspokoił się i siedział teraz z dziwną miną, milczący i nieruchomy jak głaz.

– No, jak, Edwardzie? Będziesz zadowolony, obiecuję – zapewniała.

– Potrzebuję energicznej i gospodarnej kobiety, Heleno. Jeśli ta wasza Elżbietka taka jest i, oczywiście, jeśli się zgodzi, będę wam bardzo wdzięczny.

– Ależ zgodzi się! – zawołała Helena.

– A ja uważam, żebyś ty lepiej się ożenił, Edwardzie, co? – burknął Antoni.

– Ożeni się, ożeni – zapewniała Helena. – Na wszystko przyjdzie pora. Tymczasem Elżbietka w gospodarstwie pomoże. A jest nad wyraz obowiązkowa – podkreśliła, podnosząc do góry wskazujący palec.

W kuchni skwierczały łożówki, ale nikt się tym nie przejmował, ponieważ panu Edwardowi zupełnie one nie przeszkadzały. Aniela



zastanawiała się, dlaczego zwołał wszystkich tutaj, zamiast na przykład do holu, jak robiła to pani Rozalia. Tam było więcej miejsca, a palące się w kandelabrach świece dawały znacznie jaśniejsze światło. Zauważyła też, że wśród zebranych zabrakło Malwiny i Piotra Kosteckiego, a więc sprawa dotyczyła tylko służby.

Edward zasiadł na jednym z krzeseł przy wielkim, dębowym stole i cierpliwie czekał, aż cała reszta przy akompaniamencie szurania, dreptania i mamrotania pójdzie w jego ślady. Przebiegł wzrokiem po zaciekawionych twarzach i oznajmił krótko:

– Żałoba po matce i nieobecność żony... – odchrząknął, gdyż wzruszenie odebrało mu głos jak zawsze, gdy o nich wspominał, zaczął więc inaczej: – Chciałem powiedzieć, że brak gospodyni nie może wpłynąć na funkcjonowanie Przylipia. Dlatego przyjąłem ochmistrzynię. Będzie miała nadzór nad kobiecą częścią gospodarstwa – zakończył i znów powiódł wzrokiem po wszystkich twarzach. Zaskoczyło go milczenie, jakie zapanowało po tych słowach. Spodziewał się podekscytowania i wielu pytań, tymczasem na większości twarzy odmalowało się niezadowolenie, a nawet niepokój.

Edward odczekał dłuższą chwilę, a ponieważ nadal panowała pełna napięcia cisza, przerwał ją ze zniecierpliwieniem.

– O nic nie pytacie?

– Dla nas nie ma żadnej różnicy, proszę pana – oświadczyła ostentacyjnie Aniela, która miała zbyt silną pozycję w Przylipiu, by liczyć się z jakąś tam ochmistrzynią. – Pan już i tak postanowił.

– Zapewniam, że to dobra gospodyni, zna się na wszystkim i jest bardzo obowiązkowa. Dla oka też miła, choć niedawno skończyła pięćdziesiąt lat – powtórzył kropka w kropkę, co usłyszał od Heleny, bo przecież sam nie znał wychwalanej przez Danicką Elżbietki.

– Będzie jak będzie – skwitowała Aniela i podniosła się od stołu, dając tym sygnał, że zebranie skończone.

Już nazajutrz bryczka z Olszówki, która zatrzymała się na dziedzińcu, wyjawiała mieszkańcom Przylipia, kto zarekomendował ową ochmistrzynię. Z powozu Danickich wynurzyła się przyobleczona w czerń postać chuda i wysoka. Waław, który pierwszy wybiegł witać gościa, chyba tego pożałował, bo dama obdarzyła go ostrym i pełnym przygany spojrzeniem. Zdezorientowany, aż się cofnął, a stojący za nim Alojzy, sądząc, że Waław został za coś zrugany, wolał od razu zejść tej kobiecie z drogi. Ostatecznie stangret z Olszówki chwycił z powozu dwie okazałe walizy, wniósł je do sieni, tam pozostawił i czmychnął czym prędzej.

Nie spodziewając się tak wczesnego przybycia Elżbietki, zaraz po śniadaniu Edward wyjechał jak zwykle doglądać parobków, nie było więc nikogo, kto przyjąłby ochmistrzynię. Jedyne Kostecki kręcił się zaaferowany po całym domu, gdyż tego ranka znowu zapodział gdzieś binokle, a bez nich poruszał się jak we mgle. I jak przez mgłę właśnie ujrzał przed sobą ciemną, niewyraźną postać.

Niebawem mieszkańcy Przylipia mieli się przekonać, że Elżbietka mówiła mało, właściwie prawie wcale, i tylko wtedy, gdy zaistniała taka konieczność. Zamiast używać słów spoglądała na swojego rozmówcę długo, przenikliwie i wymownie. Zwykle sam musiał domyślać się, o co chodzi. W przeciwnym wypadku uważała go za mało rozgarniętego, wzdychała z rezygnacją i wyjaśniała za pomocą minimum niezbędnych wyrazów.

Tak było i tym razem. Stała dostojna i wyprostowana, świdrowała wzrokiem nieszczęsnego nauczyciela i czekała. Piotr Kostecki również czekał. Pochylał się do przodu i mrużył z wysiłku oczy, na nic się to jednak

nie zdało. I tak nie widział, z kim ma do czynienia. Elżbietka westchnęła zniechęcona i z trudem ukryła pogardę.

– Dzień dobry – odezwała się tak wymuszonym tonem, że nauczyciel poczuł, jakby doświadczył aktu łaski. – Pan się domyśla, jestem Elżbieta Zręba, bratowa Heleny.

Ku jej utrapieniu, nie domyślał się. Nie słyszał o przyjęciu ochmistrzyni, nie znał Heleny, tym bardziej jej bratowej. Poza tym nic nie widział. To wszystko sprawiło, że niewiele miał do powiedzenia, zatem milczał.

Elżbietka patrzyła przesywająco i długo. Bardzo długo. Kostecki czuł się niezręcznie. Najchętniej poszedłby sobie, lecz gdy tylko drgnął, dama odezwała się znowu:

– Dołożę starań, by jak najlepiej wyręczyć pana – oświadczyła, zużywając limit słów przeznaczonych na ten dzień. Zaimponowała jej również małomówność gospodarza.

– Taaak... – mruknął Kostecki, gdyż zaoferowanie pomocy w chwili, gdy jej potrzebował, zabrzmiało obiecująco. –To doskonale. Widzi pani, zgubiłem binokle.

Ekscentryk – pomyślała z zadowoleniem Elżbietka. Lubiała ten typ.

– Czy mam je znaleźć? – zapytała po długiej ciszy, uznawszy, że ten człowiek więcej się nie odezwie.

– Poproszę – ucieszył się.

– Szukam zatem – oświadczyła z nutką zastanowienia, sięgnęła po własny lorgnon i z uznaniem zlustrowała męzczyznę. Helena nie uprzedziła jej, że pan Edward Stalicki taki osobliwy.

Na gładkie policzki Maryny wystąpiły rumieńce, a duże, wyraziste oczy błyskały oburzeniem. Wtulona w kąt kuchennej ławy nie przestawała

złorzeczyć.

– Ledwo przyjechała, a już pokazuje, co potrafi. Weszłam do salonu i omal nie upadłam bez przytomności, tak się wystraszyłam.

– Dlasego? – wytrzeszczyła oczy Kazia.

– A dlatego, że ta czarna wrona lata po całym domu i w każdy kąt zagląda. Pod sofy i pod komody, za fotele i etażerki, wszystkie zydle podnosi, jeden po drugim...

– Sego tam suka? – zdziwiła się zgorszona Kazia.

– Jak to, czego? Kurzu! Sprawdza, czy dobrze posprzątane! – irytowała się Maryna. – Pani Rozalia też lubiła czystość skontrolować, ale ona robiła to dyskretnie i delikatnie.

– Walizki jeszcze w sieni, a ta już się szarogęsi – pokręciła z niezadowoleniem głową Wiesia.

– Źle zaczyna – przyznała Aniela i zacięła usta.

– Najgorse jest to, że ona będzie z nami jadła psy jednym stole – szepnęła ze zgrozą Kazia. – Jezusku, ja nis nie psełknę – zastrzegła.

– Wrona – warknęła w złości Maryna. Wstała z ławy i poprawiła fartuszek. – Wracam do roboty. Nie wyobrażam sobie, co zrobi, jeśli przyłapie mnie tutaj.

Kiedy drzwi otworzyły się powoli, zapadła śmiertelna cisza. Może suknia Elżbietki to sprawiła, a może jej ponura mina, że w kuchni pociemniało, Maryna dla odmiany zbladła, a Kazia i Wiesia wyprostowały się i wstrzymały oddech. Jedynie Aniela cisnęła żeliwnym rondlem o dębowy stół i wzięła się pod boki, żeby ta wiedźma wiedziała, kto rządzi w kuchni.

Ale Elżbietka nie zwracała na nie uwagi. Swoim zwyczajem nie raczyła się odezwać, skinęła jedynie głową i nieświadoma, że nauczyciel nie przestąpił nigdy w życiu progu tej kuchni, rozpoczęła spokojne

i metodyczne poszukiwanie binokli. Zlustrowała stół, otworzyła kredens, zajrzała pod ławę i na półkę, gdzie w równiutkim szeregu prezentowały się fajansowe kubki. Próbowała nawet otworzyć apteczną szafę pani Rozalii, czym wywołała ironiczny uśmiech na twarzy Kazi, gdyż zamknięte na klucz drzwiczki ani drgnęły. Elżbietka omiotła jeszcze wzrokiem parujące garnki na piecu, ułożone w stos bukowe polana pod piecem, po czym w skupieniu opuściła kuchnię.

– To wrona... – syknęła z odrazą Kazia i zacisnęła pięści.

Malwina widywała tę panią jeszcze w Olszówce, gdy Elżbieta Zręba przyjeżdżała wraz z mężem na wszystkie rodzinne uroczystości. Pamiętała ją jako bardzo powściągliwą i oszczędną w słowach. Niewątpliwie cenił, a wręcz uwielbiał ją za tę wstrzemięźliwość mąż, który nie zwracał się do niej inaczej niż „Elżbietko”. Tak już zostało, nawet gdy przybyło jej lat i od dawna miała status wdowy.

Obraz Elżbietki myszkujej między meblami w holu zdziwił Malwinę, ale nie na tyle, by chciała się nad tym zastanawiać. Poza tym nie wtrącała się do spraw osób należących do wyższych sfer, dlatego zignorowała panią Zrębę, obejrzała się na idącą z tyłu Zosię i poprosiła, by ta nie ociągała się, bo poruszając się w tym tempie, nie zdążą przed obiadem wrócić ze spaceru.

Zosia jednak była ciekawska, a widok obcej kobiety przetrząsającej hol i szperającej w szufladach komody bardzo ją zaintrygował.

– Dzień dobry – przywitała się grzecznie, podchodząc do Elżbietki. – Czy pani czegoś szuka?

Elżbietka wyprostowała plecy, sięgnęła po zwisający na srebrnym łańcuszku lorgnon i dokładnie przyjrzała się Zosi.

– Córka pana Edwarda? – zapytała.

– Tak – odparła poważnie dziewczynka i grzecznie dygnęła.

Elżbietka zawiesiła wzrok na uśmiechniętej twarzyczce i milczała.

W miarę upływu czasu ten uśmiech gasł, a Zosia kilkakrotnie obejrzała się na drzwi do sieni, za którymi zniknęła Malwina. Czuła jednak, że nie powinna teraz odchodzić, skoro rozpoczęła rozmowę, więc przestępowała z nogi na nogę i milczała również.

– Szukam – odezwała się wreszcie Elżbietka. – Binokli twojego ojca.

– Mój tatko nie nosi binokli – zaszcebiotała Zosia. – Tylko nauczyciel takie ma. On często ich szuka, bo wkłada do kieszeni kamizelki i zapomina. Staś mi o tym opowiadał. A znów Imre kiedyś...

– Cisza – przerwała jej Elżbietka i wysunęła do przodu dolną szczękę, jak zawsze, gdy była wściekła. – Gdzie nauczyciel?

– W bawialni – odparła Zosia. – Ale teraz nie wolno tam chodzić, bo są lekcje – dodała przestraszona, ponieważ ta straszna kobieta już była przy drzwiach.

Początek kwietnia był kapryśny, Malwina jednak trzymała się zasady, że świeże powietrze nikomu jeszcze nie zaszkodziło i każdego dnia, nawet jeśli siąpiło, zabierała Zosię na spacer. Przeważnie towarzyszyły im wyżły. Psy rzadko wybierały się z Edwardem, który na przechadzkę wyprawiał się wczesnym rankiem.

Zosia bardzo lubiła te wycieczki. Zadawała mnóstwo rozmaitych pytań i nigdy nie usłyszała od swojej nauczycielki, że o takie czy inne rzeczy dziewczynce pytać nie przystoi. Jeśli bywała zamyślona, Malwina jej w tej zadumie nie przeszkadzała. Rozumiały się nawzajem, ufały sobie, tolerowały i uznawały swoje osobliwe charaktery. Jedynie kiedy Zosia tryskała humorem, Malwina nie dotrzymywała jej kroku. Nosiła w sercu zbyt dużo smutków i rozżalenia, by na radość wystarczyło tam miejsca.

Dzień był chłodny, a niebo zasnuły chmury zwiastujące deszcz. Może przez tę ponurą aurę Zosia stała się nagle rozdrażniona, skarżyła się na ból głowy i, jak nigdy, dopominała się o zakończenie spaceru. Zniecierpliwiona wybiegła do przodu i podążała jedynie w towarzystwie psów, nie oglądając się na opiekunkę.

Malwina szła własnym rytmem, lecz na tyle szybko, by nie stracić Zosi z oczu. Lubiła dni harmonizujące z nastrojem nostalgicznej zadumy, beznamiętnej szarzyzny i wypełnionej ciszą równowagi.

Spokój ciągnących się wzdłuż drogi pól, ptasie świergoty, cichy szum wiatru w przydrożnych zaroślach kołły, dopóki nie usłyszała za plecami dalekiego końskiego rżenia. Nie oglądała się, uznała, że z tej odległości nie rozpozna, kim jest jeździec. Obawiała się, że to Danicki, który kupił tę część lasów od pana Edwarda. Na samą myśl o tym ścierpła jej skóra. Nie znosiła tego człowieka za krzywdę, jaką jej uczynił, za łzy, które wylewa nad grobem synka i za wszystkie smutki, jakie nosi teraz w sobie.

Przyspieszyła kroku. Starła się zapanować nad niezdolnym kołatanem serca, nad wzbierającą złością i lękiem, które zawsze jej towarzyszyły w jego obecności. Nie chciała pamiętać niewybrednych zaczepek i lepkiego dotyku na ostatnim polowaniu, na które pojechała zmuszona przez niego. Jakim sposobem ten człowiek był przyjacielem pana Edwarda, skoro brakowało mu tych wszystkich cech, którymi mógł poszczycić się dżentelmen? W jej pojęciu Danicki nie miał za grosz uczciwości, taktu ani szacunku do kogokolwiek.

Kiedy odgłos końskich kopyt i szybki oddech jeźdźca były tuż za nią, zatrzymała się i zacisnęła powieki. Była gotowa na wszystko. Jak dzika kotka szykowała się na zaciekłą walkę z użyciem zębów i pazurów. Niech no tylko się zbliży, niech jej dotknie!

W pamięci Edwarda zachował się obraz Antoniny prowadzącej między polami Zosię, dlatego poruszył go widok Malwiny spacerującej z jego córką tymi samymi ścieżkami. Wspomnienie przeszło go ostro, dotkliwie. Wstrzymał Nimfę i przez chwilę tkwił porażony bólem nie tylko niezabliźnionej rany, ale i żalem, że przed rozstaniem nie pojednali się z Antoniną, nie wyjaśnili niczego. Wiara, że jeszcze kiedyś ją zobaczy, ufność, że żyje, najpierw malała z każdą godziną, teraz już nie było jej wcale. Chciałby tylko wiedzieć, gdzie jest grób, gdzie może złożyć kwiaty...

Zosia znacznie wyprzedziła swoją opiekunkę i szła dziarsko w kierunku domu. Malwina podążała za nią, ale z pewnym ociąganiem, można było zauważyć, że nie spieszo jej do powrotu. Edward zebrał się w sobie, odetchnął głębiej i lekko ugodził w bok Nimfę. Klacz jakby na to czekała. Zarżała i ruszyła kłusem w kierunku domu.

Tuż za plecami Malwiny Edward ściągnął wodze. Dziewczyna zatrzymała się gwałtownie, lecz nie odwróciła głowy. Uniosła ją dumnie, odrzuciła warkocz i wyprostowała ramiona.

– Dzień dobry – odezwał się, zgrabnie zeskakując z konia. – Wygląda na to, że zmierzamy w tym samym kierunku.

Nie odpowiedziała od razu, obejrzała się jedynie, próbując ukryć dziwne wzburzenie.

– Mam nadzieję, że nie przestraszyłem cię – uśmiechnął się. – Nie usłyszałaś konia?

– Słyszałam – odparła krótko. Jej głos lekko zadrżał ze zdenerwowania, nad którym nie zdążyła jeszcze zapanować.

– Widzę, że przeszkadza ci moja obecność – zauważył. W jego tonie nie było pretensji ani rozczarowania, jedynie stwierdzenie wynikające z jej zachowania.



– Nie, nie! – zawołała prędko i odruchowo dotknęła rękawa jego kurtki. Szybko cofnęła dłoń, jakby ją ten dotyk oparzył. Lecz on już przyglądał się jej zaskoczony. Po raz pierwszy spotkał u niej taką spontaniczność. – Przepraszam – dodała po chwili. – Nie wiedziałam, kto siedzi na koniu.

– Przestraszyłem cię więc – uśmiechnął się nieznacznie. – Doprawdy, nie chciałem.

– To nie pańska wina – oświadczyła, wróciwszy do równowagi. – Pana się nie boję.

Zamilkł. A więc był ktoś, kogo się boi. Pomyślał o Danickim. Dostrzegał rzeczy, o których z nikim nie rozmawiał, chociaż nieraz miał ochotę wygarnąć przyjacielowi, co myśli o jego prostactwie i wulgarnym zachowaniu wobec Malwiny.

Przez długi czas szli w milczeniu. Nie było to lekkie milczenie dwojga ludzi, którym ono nie wadzi. Ta cisza ciążyła i uwierała.

Zaczął siąpić deszcz.

Ona z twarzą trochę zaciętą, a trochę onieśmiałą, pobladła, jak z płócien dawnych mistrzów, pospiesznymi stopami ledwo muskała ziemię umykającą spod jej sznurowanych bucików. Biodra i ramiona rozchwiały się od tych kroków, a może poddały się kołysaniu wiatru, temu samemu, który wkradał się właśnie między gałęzie przydrożnych drzew i pod ubranie Edwarda. Stalicki dyskretnie obserwował jej ostro zarysowane brwi, unoszące na sobie zdziwienie, gniew i upór. Spod nich wyzierało spojrzenie dzikiego, płochliwego ptaka, ze źrenicami wypełnionymi echem nieznanego mu tęsknoty. To dziwne, zawsze widział w tej dziewczynie chłód, siłę i dumę, teraz dostrzegł melancholię ukrytą głęboko pośród niezaspokojonej potrzeby czułości.

Zapraǳnął dotknąć jej twarzy, soczystych ust, poczuć miękkość włosów. Przenieść zapach na opuszkach palców, by później, w zaciszu swojego pokoju upajać się nim w samotności.

Przy rozstaju, gdzie stał pochylony drewniany krzyż, Malwina zwolniła kroku. Podniosła głowę i zerknąwszy na zalaną rdzawym deszczem twarz Chrystusa, rzuciła z rozdrażnieniem:

– Nie mam cierpliwości modlić się do niego. Może dlatego on też...

Ugodzona własnym odkryciem, zamknęła resztę słów w cichości sumienia, w wewnętrznym rozczarowaniu. Zawiesiła pełne buntu spojrzenie na zardzewiałych ranach rąk i nóg figury, na podziurawionym boku. – Po co to wszystko? – szepnęła do siebie. – Dla kogo?

Potem przeszła Edwarda przejmującym, głębokim spojrzeniem, z którego przenikliwości on jeszcze nie rozumiał niczego, ale wstrząsnęło nim tak, że nagle zapraǳnął czytać z tych oczu.

Od owego spojrzenia serce poderwało się w jego piersi, zaczęło tłuc się niespokojnie, z uniesieniem, rozpalało się do czerwoności. A ręce... Ręce wyrywały się niecierpliwie, chciały być jak te gałęzie, które otulały szamoczący się w nich wiatr. Odwrócił oczy, ale cała przestrzeń i powietrze już przybrały jej profil.

– Znów pada – oznajmiła półgłosem Wiesia i rzuciła okiem na siedzącą od dwóch godzin pod oknem ochmistrzynię. Ta nie odzywała się wcale, wodziła jedynie oczami za każdą z nich i patrzyła im na ręce. Kazi nic się przez to nie udawało, wszystko leciało jej z rąk, aż dostała wypieków na twarzy i bliska była płaczu.

– Niech pada – burknęła Aniela i również zerknęła na Elżbietkę. Jej też robota nie szła w obecności tej nachalnej kobiety. Właśnie rozsypała sól i gotowa na kłótnię, zgrzytnęła zębami.

– Och! – zakrzyknęła nagle Wiesia – Stłukłam jajko...

Pełen przygany wzrok Anieli znów padł na ochmistrzynię. To oczywiste, że jajko stłukło się przez nią.

– Nic się nie martw – pocieszyła Wiesię. – Rozbite jajko wróży szczęśliwe dni.

– Aha, już widzę, jakie szczęśliwe – mruknęła Wiesia i łypnęła okiem na intruzkę.

Elżbietka zdawała sobie sprawę, że jest niemile widziana, ale niewiele sobie z tego robiła. Czekala tu na pana Edwarda i przyrzekła sobie, że dopóki nie pozna całej służby, nie rozpocznie pracy. Już wystarczająco upokorzył ją nauczyciel, gubiąc binokle, których ona przez cały ranek szukała.

Skrzypnęły drzwi i po chwili w sieni rozległo się tupanie otrzepywanych butów, czyjeś głosy i poszczekiwanie psów.

– Która to godzina? – zaniepokoiła się Aniela. – Malwina z Zosią po spacerze, to i do obiadu trzeba zaraz nakrywać.

Na dobiegający z sieni męski głos Elżbietka, słusznie uważając, iż to prawdziwy pan Edward, podniosła się wreszcie z ławy. Opuściła kuchnię, nie odzywając się ani słowem.

– Nareszcie sobie posła ta wstrętna wrona – warknęła Kazia. – Ja posukam sobie innej służby...

– A po co? – rzuciła zaczepnie Wiesia. – Niech ona się stąd wynosi, nie ty! Poczekaj, już my znajdziemy na nią sposób.

– Jaki? – jęknęła z nadzieją Kazia.

– Nie wiem jeszcze jaki, ale znajdziemy. Najlepiej... Co ty robisz?! – Wiesia przerwała wątek i podbiegła do stołu, przy którym Kazia zabierała się za krojenie chleba. – Nie otwieraj chleba z drugiej strony, skoro już jest napoczęty!

– Ojej, wielkie mi so! Nie zauważyłam – obruszyła się Kazia. – Nis takiego się nie stało.

– A stało się, stało – rzekła zadziornie Wiesia. – Właśnie otworzyłaś drogę duchom. Wleczą ci do domu, rozplenią się i rozbestwią, że się nie pozbędziesz!

– Ot, głupia – mruknęła znad kuchni Aniela. – Nie słuchaj jej, Kazia.

– Najlepiej – wróciła do tematu Wiesia – żeby pan Edward znów się ożenił. Wtedy żadna obca baba nie będzie się nam tu kręcić, tylko jakaś nowa pani Stalicka.

– Jak to? – przeraziła się Kazia. – Psesies pan Edward na panią Antoninę seka.

– Poczekaj i przestanie. Nie słyszałaś, jak Aniela mówiła, że cud jakiś musiałby się zdarzyć, żeby ona wróciła, bo dawno już ją żołnierze zabili.

Kazia aż łyżka z ręki wypadła na te nowiny.

– Zabili panią Staliską? – wytrzeszczyła oczy. – Kiedy?

– Zabili – powtórzyła z przekonaniem Wiesia. – A jak nie żołnierze, to sama ze swojej choroby, z tego kaszlu, umarła.

– Cicho bądź, Wieśka – zezłościła się kucharka. – Tak tylko mówiłam. Przecież nikt tego nie wie.

– Może i nikt nie wie, a może wie – rzekła tajemniczo Wiesia.

– Co ty znowu wymyślasz? – Aniela przyjrzała się jej podejrzliwie. – Co ty wiesz?

– Ja nic. Ale może trzeba zapytać Malwiny... – zwodziła Wiesia.

– Malwiny? – zdziwiła się Aniela. – Co ona wie?

Kazia nie odzywała się wcale, tylko spoglądała z przejęciem to na jedną, to znów na drugą.

– Zosi zjawy się pokazują – szepnęła Wiesia, spoglądając demonicznie na Kazię, która ze strachu aż skurczyła się w sobie. – Zaraz po śmierci pani Rozalii Zosia widziała ją, jak stała w pustym korytarzu. A znów w Wielki Piątek zobaczyła, jak pani Rozalia wchodziła do swojej sypialni...

– Płakała? – wzdrygnęła się Kazia.

– Kto? – zdziwiła się Wiesia. – Zjawa?

– Zosia! – naburmuszyła się Kazia. – Nie kpij ze mnie...

– Wcale nie kpię – zastrzegła obłudnie Wiesia, ale nie potrafiła powstrzymać się przed pełnym wyższości uśmiechem. – Malwina powiedziała, że Zosia nie płakała. Wcale się babci nie przestraszyła.

– No, a panią Antoninę też zobaczyła? – zapytała szeptem Kazia i obejrzała się za siebie, jakby spodziewała się sama ujrzeć upiora.

– Pani Antoniny Zosia nie widzi, tylko czuje taki chłód, jakby ktoś z tamtego świata przechodził – wyjaśniła Wiesia.

– Chłód, chłód – obruszyła się Aniela. – Równie dobrze Waław mógł okno otworzyć.

– Ale ten chłód pachniał jak pani Antonina. Różanymi perfumami...

– Ja tak myślę, że młodej pani Staliskiej już nie ma – westchnęła Kazia.

– Ty tak myślisz, a ja tak czuję – rzekła ostrożnie Wiesia.

– Ty tak czujesz, a ja to wiem – oświadczyła autorytatywnie Aniela. – I nie potrzeba tu na żadne duchy się oglądać, tylko na zdrowy rozum.

– Przydałaby się Godziewiczowa, może znów wyswatałaby pana Edwarda, ale ona już nie przyjeżdża... – westchnęła Wiesia.

– Psesiez ona nie ma drugiej siossenisy, to z kim miałyby wyswatać pana Edwarda? – zdziwiła się Kazia.

– Po co miałyby przyjeżdżać, skoro i jedna, i druga pani Stalicka już w ziemi... – pokiwała smutno głową Aniela.

Zapadał zmierzch, lecz Edward, ukończywszy pracę, nie wołał Wacława do zapalania świec. Zamierzał odpocząć przed rozmową z Elżbietką, bo nowo przyjęta ochmistrzyni bardzo zabiegała o widzenie. Poza tym chciał poświęcić chwilę na ułożenie w głowie pewnych myśli...

Nie mógł zapomnieć przechadzki z Malwiną, ich wspólnego powrotu do domu, jej szeptu pod przydrożną kapliczką, jej spojrzenia. Odtąd miał niespokojne sny i marzenia, które kazały mu wstawać w nocy i przemierzać godzinami pokój, pragnąc. Po wielokroć wracał przypadkowy dotyk jej palców.

Niecierpliwość zawładnęła jego czasem. Bo mijał dzień za dniem, a nie wydarzyło się nic. Może poza tym, że Edward uparcie odpychał od siebie świadomość czającej się starości. Chciał odwrócić od siebie tafle luster, które w nieubłaganej uczciwości pokazywały mu coraz więcej zmarszczek i siwiejących włosów. Chciał zdławić tykanie zegarów, które kradło po kawałku jego życie. Poza tym nic się nie zaczęło. Z trzepotów jedynie wiatr, z rytmu koński galop, ze wzruszeń kształty i poruszenia dziewczyny odpornej na jego milczące zaklęcia jak spiżowy dzwon.

Ciche pukanie wdarło się w tę zadumę, ostudziło emocje, powściągnęło rozpędzone serce.

Wacław z dwuramiennym świecznikiem w ręku rozjaśnił ściany i twarz Edwarda.

– Pan każe podać herbatę? – zapytał uprzejmie.

Zanim padła odpowiedź, w drzwiach ukazała się Elżbietka, Edward zatem odprawił Wacława ruchem ręki i zaprosił ochmistrzynię.

– Proszę, niech Elżbietka wejdzie – rzekł uprzejmie i wskazał fotel, w którym lubiła zanurzać się jego matka.

Ochmistrzyni usiadła i wbiła w niego spojrzenie.

Trudno było o tym spojrzeniu cokolwiek powiedzieć. Według Edwarda nie wyrażało niczego, prócz oczekiwania, ale nawet jeśli Elżbietce zdarzyło się użyć słów, on i tak musiał przez chwilę zastanowić się, co miała na myśli. Niewątpliwie ta kobieta stanowiła nieustanną zagadkę, więc w obcowaniu z nią należało wykazać się inteligencją i cierpliwością. A w przypadku Edwarda również łagodnością, ponieważ można ją było łatwo urazić. Niemniej, musiał przyznać, że w gospodarstwie sprawdzała się znakomicie i doskonale radziła sobie ze służbą. Odkąd zamieszkała w Przylipiu, skończyły się kłopoty Edwarda w tej sferze.

– Elżbietka chciała ze mną rozmawiać... – zagał.

– Tak – odparła krótko.

– No więc? – uśmiechnął się życzliwie.

Kobieta poruszyła się niespokojnie i wyostrzyła wzrok, sygnalizując, że nie zamierza odpowiadać na tak postawione pytanie.

– Elżbietka ma kłopot?

– Nie – odparła, a on bezradnie rozłożył ręce.

I być może nie doszedłby do żadnej konkluzji, gdyby do gabinetu nie wtargnęła Zosia. Z wiatrem we włosach, w uwalanej błotem codziennej sukience wyglądała jak wieśniaczka, lecz ogień w wielkich szarych oczach nadawał twarzyczce wyraz władczy i zdecydowany.

– Ja też chcę jechać na targ z Elżbietką, jak Staś i Imre, tatku! – zawołała od progu.

– Na targ? – zdziwił się Edward. Powinien skarcić Zosię za to nagłe wtargnięcie i przerwanie rozmowy dorosłych, ale zaniechał tego, bo żadnej rozmowy właściwie nie było.

– Tak, Elżbietka jutro pojedzie na targ z Kajetanem.

– A po co? – Edward zwrócił się do ochmistrzyni, lecz okazało się, że Zosia ma na wszystko odpowiedź.

– Trzeba sprawdzić, jak Kajetan handluje z Żydami, bo Elżbietce wydaje się, że on za tanio bierze za żyto i pszenicę.

– A ty skąd wiesz? – zdumiał się Edward.

– Słyszałam od Kajetana.

– Tobie o tym powiedział? – nie dowierzał Edward.

– Nie mnie, tatku, tylko Stasiowi i Imremu, bo oni chcieliby pojechać z Kajetanem na targ, a on powiedział, że nie wie, czy zgodzi się ta sekut... sekut...

– Sekutnica – podpowiedziała łaskawie Elżbietka.

– Tak, sekutnica – powtórzyła niemal pieszczotliwie Zosia, która nie miała pojęcia, co oznacza to słowo.

Elżbietka tymczasem siedziała niewzruszona z leciutkim uśmieszkiem czającym się w kącikach ust. Była dumna z Zosi, bo odkąd zauważyła, że Imre z niej pokpiwa i usiłuje wykorzystać szczerłość jej serca, namawiając na przykład do podkradania cukru z kuchni, zaczęła cierpliwie, dyskretnie i metodycznie uczyć ją zaradności i walki o siebie. Elżbietka może i była milcząca, ale skuteczna w zamiarach i nie zdarzyło się, by ktoś jej w kaszę nadmuchał.

– A lekcje Stasia i Imrego? Taka wyprawa zajmie kilka godzin – zauważył Edward.

– Od wczoraj nie ma lekcji, bo pana Piotra zęby bolą – wyjaśniła Zosia.

– Dlaczego nic o tym nie wiem? – oburzył się Edward, spoglądając tym razem na Elżbietkę, która wzruszyła ramionami.

– Już pan wie – oznajmiła sucho i tak sugestywnie, że Edward w obawie, że usłyszy o czymś znacznie gorszym niż niedyspozycja nauczyciela, wolał o nic więcej Elżbietki nie pytać.

– Mogę też pojechać, tatku? – indagowała Zosia.



– Nie wiem... Z Malwiną chyba... – Edward zawiesił wzrok na Elżbietce, bo to na nią spadłby obowiązek opieki nad dziewczynką.

– Niech panna Zofia uczy się układać z Żydami – ucięła. – A Malwina niech zostanie w domu – dodała i podniosła się z fotela.

Uradowana Zosia uczepiła się jej czarnej sukni, ona zaś położyła dłoń na drobnym ramieniu dziewczynki i tak zaprzyjaźnione, spoufalone opuściły gabinet zaskoczonego Edwarda.

Uśmiechnął się do siebie, pokręcił głową w zadziwieniu i sięgnął po fajkę, którą zaczął w zadumie nabijać. Przy pierwszym kłębie dymu dotarło do niego, jak nieoczekiwany a cenny prezent sprawiła mu ochmistrzynie.

Ostatni dzień kwietnia, a jednocześnie upragniony dzień podekscytowanej wyjazdem na targ Zosi, wstał ciepły i pogodny. Ptasi świergot dobiegający zza okna, przenikające przez firankę słoneczne promienie, kogucie witanie nowego dnia i pokrzykiwanie Anatola zaprzęgającego konie sprawiły, że Edward po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł w sercu radość. Poza tym Malwina była dziś uwolniona od obowiązków, dlatego liczył na jej przychyłność, gdy podczas śniadania zaproponuje wspólną przechadzkę.

Wiedział, że matka byłaby zgorszona, a służba z pewnością zaraz zacznie szeptać po kątach, ale plotki go nie obchodziły, Rozalii zaś już nie było.

Nagle zdał sobie sprawę, że to ona właśnie, jej opinia i niewątpliwie krytyczne spojrzenie powstrzymywały go przed zbliżeniem się do Malwiny. A on przecież... A ona fascynowała go od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał.

Kiedy nie zjawiła się na śniadaniu, ogarnął go smutek. Czekał na nią. Tęsknił za jej widokiem.

Nie wiedział jednak o tym, że według ochmistrzyni ręce są od tego, żeby pracować, a czas zbyt drogi, by go marnować. Dlatego poleciła Malwinie zjeść dziś posiłek w kuchni ze służbą wcześniej rano, a później pomóc Cesi w warzywniaku przy plewieniu nowalijek.

Edward ujrzał pracujące przy grządkach kobiety w drodze do sadu, gdzie, przeszukawszy uprzednio pokoje, spodziewał się spotkać Malwinę.

Właśnie prostowała plecy, podkasana spódnica opadła ciężką fałdą na jej stopy, a gruby warkocz wyslizgnął się spod chroniącej przed słońcem chustki. Jednym ruchem zdjęła nakrycie z głowy, rozpięła guziki zbyt ciepłej flanelowej bluzki i otarła pot z szyi i piersi. Zanim ukryła ich białą krągłość pod tkaniną, dostrzegła Edwarda. Zarumieniła się i przygryzła wargi.

Było w jej spojrzeniu coś wyzywającego, a w drobnych, lśniących zębach jakaś drapieżność, więc Stalickiemu wydało się, że to nie wstyd pokrył rumieńcem jej policzki, a pożądanie. On też jej pragnął, ale nie miał usposobienia Danickiego, jego tupetu i bezczelności. Poza tym matka potępiłaby takie zachowanie, nawet stamtąd, zza grobu.

Ach, pragnął jej tak mocno, gotów był nawet poprosić ją o rękę, lecz potrzebował pewności, że... że Antoniny nie ma wśród żywych.

Stał więc i patrzył. I żałował teraz każdego dnia z Antoniną pod dachem domu, który mógł być szczęśliwy, gdyby ona go kochała. Gdyby nie prowadziła tych swoich gier w udawanie, nie dzieliła z nim stołu i łoża, myśląc wciąż o Nitewskim, który szeptał jej imię w miękkość swojej poduszki.

Stał więc i patrzył. Na taniec grubego warkocza, na falowanie piersi pod flanelową bluzką, na unoszenie się i opadanie ciężkiej spódnicy ożywionej rytmem kroków Malwiny. Kiedy była tak blisko, że poczuł na policzku jej oddech, a w nozdrzach znajomy zapach wiosennych fiołków, otworzył

ramiona. Z radosnym niedowierzaniem, z westchnieniem niewyobrażalnej ulgi przyjąłby jej drżenie, bo widział, że broniła się jeszcze, walczyła, bo przerażała ją ta bliskość.

Ale ona znów zagryzła wargi, przeszła go zuchwałym spojrzeniem, i tylko rąbek spódnicy musnął go nieznacznie, gdy przeszła obok pełnego nadziei oczekiwania.

*Drogi Edwardzie.*

*Może wybaczysz mi to długie milczenie, jeśli dowiesz się, ile łez wypłakuję co dzień po Twojej matce. Wierz mi, Rozalia była bliska mojemu sercu jak rodzona siostra i nie umiem teraz pogodzić istnienia Przylipia z jej nieobecnością. Ty jeden łączysz mnie z przeszłością i jako jedyny pozostałeś mi rodziną, bo do Felicji nigdy nie miałam serca, ani ona do mnie. Dlatego do Ciebie zwracam się ze swoim kłopotem i liczę, że będziesz umiał mi pomóc.*

*Chodzi o Malwinę, kochany Edwardzie, a ściślej rzecz biorąc o zwrócenie mi jej do Warszawy. Mniemam, że Twoja Zosia coraz większa i ten Wasz nauczyciel mógłby już zająć się jej edukacją. Ja natomiast mam kłopot ogromny ze znalezieniem dobrej służącej, bo przyzwoitej i uczciwej to tylko ze świecą szukać. A jeszcze mądrej! Moja Franciszka, która była u mnie od lat pięciu, a teraz przyszło jej do głowy za mąż iść, czysta była i pracowita, ale teraz przyznać muszę, że Pan Bóg rozumu jej poskąpił. Kto widział męża brać, kiedy ma się czterdzieści lat!*

*Dałam ogłoszenie do gazety, że pomoc domowa do wszystkiego potrzebna od zaraz, ale te, co się zgłosiły, pożał się, Boże! Jedna kulawa, druga przemądrzała, a trzecia tak po kątach strzelała oczami, że bałam się ją z oka choć na moment spuścić. Nie wpuściłam żadnej więcej do domu,*

tylko poszłam do rajfurki, u której zatrzymują się dziewczki przyjeżdżające z prowincji i tam czekają na zatrudnienie. Ale jak zobaczyłam je, takie zabiedzone, wystraszone, z brudnymi węzełkami u nóg, to uciekłam. Jeszcze jakichś wszy albo pcheł z tych chłopskich chałup by naniósł.

Dlatego piszę do Ciebie, drogi Edwardzie, o tę Malwinę, bo coś mi się widzi, że żadnej z tutejszych dziewczek nie zaufam.

Wiem, że to, o czym chcę teraz napisać, nie będzie Ci miłe, ale widziałam się z doktorem Tomaszem. Zupełnie przypadkiem, nie na naszej ulicy, tylko nad Wisłą, gdzie jakiś tydzień temu spacerowałam z pewnym znajomym. Wyobraź sobie, po powodzi, która nawiedziła Warszawę przed laty, zaczęli tam budować bulwar i do tej pory nie skończyli. Ja cały czas myślałam, że to powstanie przerwało budowę i dopiero mój towarzysz uświadomił mi, że nie tylko, bo materiały przeznaczone na bulwary car kazał zużyć na budowę cytadeli! No, już widzę oburzenie naszej biednej Antoniny... Ale nie o tym chciałam pisać, tylko o Tomaszu. Otóż zobaczył mnie w ostatniej chwili i taki zrobił ruch, jakby chciał uciec, ale było już za późno, więc z wielkim zakłopotaniem uchylił kapelusza i przyspieszył kroku. Nie zatrzymał się, jak dawniej, na pogawędkę. No, ja mu się wcale nie dziwię, po tym, co zrobił Tobie. Twoja matka odmawiała maryjne nowenny, żebyś Ty go na pojedynek nie wyzwiał.

A znów nie dalej jak wczoraj wydawało mi się, że mignęła mi w dorożce twarz Karoliny Godziewiczowej. Ach, Edwardzie, to przecież absurd! Te zwidy świadczyć mają chyba o tym, jak bardzo tęsknię za Waszymi stronami. Jeśli nie zabronisz, a zdrowie pozwoli, postaram się przyjechać latem na odpoczynek i na miód lipowy. Tak bardzo potrzebne mi wytchnienie na łonie natury. Warszawa jest męcząca i taka teraz droga! Zazdroszczę wszystkim, którym został Sopot albo Rabka. My z Królestwa musimy mieć paszport, żeby wyjechać, a rosyjskie władze na wszelkie sposoby to utrudniają. No,

*ale na szczęście jest taki raj jak Przyłipie. Zdawałoby się całkiem niedaleko, zaledwie dwanaście mil, a w efekcie podróż okazuje się wielką wyprawą.*

*Kończę ten list i proszę niebiosa o siły dla Ciebie i odwrócenie losu.*

*Zostań w zdrowiu. Eulalia.*

Powoli, bardzo powoli Edward ponownie złożył list i pedantycznie wsunął go do koperty. Czytał go już kolejny raz i coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nawet przy największej sympatii do kuzynki Eulalii i chęciach Piotra Kosteckiego, by edukować Zosię, odesłanie Malwiny do Warszawy jest niedorzeczne.

Smuzka fajkowego dymu tańczyła wraz z migotliwym płomieniem oliwnej lampki, który poruszał majowy wiatr. Przez otwarte okno Edward dostrzegł niebo rozkwitłe gwiazdami. Firanka zatańczyła nad biurkiem, zaczepiła o ustawioną w strzelistym świeczniku niezapaloną świecę. Miękka i delikatna muślinowa tkanina poddawała się muśnięciom wiatru, który ją napinał i w niej nabrzmiewał. Edward zauważył te wysiłki i nie mógł oderwać oczu od miarowych, powtarzalnych ruchów. Tyle budziło w nim skojarzeń i namiętności jej poddanie, gdy wilgotna rosą, uczepiona swojego masztu, poddawała się rytmicznemu łopotaniu. A potem wiatr cichł, ona słabła, giętka jeszcze i rozkołysana. Patrzył na to i myślał o Malwinie.

Odesłanie jej do Warszawy jest niedorzeczne – powtórzył w sobie z zacięciem.

Lecz uczciwie rzecz biorąc, powinien z nią o tym porozmawiać, poznać jej stanowisko i liczyć się z nim. Nie dzisiaj jeszcze – postanowił. – Jutro.

Kojący spokój wieczoru zwabił go na ganek z tyłu domu. Przysiadł na schodkach i w zadumie palił swoją fajkę. Jakiś ptak przecinał ciszę solowym koncertem. Z ciemności wydobywał się spokojny oddech natury,

pachniało wilgotną ziemią i ledwo rozkwitłym bzem. Edward przymknął oczy i wypełnił płuca rześkim powietrzem. Upajał się spokojem.

– Spać, odpoczywać – usłyszał zniecka przytłumiony głos Elżbietki. Otworzył oczy, ale długo musiał się rozglądać, zanim ją zauważył. Widocznie spacerowała, bo zeszła ze ścieżki i zbliżyła do Edwarda. Oświetlała ją słaba smuga padająca z pokoju, który zajmowały Zosia z Malwiną.

– Własne myśli spać nie dają – rzekł szczerze. Zaczynał przyzwyczajając się do tej kobiety. Już go nie peszyła, jak na początku, chociaż zawsze pojawiała się nieoczekiwanie, bezszelestnie i zniecka.

Nie odpowiedziała. Zwróciła ku niemu twarz i mimo mroku patrzyła długo, przeciągle.

– W sercu gniecie – rzekła w końcu i pokiwała głową. – Widzę, że tak.

– To prawda – westchnął. – Gniecie...

– Trzeba powiedzieć.

– Nie, nie... – roześmiał się z zakłopotaniem. – Elżbietka i tak dużo ma obowiązków. Nie chcę Elżbietki obarczać moimi problemami. Zresztą, nawet matce, gdyby żyła, nie powiedziałbym o tym.

– Nie mnie powiedzieć, jej!

– Jej?

– Tak – rzekła. – Trzeba powiedzieć. Dobranoc – rzuciła na odchodne i poszła.

Zanim zasnął, ułożył w głowie słowa, oczami wyobraźni ujrzał jej uśmiech i zrozumienie. I wszystko wydawało się proste, póki nazajutrz nie weszła do jadalni w sukni w kolorze bursztynu i skromniutkim medalionem na odsłoniętej szyi. Suknia była wprawdzie odpowiednia na tę porę dnia, lecz wydała się zbyt strojna na zwykłą majową niedzielę. Rozalia

niewątpliwie odesłałaby Malwinę do pokoju z poleceniem, by przebrała się w coś stosownego.

Edward uniósł głowę i patrzył zachwycony, jak z lekkim rumieńcem na twarzy, trzymając w dłoni rączkę jego córki, przekracza próg jadalni, pomaga usiąść Zosi, a potem z gracją zajmuje swoje krzesło. Wyglądała jak Eliza...

Ta sama suknia. Poznał ją. Eliza nosiła ją w dniu, gdy wyznała mu nowinę o pierwszej ciąży. Wtedy poznał też miękkość tkaniny i jej szelest, kiedy chwycił Elizę w objęcia i obsypywał ją tysiącem pocałunków.

Matka obdarowała Malwinę garderobą jego pierwszej żony...

Nigdy dotąd nie widział jej w tej sukni i wydało mu się, że ubrała się specjalnie dla niego, żeby prowadzić grę, do której podjęcia nie miał śmiałości. A później zaczepił wzrokiem o twarz Piotra Kosteckiego, na której twarzy malowało się niekłamane oczarowanie i podziw. Zalała go fala zazdrości i lęku, że może Malwina ubrała się tak dla tego dziwaka.

– Na miły Bóg, Edwardzie, przecież to zaledwie guwernantka – usłyszał pełen niesmaku głos zza grobu i aż obejrzał się na krzesło, gdzie zwykle siedziała matka. Nikt tego na szczęście nie zauważył prócz Elżbietki stojącej u drzwi i czujnie obserwującej tych dwoje. Nie jadała z państwem, ale zawsze zaglądała do jadalni, by zlustrować przebieg posiłku. Dzisiaj przyszła popatrzeć, jakie wrażenie zrobi na panu Edwardzie Malwina, której poleciła włożyć najpiękniejszą suknię.

Wacław z wystudiowaną uprzejmością podawał właśnie owoce i orzechowe rogaliki, a od niskiego kredensu nazywanego przez służbę pomocnikiem popłynął głęboki aromat kawy, Alojzy nieśmiało otworzył drzwi i zaanonsował Danickiego.



Antoni zwykle nie zapowiadał swoich wizyt i bywało, że pojawiał się w bardzo niewłaściwych momentach. Edward dostrzegł zmieszanie Malwiny i jej pąsowe ze zdenerwowania policzki. Nie chciał narażać jej na niewybredne uwagi, na które pozwalał sobie jego przyjaciel, dlatego otarł usta serwetą i wstał od stołu.

– Proś pana Danickiego do mojego gabinetu – przykazał Alojzemu.

Zaraz też otrzymał nagrodę, Malwina obdarzyła go pełnym wdzięczności spojrzeniem.

– Wracam z porannej przejażdżki po moich lasach – sąsiad podkreślił ostatnie słowa, roześmiał się jak z dobrego dowcipu i klepnął dłońmi uda opięte podszytymi cielecą skórą bryczesami. – Nie żal ci? Co? – mrugnął okiem, rozsiadł się w fotelu i sięgnął po fajkę.

– Żal – odparł szczerze Edward. – Jeśli tegoroczne plony będą obiecujące, chętnie je z powrotem odkupię, choćby część.

– A ja nie sprzedam – przekomarzał się Antoni. Nabił fajkę, zmrużył oczy i przyjrzał się Edwardowi.

– No? Jakże sprawuje się Elżbietka, co?

– Niewiele mówi, a trzęsie całą służbą – zaśmiał się Edward. – Osobliwość.

– Służbą? Ona całym domem trzęsie. Tobą też, nawet o tym nie wiesz. Ale trzeba przyznać, że taka gospodyni na kamieniu się rodzi. Zna się na wszystkim.

– To prawda. Mimo to Helena nie zostawiła jej u siebie do pomocy.

– Bo ona nie chce być pomocą, chce rządzić. A Helenę to bardzo irytuje. Ja znów nie mogłem znieść tego jej spojrzenia. Jakbym dno piekieł w jej oczach widział – wzdrygnął się.

Potem zamilkł, zbierał w sobie myśli, raz po raz zerkał na Edwarda, w skupieniu zaciągał się fajką, sposobił się do czegoś.

- Dwa dni temu spotkałem Konickiego – powiedział wreszcie.
- Konickiego... – powtórzył Edward i wypuścił kłąb dymu.
- Tak, Alfreda Konickiego, sąsiada Godziewiczowej, z Bobrowej.
- Wiem, kto to Alfred Konicki. I cóż on?
- Przyjechał do karczmy... Wiesz, on do karczmy mało kiedy zagląda, ale przyjechał. Zobaczył mnie i podszedł dziarsko, jakby właśnie mnie tam szukał. Chociaż znam go mało, widywałem go tyle, co u was...
- I cóż ten Konicki? – zainteresował się Edward.
- Przysiadł się, patrzył tak, jakby zależało mu, żebym o czymś wiedział.
- Tak? – zastanowił się Edward, przeczesał palcami włosy i wbił w Antoniego pytający wzrok. – Ciekaw jestem, dlaczego?
- Chyba chciał, żebym tobie powtórzył.
- Mógł do mnie przyjechać i sam powiedzieć – obruszył się Edward.
- Może trudno mu o tym mówić.
- To powtarzaj, powtarzaj... – Edward zaciągnął się dymem. Był zaintrygowany, ale też niezadowolony z postawy Konickiego.
- Kiedy widziałeś ostatnio Godziewiczową? – nieoczekiwanie zapytał Antoni.
- Czekaj... W marcu, na pogrzebie matki. I była zaraz po pogrzebie. Potem już nie zajrzała ani razu.
- I nie zajrzy. Konicki będzie kupował Sępin...
- Jak to Sępin? – zdumiał się Edward. – A co z Godziewiczową?
- Podobno powiedziała, że nic jej tu nie trzyma, a w Przylipiu jej noga więcej nie postanie. Wyzbyła się sentymentów, odkąd odkryła, że chcieliście zmarnować Antoninę.
- Zmarnować? – Edward aż pobladł z wrażenia.

– Godziewiczowa twierdzi, że najpierw twój syn doprowadził jej siostrzenicę do gruźlicy, a potem ty, z zemsty za jakiś urojony romans, zwołałeś żandarmów i oddałeś ją w ich ręce. Hm... Powiedz mi, Edwardzie – mrugnął okiem. – To prawda? Zdradzała cię twoja żona, co?

– Nie chcę o tym mówić – odparł Edward, sięgnął do barku, wyjął butelkę i dwa kieliszki

– O, to rozumiem – zatarł dłonie Danicki i przełknął ślinę. – Ale mnie, przyjacielowi, możesz powiedzieć, co?

– Nie chcę o tym mówić – wybuchnął – bo trudno mi się z takim stanem pogodzić! Antonina za jednym zamachem odarła mnie z beztroski, z zaufania, ze wspomnień i z pewności, że nigdy więcej mi tego nie zrobi. Okaleczyła mnie i nasze małżeństwo!

– A więc jednak... Nie chciałem wierzyć Konickiemu. Teraz nie dziwię się, że nie chciał ci tego w oczy mówić. Dlaczegoś łotra nie zastrzelił?

– Konickiego? – zdumiał się Edward.

– Ech! Konickiego! Paradny jesteś. Tamtego chłystka, który śmiał tknąć twoją żonę. Ja nie namyślałbym się wcale.

– Moja matka nie przeżyłaby tego.

– Przeżyłaby. A ty uratowałeś honor.

– I co by mi z tego przyszło? Wierz mi, w moim pojęciu to właśnie ja zachowałem honor. To ja byłem uczciwy. A o miłość, której, jak przypuszczam, nie było, nie warto walczyć. Nie zamierzam upiększać przeszłości. Antonina zawsze była zimna, nie kochała mnie.

– Widzisz, a Godziewiczowa twierdzi, żeś sobie tę zdradę wymyślił.

– Ależ to nedorzecznosc! Rozum ją na stare lata opuścił. Widziała ich razem. Stała obok mnie i patrzyła na to samo, co ja!

Edward zamilkł wzburzony. Opróżnił kieliszek, po czym odezwał się znacznie łagodniej:

– A co z nią będzie? Sprzeda Sępin i dokąd pójdzie?

– Martwisz się? – zaśmiał się Antoni. Nie brakowało w tym śmiechu kpiny. – Nie ma jej już w Sępinie. Tylko Konickiemu powiedziała, dokąd się wynosi, a on trzyma gębę na kłódkę. Inna rzecz, że mnie jej los nic a nic nie obchodzi... A wyobraź sobie – strzelił palcami, jakby nagle coś sobie przypomniał – wczoraj do karczmy przyszedł jej ekonom, Drażek. Popił zdrowo i zaczął się odgrażać... – Danicki urwał, a Edward odniósł wrażenie, że przyjaciel zająknął się, bo nie chciał powiedzieć za dużo. Mimo to podchwycił temat.

– Odgrażał się, mówisz. Ale komu? Za co? Konickiemu groził?

– Niezupełnie – sumitował się Antoni. – Powiem ci, ale obiecaj, że nie przejmiesz się tym wcale, co? Tobie się odgrażał.

– Mnie? – zdumiał się Edward. – A cóż ja mam do Drażka? Nawet go nie znam, słyszałem tylko o nim, że pijus i nicpoń. Zawsze dziwiłem się Godziewiczowej, że pozwala mu darmo chleb jeść.

– Okazuje się, że może i pijus, ale nie taki znów nicpoń, skoro potrafi wszystkich chłopów ze wsi skrzyknąć i ich buntować. Przeciw pańszczyźnie, przeciw nam.

– Nam?

– Nienawiść sieje do takich jak my, siedzących na majątkach.

– Ale dlaczego on z tym do mnie? Ja pańszczyzny nie wymyśliłem – zauważył Edward.

– Nie wymyśliłeś pańszczyzny, ale pozbawiłeś go właśnie pracy, bo Godziewiczowa niby przez ciebie porzuciła Sępin.

– Przeze mnie – burknął z dezaprobatą Edward.

– Mówiłem, żebyś się nie przejmował – roześmiał się Antoni. – Takie tam odgrażanie. Nic ci nie zrobi.

Zbliżała się pora obiadowa, gdy Antoni chwiejnym krokiem opuścił gabinet Edwarda. Wypił znacznie więcej niż zwykle, lecz nie dał się namówić na pozostanie dla wytrzeźwienia, ani na odwiezienie do Olszówki bryczką.

– Złego diabli nie biorą – mruknęła Aniela, zerknąwszy przez kuchenne okno. Nigdy nie przepadała za Danickim, a myśl, że miałby spożywać przygotowaną jej własnymi rękami roladę, wyjątkowo jej doskwierała.

– To teraz nie wiem... – Opuściła bezradnie ręce Wiesia. – Ta wrona kazała podać dla niego nakrycie. A Wacławowi wydała z piwnicy dodatkowe dwie butelki wina do obiadu.

– Ty jak zwykle martwisz się nie tym, co trzeba. Nakrycie się schowa, a wino też się nie zmarnuje. Lepiej idź do Elżbietki i zapytaj, czy nauczyciela jeszcze zęby bolą, bo nie wiem, czy Kazia znów mu kleik na bulionie ma gotować.

– To niech Kazia zapyta, bo to ona nauczycielowi gotuje – obruszyła się Wiesia. – Ja nie umiem rozmawiać z wroną, bo ona nic nie mówi, tylko patrzy. A ja tego patrzenia nie rozumiem.

– A sy ty myślisz, że ja rozumiem? – Wzięła się pod boki Kazia. – Gotuję nausysielowi, boś ty się wykreśliła.

– Sama widzisz, że byłam mądrzejsza od ciebie – roześmiała się Wiesia. – Idź teraz i pytaj. Może ci odpowie.

Zanim Kazia strzepnęła fartuszek i poprawiła na włosach czepek, Elżbietka we własnej osobie odwiedziła kuchnię. Znów przy niej zrobiło się jakoś ciemniej, chociaż za oknem świeciło słońce. Wiesia ponagliła Kazię kuksańcem, ale ta stała jak zaczarowana i zbierała w sobie odwagę. Nie znosiła Elżbietki, czuła przed nią lęk, respekt, a jednocześnie jakąś

szczególną uwagę, bo potrafiła docenić umiejętności w zarządzaniu dworkiem.

– No, pytaj! – szepnęła jej do ucha Wiesia i dla odmiany czubkiem znoszonego łapcia kopnęła ją w kostkę.

– Sy nausysiela bolą zęby? – pospieszyła z pytaniem Kazia i od razu opuściła głowę. Wolą patrzeć na wysłużoną podłogę niż w nieruchome oczy ochmistrzyni.

Dlatego to Wiesia dostrzegła pełen politowania wzrok Elżbietki, z którego odgadła, że takie pytanie nie jest na miejscu. Elżbietka mogła wiedzieć, czy zęby bolą pana Edwarda albo któreś z jego dzieci, ale na pewno nie interesują jej dolegliwości byle guwernera.

Kazia, nie doczekawszy się odpowiedzi, bez słowa sięgnęła po rondel, czym prędzej wypełniła go wodą i w pośpiechu zaczęła obierać warzywa. Piotr Kostecki zje dziś na obiad kleik na bulionie bez względu na to czy bolą go zęby, czy nie.

**T**uż za wsią, gdzie krzyżowały się szlaki, wzdłuż drogi wiodącej nad strumień rozgałęziony w rozlewisko, a zaraz za wysepką przechodzący w leniwą rzeczkę, zbierali się wiejscy chłopcy. Wśród nich był Imre, choć najmłodszy i wyższy stanem, na równi z nimi znosił chrust i ciągnął grube gałęzie z pobliskiego lasu. Zaraz po zachodzie słońca rozpoczął się obrządek rozpalania ognisk. Echo niesło stukot siekier i wesołe pokrzykiwanie. Przed zapadnięciem zmroku mniejsze ogniska musiały oświetlić dobrym duchom drogę, a złe moce przepędzić na cztery wiatry. Największy i najważniejszy stos miał zapłonąć nad samą rzeką. To w nim panny będą palić zebrane tego dnia zioła.

Również w Przylipiu Kazia z Wiesią i Maryna z Józią zrywały o poranku ziele rozsiewające najsilniejszą woń, bo tylko takie odczyniało uroki. Tymianek, lebiodka, ruta, koper włoski, rumianek i geranium pachniały w sieni tak mocno, że psy czmychnęły z domu i nie wróciły nawet na wołanie Stasia, za którym przepadały.

Imre pękał z dumy. Nikogo nie pytał o zdanie, czy może pójść nad rzekę. Palenie ognisk było dla niego ważne, odkąd usłyszał od Kajetana o mocy sobótkowych płomieni. Miały chronić od nieszczęścia, a w życiu Imrego dość było tragedii. Miały nieść miłość, zdrowie, bogactwo i spokój, a on już dawno upatrzył sobie Zosię za żonę. Dla niej chciał być silny

i bogaty. Niech no tylko Zosia podrośnie i zacznie nosić długie sukienki, już on postara się o jej serce. Nie miał nawet cienia wątpliwości, że ona również tego chce. Przecież dla niego podkradała cukier z kuchni i biegała z nim nad jezioro, chociaż Malwina gniewała się o to. Nie miał też wątpliwości, że dziewczynka przyjdzie nad rzekę. Od kilku dni powtarzał jej słowa Kajetana o czarowaniu, skakaniu nad ogniem, tańcach i śpiewach. Widział, jak jej oczy świecą się do tego.

A teraz, zanim przyjdą dziewczęta, trzeba pobiec na chwilę do domu, obmyć się z potu i pyłu, założyć czystą koszulę. Potem wrócić tu, bo dziś letnie przesilenie, czas słońca i księżyca, ognia i wody, kobiety i mężczyzny.

– Tatku, ja tatka bardzo, bardzo proszę – Zosia wślizgnęła się do gabinetu, wdrapała się ojcu na kolana i przymilnie głaszcząc jego brodę, całując na przemian obydwie gładko ogolone policzki, nudziła: – Wszystkie panny plotą teraz wianki...

– Zosiu, nie naprzykrzaj się – opędzał się od niej Edward. – Pleć wianków, ile chcesz. Zielska wszędzie pełno, a ja ci przecież nie bronię.

– Tatku, to nie o wianek chodzi...

– No więc czego chcesz jeszcze, natrętna mucho?

– Tatku, proszę pozwolić mi pójść nad rzekę...

– Nie, nie, nie. Kategorycznie nie. Jesteś panną, ale jeszcze zbyt małą. Nie marudź już, pozwól mi pracować.

Zosia zsunęła się z kolan ojca i w milczeniu, z oczami pełnymi łez, ruszyła do drzwi.

– Twoja babcia Rozalia też nie zgodziłaby się na to – dodał na usprawiedliwienie. Było mu przykro, nie lubił niczego odmawiać córeczce.

Zosia rzuciła mu kose spojrzenie i wygięła usteczka w podkówkę.



– A Stasiowi wolno – szepnęła.

– Co powiedziałaś? – uśmiechnął się niepewnie. Negocjacje z małą dziewczynką wydały mu się po stokroć trudniejsze niż z dorosłą kobietą.

– Stasiowi wolno – powtórzyła posępnie.

– Twój brat ma prawie szesnaście lat, a ty zaledwie siedem.

– Prawie osiem.

– Za pół roku. To zresztą nie ma znaczenia. Nie pozwolę ci samej iść nad rzekę.

– Przecież nie pójdę sama, tylko ze Stasiem – ożywiła się dziewczynka. – Imre też tam będzie.

– Imre w ogóle robi, co mu się żywnie podoba – mruknął Edward i zaraz dodał: – Nie lubię tego twojego nagabywania. To niegrzeczne. Babcia Rozalia gniewałaby się za to.

– Ale tatko się przecież nie gniewa, prawda? – uśmiechnęła się czarująco, a on w tym uśmiechu ujrzał Elizę. Jej zmarszczony nosek, zmrużone szare oczy, a w nich wesołe iskierki. Zateśnił.

– Nie umiem gniewać się na ciebie – rzekł cicho. – Dobrze, w takim razie poproszę Malwinę, żeby z tobą poszła.

– Dziękuję, tatku! – podskoczyła Zosia i klasnęła w ręce. – Dziękuję! – podbiegła znów do niego, ucałowała pachnącą tytoniem rękę i wybiegła z gabinetu jak wicher.

– Aż się boję, co z niej wyrośnie – westchnął, po czym wstał od biurka i ruszył na poszukiwanie Malwiny.

Znalazł ją w tej części ogrodu, gdzie Rozalia pielęgnowała swoje zioła. Zebrała już spore naręcze piołunu, a jeszcze schylała się po kolejne gałązki. Widział jej delikatny profil ocieniony rosnącą nieopodal młodą jarzębiną. Wyglądała tak ślicznie, że bał się spłoszyć ten obrazek. Ona jednak usłyszała kroki, wyprostowała plecy i dłonią osłoniła oczy przed słońcem.

Dopiero teraz go rozpoznała. Odrzuciła do tyłu ciężki warkocz i poprawiła zbyt rozchylony dekolt lnianej bluzki.

– Ktoś zachorował na niestrawność? – zapytał żartobliwie, wskazując osobliwy bukiet.

– Nie, to do wianków – odparła.

– Racja, dziś Noc Kupały – uśmiechnął się ze zrozumieniem.

Nie odwzajemniła uśmiechu. Poruszyła nieznacznie ramionami i zauważyła niefrasobliwym tonem:

– Nie dla mnie te wianki.

– A ja właśnie przyszedłem cię prosić, żebyś towarzyszyła Zosi. Uparła się pójść nad rzekę, a przecież nie puszczę jej samej. Zgoda, będzie tam Staś, ale... – zawiesił głos.

– Jak pan sobie życzy – rzekła oficjalnym tonem, udając obojętność. Dostrzegł jednak ledwie zauważalny grymas, po którym poznał, że gdyby nie jego prośba, nie wybrałaby się tam wcale.

Jej poprawna beznamietność, chłód w oczach i zupełny brak uniesień sprawiały, że tracił siły na przedzieranie się przez milczenie, na rozbijanie skostniałego serca, w którym czały się może kłamstwa, a może nadzieje. Ponieważ nie powiedział nic więcej, przycisnęła do siebie gałązki piołunu i odeszła tym swoim rozkołysanym krokiem. Potem splatała wianki w altanie, a siedząca u jej stóp Zosia podawała kwiaty, wstążki, rutę i gałązki piołunu. Na koniec świecę, którą Malwina wpinała mocno, obwiązując jeszcze dla pewności wiązką trawy. Świeca nie miała prawa przechylić się ani wypaść, gdy będzie płynęła z nurtem strumienia.

– Nie powinnaś na nic upierać się w rozmowie z ojcem, Zosiu – napominała łagodnie dziewczynkę. – To niegrzeczne, dorosłym należy się szacunek.

– Wiem – odparła Zosia. – Ale Staś powiedział, że dziewczynki każdy uczy przymilania, a to się nie opłaci.

– Nie opłaci? – Malwina parsknęła śmiechem.

– Grzecznym dzieciom dorośli wszystkiego zabraniają. Staś powiedział, że zawsze warto się potargować – uśmiechnęła się szelmowsko.

– Twoja babcia byłaby innego zdania – zauważyła kwaśno Malwina. – Dzieci powinny korzystać z wiedzy i doświadczenia dorosłych.

– Im też nie wszystko się udaje – stwierdziła Zosia. – Staś powiedział, że dorośli nie zawsze mają rację. Na przykład wtedy, gdy babcia Rozalia uderzyła mnie za korzeń, a potem przeze mnie umarła. A ja nie zabrałam korzenia – dodała płaczliwie.

– Babcia Rozalia nie umarła przez ciebie – oburzyła się Malwina. – Kto ci takich rzeczy naopowiadał?

– Nikt. Ja sama... – chlipnęła mała.

– Posłuchaj, kochanie – Malwina odłożyła wianek na stół i wyciągnęła rękę do Zosi. Dziewczynka z ufnością wtuliła się w jej ramiona i przez chwilę płakała bezgłośnie. – Posłuchaj, kochanie – powtórzyła Malwina. – Twoja babcia bardzo cię kochała, ale miała chore serce. Akurat tego dnia jej serduszko postanowiło odpocząć...

– Boję się – Zosia odsunęła się nagle od swojej opiekunki i zajrzała jej w twarz – Boję się, bo wszyscy, którzy mnie kochali, umierają... Mamusia Eliza i mamusia Antonina. A potem babcia Rozalia.

– To nie jest tak, Zosiu – sprostowała Malwina. – Ja też cię Kocham, a jak widzisz, żyję. I twój tatko cię kocha, i Staś... Naprawdę, nie jest tak jak myślisz.

– Ale ja cały czas się boję...

– Nie trzeba, kochanie, nie trzeba – Malwina pogładziła ją po drżących ramionkach i uśmiechnęła się ciepło. – A teraz, spójrz, mamy takie same

wianki, widzisz? Tylko tobie wplotłam chabry, a sobie rumianki...

– Chciałabym, żebyś była moją mamusią – westchnęła Zosia.

Wszyscy tam byli. Cała wieś. Służba z pobliskich majątków, a nawet niektórzy jaśnie państwo, niemowlęta w ramionach matek, dzieci ledwo odrosłe od ziemi i młodzież, aż po najstarszych przedstawicieli okolicy. Wszyscy chcieli się bawić i zaznać tego niepowtarzalnego, mistycznego czasu. Na tę noc szczególnie czekali jednak ci, którzy mieli nadzieję spotkać miłość swojego życia. Tej nocy nikt nie słuchał rodziców ani rad swatów. Każdy szedł za głosem serca, a jakaś moc tajemna, z iskier i gwiazd utkana w zaczarowany sposób te serca łączyła.

Zosia, ściskając kurczowo dłoń Malwiny, rozglądała się wokół z fascynacją i zadziwieniem. Panujący wokół gwar, ekscytacja, płynące z wiatrem przyśpiewki, śmiech, niedalekie szepty par, które miały się ku sobie i teraz namawiały się sekretnie, wszystko to oszałamiało ją, wirowało w głowie. Szukała wzrokiem Imrego, który na chwilę tylko przybiegł do domu, niczym parobek uprosił u Anieli kawał chleba ze smalcem, wylał na siebie pod studnią cebrzyk wody i przebrawszy się w białą koszulę, pognął z powrotem na złamanie karku. Trudno było wypatrzeć go wśród podobnie ubranych wyrostków, zwłaszcza, że Imre był najdrobniejszy z nich wszystkich.

Również Malwina, przystrojona w uwite zioła i kwiaty, błędziła wzrokiem po malowanych blaskiem ognia twarzach, między którymi drgały namiętności i słowa sposobiące do przyszłych pocałunków. Uda i ramiona dziewcząt i chłopców zwierzały się bezwstydnie, a oczy wędrowały ku gęstwinie drzew, gdzie przystrojona w gorące szepty noc miała się spełnić.

Zarumienione policzki i roziskrzone oczy Malwiny przyciągały niejedno pożądlive spojrzenie, lecz jej powaga i duma utrzymywały męską jurność w ryzach. Jedynie zuchwały i bezceremonialny temperament

Danickiego nie uznawał przeszkód. Od dłuższego czasu obserwował z daleka dziewczynę, a butelką gorzałki dodawał sobie jeszcze animuszu. Z każdym łykiem jego myśli i zamiary stawały się bardziej rozpustne. Ech, gdyby nie Zosia, uczepiona spódnicy tej bogini... Dopadłby Malwinę i bez ceremonii, jak byle parobek, posiadł w najbliższych zaroślach – myślał lubieżnie. Jak na życzenie Danickiego, tuż przy nim zatrzymał się Imre i, marszcząc brwi, taksował wzrokiem okolicę.

– Hej, szukasz kogoś, chłopcze? – zaczął go życzliwie Danicki.

– Dobry wieczór – skłonił się z uśmiechem Imre. – Rozglądam się za Zosią, mówiła, że przyjdzie, jeśli jej tatko pozwoli.

– Tam, widzisz? – wskazał mu wypełnioną do połowy butelką miejsce, gdzie stała dziewczynka z Malwiną. – Pod wierzba.

– Dziękuję, panie Antoni! – ucieszył się chłopiec. – Zosia miała wianek puścić na wodę. Muszę go wyłowić!

– Koniecznie, koniecznie – mruknął dobrotliwie Danicki. – Chociaż myślałem, chłopcze, że to mój Jędrak zakręci się koło Zosi.

– O, nie pozwolę na to – oznajmił hardo Imre. – Nikomu nie pozwolę!

– No to biegnij do niej, i zabierz na brzeg, bo jeszcze ktoś cię uprzedzi – roześmiał się rubasznie. – A bacz, żeby wianek ładnie płynął i nie utknął w zaroślach!

Kiedy chłopiec oddalił się wreszcie, Danicki upił jeszcze łyk gorzałki, odrzucił butelkę za siebie i niespiesznie ruszył ku Malwinie.

Dalekie okrzyki i stłumione pieśni niósł wiatr znad rzeki.

Edward słyszał te głosy pośród ciszy, która zaległa w opustoszałym dworze. Kto żyw, pobiegł świętować albo choćby zaspokoić ciekawość, komu z kim po myśli dzisiaj będzie. W domu została jedynie Elżbietka i to właśnie ona zakłóciła samotność Edwarda.

– Pan tutaj? – udała zdziwienie. Nie czekając na odpowiedź, zaczęła krzątać się koło świec. Salon pogrążony był w mroku, a pan Stalicki ze swoją zadumą nie zamierzał tego zmieniać. Stał przy oknie, za którym zaledwie kilka gwiazd rozpraszało ciemność. Księżyc skrył twarz w cieniu, uciekł od sobótkowych swawoli. Był w nowiu.

– A tutaj – odparł leniwie. – Wszyscy tam, nawet zagadać nie ma do kogo – poskarżył się z pozornym żalem. W rzeczywistości cieszył się ze spokoju, odpoczywał.

Elżbietka zapaliła świece, a kandelabr ustawiła na kominku. Po salonie rozlał się ciepły blask, lecz jej twarz pozostała w ciemności. Ta gra światła i cienia wydała się Edwardowi mistyczna, a intuicja nieoczekiwanie jawiła się jako równie wiarygodny instrument poznania, co towarzyszący mu na co dzień rozsądek. Dlatego następne słowa Elżbietki wznieciły w nim niepokój.

– Wszyscy tam – potwierdziła. – A niektórzy nie powinni się spotkać. Zwłaszcza dzisiaj.

– Kto? – zapytał. – Kogo Elżbietka ma na myśli?

– Mój szwagier nie na wodzie panieńskich wianków będzie szukał... – rzuciła i pokiwała głową.

Edward wiedział, że nie może oczekiwać od niej niczego więcej, ale i niczego więcej nie potrzebował. Gwałtownie wybiegł z domu, dosiadł Nimfy i pognął nad rzekę.

Wzrok Malwiny był skupiony, gdy stanąwszy na palcach, obserwowała Zosię. Dziewczynka w towarzystwie Imrego ufnie zbliżała się do brzegu rozlewiska. Zosia nieoczekiwanie odwróciła się jeszcze na chwilę z zamiarem pomachania Malwinie i zdziwiła się bardzo, nie znajdując jej na dawnym miejscu.

– Chodź – pociągnął ją za rękę Imre. – Wszystkie wianki już na wodzie, widzisz?

– Nie wszystkie – sprzeciwiła się. – Malwina swój ma jeszcze przy sobie.

– Bo ona nie ma dla kogo puszczać wianków, a ty masz mnie – rzekł chełpliwie, po czym wskazał jej duży kamień, który ktoś wrzucił do rzeki, by ułatwić dziewczętom zadanie.

Ułożony na deseczce, spleciony z siedmiu ziół wieniec, migocący ruchliwym płomykiem świecy najpierw płynął gładko. Zosia śledziła go z zapartym tchem, a Imre wyprzedził stroik łądem i pobiegł tam, gdzie był najłatwiejszy dostęp do rzeki, a woda rozlewała się w płytkie lustro. Tam też przekrzykiwali się i przepychali chłopcy, którzy wypatrywali wianków wybranych dziewcząt.

Antoni Danicki miał teraz Malwinę jak na dłoni. Nie zauważyła go, ponieważ nie spuszczała oka z Zosi bawiącej się z Imrem w puszczenie wianków. Zatrzymał się jednak w pół kroku i zaklął po cichu.

– A niech to diabli...

– Malwina! – rozdarł powietrze rozradowany głos. – Moja kochana, nie spodziewałam się ciebie tutaj!

– Niech to! – powtórzył ze złością Antoni i zawrócił.

Będzie musiał obejść się bez jej wdzięków.

Wanda wyprzedziła swojego towarzysza i tuląc do siebie flanelowe zawiniątko, biegła w kierunku przyjaciółki.

– Malwina! Wszystkiego bym się spodziewała, tylko nie ciebie tutaj!

– Wanda – ucieszyła się Malwina. – Tak dawno cię nie widziałam! Ale cóż to? Kogo tam chowasz? Pokaż!

– To Kasia, nasza córeczka – oznajmiła z dumą Wanda i obejrzała się na męża. – Chciałam dać jej Zosia, ale Wojtek się nie zgodził.

– Dlaczego?

– On nie lubi tych, co na majątkach siedzą, a Zosia, sama wiesz...

– Rozumiem – uśmiechnęła się Malwina. – Jesteś szczęśliwa? – zapytała szeptem, przyglądając się niemowlęciu.

– O tak, bardzo – odparła szybko Wanda. – Jestem u siebie, nie na służbie. Wojtek mnie szanuje i mam dziecko, którego bardzo pragnęłam.

– Zasłużyłaś na to – uśmiechnęła się Malwina. Zaraz jednak uniosła głowę i zmarszczyła brwi.

– Nie widzę Zosi... Przepraszam cię, Wandziu, ale nie dla rozrywki tu jestem.

– Domyślałam się – zaśmiała się Wanda. – Z własnej woli wcale byś nie przyszła. Nigdy nie lubiłaś tych zabaw. Ale wianek, widzę, uwiłaś.

– Tak, plotłyśmy ziele razem z Zosią.

– Puść go więc na wodę!

– Po co? Zapłaczę się w zarośla i tyle...

– A może los będzie chciał inaczej? – namawiała Wanda. – Jego nie oszukasz, puść... Zrób to dla mnie.

– No, dobrze – westchnęła Malwina. – Dla ciebie. Zaczekaj tu.

Zbiegła na brzeg, umieściła wianek na deseczce, którą dla przyłipskich panien wystrugał Kajetan, i zapaliła świecę.

– Płyń – szepnęła. – I nie daj się złapać byle komu...

Pozostawiwszy los wianka w rękach pogańskich duchów, powróciła do przyjaciółki.

Radość ze spotkania nie trwała długo. Niemowlę rozplakało się i Wanda musiała wrócić do domu, Malwina zaś postanowiła dołączyć do Zosi.



Edward tymczasem przywiązał Nimfę do drzewa i poszukiwał wzrokiem znajomych sylwetek. Wreszcie w blasku ognisk dostrzegł idącą brzegiem rzeki Zosię a po chwili Imrego, który brodził po wodzie. Stalicki ruszył w ich kierunku.

– Nie ten! Nie ten! – piszczała Zosia, gdy Imre próbował wyłowić niewłaściwy wianek.

Rozbawiony Edward podszedł do córeczki.

– Tutaj jesteś! – zawołał i chwycił ją na ręce.

– Nie teraz, tatku! Proszę mnie puścić – wierzgała nogami i wyrywała się z jego objęć. – Nie widzę mojego wianka!

Po zmartwionej minie chłopca poznał, że i on stracił stroik z oczu. Zdjął więc buty, podkasał spodnie i sam wszedł do wody.

– Już widzę! – zawołał Imre. – To ten, na deseczce!

Ale omylił się. Wianek Zosi wplątał się w gałęzie i utknął, tylko świeca nadal się paliła. Nie wiedział o tym Edward, chwycił wianek wskazany przez chłopca i wyniósł na brzeg.

– Proszę – podał Zosi. – Imre go wypatrzył, więc to tak, jakby on wyłowił, prawda?

I zdziwił się bardzo, gdy dziewczynka pokręciła głową.

– Nie, to tatko go wyłowił. I to nie jest mój wianek...

Nie wolno tak patrzeć, szukać nawzajem pociemniałych żarliwością oczu. Nie wolno tak patrzeć, bo wszyscy odgadną, co rodzi się właśnie, a może istnieje od dawna, ale tylko ta noc potrafi o tym opowiadać.

Lepiej niczego nie obmyślać, nie pragnąć. Co ma być, niech samo się spełni. A wtedy nie trzeba walczyć, nie trzeba bać się, że wszystko się prześni, odpłynie.

– To mój wianek – powiedziała Malwina.

– Wiem – odparł Edward bardzo, bardzo cicho.

**K**im jest ona, lgnąca tak blisko, ogniście, tak kamiennie cicha? Przykłada policzek do jego piersi, liczy uderzenia serca, nasłuchuje. Lecz ani przez skórę, ani przez całe jego ciało nie przenikają żadne myśli.

Kim jest on, z obręczą mocnych ramion? Przyciąga ją do siebie, nawija na palce pierścionki jej włosów, próbuje słów, lecz te zamykają się w milczeniu.

Kim są oni, dzielący namiętność, chłodne prześcieradło, a potem włos na czworo? Grają w pytania bez odpowiedzi, choć noc zapewnia, że nie trzeba tu żadnych wyjaśnień, żadnych słów, bo ona w puste miejsca wstawiła już jego imię, a on czuje, że wszystko jest nią.

- Edwardzie...
- Tak, kochanie?
- Nie chcę, żeby ktoś wiedział.
- O czym?
- O nas.

Dzień wstał ptasim świergotem, wiatrem w firance. Cesia ze śpiewem na ustach otworzyła wszystkie okna wychodzące z korytarza. Kuchnia ożywiła się szcękaniem łyżek, fajansowych kubków i słodkawym

zapachem mleka. Wacław, dopinając guziki, pobiegł odebrać od kuriera gazety, potem zaniósł je do gabinetu pana Stalickiego i ułożył pedantycznie na biurku. Maryna, ziewając szeroko, zawiązywała wstążki krochmalonego fartuszka. Zaraz napełni świeżą wodą dzbanki, które zostaną rozniesione po pokojach. Józia, wtórując Cesi, mruzczała pod nosem *Kiedy ranne wstają zorze* i obdzielała psie miski okraszoną kaszą, Inanie zaś naląła pełną miseczkę mleka. Tylko Alojzy nic jeszcze nie robił. Ukradkiem wypalał za domem pierwszego tego dnia papierosa i nasłuchiwał bacznie, czy nie nakryje go na tym występku ochmistrzyni. Elżbietka przechadzała się jak paw, aż zatrzymała się w końcu korytarza, skąd miała na wszystkich najlepszy widok.

Zaczął się zwyczajny dzień, czwartek. Zwyczajny, bo nikt w Przylipiu nie wiedział, że w tej właśnie chwili, w sypialni Edwarda, wtulona w jego ramiona, budzi się Malwina.

– Zaspałam... – jęknęła ze zgrozą i poderwała się gwałtownie.

Edward otworzył oczy i w zachwycie obserwował jej smukłe ciało, które pospiesznie ukrywała pod suknią. – Wszyscy już na nogach – szepnęła w panice. – Jakże stąd wyjdę?

– Jesteś najpiękniejszym zjawiskiem stąpającym po ziemi – westchnął oczarowany. – Nie chcę, żebyś odchodziła.

– Edwardzie...

– Dobrze, rozumiem – uśmiechnął się gorzko. – Zaczekaj, wyjrzę na korytarz.

Uchylił drzwi i wysunął głowę.

Elżbietka zmarszczyła brwi. Jej wzrok wyostrzył się, a pierś uniosła w zatrzymanym oddechu.

Nie wypada tak stać i patrzeć, kogo pan Edward przyjął tej nocy do swojej sypialni. Dlatego skinęła mu tylko głową i przemknęła obok jego

pokoju jak mgła.

W holu spotkała Zosię. Wygląd dziewczynki nie budził wątpliwości, kto dzielił dziś łóżko z panem Edwardem. Miała na sobie strojną świąteczną sukienkę, rozwiązane buciki i potargane włosy. Wstążki zaś ścisnęła w rączce.

– Szukasz kogoś? – zapytała Elżbietka.

– Nie – odparła szybko. – Czy Elżbietka pomoże mi zawiązać kokardy?

– Oczywiście, tylko wróć do swojego pokoju.

Jeszcze tego by brakowało, żeby cała służba zauważyła, kto zajmuje się Zosią. Zaraz odgadną, że Malwina zasnęła. I będą snuć domysły, w którym łóżku.

– Dobrze! – zgodziła się Zosia i pobiegła z głośnym tupaniem, wlokąc po podłodze rozwiązane sznurówki.

Przy śniadaniu miała już na sobie zwyczajną, jak na letni poranek przystało, perkalową sukienkę i równiutko splecione warkoczyki.

Malwina unikała skupionych na sobie spojrzeń. Jej twarz, bledsza niż zwykle, z pozoru emanowała spokojem. Jednak pod enigmatyczną maską kryła lawinę niespokojnych myśli.

Piotr Kosteczki odjeżdżał tego dnia na wakacje.

Prócz radości Stasia i Imrego, zmęczonych nudnawymi lekcjami nauczyciela, nie sposób było nie dostrzec zadowolenia Kazi, która dość miała zastanawiania się, czy pana Kosteckiego bolą zęby czy też nie.

– Może w Warszawie jakiś syrulik mu te zęby wreszcie powyrywa – burczała.

– Jaka Kazia niełaskawa dzisiaj – dogryzała Wiesia. – Chyba dlatego, że wianek w siną dal popłynął i nikt go nie złapał!

– A skąd wiesz, że nie złapał? – ujęła się pod boki Kazia. – Zeka długa, a kawalerów nie brakuje. Może który i złapał?

– A jak złapał, to się nie przyzna, żeby pyskatej baby na głowę sobie nie brać – ucięła Aniela. – Leć no, Kazia, do ochmistrzyni, niech komorę otworzy. Szynka zapeklowana stoi, a dwa tygodnie już minęły – dodała.

– A dlasego znowu ja? – buntowała się Kazia. – Niech choć raz Wieśka do tej wrony izie!

– Ja nie rozumiem jej patrzenia, mówiłam już – wzbraniała się Wiesia. – Zresztą, jak znam życie, ona sama zaraz tu przyjdzie. Zawsze przychodzi, kiedy o niej mowa. O, już ją słyszę, kluczami dzwoni...

– Czas na szynkę – oznajmiła od progu Elżbietka i skinęła na Anielę.

Wiesia i Kazia wymieniły się spojrzeniami. Po Przylipiu nie od dzisiaj krążyły słuchy, że ochmistrzyni z diabłem się pokumała. Bo inaczej skąd wiedziałyby, kto o czym rozmawia? Teraz to i pomyśleć o czymkolwiek strach, bo ta wiedźma i myśli cudze zaraz odgadnie – niepokoiły się pomocnice.

Aniela odeszła od garnków i ruszyła za Elżbietką do piwnicy. Milczały obie. Ochmistrzyni zwyczajowo, a kucharka dla towarzystwa. Skwierczała tylko świeca, którą Elżbietka niosła przed sobą. Kiedy znalazły się na dole, a słaby blask omiółł chłodne, wilgotne wnętrze, coś kazało Anieli spojrzeć w lewo. Nigdy tam nie chodziła, bo nie było po co. Nawet pani Rozalia udawała, że nic tam nie ma. Tymczasem w mroku zakamarka kryły się drzwi, których nigdy nie otwierano i nigdy o nich nie rozmawiano. Aniela domyślała się jednak, że tam właśnie ukryty jest majątek Zosi. I nie, na pewno nie były to omamy, że drzwi skrzypnęły cicho, jakby poruszył je przeciąg.

Ktoś tam zaglądał. Ktoś, kto jest ciekawski i ma dostęp do wszystkich przylipskich zamków...

– Za mało gęsiny – stwierdziła Elżbietka, przeliczywszy stojące na półkach słoiki. – Trzeba gęsi bić.

Aniela spiorunowała ją wzrokiem.

– Pani Rozalia kazała bić jesienią – rzekła. – A czasem przed Bożym Narodzeniem.

– Jeśli od lata hodowała – odparła spokojnie Elżbietka.

Aniela zmilczała tę uwagę. Prawdą było, że tegoroczne gęsi na sam początek wiosny się wykluły, a dziś każda ważyła już dobrych dziesięć funtów. Podniosła z kamiennej podłogi gliniany garnek z mięsem i skierowała się do drzwi.

– Czy na podwieczorek przygotować dziś suflet? – zapytała, zatrzymawszy się przed progiem kuchni.

– Suflet? – uniosła brwi ochmistrzynie. I kiedy Aniela pomyślała, że to wszystko, co ma do powiedzenia, Elżbietka nieoczekiwanie dodała: – Zapytam o akceptację panią Malwinę.

Zaakcentowała tę „panią Malwinę” i poszła sobie.

Zostawiła pełną niedowierzania, osłupiałą, a kto wie, może nawet potępiającą i zgorszoną kucharkę. Z zadowoleniem niosła czający się w kącikach ust uśmiech pełen satysfakcji. Kto sieje, ten zbiera – myślała. Już ona zasieje, a Malwina niech zbiera. Dość upokorzeń, które znosiła w Olszówce u Danickich. Niech wreszcie będzie panią. Dość jej krzywdy.

Dość krzywdy kobiet. Od stuleci tyle się zmienia. Wojny, powstania, rewolucje i ewolucje. Kobiety wciąż traktowane są jak należne mężczyznom trofea.

Zaciśnięte usta Anieli nie zachęcały do rozmów. Wiesia i Kazia porozumiewały się wzrokiem, nie chciały rozsierdzić kucharki, która wyglądała, jakby za chwilę miała pęknąć. Nie miały pojęcia, co się stało,

mogły jedynie domyślać się, że wszystkiemu winna ta wrona. Pewnie zdenerwowała czymś Anielę, a teraz one poniosą tego konsekwencje, bo kucharka odbije złość na nich.

Tymczasem Aniela nie mogła zaznać spokoju. Pod byle pretekstem udała się znów do piwnicy. Miała rację, komora była otwarta. I zupełnie pusta...

Ciężko w sercu taki sekret nosić, gdy zwierzyć go nie ma komu i nie ma kogo się poradzić. Bo może pan Stalicki o niczym nie wie? Przecież do piwnic prawie nie zagląda. A może kosztowności sam schował, zanim przekazał klucze ochmistrzyni? Mówić mu, czy nie mówić... Może najpierw z Józią porozmawiać, ona zawsze pod drzwiami podsłuchuje, może coś wie.

Zaraz po kolacji, gdy Wiesia z Kazią uprzątały kuchnię, a Józia w salonie czyściła z wosku świeczniki, Aniela wsunęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi.

– Co tam? – zapytała życzliwie. – Przyszła mi Anielcia pomóc? Za czasów pani Rozalii świeczniki czyściło się raz na tydzień, a teraz po każdym paleniu świec.

– Nie przyszłam ci pomóc, dość mam swojej roboty w kuchni. Przyszłam, bo pytanie mam do ciebie.

– To niech Aniela pyta.

– Tylko żebyś nie powtarzała nikomu.

– Co też, Aniela? – oburzyła się Józia. – A komu miałabym powtarzać? – Chuchnęła na srebrne ramię świecznika i zaczęła je zawzięcie polerować.

– Wiem, że czasem lubisz coś podsłuchać...

Józia łypnęła na nią z ukosa.

– Jak wszyscy – przyznała.



– To może wiesz, co stało się z majątkiem Zosi?

Józia odrzuciła flanelową ściereczkę, ujęła Aniela za łokieć i odciągnęła jak najdalej od drzwi. Była niemal pewna, że podsłuchuje także Elżbietka.

– Aniela o takie rzeczy pyta, a chyba tylko ochmistrzyni o tym nie wie – powiedziała szeptem.

– Do nas, do kuchni żadne plotki nie docierają – naburmuszyła się Aniela.

– Jakie znów plotki? – nadała się Józia. – Alojzy na własne uszy słyszał, bo kiedy to się działo, pod drzwiami stał. I powiedział tylko Wacławowi. A Wacław zawsze powtarza wszystko Marynie. Nie jego wina, że Maryna opowiada potem Cesi, która powiedziała mnie, bo wie, że we mnie, jak w grób!

– Ale chyba mnie możesz powiedzieć – zniecierpliwiła się Aniela.

– Ale tylko Anieli... – zastrzegła Józia, nachyliła się nad uchem kucharki i wyznała: – Podobno pan Edward żandarmom wszystko oddał na okup za panią Antoninę. Staś chciał go nawet za to zastrzelić, Alojzy widział jak niósł flintę. Ale jak widać, nie zastrzelił. Co było dalej nie wiemy, bo Staś zostawił drzwi otwarte i Alojzy nie mógł dłużej podsłuchiwać.

– Czyli Zosia nie ma majątku?

– Nie ma.

– I na nic się to nie zdało, bo pani Antonina nie wróciła.

– Na to wychodzi.

Aniela pokiwała głową.

– Taki to los ludzki – westchnęła ze smutkiem.

Elżbietka zmierzała do gabinetu Edwarda pospiesznie, z nerwową niecierpliwością. Właśnie zrobiła rozrachunek i odkryła, że Przylipie

ponosi zbyt duże wydatki. Postanowiła to zmienić i to jak najszybciej. Bo Elżbietka wszystko musiała załatwić od ręki, żeby nie zalegało, nie uwierało, nie dręczyło. Dlatego do drzwi Edwarda zapukała gwałtownie i natarczywie.

– Pali się czy co? – mruknął i zdjął z biurka nogi obute w najnowsze, sięgające za kostkę, kamasze. Matka zawsze ganiła go ze ten zbyt swobodny obyczaj.

Zaraz też przywołał się do porządku, widząc, że to ochmistrzyni zakłóca jego spokój.

– Co tam, moja Elżbietko? – zapytał, siłąc się na uprzejmość. Ochmistrzyni wtargnęła w jego zadumę, w jego wypełnione Malwiną myśli, w jego zakochanie.

– Za dużo służby – oświadczyła krótko i wbiła w Edwarda nieustępliwy wzrok. – Zwolnić – dorzuciła stanowczo.

– Jak to, zwolnić? Kogo? – jęknął.

Zaskoczyło go tak radykalnie i nieoczekiwanie postawione żądanie w momencie, gdy wspominał jedyną rajską noc z Malwiną i wciąż marzył o jej wieczornym przekradaniu się i zasypianiu z nią o świcie. Po tej nocy nie był w stanie zliczyć, jak często w ciągu dnia zrywał się, żeby biec do niej, dzielić się jakąś myślą, słowem, zdarzeniem. Zaraz jednak markotniał przybity i rozczarowany, że Malwina pozostaje wciąż daleko, a jego wyobrażenie o związku z nią jest zaledwie paradą niespełnionych marzeń.

Pomysł Elżbietki, tak odległy od jego myśli, wytrącił go z równowagi.

– Kogo Elżbietka chce zwolnić?

– Maryna, Józia i Alojzy są tu bez potrzeby – stwierdziła ochmistrzyni. – Nie mają komu usługiwać.

Jak zimno, jak obojętnie przeprowadziła go przez korowód nieobecnych. Przyłipie pustoszało, a pokoje nie rozbrzmiewały już głosami

babki Walerii, Elizy, matki, wuja Zygmunta czy Antoniny. Czasem w powietrzu unosiło się ledwo wyczuwalne dawne westchnienie, w pamięci zbudził się jakiś uśmiech lub zabołał smutek. Ale wszystko umykało, bo nawet ślad palców na meblach i przedmiotach starannie usuwano wraz z cieniutką warstwą kurzu.

To prawda, nie ma komu usługiwać... Nie ma też kogoś, kto by wysłuchał, odpowiedział, ucieszył się albo zmartwił. Kto pochwaliłby albo zganił. Zgodził się na coś lub nie zgodził. Nie było nikogo do szczerych rozmów, sprzeczek, do udzielania rad.

Jak okrutnie uświadomiła mu istnienie zwiędłych sukien, bezradnie opuszczonych rękawów, uwięzionych w kufrach zapachów, niemodnych kapeluszy, zdeptanych butów, szuflad pełnych posepnych pamiątek, zawieszonych słów i zamkniętych książek... Jak lekko chciała pozbawić go przeszłości, trwania...

– Nie chcę ich zwalniać – sprzeciwił się ze smutkiem. – Są dla mnie ważni. Wraz z Józią odejdzie wspomnienie upinania włosów babce Walerii, a znów Alojzy...

– Alojzy to nicpoń – przerwała sucho Elżbietka. – A to, o czym pan mówi, to wszystko sentymenty. Dość kosztowne. Służba, która nie ma co robić, patrzy tylko za lekkim chlebem.

– Elżbietka im to powie? – uśmiechnął się kwaśno.

– Tak.

– Przecież Elżbietka słów nie używa.

– Jak trzeba, używam.

– Dość skąpo – zauważył. Nie był w dobrym nastroju.

– Słowa to część mnie, a ja nie zwykłam rozdawać siebie byle komu, na prawo i na lewo – odgryzła się.

– Czy ja wiem... Myślę, że to wszystko, czego się nie powie, kiedyś w trumnie będzie uwierać.

– Nie będzie – ucięła. – Człowiek na starość jak worek sparcieje, a wtedy wszystko z niego samo się wysypie.

– A jak nie zdąży sparcieć? – mruknął Edward i zerknął na wiszący nad biurkiem portret matki. – Wtedy słowa umrą z człowiekiem...

– Pełnia – odezwała się półgłosem Wiesia i ziewnęła szeroko. – Na pewno już nie zasnę. Nigdy nie śpię, kiedy księżyc tak mocno świeci.

– I ja budzę się co chwilę – podchwyciła Maryna. – Widno jak w dzień, więc myślę, że pewnie czwarta, to jeszcze z godzinkę poleżę, zanim trzeba będzie wstawać, a tu zegar w holu dopiero północ bije...

Przechyliła się przez poręcz ganku, zerwała gałązkę jaśminu i zaczęła skubać płatki kwiatków.

Dochodziła pierwsza, a one w chłodną już, sierpniową noc siedziały we dwie na schodkach z tyłu domu i wpatrywały się w zapadłe w ciemność drzewa. Ledwie posrebrzone księżycowym światłem, wyglądały widmowo, lecz dziewczęta wołały patrzeć w czerń sadu niż spoglądać w górę. Czuły lęk przed księżycem.

– I dobrze – szepnęła Wiesia. – Lepiej nie spać. Księżyc śpiącym ludziom zabiera siły i zdrowie. Wysysa z nich krew. A słyszałaś, że małe dzieci mogą od niego dostać choroby, jak się kołyskę pod oknem postawi? Moja matula mówiła, że jak taki okrągły, pełny miesiąc spojrzeł na dziecko, to ono zaraz biegunki dostawało. Trzeba na oknie skórki chleba rozsypać albo talerz z wodą postawić... Co? Czego ty płaczesz, Maryna? Nie bój się. Taka duża, a głupia, księżyc się boi. No, przestań.

– Ja nie przez księżyc – chlipnęła Maryna. – Wcale się go tak bardzo nie boję.

– To czego beczysz? Cicho, bo tę wronę obudzisz i zaraz tu przyleci. Widzisz, że okno ma blisko.

– No i co, że blisko, ale zamknięte – zauważyła Maryna przez łyzy.

– Zamknięte – przyznała Wiesia.

I wtedy Maryna gwałtownie do niej przylgnęła. Wtulona w jej piersi zanosła się jeszcze gwałtowniejszym szlochem.

– Mateńko przenajświętsza – jęknęła bezradnie Wiesia. – Co ci się stało? – W jej głosie zabrzmiało rozdrażnienie, lecz nie odtrąciła Maryny. Przeciwnie, przytuliła ją mocniej i to po włosach, to po wstrząsanych płaczem plecach głaskała nieporadnie. – No już, już... Uspokój się – szeptała, raz po raz oglądając się na okno Elżbietki.

– Powiem ci, ale nikomu nie powtarzaj. – Maryna oderwała się od Wiesi i uniosła na nią pełne łez i przerażenia oczy.

– Nie powtórzę, mów – ponagliła ją Wiesia, która owszem, chciała pomóc Marynie, ale bardziej trawiła ją ciekawość.

– Pamiętasz, jak plotłyśmy wianki? – zapytała i wytarła wierzchem dłoni oczy.

– Jakie wianki? Kiedy? – zdziwiła się Wiesia.

– Ojej, kiedy... Na Kupałę, pamiętasz?

– A, na Kupałę! No pewnie, pamiętam. Mój wianek Kajetan wyłowił. Durny, myślał może, że go zechcę – zachichotała, ale zaraz zamilkła, bo Maryna na nowo zaczęła płakać.

– Przez te wstrętne wianki ja... ja teraz... – jękała się i zalewała nową falą łez.

Wiesia najpierw znieruchomiała. Potem odsunęła się nagle, chwyciła Marynę i z odległości wyciągniętych ramion patrzyła na nią ze zgrozą i niedowierzaniem.

– Czy ty... czy ty z brzuchem chodzisz? – szepnęła przerażona.

Rozpacz chwyciła Marynę za gardło tak, że nie potrafiła wydusić słowa, dlatego pokiwała tylko głową i ukryła twarz w dłoniach.

– O, Jezusie – jęknęła Wiesia, zdarła z siebie chustę i okrywając nią Marynę, przestrzegała:

– Nie wystawiaj się na księżycowe światło, bo będziesz ciężko rodzić, a dziecko będzie w nocy chodzić do księżycy, dostanie obłędu, kaduka albo co gorszego jeszcze, a choroba co rozpoczyna się przy pełni, kończy się śmiercią – plotła trzy po trzy.

– Zostaw! – krzyknęła Maryna i zrzuciła z ramion chustkę Wiesi. – Ja chcę tak!

– Jak chcesz? – wyjąkała zgorszona Wiesia. – Ty nie rozumiesz chyba, co mówię...

– Dobrze rozumiem – szepnęła gorączkowo Maryna. – Bardzo dobrze rozumiem. Nie chcę tego bachora, niech umrze!

– Nie mów tak – usiłowała uspokoić ją Wiesia. – Tak nie wolno. A jeszcze dzisiaj, przy pełni... Dzisiaj wszystkie siły nieczyste w powietrzu tańczą. Usłyszą, co mówisz.

– A niech słyszą! Niech to sobie zabiorą!

– Maryna, a to nie wiesz, że one na złość czynią? I na złość nie zabiorą, tylko coś takiego zrobią... Coś takiego, że na wieki będziesz żałowała swoich słów. Lepiej się ciesz, bo kto przed pełnią sieje, dobre plony zbiera – pocieszała. – No, uśmiechnij się, będzie dobrze... Pan Edward nie wyrzuci cię przecież na bruk. Wychowasz.

– A ja nie chcę – syknęła Maryna. – Nie chcę, rozumiesz? Muszę się tego pozbyć. Pomóż mi...

– Co? – przestraszyła się Wiesia. – Jak mam ci pomóc? To do Olechny trzeba, ona zaradzi...

– Olechna chce pieniędzy, skąd jej wezmę?

– A kto ci dzieciaka zmajstrował? Niech teraz płaci.

– On nic nie wie – szepnęła Maryna.

– Głupia! To mu powiedz, przecież to nie tylko twoje zmartwienie. Kto to? Pan jakiś? A może ten szubrawiec Danicki, co to żadnej nie przepuści. Pamiętasz, co Malwinie zrobił?

– Nie Danicki – mruknęła Maryna.

– To kto?

Maryna milczała chwilę, zżymała się w sobie.

– Nie powiem – rzekła w końcu.

– No, jak tak, to mogę ci tylko powiedzieć, co od mojej matuli słyszałam... Podobno płód spędza gorący chleb pieczony na miodzie. Ale musisz siedzieć na progu, jak go będziesz jadła.

– Od gorącego chleba skrętu kiszek można dostać, pani Rozalia zawsze ostrzegała, nie pamiętasz? – zachnęła się Maryna.

– Nie chcesz, to nie – zjeżyła się Wiesia. – W takim razie trzeba nalać do garnka wódki, wrzucić do niej skorupki jaj i dwie cebule. A potem podpalić wódkę i stać nad tym w rozkroku.

– Całkiem zwariowałaś, Wieska... A jak mi się spódnica zajmie? – przestraszyła się Maryna.

– No to może odwar z rozmarynu, jemioly i tataraku pij albo surowe ziarenka żyta jedz...

– I co to da? – ucięła z rezygnacją Maryna. – Jakby tak łatwo było się tego pozbyć, to by bękartów na świecie nie było.

– Ja na twoim miejscu jadłabym ten chleb na progu – westchnęła Wiesia.

Drzwi kuchni otworzyły się gwałtownie. Maryna chwyciła się futryny i z głośnym płaczem osunęła się na próg.

– Ty podła! – łkała. – Jak mogłaś mi to zrobić!

Kazia, Wiesia i Anieli spojrzały po sobie, przerwały swoje zajęcia i zbliżyły się do Maryny.

– So si się stało? – zdziwiła się Kazia. – Kogo tak wyzywas?

– Wieśka! Ty wredna żmijo! Ty pleciugo! – krzyczała Maryna, tłukąc pięścią we framugę.

Anieli przerzuciła pełen nagany wzrok na Wiesię.

– Coś ty jej zrobiła, Wieśka? – zapytała podejrzliwie. – Coś ty komu nagadała?

– Nikomu nic nie powiedziałam, naprawdę – wymamrotała przestraszona Wiesia. – Nie wiem, o czym ona mówi...

– Nie wiesz? – wysyczała Maryna, podniosła się z progu i zacisnęła pięści. – Ty nie wiesz? Tylko tobie zwierzyłam się, jędzo, a ty z ozorem poleciałś do tej wrony!

– Nie poleciałam! – broniła się Wiesia. – Nic nikomu nie mówiłam, naprawdę!

– To niby skąd ona wie? Ty czarownico jedna! Ty paplo, skarżypyto! – Maryna wprawiła w ruch pięści i zaczęła okładać nimi Wiesię.



Kazia zaczerpnęła do kubka wody i usiłowała podetknąć ją Marynie.

– Mas, wypij, to się uspokois – namawiała, ale ta nie zamierzała jej słuchać.

– Klepak! Zdrajczyni! – krzyczała, tłukła Wiesię i szlochała na przemian.

– Dość! – zakrzyknęła Aniela i w złości kopnęła blaszane wiadro na zlewki, które stało jej na drodze. – Spokój! Wieśka, mów mi tu zaraz, co się stało!

– Ale ja nie wiem – zapiszczała kucharka, uchylając się przed kolejnym wymierzonym w nią ciosem.

– Nie wykręcaj się, mów! – żądała Aniela.

– Ja powiem – łkała Maryna. – Przez tę wiedźmę wrona mnie wyrzuciła!

– So takiego? – wytrzeszczyła oczy Kazia i sama duszkiem opróżniła kubek. – Dlasego?

Nikt jednak nie zdążył odpowiedzieć na to pytanie. Do kuchni bowiem wkroczyła Elżbietka. Nie odezwała się ani jednym słowem, a i tak zaległa przeraźliwa cisza. Aniela wróciła do garnków, Kazia zabrała się za płukanie sałaty, Wiesia pospiesznie poprawiała przekrzywiony czepek i fartuszek, a Maryna rozmazywała po twarzy łzy. Atmosfera była napięta, a milczenie nie do zniesienia.

Aniela rzucała Elżbietce zachmurzone spojrzenie, lecz była zbyt dumna, by żądać wyjaśnień. Ochmistrzyni mogłaby przecież uznać ją za wścibską i ciekawską. Takich oporów nie miała natomiast Kazia i mimo że bała się Elżbietki jak ognia, otarła w fartuch ręce i dla animuszu chwyciła się pod boki. Na jej twarz i szyję wystąpiły czerwone plamy, a oczy błyszczały nienaturalnie.

– A dlasego to Elzbieta chce wyzusić Marynę? – zaczęła drżącym ze strachu głosem. – Ona służy w Psylipiu dłużej niż Elzbieta i nigdy nie złego nie zrobiła – rzuciła płaczliwie. – Gdyby pani Rozalia jesse żyła, to na pewno właśnie teraz by umarła, a Elzbieta miałaby naszą panią na sumieniu, bo ona nigdy w zysiu nikogo nie wyzusiła. Nawet Zygmunta, który pijakiem był i nisponiem! O, Jezusie... – zakończyła piskliwym głosikiem i zakryła dłonią usta.

Elzbieta pochyliła się do przodu, zmarszczyła brwi i z niedowierzaniem patrzyła na Kazię.

– Tak, to prawda! – podchwyciła prędko Wiesia. Jej też brakowało odwagi, ale za wszelką cenę chciała oczyścić się z zarzutów Maryny. Nie zdradziła jej tajemnicy, ale teraz robi to dla jej dobra. – Pani Rozalia nikogo by nie skrzywdziła, a cóż dopiero dziewczyny, która spodziewa się dziecka – rzekła kategorycznym tonem, w którym nie brakowało determinacji.

Znów zapadła cisza. Tym razem śmiertelna, pod wpływem spojrzenia Elzbiety. Kazia i Aniela miały oczy wielkie jak spodki.

– To prawda? – zapytała ochmistrzyni, spoglądając na Marynę, która opuściła nisko głowę i milczała jak grób.

– Czyli prawda – odpowiedziała sobie Elzbieta. – Cóż... Chodź ze mną – dodała i ruszyła do wyjścia.

Ale jeszcze od drzwi obejrzała się na roztrzęsioną Kazię. Ku zaskoczeniu dziewczyny w oczach ochmistrzyni wcale nie było nagany.

Tego samego dnia Edward pisał list do Eulalii.

*Droga Kuzynko,*

*W odpowiedzi na Twój list spieszę donieść, że rozmówiłem się z Malwiną i ona nie opuści Przylipia. Jeśli jednak nadal poszukujesz*

*służącej, proponuję Ci wielce oddaną i pracowitą Józję. U nas po śmierci matki i Antoniny zbyt dużo służby. A Józję znasz przecież i ja mogę za nią ręczyć, że nie zawiedzie Twoich oczekiwań. Może nie znajdziesz w niej towarzyski do intelektualnych pogawędek, jaką miałabyś w Malwinie, lecz pod każdym innym względem będziesz zadowolona...*

Od kilku dni Zosia, Staś i Imre jadali posiłki jedynie z Malwiną. Ostatnio dołączyła do nich Elżbietka, żeby, jak określiła, dzieciom było weselej. Istotnie, milczenie ochmistrzyni stanowiło doskonałą parę dla melancholii Malwiny...

Rozpoczęły się żniwa, więc Edward jadał z parobkami na polu. Musiał pilnować roboty, bo spieszno mu było sprzątnąć zboże przed ulewą. Martwił się, tym bardziej że Anieli już tydzień puchły nogi i bolały ją stawy.

– Będzie burza – straszyla go co dzień, a dziś nawet wyszła na ganek i z niepokojem spoglądała w niebo. – Tak, dziś będzie na pewno – przekonywała tak dramatycznie, że zwabiła przed dom Elżbietkę.

Tymczasem nieskazitelny błękit usiany strzępami białych obłoków wcale nie wyglądał groźnie. Nawet Zosia, która wybiegła przed dom w towarzystwie Malwiny, zaprotestowała.

– Aniela się pomyliła – zawołała ze śmiechem. – Dziś aniołki trzepią pierzynki, wcale nie będzie burzy!

– Wspomnisz wieczorem, co mówiłam – Aniela podniosła wskazujący palec dla podkreślenia słów. – Te chmurki są zdradliwe. Do wieczora urosną i pociemnieją, a wtedy nie czas się martwić, trzeba uciekać. Zobaczysz, zanoszą się na wichurę, jakiej jeszcze tego lata nie było. Będzie burza, może nawet grad. Wiem, co mówię, bo za długo mnie już w kościach łupie.

– Zamówiłem na dziś kilku parobków ze wsi – na stronie poinformował Elżbietkę Edward. – Wczoraj zwieźliśmy żyto i jęczmień, a dziś będę w polu tak długo, dopóki nie sprzątniemy całej pszenicy.

Ochmistrzyni ze spokojem skinęła głową, lecz Aniela wtrąciła swoje trzy grosze:

– Niech pan Edward uważa, z burzą w polu nie ma żartów. Lepiej stracić kilka snopów pszenicy niż życie.

– Dobrze, dobrze – uspokoił ją. – Niech Aniela dobrą kolację na dzisiaj szykuje, bo ostatni dzień żniw trzeba uczcić. I dla parobków warto biesiadę przy piwie zrobić.

Zatarł ręce i powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych przed gankiem kobiet. I wtedy pochwycił przejęte i strwożone spojrzenie Malwiny. Uciekła wzrokiem, ale w nim to wejrzenie zostało, rozlało się po sercu i przez jedną szczęśliwą chwilę udawało najszczerszą troskę i czułość.

– Nie martw się, zdążę przed burzą – chciał powiedzieć, lecz ona odeszła szybko i zniknęła w sieni.

Aniela miała rację. Po południu chmury nabrzmiały deszczem, zbliżały się do siebie, piętrzyły, aż zasnuły całe niebo.

– I jak tu parobków piwem częstować, kiedy zaraz pompa będzie jak się patrzy – mruzczała Aniela.

– Żeby chosiaz pan Edward zdążył do domu wrócić – martwiła się Kazia.

– Pan Edward nie z cukru – wzruszyła ramionami Wiesia. – Żeby raczej wszystką pszenicę zdążyli zwieźć.

W porze kolacji Malwina zwołała dzieci do jadalni, lecz Elżbietka zapowiedziała, że dopóki pan Edward nie wróci, niczego nie pozwoli stawiać na stół. Na lnianym obrusie bieleły się puste talerze, a srebrzyły sztuce. No, i na środku stołu królowała jeszcze butelka wina, którą

ochmistrzyni osobiście przyniosła z piwnicy, wręczyła Wacławowi, by otarł ją z kurzu i ustawił na honorowym miejscu.

Z daleka pomrukiwały pierwsze odgłosy burzy. W jadalni pociemniało, lecz Elżbietka zabroniła palić świece. Dzień długi, nie pora jeszcze. Zosia z braku zajęcia snuła się za Malwiną od okna do okna i wraz z nią wyczekiwała Edwarda. Staś i Imre przysiedli na aksamitnej sofie i nie odzywając się prawie do siebie, grali w domino.

Tę cichość i porządek przerwał nagle hałas z podwórka. Rozszczękały się psy, słyhać było rżenie konia i podniesione męskie głosy.

– Ludzie! – czyjeś wołanie i jednocześnie kołatanie pięścią w drzwi przebiło się przez ogólny rejwach, wpadło do sieni, wzbudziło trwogę. – O, Jezu, prędko! Ludzie!

Staś, i Malwina, której uczepliła się przestraszona Zosia, ruszyli czym prędzej do wyjścia, ale Elżbietka, która stała przy drzwiach, zatrzymała ich.

– Zostańcie tu wszyscy! – rzuciła im przez ramię – Tylko ty ze mną – skinęła na Wacława. – Jestem pewna, że to pan Edward, coś z nim...

– Stasiu – szepnęła blada jak ściana Malwina, zamykając w jego dłoni rączkę Zosi. – Zaczekaj tu, pilnuj siostry...

Kiedy wybiegli na ganek, była tam już Aniela i kuchenne dziewczęta. Od furmanki, z niedużej grupki chłopów wyrwał się jeden i przypadł do Elżbietki.

– Po doktora trzeba! Prędko! Jaśnie pan Edward... Jezu!

Malwina podbiegła pierwsza. Tuż za nią podążyła Elżbietka. Twarda była i niejedno widziała, ale nawet pod nią ugięły się nogi na widok ilości krwi, w której leżał Edward. Miał zamknięte oczy, a jego pobladła twarz zlewała się w jedną szarość z zapadającym zmierzchem.

Dopiero teraz zerwał się wiatr, zawył wśród pobliskich drzew i zapowiedział swój gniew. Lada moment ociężałe chmury nie utrzymają

deszczu, rozerwą się i spadną gwałtowną ulewą.

– Boże – szepnęła Malwina. Twarz jej stężała i ledwie poruszała wargami. – Co to... Co tu się stało? – wyjąkała, patrząc z przerażeniem na stojących nieopodal chłopów.

– Kosa, ktoś podciął nogę kosą – burknął jeden z nich, umykając wzrokiem.

– Na miłość boską, kto?! – Malwina chwyciła go za ramię i obróciła ku sobie. – Mów, kto!

– Nie wiem, pani. Nie widziałem. Nikt nie widział, wypadek był – zastrzegł i łypnął okiem na towarzyszy.

Malwina chwyciła bezwładną dłoń Edwarda i przytuliła ją do swojej twarzy, na której łzy zdążyły już zmieszać się z pierwszymi, grubymi kroplami deszczu. Nawet nie próbowała zataić uczucia, które tak długo usiłowała kryć przed resztą służby.

– Malwina... – wymamrotał słabo Edward, patrząc w jej oczy mętным wzrokiem i dodał, gdy zaniósła się bezgłośnym szlochem. – Nic, nie będzie... Nie płacz, ukochana.

Elżbietka ze ściśniętym gardłem skinęła na trzęsącego się ze zdenerwowania Kajetana.

– Nieście pana do domu, tylko ostrożnie!

Pokój wypełnił się zapachem krwi, jodyny i rozmarynu, a stolik niemal zniknął pod zwojem bandaży, szarpi i płótna, które znosiła przejęta Cesia. Edward krwawił.

Za oknem szalała wichura i lał deszcz, lecz nikt nie zwracał na to uwagi. Dopiero gdy błyskawica rozdarła niebo, a domem wstrząsnął niewyobrażalny huk, wszyscy dostrzegli, że burza jest tuż za progiem.

Elżbietka podała Malwinie kuchenny nóż, który podsunęła jej Aniela.

– Masz, tnij – poleciła. Sama zaś zajęła się rwaniem na pasy czystego płótna.

Tylko chwila wahania i zagryzienie warg uprzędziły rozcięcie nożem ociekającej krwią nogawki spodni. Nie trzeba było fachowego oka doktora, by stwierdzić bardzo głęboką ranę pod prawym udem. Krew płynęła nieprzerwanym strumieniem, mimo że ktoś starał się ją zatamować i mocno przewiązał miejsce nad raną kawałkiem brudnej szmaty. Lewa łydka ledwo draśnięta, prawie nie krwawiła. Malwina podniosła na Elżbietkę strwożony wzrok.

– Ja nie wiem, czy on bez doktora przeżyje – szepnęła.

– Jezusie drogi, ale przecież burza – wtrąciła roztrzęsiona Aniela. – Doktor nie przyjedzie, trzeba przeczekać.

– Tu nie ma czasu! – krzyknęła histerycznie Malwina. – On się wykrwawi!

– Ja wiem, ale co zrobić? – jęczała ze łzami w oczach Aniela. – Każdy zna doktora. Nie ruszy się w burzę. Trzeba czekać – powtórzyła łamiącym się głosem.

– Chryste, co Aniela mówi – syknęła Malwina i wybiegła z pokoju.

– Doktora! – wołała, biegnąc korytarzem przez hol aż do sieni, gdzie otworzyła drzwi wychodzące na ganek. Wichura z ulewą wtargnęły do środka, zimną strugą plunęły jej w twarz. – Doktora! – krzyczała rozpaczliwie. – Zaprzęčajcie konie, pan Edward umiera!

– Jadę! – usłyszała głos Anatola, a potem jego szybkie kroki kierujące się do stajni.

Kiedy wróciła, Elżbietka próbowała zatamować krwotok, lecz ręczniki, które przykładała do rany w jednej chwili przesiąkały krwią. Malwinie pociemniało w oczach. Owszem, pielęgnowała kiedyś rannego Borisa i nauczyła się wtedy sprawnie zmieniać opatrunki, lecz z czymś takim

nigdy nie miała do czynienia, traciła głowę i zupełnie nie wiedziała, co należy robić.

Edward oddychał rozchylonymi, spieczonymi ustami szybko, niespokojnie. Z czoła, skroni i włosów spływały strużki potu i wsiąkały w poduszkę. Malwinę ogarnęła panika. Z trudem hamowała łyzy, gdy ocierała mu twarz.

– On się wykrwawia. Wykrwawia się na śmierć – szeptała. – Boże, miej go w swojej opiece – modliła się, zrozpaczona, czym zwabiła zafrapowany wzrok Elżbietki. Nawet jeśli do tej pory targały nią wątpliwości, w tej właśnie chwili zyskała pewność: Malwina kocha pana Stalickiego.

– Pomóż mi – odezwała się trzeźwo. – Musimy to zatrzymać. Umrze, jeśli tego nie zrobimy.

Pod Malwiną ugięły się nogi, ale uważnie słuchała poleceń ochmistrzyni.

Gdy Elżbietka przytrzymała palcami buchającą krwią tętnicę, Malwina wiązała bandaż powyżej zranienia. Opaskę zacisnęła mocno, po czym przygotowała tampon, który Elżbietka nałożyła na ranę. Kiedy wszystko obwiązały bandażem, obserwowały w napięciu, czy krew nie przesiąka grubej warstwy płótna. I chyba udało się. Krwawienie ustało. Elżbietka odszukała ledwo wyczuwalny puls na przegubie ręki Edwarda i poruszając wargami, liczyła słabe, lecz bardzo prędkie uderzenia.

– Skąd Elżbietka zna się na tym? – zapytała z wyraźną ulgą Malwina, choć nadal nie spuszczała napiętego wzroku z poszarzałej twarzy Edwarda.

Ochmistrzyni milczała długą chwilę, lecz kiedy odezwała się wreszcie, ściskając jednocześnie nadgarstek Malwiny, zjeżyła jej włos na głowie.

– Wcale się nie znam – rzekła powoli.



I wtedy Malwina dostrzegła najpierw drobne, ale szybko rozrastające się czerwone plamki na płóciennych bandażach.

– Chryste... – szepnęła dramatycznie. – Cesia, prędko! Więcej płótna!

Kiedy opatrzyły ranę po raz drugi, zegar wybijał dziesiątą, a za oknem siąpił deszcz. Dawno było po burzy. Panującą ciemność rozproszyła nagle mała latarenka Kajetana. Oświetlał nią drogę doktorowi, którego właśnie przywiózł Anatol.

– Tędy, panie, tędy – mamrotał z przejęciem, drepcząc w miejscu.

– Znam drogę – odburknął doktor, chwycił latarnię, odepchnął Kajetana i zostawiając błotniste ślady, szedł sam, prosto do pokoju Edwarda.

Malwina, która przez całą noc czuwała przy Stalickim, uniosła zmęczony wzrok. Dźwięk pukania, który nieoczekiwanie wkradł się w ciszę, na szczęście nie przerwał płytkiego, rwanego snu. Edward był bardzo słaby, nie potrzebował teraz żadnych wrażeń, żadnych gości.

Nie odezwała się więc i nie prosiła do środka, mimo to drzwi uchyliły się lekko, a do wnętrza wsunął się Danicki.

– Można? – zapytał przyciszonym głosem. – Ten wasz Waclaw, nie chciał mnie wpuścić...

Skonsternowana, poderwała się z miejsca. Bała się Danickiego, jednak spokój Edwarda był teraz ważniejszy niż jej lęk i onieśmienie. Obrzuciła intruza nieprzychylnym spojrzeniem.

– Waclaw miał rację. Nie można wejść, doktor zabronił – rzekła bez ogródek.

– Oho... – skrzywił się niepewnie Danicki. – A ty tu jesteś od wypełniania przykazań doktora?

Zniecierpliwienie i niesmak odmalowały się na twarzy Malwiny. Antoni zauważył, że jej oczy pociemniały z gniewu.

– Pan Stalicki jest bardzo słaby, utracił dużo krwi – wyjaśniła, siląc się na spokój. – Nie przyjmuje gości. Może pan porozmawiać z Elżbietką.

– Dobrze sobie – mruknął Danicki. – Guwernantka będzie mi mówić, z kim mogę rozmawiać, a z kim nie.

Był złośliwy, ponieważ nie mógł wybaczyć Malwinie, że odrzucała jego zaloty, a on nie chciał odpuścić, wciąż pragnął jej wdzięków. Kobieta spojrzała wrogo, lecz nie odezwała się. Znała jego bezczelność i obawiała się z nim zadzierać. Nie miała tu nikogo do obrony.

Antoni uśmiechnął się drwiąco i zapytał z wymuszoną uprzejmością:

– To gdzie jej szukać? Znaczą, Elżbietki?

– Wszędzie – odparła krótko. – Dworek nieduży, nie będzie trudno.

– Przesyp maliny do tego kamiennego garnka – instruowała Aniela klęczącą przy blaszanej misce Zosię.

– Wszystkie? – zapytała dziewczynka i zanurzyła ręce w delikatnych drobnych owocach.

– Wszystkie, wszystkie... No, przesyp.

Elżbietka, która właśnie weszła do kuchni, spojrzała na kucharkę z aprobatą. Aniela często angażowała do pomocy Zosię. Wykazywała się przy tym wyrozumiałością i cierpliwością. Niewątpliwie pani Stalicka kiedyś to doceni i będzie jej wdzięczna.

Kucharka tymczasem robiła wszystko, by oderwać myśli Zosi od zmartwienia, jakim żyło całe Przyłipie. Od wczorajszego wieczoru nie mówiło się o niczym innym, tylko o panu Stalickim. Wszyscy bali się o niego, tym bardziej, że nawet doktor był zaniepokojony jego stanem.

– Wiesia, naszykuj kociołek, wlej do niego wody i ustaw na ogniu – poleciła Aniela, zerkając kosym okiem na Elżbietkę.

– Coś potrzeba? – zwróciła się do ochmistrzyni.

Ta nie odpowiedziała, lecz wystarczyło jedno spojrzenie, by Aniela zrozumiała jej intencje.

– Bulion dla pana Edwarda w garnku, a Kazia już zbiera nagietki na napar...

Elżbietka skinęła głową, pogładziła po włosach Zosię i ruszyła do wyjścia.

Tuż za progiem natknęła się na Danickiego.

– Szwagier tutaj? – zapytała niemile zaskoczona. Nie lubiła Antoniego.

– A tutaj – odparł. – Chciałem mówić z Edwardem, ale jak widzę, on sił jeszcze nie ma.

– Nie ma. Żegnam szwagra. – Rada by odejść, lecz Danicki chwycił ją za ramię.

– Jak wydobrzeje, sam wybierze się do Olszówki – rzuciła Elżbietka i uwolniła ramię.

– Zaczekaj, szwagierko. Mam do powiedzenia coś ważnego.

– Dla mnie ta wiadomość?

– Nie wiem... – Antoni był szczerze zmartwiony. – Edward poza dziećmi nikogo bliskiego nie ma, a sam nie bardzo do pogawędek się nadaje.

Elżbietka w milczeniu wprowadziła gościa do salonu i zamknęła drzwi. Dopiero wtedy zapytała:

– O co chodzi?

– Wczoraj byłem w karczmie... – zaczął.

Wzruszyła ramionami. Nieraz była świadkiem wyrzutów, jakie czyniła mu z tego powodu Helena.

– Pod okapem, przed wejściem na ganku schronili się przed burzą chłopi, co ich Edward do żniw zatrudnił. Dużo o nim gadali, a drzwi były otwarte.

– Niech gadają. Pan Edward uczciwie im płaci, to i wrogów żadnych nie ma. Prędzej ja swojego wroga znajdę niż on, który ma szacunek u ludzi – oznajmiła.

– To pobożne życzenie – rzekł poważnie Antoni. – Widać polubiłaś Edwarda, szwagierko, skoro tak się rozgadałaś. – Zniżył głos i dodał: – Edward nie ma wrogów? A kto mu nogi kosą podciął?

Zaległa pełna konsternacji cisza. Elżbietka otworzyła szeroko oczy i w zdumieniu długo przyglądała się Danickiemu.

– Jak to? Co mówisz? To nie wypadek, że ktoś go okaleczył? – spytała wreszcie.

– Jeśli ktoś mówi, że wypadek, to kłamie – odparł Danicki. – Albo nic nie wie. A kto inny może wie, tylko nie chce mówić – skwitował.

– A szwagier co wie?

– Tyle co od nich samych usłyszałem. Chciałem to dla siebie zostawić, ale skoro utrzymujesz, że on wrogów nie ma, to powiem, że Józef Drażek to zrobił.

– Drażek? Nie znam.

– Ekonomem był u Godziewiczowej. Kiedy ta sprzedała Konickiemu majątek, Drażek stracił posadę. Odgrażał się Stalickiemu, że to niby przez niego.

– Nie rozumiem.

– A mnie się tłumaczyć nie chce. Ostrzegalem Edwarda, ale nie posłuchał i tego nikczemnika do roboty wziął. Chłopi dobrze wiedzą, że

w Drażku gorąca krew płynie, ale że tyle zła zrobi, nie pomyśleli... Teraz dla jednych jest bohaterem, a dla drugich łotrem. Może i dobrze, że wieś się podzieliła, bo on chłopów buntował, a po tym, co zrobił, nie wszyscy za nim pójda...

– Buntował?

– Pańszczyzna go boli. Jak ich wszystkich.

– Szukają sprawiedliwości – zauważyła Elżbietka.

– Sprawiedliwości – parsknął Danicki. – Sprawiedliwości...

– Pan Edward potrzebuje opieki – zaczęła bez ogródek Elżbietka, zebrawszy całą służbę przy kuchennym stole.

– Nie ma komu – parsknęła ze złością Aniela. – Józia na służbie u pani Eulalii, a Marynę odesłało się do matki. Nasza pani Rozalia nigdy by tak nie zrobiła.

– Pani Rozalia widocznie nie dbała o pieniądze – burknęła Elżbietka.

– Dbała o ludzi – odgryzła się Aniela.

– Może niech Alojzy wróci na pokoje? On na ogrodnika całkiem się nie nadaje – odezwała się nieśmiało Cesia.

– Przyuczy się – skwitowała Elżbietka. – Tutaj on niepotrzebny.

– No, a Waław? – podpowiedziała Wiesia. – Przecież to on usługiwał zawsze panu Edwardowi. Nie może nadal tego robić?

– Usługiwać będę, ale na widok krwi jestem wrażliwy, a tam opatrunki trzeba zmieniać. Nie jestem pielęgniarką – zaprotestował Waław.

– A Malwina? – bąknęła Kazia. – Ona pielęgnowała kiedyś tego ruskiego żołnieza, zna się...

– Będziesz ty cicho! – ofuknęła ją Aniela, lecz było już za późno.

– Ruskiego? – zdziwiła się Elżbietka. – Co ty powiedziałaś?

– Ot, kłapie ozorem trzy po trzy – warknęła Anieli. – I po co jej słuchać?

– Niech Anieli Kazi nie ucisza – odezwał się znów Waław. – Wszyscy w Przylipiu o tym wiedzieli. A prawda jest taka, że to pan Edward uratował ruskiego dezertera, nam nic do tego.

– A Malwina go pielęgnowała – powtórzyła odważnie Kazia, zerkając wyzywająco na Anielę.

– To prawda – potwierdziła Cesia. – Sama widziałam, bo chodziłam tam w kominku przepalać.

– Ale ona jest nauczycielką Zosi, jak pogodzi to wszystko? – oburzyła się Anieli.

– Pogodzę – odezwała się Malwina, która pod gradem spojrzeń oblała się rumieńcem. – Wtedy też zajmowałam się Zosią, a dałam radę.

– No, więc zgadzasz się? – upewniła się Elżbietka.

– Jeśli pan Edward nie będzie miał nic przeciw temu, tak – odparła z lekkim wahaniem Malwina.

Z jednej strony niczego tak nie pragnęła, jak bliskości Edwarda i pewności, że jest mu potrzebna. Z drugiej zaś, miała w pamięci te wszystkie żenujące chwile związane z pielęgnacją rosyjskiego dezertera. Kiedy przyjęła na siebie ten obowiązek, Boris zżymał się i płonął z upokorzenia.

– Nie bądź głupi, pomyśl, że jestem pielęgniarką – sarknęła i obmywała go wilgotną, namydloną szmatką, rutynowo, szorstko, jakby był jednym z wielu poranionych żołnierzy w polowym szpitalu. Przyjmował tę surową opiekę bez słowa, tymczasem ona sprawnie zmieniała opatrunki, opróżniała wiadro z nieczystości i karmiła go lejącym się po brodzie rosołem.

Nie wiedziała, jak będzie teraz i jak przyjmie jej opiekę Edward.

A on, dyskretnie, spod zmrużonych powiek śledził krzątanicę jej rąk wokół bandaży, mdło pachnących maści i tacy z obiadem. Cieszył wzrok tańcem jej sukni, której falbanka zaczepiała o róg łóżka i odsłaniała jej drobne, zgrabne stopy. Rozkoszował się gracją, z jaką rozgarniała firanki, otwierała spocone mgłą okno lub zamykała je, miotane wiatrem.

Czasem chwycił palcami wstążkę zdobiącą grubo warkocz, podnosił do ust i obdarzał najczulszym z pocałunków.

Edward drzemał, a Malwinie żal było go budzić. Na nocnym stoliku ustawiła cichutko kubek z mieszanką ziół na wzmocnienie, a potem ostrożnie przysiadła na krześle pod ścianą. W zadumie obserwowała widoczną z okna gałąź jabłoni, na której wisały jeszcze późne jabłka. To dziwne, że obciążona owocami tak lekko tańczy na wietrze.

Po szybie spływały niespiesznie strużki drobniutkiego deszczu. Siąpiło od rana. Ołowiane niebo opadło nisko, zaścieliło mgłą żółkniejące trawy i rozmiękłe rżyska opustoszałych pól.

Jesień – westchnęła Malwina. Ze smutkiem, bo nie lubiła żegnać się z latem.

Nie wiadomo skąd nadleciała mucha. Krążyła nerwowo nad głową Edwarda, nad nietkniętym śniadaniem pozostawionym na brzegu nocnego stolika, przysiadła na poduszce, odfruwiała i znów wracała. Rozdrażniona Malwina chwyciła z oparcia krzesła muślinowy szalik Edwarda, przyczała się nad łóżkiem i z uwagą wodziła wzrokiem za natrętnym owadem. Nie zauważyła, że w tym czasie Edward otworzył oczy.

– Co robisz? – przestraszył się. Jego głos wtargnął znienacka w pełne skupienia milczenie Malwiny. Drgnęła.

– Och, nie śpisz... – machnęła w powietrzu szalikiem i odprowadziła zirytowanym spojrzeniem czarny skrzydlaty punkcik. – Próbuję przegonić

muchę, ale to niezmiernie uparte stworzenie.

– Jak ty – zażartował, chwycił Malwinę za rękę i przyciągnął do siebie.

Nie opierała się, ale wykorzystwała moment i jak pielęgniarka dotknęła dłonią czoła Edwarda, a potem, uspokojona, cofnęła rękę. Nie miał gorączki, to dobry znak.

– Widzę, że nic nie jadłeś – omiotła zmartwionym wzrokiem pełen talerz.

– Nie miałem ochoty. Zjem później – uśmiechnął się pokrzepiająco i pocałował jej dłoń. Pod wpływem tego gestu serce Malwiny rozpułnęło się, a oczy zwilgotniały z żalu nad krzywdą, jaka spotkała Edwarda.

– Co to? Łzy? – zapytał zdziwiony. – Płaczesz?

– Tak mi przykro – wydobyła z siebie zduszony szept, bo głos jej się łamał, a nie chciała tu nad nim lamentować i pokazywać słabości. – Tak bardzo mi przykro... – powtórzyła.

– Nic, nic, kochanie. – Poklepał ją po dłoni. – Nie zamartwiaj się, bo ubolewanie i tak nic nie pomoże – pocieszał.

– Nie pomoże, wiem... – odparła smętnie. – Ale ja się boję, czy ty chodzić będziesz – szepnęła, a jej szept przerodził się w płacz. Z tej rozpaczki aż osunęła się na podłogę i tkwiła tak dobrą chwilę, nie potrafiąc opanować łkania.

Edward zdał sobie sprawę, że właśnie wyrzuciła z siebie narastający strach, który starała się zdusić przez ostatnie dni. Chciałby podnieść ją z kolan, przytulić, lecz unieruchomiona noga nie pozwalała mu na to. Czekał więc bezradnie, aż Malwina wypłacze się i dojdzie do równowagi. Żał mu było patrzeć na te łzy, ale cieszył się, bo one płynęły bardziej z serca niż z oczu.

– Wstań, moja kochana – prosił, głaszcząc jej włosy i ramiona. – Wstań, wszystko będzie dobrze – powtarzał.



Nie wiedział, że od tamtego fatalnego wieczoru, gdy chłopci przywieźli go na furmance, Malwina nie mogła spać. Ten wypadek sprawił, że jeszcze mniej ufała ludziom, wyraźniej widziała drzemiące w nich zło. Porwane w strzępy noce przynosiły zwidy i koszmary, a w głowie kotłowały się trwożliwe myśli. O brzasku, kiedy zastanawiała się, ile prawdy było w sennych majakach, a niebo rozstępowało się i wypływało nowy dzień, wzdychała ciężko, wysuwała stopy spod płóciennego prześcieradła i podejmowała codzienne obowiązki.

Edward nie mógł wiedzieć, że pochylając się nad jego córką, marzyła, że to również jej dziecko, a pochylając się nad nim, marzyła, że troszczy się o niego jako żona...

– Tak, niedługo wszystko się zagoi – rzuciła, połykając łzy, podniosła się z kolan, po czym zniknęła za parawanem. Dobiegające stamtąd pluskanie wody zapowiadało poranną toaletę.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś? – zapytała, zanim opuściła pokój.

– Nie, dziękuję, kochana – odparł uśmiechając się z wdzięcznością.

Wtedy podeszła blisko, pochyliła się nad nim, a jej ciepła dłoń zanurzyła się miękko w jego włosach, potem spoczęła na policzku, na wargach...

– Kocham cię – powiedziała po prostu.

– Wiem – odparł z czułością. – Mówisz to całą sobą.

**D**awno straciły barwy astry, skłoniły się dumne georginie, a pszczoły, które – wydawało się – całkiem niedawno brzęczały wśród nawłoci, skryły się w ulach. Północny wiatr przyniósł pierwsze pocałunki jesieni. Powoli zastygały w drzewach soki, kuliły się liście, przy miedzach rozkwitły srebrzyste bagnety oszronionych traw i badyli. Październik leniwie toczył nad horyzontem zamgloną kulę słońca, przeganiał ostatnie jaskółki, tkął zbutwiałe kobierce z opadłych liści.

Edward, któremu doktor pozwolił wreszcie wstać z łóżka, szedł wolnym, nierównym krokiem w kierunku łąk. Czasem przystawał i odpoczywał, wsparty o laskę. Obok kroczył Danicki. Ten odprowadzał tęsknym wzrokiem klucz wędrownych ptaków, czasem pochylił się, podniósł drobny kamyk, który potem od niechcienia podrzucał w dłoń, czasem trącił czubkiem buta rozsypane przy drodze żołądzie. Obaj milczeli i dobrze im z tym było.

– Źle cię oceniałem, Antoni – odezwał się wreszcie Edward. – Teraz nie wypada nic innego jak przeprosić. – Uśmiechnął się zakłopotany. – Myślałem, żeś lekkoduch, a okazało się całkiem inaczej. Przepraszam, przyjacielu...

– Nie zawsze trzeba o wszystkim mówić, Edwardzie – zaśmiał się Danicki. – Ot, gdybyś teraz nie przyznał się, że źle o mnie myślałeś, nic

bym o tym nie wiedział.

– Musiałem. Inaczej sumienie by mnie zagryzło. Chcę, żebyś to wiedział. Nie umiem wyrazić swojej wdzięczności za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

– Nic takiego nie zrobiłem. Wyświadczyłem zaledwie przysługę, jak przyjaciel przyjacielowi. Przecież moja szwagierka, choć takich ślepiów sam diabeł by jej pozazdrościł, sama nie poradziłaby sobie z gospodarstwem. Sprzątnąć z pól, sadów, ogrodu niełatwo, kiedy nie ma tym kto zarządzić, dopilnować. A ty pod pierzyną kości grzałeś. Dobrze, że choć lasy sprzedałeś, co? – zarechotał.

– Na złośliwości dalej ci nie zbywa – pogroził mu palcem Edward. – W każdym razie dziękuję ci za dogłądanie moich pól, za parobków, których podesłałeś, za to, żeś korzystnie zbiory przehandlował...

– A, to nie ja. Twój Kajetan pobrał nauki od Elżbietki i tak dobrze sobie radzi. Ja do Żydów się nie mieszam. W tym zawsze moja szwagierka była najlepsza i jeśli Helena czasem żałuje, że ci ją oddała, to właśnie wtedy, gdy na targ trzeba jechać. Bo Elżbietka jest bardzo sprytna i nie da się prześcignąć w kalkulacji. Dobrze, co? – znów się zaśmiał. – Ale widzę, że i twoja Zosia lubi na targ jeździć i z Żydami handlować, co?

– A wiesz, że lubi... – pokręcił głową Edward, bo sam się temu dziwił.

– Nauczycielkę zamieniłeś w pielęgniarkę, to uczennica gospodarskiego fachu uczy się u kucharek – kpił dobrotliwie Antoni.

W rzeczywistości cieszył się z poprawy zdrowia przyjaciela. Bywało, że nawet doktor nie ukrywał zaniepokojenia i przyciszonym głosem, szeptał chętnym uszom, że lepiej przygotować Stasia do przejęcia obowiązków, bo jego ojciec być może nigdy nie stanie na nogach. Ta diagnoza wstrząsnęła Antonim. Z trudem utrzymywał w sercu tajemnicę, że słyszał, że wie o wszystkim. Przy Edwardzie ostrożnie obchodził temat, żeby nie trącić

bolesnej struny, nie zdradzić sekretu. Edward jednak domyślał się wszystkiego, więc obaj przed sobą udawali.

– Odkąd Zosia zaczęła cokolwiek rozumieć, Ignęła do gospodarki – przyznał Edward. – Ale i od czytania nie stroni. Liczy bardzo sprawnie, po francusku gada i na fortepianie całkiem składnie potrafi zagrać. A Malwina okazała się tak samo dobrą pielęgniarką, jak i nauczycielką.

– Nooo... – mruknął Antoni i podkreślił węża. – Nooo... Przyznać muszę, że jednego ci zazdroszczę.

– Czego? – zapytał Stalicki lekkim tonem, choć spodziewał się, iż temat poruszony przez gościa nie będzie dla niego wygodny.

– Że poskromiłeś tę dumną pannicę. Patrzy w ciebie jak w obrazek.

Edward przystanął i chwycił Danickiego za rękaw.

– Zaczekaj, Antoni – powiedział. Jego głos zabrzmiał porywczo, wręcz napastliwie.

Danicki zatrzymał się i uniół w zdziwieniu brwi.

– Nigdy nie traktowałem Malwiny jak służącej! Nigdy jej nie wykorzystałem!

– Przede mną nie musisz niczego udawać, bracie! Kto cię lepiej zrozumie, jak nie ja, co? Malwina, ponętna kocica, sam bym się nie wahał.

– Wiem – uciął Edward. – Dobrze wiem. Nie wracajmy do tego. I niczego nie rozumiesz. Kocham ją.

Antoni roześmiał się.

– Wiesz, podziwiam cię – rzucił z ironią. – To tylko guwernantka. Taka „sezonowa miłość” topnieje jak kawałek lodu w szklance whisky. Nawet się nie obejrzysz, kiedy zniknie.

– Mylisz się. Nie jestem zakochany. Kocham. Malwina podarowała mi prawdziwe szczęście, dodała otuchy, nauczyła wierzyć w siebie. Ty nie

wiesz nawet, bo i skąd, ile w niej siły, wytrwałości, wyrozumiałości. Przy niej przestałem patrzeć czarno na świat. Zawsze mnie pociągała, ale dopiero teraz, w chorobie poznałem ją naprawdę. Jest mi wszystkim, przyjaciółką i powiernicą, doradczynią i spowiednikiem. Nawet Eliza... Boże, niech ona mi to wybaczy tam, w zaświatach... Ale nawet Eliza nie dała mi tego wszystkiego. Nie jestem zakochany. Kocham. Nie potrafisz dostrzec tej różnicy.

– Uważasz, że nie potrafię kochać? – obruszył się Danicki.

– Nie mnie osądzać. Zapytaj Helenę – odparł Edward i zaraz złagodził: – Antoni, nie rozmawiajmy już o tym. Widzę, że się denerwujesz.

– Ależ skąd. Wcale nie. Przyznam, że nie miałem pojęcia o takich walorach Malwiny. Dla mnie zawsze taka dumna, a jednocześnie spłoszona... Może to twoje zauroczenie.

– Przykro mi o tym mówić, ale ona boi się ciebie. I, to cię chyba się nie zdziwi, nienawidzi.

Antoni skrzywił się jakby rozgryzł gorzką pigułkę. Nie podjął jednak tematu, nie próbował się bronić.

– A ona cię kocha? – zapytał po dłuższej chwili. – Tak jak ty ją? Mnie możesz powiedzieć, co?

– Powiem, czemu nie. Kocha.

– Hm... Ciekawi mnie, co zamierzasz z tym zrobić. Malwina honorowa, zgadza się tak bez sakramentu z tobą żyć?

– Nie – przyznał Edward i dodał: – Wnikliwy jesteś, Antoni.

– E, tam. Co do Malwiny nietrudno się domyślić. To nie byle dziewczka... To żeń się! – rzucił z fałszywym entuzjazmem.

Edward nie odezwał się, a Danicki rozważał coś w sobie, po czym rzucił z przekąsem:

– I pomyśleć, że to o mnie mówią, żeś pies na kobiety. Ja tymczasem wiernie przy swojej Helenie siedzę, a ty już trzecią żonę weźmiesz.

– Nie wezmę – rzekł posepnie Edward.

– Co? Nie chcesz? – zdziwił się Antoni.

– Niczego innego nie pragnę.

– To co? Ona nie chce?

– Chce, ale nie możemy się pobrać. Nikt nie wie, gdzie spoczywa Antonina, nikt oficjalnie nie powiadomił o jej śmierci...

– Dalibóg! Masz rację – zmartwił się Danicki. – To masz związane ręce, przyjacielu.

Znów szli w milczeniu, każdy pograżony we własnych myślach.

– Dasz radę dojść nad jezioro? – zapytał ochrypłym głosem Antoni.

– Dokuśtykam – zaśmiał się Edward i podniósł do góry laskę. – Pamiętam, mój ojciec też z laską chodził. Myślałem, że mnie to ominie.

– Dlaczego? Nawet ci pasuje – ironizował towarzysz. – Może i na polowanie z nami pojedziesz?

– Nie, chyba za wcześnie. Doktor by mi uszu natarł.

– Ale Staś mógłby się przyuczyć. Ja Jędrka od dwóch lat zabieram, a przecież on młodszy od twojego. Co? Dasz Stacha?

– Nie wiem. Trzeba mu dać broń do ręki.

– Najwyższa pora. Żyjemy w takich czasach, że każdy powinien sprawnie bronią się posłużyć.

– Byle rozsądnie – westchnął Edward, bo wieczór, gdy własny syn wymierzył do niego z flinty już na zawsze pozostał mu w pamięci.

– Rozsądnie, rozsądnie – zapewnił Antoni. – On na polowanie, a ty do proboszcza idź – rzucił nieoczekiwanie. – Zresztą pójdę z tobą. Świadcowałem ci przecież.

Prawdziwie listopadowy jęk wiatru, ulewa i stukot otrzepywanych w sieni butów przerwały różańcowe modlitwy Elżbietki. Przez chwilę nasłuchiwała, czy to czasem nie kucharka łaje swoje pomocnice, ale wtedy nie szczerkałyby psy, a te ujadają jak najęte.

– Jeszcze tego brakuje, żeby pana Edwarda drażniły – mruknęła, ucałowała różaniec, podniosła się z kolan i wyszła z pokoju, zobaczyć, co się stało.

W ciemnej sieni, na ławie, gdzie zwykle czekali na swoją kolej pacjenci pani Rozalii, siedziały dwie kobiety. Wniosły na chustach i kapotach deszcz, który teraz tworzył pod ich butami błotniste kałuże. Elżbietka musiała dobrze się przyjrzeć, by w młodszej rozpoznać Marynę. Ta starsza, to chyba jej matka, bo któż inny mógłby mieć tak zatroskaną twarz? Na widok Elżbietki poderwały się obie i skłoniły, nie tyle nieporadnie, ile niechętnie. Widoczne w ich oczach bojaźń i wrogość walczyły o pierwszeństwo. Wzrok Elżbietki spoczął na wydatnym brzuchu Maryny i tam pozostał, bo niesporo jej było podnieść go na naznaczoną upokorzeniem i poczuciem krzywdy twarz dziewczyny.

Przez uchylone drzwi kuchenne buchało na sień ciepło, które niosło smakowite zapachy wanilii i cynamonu oraz wesoły głosik Zosi, która jak zwykle po lekcjach, lubiła pomóc Anieli przy pieczeniu rogalików albo ciasteczek.

– Co sprowadza? – rzuciła chłodno Elżbietka, zwracając się do starszej kobiety.

Ta zsunęła z głowy kraciatą, wełnianą chustę i otarła jej rąbkiem mokrą od deszczu twarz.

– niesprawiedliwość wielka spotkała moją Marynę – rzekła z nieskrywaną pretensją. – Nie godzi się na pańskim dworze tak potraktować dziewczynę, żeby ją z brzuchem na niepewny los wyrzucić.

A brzuch mojej córce sam nie urósł, a od tutejszych zalotów, pod jaśniepańskim okiem się wziął. Nic nie mówiłam, kiedy ona do domu wróciła. Myślę sobie, swoich mam jeszcze czworo, co w świat nie poszły, to i piątę, z bożą pomocą się wychowa. Ale... – tu kobiecie głos się załamał, z oczu popłynęły strużki łez, a pretensje zmieniły się w żalną skargę. – Ale – ciągnęła łamiącym się głosem – chłop mój zaniemógł... Pracować nie może. Legł przy piecu i nawet gadać nie daje rady, tylko jęczy. Przyjdzie nam teraz zdechnąć z głodu – zakończyła ze szlochem.

Po twarzy Elżbietki przemknął grymas zniecierpliwienia, a na jej wargach zawisło niechętnie pytanie:

– Kto?

Maryna z matką wymieniły spłoszone spojrzenia, by ostatecznie wlepić je w nieprzychylną twarz Elżbietki.

– Nie wiesz, czyjego dzieciaka nosisz? – zapytała bez współczucia.

– Wiem – wyjąkała Maryna, pąsowiejąc z zażenowania.

– Powiedz, kto to. Nie wstydz się – trąciła ją łokciem matka.

– Waclaw – szepnęła Maryna i zacisnęła powieki w obronie przed napływającymi do oczu łzami.

W wyrazie twarzy Elżbietki nie drgnął żaden nerw, a oczy patrzyły zimno i nieprzyjaźnie.

– Porozmawiam o tym z panem Stalickim – rzekła sucho, odwróciła się na pięcie i odeszła.

Zrezygnowane kobiety opuściły zaciszną sień. Targane porywem wiatru, stały jeszcze chwilę na ganku i milczały, bo cóż tu można powiedzieć, gdy pani Rozalia sprawiedliwość i dobrą wolę wzięła ze sobą na tamten świat.

Aniela, która dostrzegła je z kuchennego okna, owinęła w kawałek czystego płótna kilka gorących bułeczek z jabłkowym nadzieniem.



– Biegnij no, Zosiu. Zanieś Marynie. A wracaj szybko, żebyś nam się nie zaziębiła!

Niepewne, jakby nieśmiałe pukanie dotarło do uszu Edwarda. Dlatego zdziwił się, ujrawszy w progu ochmistrzynię, której zazwyczaj nie brakowało odwagi. Tym razem wyraz twarzy miała nieswój, jakby czemuś zawiniła.

– Co tam? Wygląda Elżbietka tak, jakby zmieniała bieg historii albo przynajmniej stłukła wazę z carskiego dworu.

– Bodajbym stłukła – burknęła.

– Jeśli nie, co gorszego mogło się stać? – zażartował.

– Maryna tu była.

– W taką pogodę odwiedzin jej się chciało? – zdziwił się.

– Kłopot ma.

– No, niech Elżbietka mówi. Co za kłopot? – zainteresował się.

– Bieda tam u nich.

– To niech wraca na służbę – wzruszył ramionami Edward. – Mówiłem, zostawić Marynę, ale Elżbietka się uparła.

– Jakże niech wraca, kiedy ona z brzuchem po zęby chodzi?

– Jak to?

– A zwyczajnie. Maryna przy nadziei.

– A to dopiero. Dawno?

– Mówi, że w noc Kupały zaciążyła.

– I Elżbietka wiedziała o tym, kiedy zwalniała ją ze służby?

– Wiedziałam.

– Czyje to dziecko? Powiedziała?

– Powiedziała, dlatego przysłałam.

– Aha. Dlatego Elżbietka przysłała... Czyli nasz. Któż to? Waław?

– Waław.

– Niech tu do mnie przyjdzie. Natychmiast. – Edward podniósł się od biurka i zaczął nerwowo przemierzać gabinet.

Niespełna godzinę później, okryty peleryną, dosiadł Nimfy, która łąkami, na przełaj kłusowała w kierunku wsi.

Zatrzymał się przed chałupą zbudowaną z grubych belek. Wejście od frontu poprzedzał drewniany ganeczek, krzywo wsparty na słupkach. Uwiązał Nimfę, otrzepał z deszczu pelerynę i wszedł po dwóch nadpróchniałych schodkach.

Z wnętrza buchnął wilgotny i słodkawy zapach gotowanych kartofli. Sień, w której się zatrzymał, była dość mroczna i zagracona różnymi sprzętami. Stały tam krosna, żarna, wsparte o ścianę grabie, a pod nimi leżały porzucone sierpy, w kącie dzieża do wyrabiania chleba, a obok poszarzała ze starości skrzynia. Między tymi rupieciami biegła ścieżka do izby, a po niej spacerowała, bodaj jedyna w tym gospodarstwie, kura.

Po przekroczeniu progu Edward natknął się na wielki piec, zajmujący więcej niż ćwierć izby. Poutykane w jego zakamarkach derki i pierzyna wskazywały, że to także miejsce do spania. Może dla dzieci, a może dla starowinki, która wynurzyła się zza pieca, słysząc skrzypiące drzwi. Zatrzymała się zaskoczona i nie przestając czegoś przeżuwać, zacisnęła chustkę pod brodą.

– Maryna! – zawołała skrzekliwie. – A to nie do ciebie? Ze dworu chyba czy jak...

Zaraz i Maryna wychyliła się zza pieca. Jakże inna niż w Przylipiu. Mizerna, w niedbale splecionych warkoczach, z których kosmyki włosów wysuwały się i tańczyły wokół jej twarzy. Zamiast granatowej sukienki

i obszytego koronką białego fartuszka nosiła zwykłą koszulę z surowego lnu, pod którą rysował się wypukły brzuch. Tuż za nią stanęła zmieszana matka, nie przestając dotykać lub poprawiać i naciągać na czoło białą płócienną namitkę. Zaraz za nią ustawilo się czworo podrostków: dwie dziewczynki i dwóch umorusanych chłopców. Edward przyznał w duchu, że Maryna jest najbardziej urodziwa z całej gromadki, ale oczy mieli wszyscy takie same i uważnie przyglądali się Stalickiemu.

Pierwsza zreflektowała się gospodyni. Machnęła raz i drugi trzymaną w ręku ścierką, a odgoniwszy dzieci, pokłoniła się Edwardowi i wycofując się, zapraszała z zakłopotaniem do środka.

Wszedł i rozejrzał się po izbie. Od razu też zauważył leżącego na piecu, nakrytego wytartym kozuchem chorego gospodarza. Maryna zmieszała się, a jej policzki oblał rumieniec, jakby wstydziła się niemocy ojca.

– Co z nim? – zapytał Edward.

– Nie wiem, panie – odparła gospodyni. – Choroba zmogła. Nie ma już naszej pani Stalickiej, żeby wyleczyć, a doktor przecie za darmo nie przyjedzie. Do godów może chłop pociągnie, a potem... Co Bóg da – wytarła oczy i nos w zapaskę.

Edward chrząknął i znów się rozejrzał. Przy ścianie stała ława. Na sznurze pod powałą przewieszona przez pół wietrzyła się pierzyna. Nad stołem obraz Jezusa w prostej, drewnianej ramie.

– Do Maryny przyjechałem – rzekł Edward i przyczesał palcem wąsy. – Myślę, że czas wracać do Przylipia. Przyda się dodatkowa para rąk przed świętami, a i Waclaw pewnie się ucieszy.

– Dziękuję – chlipnęła Maryna i runęła przed nim na kolana.

– Wstań, wstań mi tu zaraz! – Zmieszał się. – Za co ty mi dziękujesz? Moja matka cię na służbę przyjęła, w Przylipiu jest twoje miejsce. I widzisz... Na zapowiedzi czym prędzej trzeba dać. A jutro po doktora

pośle – zwrócił się do jej matki. – Niech przyjedzie, waszego chorego zobaczy...

**P**rzed wschodem słońca, kiedy zewsząd, jak świętojańskie robaczki schodzili się wierni, niosąc w zziębniętych dłoniach roratnie światełka, jechał i Edward na Nimfie, by po mszy rozmówić się z proboszczem w swojej sprawie. Liczył, że i Antoni tam będzie, jak się umówili, lecz jego miejsce w kościele było puste. Przyjaciel zjawił się w ośnieżonym palcie, zdyszany, tuż przed mszą, odszukał wzrokiem Edwarda i skinął mu głową. Stalicki uśmiechnął się. Zaraz też wstali z ławek, bo odezwały się dzwonki na wejście księdza, który zaintonował gromkim głosem:

*Niebiosa rosę spuśćcie nam z góry,  
Sprawiedliwego wylejcie chmury.  
O wstrzymaj, wstrzymaj Twoje zagniewanie  
I grzechów naszych zapomnij już, Panie.*

Po mszy, gdy dźwięki organów brzmiały jeszcze w uszach Edwarda i w dzwoniącej ciszy zlewały się z echem kaszlu kościelnego, który krzątał się przy ołtarzu, a kościół ogarnął mrok, do Stalickiego zbliżył się proboszcz.

– Chciałeś mówić ze mną, synu? – zapytał i położył ciężką dłoń na jego ramieniu.

– Tak – odparł Edward i skinął na Antoniego. – Obaj chcieliśmy porozmawiać.

– To chodźcie do mnie, na plebanie – zaproponował proboszcz.

Ciepło tu było, jasno i przytulnie, zwłaszcza że śnieżycą rozhułała się na dobre, a niebo za oknem wciąż było ciemne, mimo wstającego dnia. Po plebanii kręciła się zażywna, siwowłosa gospodyni o rumianych policzkach i szczerym spojrzeniu. Zaraz też przyniosła dzbanek gorącego mleka, miód i sucharki, ale gdy wyszła, proboszcz obejrzał się jeszcze na drzwi, wstał z miejsca, odsunął księgi, które stały na półce, i z tej tajemnej skrytki wydobyl butelkę przedniej gorzałki.

– Jacy goście, taki napitek – mrugnął do Antoniego. – Wiem, synu, że częstym gościem jesteś u mojego przyjaciela, karczmarza.

– Taaaak... Poznaje – uśmiechnął się Antoni, podniósł butelkę, obrócił ją w dłoni i podał Edwardowi. – Poznaje, bo takim trunkiem Gałka co znaczniejszych gości raczy.

– Otóż to... Otóż to... – rzekł z zadowoleniem proboszcz i rozlał wódkę do kieliszków. – Po jednym na rozgrzewkę w takie zimno to nie grzech – zastrzegł i wypił duszkiem, a Edward i Antoni poszli w jego ślady. – Co to za ważne sprawy macie? – zapytał życzliwie.

Danicki postukał palcem w butelkę i spojrzał pytająco na proboszcza.

– Oj – pogroził mu ksiądz, ale napełnił kieliszki. – Pan Bóg mróz zesłał, więc zrozumienie dla naszych słabości też najpewniej okaże – rzekł skwapliwie.

– Ksiądz proboszcz pyta, co za sprawy mamy, to nie będę owijał w bawełnę, że przyszliśmy dać na zapowiedzi – odezwał się odważnie Antoni.

– Kto? – zdziwił się ksiądz i przeniósł spojrzenie na Edwarda. – Jak z Przylipia, to ten nicpoń, Wacław był już u mnie.

– Nie o Wacława chodzi – uśmiechnął się niepewnie Edward. – To ja chciałbym się ożenić.

Proboszcz przyjrzał mu się podejrzliwie. Potem, stęknąwszy z wysiłku, podniósł się z krzesła, otworzył bogato rzeźbioną szafę i wydobyl księę parafialną. Przez długą i pełną napięcia chwilę przerzucał kartki, wodził palcem po każdej ze stronic, aż w końcu zatrzymał się i podniósł wzrok na Edwarda.

– Z księgi wynika, że ty, synu, masz żonę. Pamiętam zresztą, sam udzielałem ślubu z... – zerknął do zapisków – z Weroniką Lisicką. Z Weroniką Lisicką... – powtórzył, mrużąc oczy, jakby usiłował coś sobie przypomnieć. – To ty, mój synu, fundowałeś ławki dla kościoła, tak? – Zniżył głos i dodał: – Coś tam przy nazwisku majstrowaliśmy, prawda?

– Tak – potwierdził Edward. – Żona musiała się ukrywać, brała udział w powstaniu, bała się carskiej żandarmerii.

– Otóż to... Otóż to... Teraz sobie przypominam. A ławki dobre, mocno się trzymają – pochwalił i poklepał Edwarda po ramieniu. – Ale co z twoją żoną, gdzież ona?

– Nie żyje – ubiegł Edwarda Danicki. Głos miał posępny, a splecione na piersiach dłonie podkreśliły jeszcze powagę i szczerść tych słów. – Carscy żandarmi wykończyli.

Proboszcz przeżegnał się i spojrział na Edwarda.

– A jednak! – zawołał przyciszonym głosem i cmoknął z zatroskaniem. – To druga już żona, synu... – pokręcił głową. – Ale jak? Kiedy to się stało? I gdzie? Bo przecież nie w naszej parafii. Kto chował?

Na te wszystkie pytania Edward nie był w stanie udzielić odpowiedzi. Westchnął i bezradnie rozłożył ręce.

– Dokładnie rok temu, w samą Wigilię przyjechali – rzekł po chwili. – Ksiądz pewnie słyszał...

– W Wigilię, mówisz? Może słyszałem, może nie... No, więc co wtedy się stało? Zabili?

– Nie. Zabrali, wywieźli gdzieś. Myślałem, że do Warszawy, do cytadeli. Wziąłem wtedy wszystkie oszczędności i pojechałem, żeby z carskich łap ją wykupić. Ale już jej tam nie było...

– Zabili... – domyślił się zafrasowany ksiądz.

– Nie – zaprzeczył Edward. Zaraz też poczuł solidne kopnięcie pod stołem i usłyszał strapiony głos Antoniego:

– Nie może być inaczej. W cytadeli jej nie było i wszelki ślad po niej zaginął. Bez wątpienia zabili. Tak przypuszczam – dodał ciszej, bo pod badawczym i nachmurzonym spojrzeniem proboszcza stracił rezon.

– A ja nie mogę opierać się na takich tam przypuszczeniach, synu – rzekł ksiądz. – Twoje domysły nic nie znaczą. Muszę mieć na to papier, jakiś dokument, że ona nie żyje, albo musiałbym chociaż znać miejsce pochówku.

– Nie mam papieru – przyznał strapiony Edward. – I nie wiem, gdzie spoczywa.

– No to jakże chcesz się żenić? – oburzył się ksiądz. – A jeśli ona żyje?

– To nieprawdopodobne – podniósł głos Antoni. – Gdyby żyła, dałaby jakiś znak, napisałaby list, cokolwiek... Wiele doświadczyła, była na wojnie.

– Niby tak, ale nie mamy gwarancji – spuścił z tonu proboszcz.

– Mamy – zaperzył się Antoni. – Właśnie, że mamy. Ona była chora. Bardzo chora. Miała zaawansowaną gruźlicę.

– Nasz doktor – wtrącił ze smutkiem Edward – zalecał jej górskie powietrze i dobre odżywianie. A carskie władze na pewno jej tego nie zapewniły.

– Nie miała najmniejszych szans – dodał ponuro Antoni.



– Jednak cuda się zdarzają – upierał się ksiądz.

– Widziałem, dzwonnica się chyli... – zaczął z innej beczki Antoni, sięgając po butelkę. Sam rozlał trunek i podał kieliszek proboszczowi.

– Chyli się, chyli, synu – przyznał duchowny i opróżnił kieliszek.

– Znam cieślę, który mógłby się tym zająć.

– Nie trzeba jeszcze – zreflektował się proboszcz i zerknął na Edwarda. – Wytrzyma.

– Myślę, że ksiądz proboszcz bardziej na swoich owieczkach się zna i na słowie Bożym niż na ciesielskiej robocie. A ja powtarzam, znam takiego, co nie gorszy jest od samego Świętego Józefa. I to on właśnie powiedział, że dzwonnica tej zimy nie przetrzyma. Zawali się pod śniegiem.

– Co ty powiesz? – zafrasował się ksiądz.

– Tak... A dlaczego pozwolić jej się zawalić, skoro fundator chętny? – wskazał na Edwarda, który poruszył się niespokojnie na krześle.

Proboszcz łypnął okiem i znać było po tym spojrzeniu ufność w dobre intencje, ale też niepokój.

– Nie, nie trzeba jeszcze – powtórzył. – Na moje oko dzwonnica wytrzyma.

– Jak ksiądz chce – targował się Danicki. – Ludzie we wsi biedni, nowej nie zbudują...

– Z Bożą pomocą zbudują.

Antoni znów sięgnął po butelkę, ale napełnił tylko swój kieliszek. Zakręcił nim i obserwując spływające po brzegach strużki, powiedział powoli i dosadnie:

– A Weronika Lisicka nie istnieje...

Krople potu wystąpiły na czoło Edwarda, gdy obserwował twarz proboszcza.

– Co? – ksiądz wlepił w Antoniego szeroko otwarte oczy. – Co powiedziałaś, synu?

– Nie ma Weroniki Lisickiej. Nikt taki nie istnieje, a więc Edward Stalicki nigdy nie miał drugiej żony. Jestem tego świadkiem.

– Co? – Powtórzył skonsternowany ksiądz, obrzucając swoich gości rozbieganym wzrokiem.

– Jestem świadkiem – uciał ostrzegawczo Antoni.

Proboszcz nie chciał żadnych zatargów, dlatego zwrócił się do Edwarda:

– Świadczysz i bierzesz na swoje sumienie, że jesteś wolny i możesz się żenić?

– Tak – odparł Edward po krótkim wahaniu.

– Dobrze – zgodził się ksiądz. – Wolałbym jednak, żeby rozgłosu nie było.

– Ślub może odbyć się w mojej prywatnej kaplicy – zaproponował Danicki. – Będzie cichy, tylko dla swoich.

– Otóż to, otóż to! – ucieszył się proboszcz.

– A ta dzwonnica? – zapytał Edward.

– Dzwonnica? Na moje oko jeszcze wytrzyma...

– Dziękuję ci, że wstawiłeś się za mną – Edward uścisnął dłoń przyjaciela, gdy opuścili plebanię.

– Nic takiego – uśmiechnął się Antoni. – Co ci będę szczęścia żałował.

– A... – zająknął się Edward. – Nie żał ci, że to Malwina?

– Cóż, żał. Pewnie, że żał. Ale teraz to dla mnie nie jakaś tam Malwina, tylko narzeczona przyjaciela. To zobowiązuje do szacunku. I trzyma

w ryzach męskość – roześmiał się, dosiadł konia i popędził przed siebie, wznosząc tumany śniegu.

W wigilijny poranek Staś, ubrany w stosowny strój, po raz pierwszy wybierał się na polowanie. Antoni Danicki zapewniał go, że jeśli złowi zająca, bażanta albo kuropatwę, zagwarantuje powodzenie i dostatek na cały przyszły rok, dlatego chłopiec był niezmiernie dumny i podekscytowany wyprawą. Przed wyjazdem udał się do kuchni i obiecał Anieli, że specjalnie dla niej upoluje najdorodniejszego zająca.

– Dobrze, dobrze – ucieszyła się kucharka i z dumą spojrzała na Stasia.

– Uważaj na siebie, Stasiu – przestrzegł przejęty Edward, wręczając synowi swoją strzelbę.

– Będę uważał, tatku – obiecał chłopiec.

Kiedy odjeżdżał na spotkanie z pozostałymi uczestnikami polowania, Zosia stała naburmuszona na ganku i nawet nie pomachała bratu na pożegnanie.

– Co się stało? Dlaczego jesteś taka zła? – dociekał Imre.

– Chciałam pojechać ze Stasiem – mruknęła Zosia.

– Przestań się złościć, dziewczynki nie jeżdżą na polowania – wyduł usta Imre.

– Jeżdżą! – tupnęła nogą.

– Moja żona nie będzie polować!

– To niech nie poluje – wzruszyła ramionami.

– Ale przecież ty nią będziesz – przypomniał chłopiec.

– Nie! – krzyknęła Zosia. – Nie będę!

– Dlaczego? Obiecałaś mi przecież – rzekł płacząco Imre. – Dobrze to pamiętam.

Zosia odwróciła do niego nadąsaną twarzyczkę i przez chwilę mierzyła go zimnym wzrokiem. Jej zmarszczone brewki świadczyły o szukaniu pretekstu do odwołania tej pochopnie złożonej obietnicy.

– Nie wyłowileś mojego wianka – rzuciła wreszcie z satysfakcją i odeszła z podniesioną głową.

Tymczasem w kredensie znajdującym się obok jadalni Waław szykował świąteczne nakrycia stołowe. Obok krzątała się jego ciężarna narzeczona, która dobierała serwety do białych obrusów. Należało je odpowiednio uformować i ustawić na stole przed gośćmi. Była przejęta, bo pan Edward był łaskaw zaprosić jej rodzinę, by wraz ze służbą spożyła wieczerzę w przyłipskiej kuchni. Liczyła na to, że i ojciec podniesie się z posłania, bo od wizyty doktora poczuł się trochę lepiej.

Waław zerkał na Marynę z ukosa, uśmiechał się półgębkiem, czasem zbliżył się, pogłaskał po wypukłym brzuchu. Widać było, że onieśmiela go rola narzeczonego, a cóż dopiero ojca, którym niebawem miał zostać. Odetchnął, gdy Maryna skończyła pracę i przeniosła się do salonu.

Przyzwyczajai się – myślała pobłażliwie i z rozczuleniem. Była dumna, że zostanie żoną Waława, kamerdynera pana Edwarda.

Salon był czyściutko wysprzątnany, Cesia zadbała o ogień w kominku, a Kajetan ustawił w rogu okazałą choinkę, którą Maryna, jak co roku, za chwilę ustroi ozdobami z papieru, bibuły, słomy i świątecznych opłatków. Dziewczęta, nie wyłączając Zosi, niejedną wieczór spędziły na tworzeniu tych zabawek.

W przystrojonym salonie, zaraz po wieczerzy zgromadzą się Edward, dzieci i Malwina, a także Felicja z mężem, Małgosią i Markiem, bo Mateusz będzie tym razem gościem swojej nowej rodziny. Przyjazd na święta zapowiedziała również pani Eulalia. Ku irytacji Elżbietki miał

przybyć też Alfred Konicki z Bobrowej. Widywała go w kościele, gdzie nieraz zatrzymywał ją po mszy, usiłując namówić na służbę w swojej posiadłości. Traktowała te sugestie jak zniewagę. Nie należała do służby. Może i była zubożałą, owdowiałą ziemianką, ale spełniała się jako ochmistrzyni w majątku Stalickiego. Nie zamierzała rezygnować z tej roli. O gościach, sympatiach i antypatiach nieustannie plotkowała służba, szeptano o tym w kuchni podczas szykowania świątecznych potraw. Elżbietka o wszystkim milczała. Zwykle wiedziała lub domyślała się znacznie więcej niż inni, lecz nigdy nie dzieliła się swoją wiedzą.

Maryna dumiała o tych sprawach, wyjmując z wiklinowego koszyka papierowe łańcuchy i nucąc cichutko i tkliwie:

*Śliczna Panienska Jezusa zrodziła,  
w stajni powiwszy, siankiem Go nakryła.  
O siano, siano, siano jak lilija,  
na którym kładzie Jezusa Maryja...*

Zawieszała delikatne ozdoby na choince i czułaby się prawie szczęśliwa, gdyby nie bojaźń i respekt przed Elżbietką. Nie znosiła tej wrony bardziej niż ktokolwiek, dlatego nie opuszczała jej myśl o odpłacie za krzywdę i upokorzenie, jakich doznała, wyrzucona ze służby.

Salon był miejscem reprezentacyjnym, nic dziwnego, że Elżbietka bywała w nim często i osobiście dbała o jego wystrój. Starła się, by po odejściu pani domu wciąż świadczył o dobrym smaku mieszkańców, dlatego z dumą eksponowała stare rodzinne pamiątki Przylipia, mając w pogardzie modne drobiazgi i luksusowe meble, jakimi lubiła otaczać się na przykład jej szwagierka, Helena Danicka. W Przylipiu wisiały oprawione w grube ramy obrazy, liczące sobie dekady, zegar, który od kilku

pokoleń wybijał w holu godziny, zdobione kandelabry i zdeptane wzorzyste dywany, o których mówiło się, że wyglądają, jakby pamiętały czasy saskie.

Elżbietce trudno było jednak obyć się bez odrobiny pretensjonalności i pozorów. Zwłaszcza, że spodziewano się wizyty Zaniewskich, w tym Felicji. Przed nią właśnie postanowiła popisać się zaradnością i dobrym smakiem. Uważnie przysłuchiwała się poszeptywaniu w przyłipskiej kuchni i na podstawie tych opinii uznała ciotkę Stalickiego za złośliwą i wścibską kobietę. Majątek pana Edwarda – pomimo braku pań Stalickich – miał ukazać się Zaniewskiej jako tętniący życiem, prowadzony z rozsądkiem, pełen oddanej, zaangażowanej służby i szczęśliwych mieszkańców.

Wślizgnęła się zatem do salonu, ułożyła na stole ostatnie roczniki „Bluszczu”, kilka tomików poezji, a na stoliku obok sofy zostawiła najgrubszą książkę, jaką znalazła w bibliotece. Wsunęła między kartki zakładkę, pozorując, że ktoś to tomiszczce akurat czytał i tylko na chwilę je odłożył. Podeszła do pianina, ustawiła na pulpicie śpiewnik z nutami patriotycznych pieśni, a taboret odsunęła w taki sposób, jakby ktoś przed chwilą z niego wstał. Tego wieczoru miała tam zasiąść Zosia, żeby zaprezentować kilka kolęd, których nauczyła ją Malwina. Na samą myśl o córeczce pana Edwarda po sercu Elżbietki rozlała się najśłodsza tkliwość.

Marynę ledwo omiotła wzrokiem. Więcej uwagi poświęciła drzewku, które dziewczyna stroiła.

– Na górze coś powieś – nakazała sucho. Przyłożyła do oczu lorgnon i długo, z uwagą, lustrowała choinkę. – Gwiazdę.

– Musiałabym wspiąć się na zydel, boję się, że spadnę – bąknęła Maryna.

Elżbietka przeszyła ją zimnym spojrzeniem.

– Skoro wróciłaś na służbę, musisz sobie radzić, nikt cię tu niańczyć nie będzie – wygłosiła wyniośle i wyszła, szeleszcząc suknią.

– Niech cię piekło pochłonie, stara wrono! – zaklęła półgłosem Maryna, ustawiła pod świerkiem stołek i wdrapała się nań, dźwignąwszy ciężki brzuch. Poczowała drżenie nóg i zawroty głowy, gdy tylko uniosła do góry ręce, by zawiesić na czubku drzewka gwiazdę.

Nie zdążyła nawet pomyśleć, że zaraz spadnie.

Spadła.

Korytarzem szła pospiesznie Cesia. Dostała polecenie, żeby przygotować dla pani Eulalii sypialnię w starej bawialni. Pani Rozalia Stalicka nie lubiła tego pokoju. Mimo jej starań był ponury i nieprzytulny, może dlatego, że światło dzienne wpadało tam tylko przez jedno małe okienko.

Hałas, który dobiegł z salonu, zaciekawiał Cesię, a nawet przestraszył. Przełożyła do lewej ręki krochmaloną pościel, prawą zaś uchyliła ostrożnie drzwi.

Zduszony okrzyk wyrwał się z jej piersi na widok skulonej na podłodze Maryny.

– O, mój Boże! Co ci się stało? – zawołała, podbiegła do niej i wyciągnęła rękę. – Możesz wstać?

– Mogę – jęknęła Maryna. – Nic mi nie jest... Spadłam ze stołka.

– Po co tam włąziłaś? Jak można być tak nieostrożną – besztła ją Cesia. – Mogłaś stracić dziecko!

– Wiem... Nie chciałam. Ta wrona mi kazała.

– Elżbietka?

– Och, mówię przecież. Nie znoszę tej czarownicy!

– Weź to – Cesia podała jej pościel. – Idź do starej bawialni i przygotuj łóżko. – Ja tu skończę za ciebie.

– Dobrze, dziękuję – Maryna przytuliła Cesię i lekko utykając, wyszła na korytarz.

Elżbietka tymczasem wtargnęła do kuchni. Za kilka godzin goście mieli ocenić gospodarność ochmistrzyni, spróbować potraw, które nakazała przygotować, ocenić oryginalność przepisów, z których część wynalazła w poradnikach dla gospodyń, a część znała jeszcze z posiadłości Danickich. Oby tylko Aniela, ta niepostępowa i skostniała kucharka, ze wszystkim sobie poradziła. Elżbietka kręciła się po kuchni, długo przyglądała się pasztecikom z ryb we francuskim cieście, spróbowała ryżu z szafranem i zupy migdałowej, obwąchała szczupaka duszonego w maśle, skrzywiła się na widok kaszy w grzybowym sosie, na koniec skrytykowała kluski oblane masłem. Do ciast, kisieli, kremów i galaretek nawet nie zajrzała.

Kiedy niezadowolona opuściła kuchnię, Kazia rzuciła na zastawiony potrawami stół ścierkę i złapała się pod boki.

– Ze tez pan Edward, taką sarownisę tu sprowaził, taką zmiję, wrone! – wysyczała.

– Cicho, Kazia – mitygowała ją Aniela. – Nie martw się. Dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie, zobaczysz...

Eulalia zaskoczona i zdziwiona obserwowała rozkwitłe uczucie, którego Edward nawet nie starał się ukryć. Malwina była bardziej powściągliwa, lecz i ona nie potrafiła zachować pozorów. Mowa jej ciała, spojrzenia, przypadkowe muśnięcie, gdy znalazła się blisko Edwarda, wskazywały na zaawansowaną zażyłość.

Temu romansowi przyglądała się również Felicja, lecz ona uznała go za kaprys Edwarda, chwilową miłość, bo przecież mężczyzna potrzebuje kobiety, więc zbałamucenie pięknej guwernantki wydało się jej normalne.

Jedynie Konicki, wodzący wzrokiem za przemykającą tu i ówdzie Elżbietką, która wszystko musiała mieć na oku, nie zwracał najmniejszej



uwagi na amory Stalickiego. Szczerze zazdrościł mu tak oddanej i rozumnej ochmistrzyni, którą chętnie przyjąłby na miejsce podstarzałej, na wpół ślepej i głuchej klucznicy z Bobrowej.

Sam Edward doszedł do przekonania, że uczciwie będzie poinformować to wąskie grono o ustalonej dacie ślubu. Zgodziła się na to i Malwina, choć bardzo nie chciała znaleźć się w centrum uwagi, w szczególności wolałaby uniknąć konfrontacji z Felicją.

Po wieczery Edward poprosił Elżbietkę o przywołanie biesiadującej w kuchni służby, Malwina zaś zaprowadziła Zosię do pianina. Z dumą przekładała nuty, gdy w obecności tak licznej publiczności jej uczennica w rytmie kujawiaka grała akompaniament i śpiewała czystym głosem

*Jezus Malusieńki, leży wśród stajenki...*

Oczy Anieli aż zwilgotniały ze wzruszenia, a Kazia niecierpliwie miętoszyła w kieszonce mały pakunek z ciasteczkami, które upiekła w prezencie dla Zosi.

Po wspólnym kolędowaniu Edward uniósł dłoń i w ten sposób uciszył panujący w salonie gwar.

– Korzystam z tego, że jesteśmy tutaj wszyscy, a także z uroczystego wieczoru, bo to, co mam do obwieszczenia, zasługuje na taką oprawę – zaczął i powiódł wzrokiem po twarzach zebranych. Eulalia kiwała dobrotliwie głową, chociaż czego jak czego, ale ślubu kuzyna na pewno się nie domyślała, Felicja w napięciu skubała palcami jedwabną chusteczkę, Gustaw drzemał na krześle, Małgosia ziewała, a Marek w kącie salonu podszczypywał zarumienioną Cesię. Alfred Konicki wiercił się na zydlu pod ścianą i oka nie spuszczał z Elżbietki. Ta zaś spojrzała na Edwarda, rada wyjąć mu z ust każde z jego słów i opatrzeć własnym błogosławieństwem. Jeśli chodzi o pana Stalickiego i jego dzieci, Elżbietkę stać było na największe poświęcenie. Dlatego teraz surowo lustrowała

służbę, by wszyscy docenili zaszczyt przebywania z państwem w salonie i zachowali się jak trzeba.

I gdyby nie ta czujność właśnie, pewnie nie zauważyłaby bladej jak ściana i skrzywionej z bólu twarzy Maryny, na której widok pod Elżbietką ugięły się nogi.

– Otóż – ciągnął nieświadomy niczego Edward – pragnę wam zakomunikować, że w drugą niedzielę maja, w prywatnej kaplicy...

– Jezu! – przerwał mu nagle okrzyk Kazi. – Maryna osłabła!

Tej samej nocy, gdy Maryja kołysała w ramionach Niemowlę, Maryna opłakiwała swoją stratę i przeklinała Elżbietkę.

Wypadek sprawił, że nikt nie dowiedział się o ślubie pana Edwarda. Nikt prócz Eulalii, która kilka dni później, moszcząc się w powozie wśród serdecznych pożegnań, liczenia tobołków i napomnień Józi, przywołała do siebie Malwinę.

– Jak tam? Nie żal ci Warszawy? – zapytała i zaraz westchnęła z egzaltacją: – Ach, cóż wieś może ofiarować młodości?

– Nie żal – odparła Malwina. – A Przyłipie podarowało mi męża.

– Tak? – uśmiechnęła się niepewnie Eulalia. Nie rozumiała, kogo Malwina ma na myśli, bo przecież nie jej kuzyna, który mógł z nią romansować, ale nie żenić się! – Kto jest tym szczęśliwcem? Ktoś ze służby? Kostecki? – pytała ze szczerą życzliwością.

– Edward – odparła Malwina z prostotą.

– Mówisz prawdę? On? – szepnęła i aż wychyliła się z powozu.

Malwina nie miała nic więcej do powiedzenia. Chciała odejść, lecz Eulalia chwyciła ją za rękę.

– Zaczekaj, nie zrozum mnie źle. Chcę, żebyś wiedziała, że życzę wam jak najlepiej – rzekła przytłumionym, gorączkowym szeptem. – Przez

pamięć o mojej biednej kuzynce Rozalii niczego tak nie pragnę jak  
szczęścia jej syna.

**Z**amieszanie dobiegające z korytarza oderwało Edwarda od rachunków. Wstał od biurka i wysunął głowę z gabinetu. Zwykle nie interesował się domowymi porządkami, jednak wynoszenie mebli i osobistych przedmiotów z pokoju jego matki nie tylko go zdumiało, lecz wręcz oburzyło.

– Dokąd z tym? – zatrzymał Wacława, który przy pomocy Cesi wysuwał z pokoju komodę.

– Do pokoju ochmistrzyni – odparł służący.

– Co takiego?

Wacław spojrzał na Cesię, która zarumieniła się i wbiła oczy w podłogę.

– Pani Elżbietce podobają się te sprzęty – rzekła onieśmielona. – Chciała je mieć u siebie. Kazała przenieść.

Edward uniósł wysoko brwi, wrócił do gabinetu, chwycił fajkę i zaciągając się łapczywie dymem, ruszył na poszukiwanie ochmistrzyni. Danicki miał rację, twierdząc, że ta kobieta przejmie stery tak, że nikt nawet się nie spostrzeże.

Zastał ją w kuchni, gdzie pochylona nad szafą apteczną, przetrząsała zawartość szufladek.

– Czy ktoś jest chory? – zapytał zaczepnie.

– Tak, proszę pana – rzekła powściągliwie.

– Tak? Kto? – podniósł głos. Zwykle był opanowany, lecz tym razem małomówność Elżbietki wyprowadziła go z równowagi.

– Staś – wyjaśniła.

– Staś? Co mu jest? Niechże Elżbietka nie oszczędza tak słów, proszę mówić.

– Dobrze – odparła spokojnie i wyprostowana, posłuszna, stanęła na wprost Edwarda, jak do raportu. – Staś wrócił wczoraj w przemoczonych kamaszach, a dziś rano narzekał na ból gardła. Jestem szczerze zmartwiona i boję się, żeby nie dostał grypy. Szałwią już znalazłam, szukam jeszcze rumianku... – zameldowała i znów pochyliła się nad szufladkami.

– Aha – bąknął skonsternowany Edward. – Dobrze, zaraz do niego zajrzę, a Elżbietka niech poda mu, co tam trzeba... – Odwrócił się na pięcie, ale nie wyszedł. Przygładził palcem wąsy i zapytał od progu: – A dlaczego Elżbietka kazała przenieść meble mojej matki do pokoju, który zajmuje?

Ochmistrzyni ponownie wyprostowała plecy, przyłożyła do oczu lorgnon i dokładnie przyjrzała się Edwardowi.

– Słucham? – zapytała bardzo powoli.

– Meble. Meble mojej matki. I w ogóle wszystkie jej rzeczy... Kto Elżbietce pozwolił ruszać cokolwiek w tym pokoju? – zdenerwował się.

– Słucham? – powtórzyła jeszcze wolniej, a widząc, że pan Edward czeka na dalsze wyjaśnienia, dopytała: – Ja ruszam rzeczy pani Stalickiej?

– Cóż z tego, że nie osobiście. Wystarczy, że Elżbietka poleciła przenieść je Waclawowi – rzucił z irytacją.

– Nie zlecałam nic takiego – zaprotestowała. Zawsze była silna, lecz teraz poczuła jak zaczynają drżeć jej kolana. Pan Edward nigdy nie odnosił się do niej w ten sposób.

Aniela, Wiesia i Kazia ani na chwilę nie przerwały swoich zajęć, lecz uważnie przysłuchiwały się rozmowie.

– Wszyscy to słyszeli – wmieszała się kucharka, odkładając nóż, którym kroїła mięso. – Słyszeliśmy, bo ochmistrzyni mówiła o tym dziś przy śniadaniu.

– Przy śniadaniu? – zdumiała się Elżbietka. – Niemożliwe, ja nawet o czymś takim nie myślałam.

– Ja też to słyszałam – wtrąciła Kazia.

– Każdy słyszał – wzruszyła ramionami Wiesia i wydeła usta. – Ja też.

Edward obrzucił Elżbietkę surowym spojrzeniem i bez wyszedł słowa. Po raz pierwszy poczuła się niepewnie. I nie chodziło tylko o złość Stalickiego. Naprawdę nie potrafiła przypomnieć sobie porannej rozmowy z Waławem.

Nazajutrz podczas śniadania przed Zosią zamiast ulubionego kakao Waław postawił kubek gorącego mleka. Fakt ten zrobił wrażenie nawet na opanowanej Malwinie, cóż dopiero na porywczej Zosi.

– Gdzie moje kakao? – zapytała rozgniewana, nie zważając na dobre maniere, o które tak zabiegała babcia Rozalia.

Waław skłonił się lekko i wyrecytował jak wyuczoną lekcję.

– Kakao jest drogie i od dzisiaj będzie jedynie w niedzielę. Tak zdecydowała nasza ochmistrzyni.

Na twarzy Malwiny odmalowało się zdumienie, Edward zaś sięgnął do kołnierza i poluzował węzeł muślinowego krawata. Do końca posiłku dotrwał, siląc się na spokój, w przeciwieństwie do zbuntowanej Zosi, która gdyby Imre nie nakłonił jej do zjedzenia maślanej bułeczki z konfiturą, nie przełknęłaby ani kęsa.

Edward zastał Elżbietkę w salonie, gdy pouczała Cesię, jak uprzątać kominek, by nie zakurzyć wszystkiego wokół. Była tam również Maryna, która czyściła zalane woskiem świeczniki. Wszystkie trzy powitały Edwarda zaciekawione, ponieważ o tej porze zwykł pracować w swoim gabinecie.

– Cóż to znów za historia z mlekiem dla Zosi? – zwrócił się do Elżbietki. – Dlaczego nie dostała swojej filiżanki kakao?

– Nie wiem – odparła zaskoczona. – Zadysonowałam kakao jak zwykle.

– To nieprawda – odezwała się Maryna. – Sama słyszałam, jak ochmistrzyni pouczała naszą Anielę, że kakao dla Zosi będzie tylko w niedzielę, bo zbyt drogo kosztuje.

Nawet Cesia uniosła umorusaną sadzą twarz i skwapliwie przytaknęła.

– Niech Elżbietka takie decyzje pozostawia mnie – pouczył ją surowo Edward. – Natomiast o tym, co dobre dla moich dzieci, niech decyduje, tak jak dotychczas, Aniela.

Kiedy wyszedł, oszołomiona Elżbietka ruszyła do kuchni. Była pewna, że nie wydała takiej dyspozycji. Nigdy niczego nie żałowała Zosi. Niestety, zarówno kucharka, jak jej pomocnice potwierdziły słowa pana Edwarda: Elżbietka zabroniła podawać Zosi w dni powszednie kakao.

Dwa dni później zrozpaczona dziewczynka szukała po całym dworku Inany, którą – jak zdołała dowiedzieć się od Kazi – Elżbietka wyrzuciła z kuchni. Ochmistrzyni dostrzegła ogrom zamieszania, wszystkie konsekwencje jej decyzji. Decyzji, których podejmowania nie potrafiła sobie przypomnieć. Starła się nie okazywać przerażenia ją na myśl, że traci pamięć, a może nawet rozum.

Miarka się przebrała, gdy kazała całej służbie zebrać się po kolacji w kuchni, a Wacław w jej imieniu miał zaprosić na tę ważną naradę pana

Stalickiego. I gdy wszyscy czekali w zniecierpliwieniu, Elżbietka nie pojawiła się tam w ogóle.

– Może zaniemogła – próbowała usprawiedliwić tę nieobecność Malwina.

Edward osobiście udał się do pokoju Elżbietki. Zastał ją całkiem zdrową, w fotelu, szyjącą coś w świetle olejowej lampy.

– Co Elżbietka robi? – zapytał poirytowany.

– Haftuję – odparła zaskoczona i przestraszona.

Brakowało jej dawnej pewności siebie. Zaczęła popełniać błędy. Nawet w stosunku do służby nie była już tak wyrachowana, zimna i harda. Peszyły ją ironiczne spojrzenia i kpiące uśmiešky. Właśnie okazało się, że ochmistrzyni nie pamiętała o zwołaniu całej służby. A kiedy pan Stalicki zjawił się u jej drzwi, dowiedziała się, że nie pamiętała o zebraniu, na które przywołała zarówno służbę, jak i pośrednio gospodarza. Co gorsze, nie miała pojęcia, co ważnego chciała im powiedzieć. Długo patrzyła w pełne pretensji oczy pana Edwarda, a im dłużej patrzyła, tym większy wzbierał w niej żal i lęk.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – oświadczyła w końcu. Pokora i przerażenie drżały w jej głosie, a po śmiałości i stanowczości nie zostało ani śladu. – Boję się, że postradałam rozum – szepnęła.

Gniew Edwarda ustąpił zaniepokojeniu i współczuciu. Elżbietka była oddana jego rodzinie, zawsze należycie wypełniała swoje obowiązki. Aż do teraz. Być może to objaw jakiejś choroby?

– Jutro dam Elżbietce konie – oświadczył. – Anatol zawiezie Elżbietkę do doktora.

– Dziękuję – powiedziała cicho i przyłgnęła wargami do dłoni Edwarda.

– Co też Elżbietka... – zachnął się i zabrał rękę.



Następnego dnia, gdy bryczka uwożąca Elżbietkę zniknęła z oczu Anieli, ta poprawiła czepek i zmieniła fartuszek na świeży. Szykowała się na rozmowę z panem Edwardem.

– Tylko niech Aniela za dużo nie mówi – przestrzegła ją Wiesia.

– Nie musisz się obawiać – burknęła kucharka. – Nie powiem więcej niż trzeba.

– Za mało też nie – pisnęła Kazia. – Bo jesse się nie uda...

– Uda się, uda – uspokoiła ją Aniela.

A potem szła odprowadzana pełnymi nadziei spojrzeniami Cesi i Maryny, Waclawa, a nawet Alojzego, który zostawił robotę w szklarence i przyszedł, bo może za sprawą Anieli lub cudu jakiegoś, mógłby wrócić na pokoje.

– Stało się coś, moja Anielu? – zapytał Edward, spoglądając niecierpliwie na porzucone tabelki.

– Nie chcę przeszkadzać – bąkała – ale ja tu w imieniu nas wszystkich, całej służby...

– No, słucham, słucham.

– Ochmistrzyni ostatnio niedomaga... Chciałam powiedzieć, coś z głową jej się porobiło.

– Właśnie pojechała do doktora.

– A co tu doktor pomoże? – zaperzyła się nieoczekiwanie Aniela. Zaraz jednak opamiętała się i dodała: – Pan Edward może zły będzie, ale my wszyscy wiemy, że ten ślub z Malwiną będzie w maju...

Edward uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Ech, nic nie ukryje się przed wami. Nie jestem zły. Prędzej czy później każdy się dowie. Zwłaszcza Aniela, bo przyjęcie dla garstki osób trzeba uszykować.

– Wszystko będzie jak należy – odpowiedziała rozrzewniona. – Byle tylko pan Edward był szczęśliwy. A my Malwinę lubimy i z serca życzymy jej jak najlepiej.

– Wiem – odrzekł. – To wzruszające. Ale chyba nie ta sprawa sprowadza tu Anielę?

– Można powiedzieć, że ta właśnie – rzekła z determinacją. – My wszyscy uradziliśmy, że skoro Malwina będzie tu panią, ochmistrzyni nikomu już się nie przyda.

– Ochmistrzyni się nie przyda? – zdziwił się Edward.

– A po co ona? My pomożemy Malwinie. Przecież do nas pan Edward musi mieć zaufanie. Na ten przykład ja przystałam do Przylipia jeszcze za dziecka. Piętnaście lat miałam. Pana Edwarda jako dzieciaka pamiętam. Kto lepiej ode mnie wie, co pan Edward lubi jeść, a czego nie? Albo Staś czy Zosia? Prędeż ręka by mi uschła, niż bym naszej Zosi kakao od ust odjęła.

– Co Anieli chce? Żebym zwolnił z obowiązków Elżbietkę?

– Wszyscy tego chcemy – zapewniła. – Nigdy nie było tak w Przylipiu, żeby człowiek bał się głośniej westchnąć albo słowo z drugim zamienić, bo zaraz ona, jak strażnik, pojawia się za plecami. Pani Waleria, a potem pani Rozalia pobłażliwość dla nas zawsze miały i każdy czuł się tutaj jak w rodzinie. A ona... Maryna straciła przez nią dziecko, więc uradziliśmy, że pomścimy Marynę! – zawołała impulsywnie, zakryła dłonią usta i spłoszona spojrzała na Edwarda.

Milczał. Patrzył i milczał. Wygrzebał z kieszeni fajkę, nabił ją, zapalił i nadal milczał. Nie spuszczał też wzroku z Anieli, która nie miała pojęcia, gdzie schować oczy.

A Wiesia przestrzegała, żeby nie mówić za dużo. Pan Edward mądry, domyśli się intrygi. Tylko dlaczego nic nie mówi? Zupełnie jak Elżbietka,

stoi i patrzy. Nic, tylko stoi i patrzy... – gorączkowo rozważała Aniela.

– Chyba wrócę do kuchni – bąknęła.

– Niech Aniela wraca – zgodził się, ale wciąż patrzył z takim zastanowieniem na twarzy, tak wyczekująco, że nie mogła po prostu odwrócić się i odejść.

– Pan się gniewa? – zapytała niepewnie.

– Nie – odparł. – Ale nie liczcie, że Elżbietkę odprawię. Nauczyliście ją pokory, a teraz musicie przekonać ją, że z jej głową wszystko jest w porządku. Moja matka uczyła mnie odpowiadać dobrem na zło, uśmiechem na złośliwość. Mówiła, że to najsilniejsza broń.

Aniela pokiwała głową w zadumie, potem skłoniła się lekko i wyszła.

Edward otworzył szafkę, wydobył z niej whisky, nalał pół szklanki, usiadł w fotelu i zaśmiał się do siebie.

To niebywałe, wmawiali Elżbietce rzeczy, które nigdy nie przyszłyby jej do głowy, i nawet powieka im przy tym nie drgnęła! Ech, gdyby cały naród miał tę zwartość, jedność i lojalność, co jego służba, nikt nie ośmieliłby się rozebrać tego kraju.

**D**awno zniknęły ostatnie łąty śniegu, wyschło marcowe błoto.

Zosia po lekcjach coraz częściej wymykała się Malwinie, poznawała ścieżki, którymi wodził ją Imre, plątała się po kuchni, gdzie chcąc nie chcąc, nabywała kulinarnych umiejętności, jeździła na targ z Kajetanem i tam, jak później opowiadała ojcu, targowała się z Żydami. Często też snuła się za Elżbietką, zaglądała do beczek z kapustą i burakami, marszczyła brewki i udając, że się na tym zna, wąchała kiszonki, czy czasem nie stęchły.

Bywały też dni, gdy zatapiała się w dziecięcej lekturze lub pod okiem Malwiny uczyła się posługiwać igłą.

– Spójrz na płótno – mówiła półgłosem Malwina. – Jest białe, a ty za chwilę naniesiesz na nie wzory.

– Jakie? – pytała Zosia, zerkając na różnokolorowe nici.

– O to nie pytaj. Muszą być takie, jakie spodobają się tobie. Nie myśl o tym, czy będą podobały się mnie lub komukolwiek innemu. Jeśli stwierdzisz, że dla ciebie są ładne, to wystarczy. Każdy powinien tworzyć swoje życie według własnego myślenia.

Staś wierny był matce i jej ostatniej woli. Zabierał Zosię na cmentarz i z dumą pokazywał ją skrawkowi nieba jaśniejącego nad mogiłą Elizy.

Czasem podchodziła do nich stara Jagna, cmentarna wiedźma. Nie lubiła ludzi, ale z chętnie nimi rozmawiała.

– Mądrze wybierajcie żywych – pouczała. – Ludziom nie trzeba się poddawać, ale losowi tak. Bo każdy jest jak to piórko, co je wiatr niesie. Najczęściej nie tam, gdzie by piórko chciało. Ale nie trzeba się opierać. Lepiej zawierzyć wiatrowi.

Nie wiedział o tych naukach Edward. O dzieci był spokojny, widząc je zdrowe i dobrze odżywione. On sam był teraz całkowicie pochłonięty zbliżającym się ślubem. I chociaż prócz garstki wtajemniczonych: Eulalii, Felicji z rodziną, rodziców Malwiny, Danickich i proboszcza, nie zapraszał żadnych gości, żał mu było Malwiny, dla której, jak sądził, miał to być najważniejszy dzień w życiu. Dlatego suknię ślubną z delikatnego atłasu sprowadził aż z Wiednia, z Anglii zaś kazał zamówić najmodniejsze szkockie materie na nowe stroje, których Malwina nigdy dotąd nie miała.

Danicki tymczasem kazał odświeżyć kaplicę i wstawić tam wyściełane aksamitem krzesła, a Helena miała postarać się o świeże kwiaty.

Przyłipska kuchnia znów ożyła, a zarumieniona z przejęcia Aniela rozdzielała robotę pomiędzy Kazię i Wiesię. Wśród kur, kaczek, gęsi i prosiąt zapanował popłoch, bo w tym czasie na podwórku ofiar nie brakowało. Pieczenie mięs, chleba i ciast rozgrzewało kuchnię i kucharki do czerwoności. Cesia i Maryna uwijały się przy porządkowaniu i dekorowaniu dworu na przyjęcie gości. Waław szycował porcelanę i srebra, a Elżbietka, która ledwo panowała nad udzielaniem wszystkim wskazówek i napomnień, zajęła się dekorowaniem ciast.

Wyniosła się z robotą do przykuchennej spizarni, bo jedynie tam panował spokój. Przez okienko wpadała wąska smuga światła, wystarczająca, by rozjaśnić niewielki stół, przy którym pracowała. Od

czasu do czasu odrywała się od pracy i spoglądając na wiodącą do dworu drogę, pozwalała oczom na odpoczynek. Dlatego też ona pierwsza dostrzegła kuriera i osobiście odebrała zabezpieczony lakiem list adresowany do Edwarda Stalickiego. Zastanowiła ją zagraniczna pieczęć, więc kilkakrotnie obróciła w palcach kopertę, starając się odczytać inicjały odciśnięte na laku. Kiedy je rozszyfrowała, zbladła jak śmierć. Wsunęła kopertę do stanika i rozglądając się trwożliwie, pospiesznym krokiem udała się do swojego pokoju.

Przekreśliła klucz w zamku, złamała lakową pieczęć, a gdy zaczęła czytać, serce waliło jej jak szalone.

*Paryż, 31 marca 1839 rok.*

*Drogi Edwardzie.*

*Minęło niemal półtora roku odkąd widziałam Cię po raz ostatni. Tak, liczę miesiące, tygodnie, które minęły, liczę też każdy kolejny dzień, który udało mi się przeżyć.*

*Jest Wielkanoc. W Przylipiu pewnie złocą się forsycje, w sadzie zaczynają się zielenić drzewa, a Ty, jak zawsze, zapalasz fajkę i podglądasz zza firanki gałąź jaśminu, rozkołysaną chmarą rozkrzyczanych wróbli. Myślę o tym i uśmiecham się do siebie.*

*Kiedy otrzymasz mój list, prawdopodobnie wszystko ukwieci się majem, będziesz spoglądał na ustrojone drzewa w sadzie, a ja tęsknić będę za tym krajobrazem.*

*Musisz to wiedzieć, Edwardzie, że Przylipie na zawsze pozostało w moim sercu, że ogromnie brak mi Zosi, nigdy też nie zapomnę Twojego oddania, miłości... Kiedy myślę o przywiązaniu i wdzięczności, właśnie Ty uporczywie przychodzisz mi do głowy. Wtedy boję się, że zagubiłam swoje miejsce, że może ono nie powinno być tutaj, a przy Twoim boku.*

*Jest też coś, co targa moim sumieniem, i dobrze wiem, że nie zaznam spokoju, dopóki będę chować to dla siebie.*

*Długo zbierałam się do napisania tego listu. Nie tylko dlatego, że gruźlica osłabiła mnie i nie pozwoliła utrzymać w ręku pióra, ale również dlatego, że nawet na papierze ciężko mi przyznać się do krzywdy, jaką wyrządziłam Tobie, Zosi i wszystkim, którzy mi zaufali.*

*Kiedy odchodziłam z domu pod eskortą żandarmów, patrzyłam na Ciebie. W oczach miałeś ból, strach i bezradność, o których nie potrafię zapomnieć. I nie chcę zapominać. Niech to będzie pokuta za niesprawiedliwość i szkodę, których przeze mnie doznałeś.*

*Pamiętasz dzień, w którym odwiedził mnie doktor Tomasz Nitewski? Jakże mógłbyś nie pamiętać, wszak wtedy właśnie dowiedziałeś się o nas, o naszej miłości i o swojej krzywdzie.*

*Tomasz wyjechał, ale zostawił mnie z obietnicą, że po mnie wróci, nie pozwoli mi umierać w Przylipiu. Och, oczywiście, że w to nie wierzyłam. Zresztą, jako Twoja żona, nawet nie śmiałam o tym myśleć. Ale Tomasz był zdesperowany, chciał walczyć o moje życie, pragnął mnie leczyć!*

*W tamtym dniu, odjeżdżając, natknął się na braci Zaniewskich, którzy przybyli z Borowic obejrzyć konia. Zamierzałeś go sprzedać, pamiętasz? Tomasz postanowił wykorzystać Twoich kuzynów i zapłacił im za pewną przysługę. Dziś wiem, że już wtedy w jego głowie powstał gotowy plan.*

*Nigdy nie zapomnę tego wieczoru. Była Wigilia. Czekaliśmy na ciotkę Felicję i resztę rodziny, ale przybyli tylko Marek i Mateusz. Pędzili końmi, zostawiwszy matkę z ojcem i Małgosią na drodze, w saniach, które wcześniej uszkodzili. Wtedy właśnie dotarli do umówionego z Tomaszem miejsca i wskazali drogę żandarmom, którzy kilka minut później przybyli po mnie. Za tę przysługę Tomasz sownie braciom zapłacił. Jak się okazało, nie tylko im.*

*Wybacz, Edwardzie, zdaję sobie sprawę, co teraz myślisz, i nie chcę się usprawiedliwiać, ale nie wiedziałam, że ci, co mnie aresztowali, to zwykli przebierańcy. Tomasz nie chciał mówić, skąd wziął tych ludzi, kim byli, a mnie aż trudno było uwierzyć, że są podstawieni, tak wiele było w nich zła i brutalności.*

*Kilkanaście kilometrów od Przylipia czekały na mnie sanie, a w nich Tomasz. Wróciliśmy do Warszawy, stamtąd doktor odesłał mnie do Dusznik na leczenie klimatyczne. Pół roku w tym czystym górskim powietrzu przyniosło mi poprawę zdrowia. Niestety, po powrocie do Warszawy objawy nasiliły się. Akurat wtedy, gdy planowaliśmy emigrować do Paryża. Byłam bardzo słaba, Tomasz musiał pracować, napisaliśmy więc do mojej ciotki, Karoliny. Zgodziła się mną zaopiekować. Sprzedała Sępin i wyjechała z nami do Paryża.*

*Edwardzie, nie wiem, ile jeszcze czasu mi zostało. W tym miejscu muszę przyznać, że Tomaszowi zawdzięczam każdą przeżytą minutę. Dlatego jeśli nie potrafisz wybaczyć mnie, wybacz chociaż jemu...*

*Dziękuję Ci za każdą chwilę, którą mi podarowałaś. I mówię: żegnaj, bo Bóg jeden wie, czy się jeszcze kiedy zobaczymy.*

*Życzę Ci szczęścia.*

*Antonina.*

Długą jeszcze chwilę Elżbietka wodziła wzrokiem po równiutko zapisanych rzędach liter. Potem otworzyła kratę kominka i potarła zapałkę. Bez żalu i skrupułów przyglądała się łakomym języczkom ognia, który pochłaniał zdanie po zdaniu.

Jutro ślub pana Edwarda. Nie trzeba burzyć mu szczęścia i spokoju. Nie trzeba...



\*\*\*

Zosia ubrana w jedwabną sukienkę, wierząc się na wyściełanym aksamitem krześle, ścisnęła mocno rękę Imrego, który z wyrozumiałym uśmiechem znosił te tortury. Jeśli kocha się kobietę, należy wybaczyć jej nawet ból, który sprawia. A on kocha Zosię i tym razem, w noc Kupały, na pewno wyłowi jej wianek.

Malwina w uroczystej ciszy kaplicy spokojnym, matowym głosem powtarzała małżeńską przysięgę. Kiedy skończyła, spojrzała na Edwarda.

I wydarzyło się coś, czego nie mógł pojąć. Nie miał też czasu ani chęci wnikać w tę magię. Jego świat stanął na głowie, a on wiedział już, że każdy dzień, każda chwila będą nieść w sobie obietnice. I w każdej z tych chwil upajać się będzie niezwykłością spojrzenia Malwiny. Wbrew rutynie, gdy Wacław będzie przynosił mu o siódmej kawę, a o wpół do dziesiątej ułoży na stoliku codzienną prasę, gdy pory posiłków i porannych przejażdżek pozostaną wciąż te same, a rachunki równie uprzykrzone, jego serce zawsze już będzie kwitło od tego spojrzenia.

# SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Karta redakcyjna](#)

*Składam serdeczne podziękowanie pani Sewerynie Galus-Śliwińskiej za poświęcony mi czas, udostępnione materiały i podzielenie się rodzinnymi wspomnieniami, którymi inspirowana jest ta powieść.*

Copyright © 2023 by Ewa Cieleśz

Copyright for this edition © 2023 by Axis Mundi

REDAKCJA I KOREKTA: Agnieszka Sabak

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski

WYDANIE I

ISBN 978-83-66451-25-4



Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek